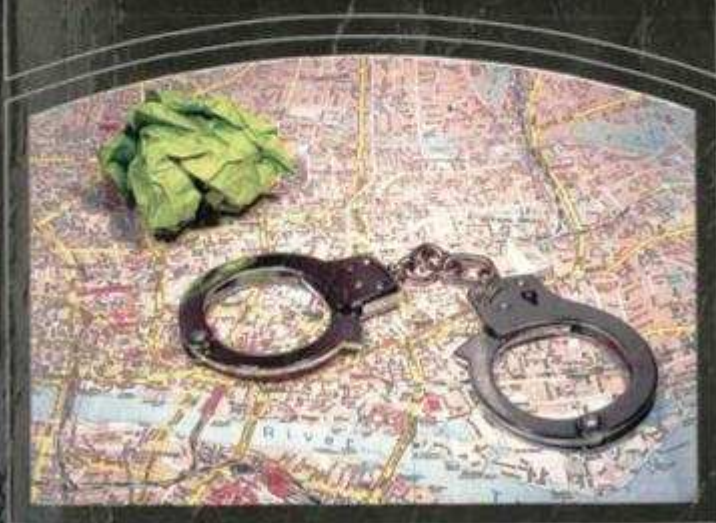


**Philip MacDonald**

**NAKAZ  
ARESztOWANIA: ...**



# Philip MacDonald

## NAKAZ ARESztOWANIA: .X.v..

Thomas Sheldon Garrett stał się mimowolnym świadkiem tajemniczej rozmowy dwóch kobiet. Ten przypadek zdecydował, że jego życie uległo radykalnej zmianie — został wciągnięty w rozszyfrowywanie zbrodniczej zagadki.

„Philip MacDonald to pisarz, którego styl, sposób budowania nastroju, konstruowania fabuły, fascynującej intrygi mogą wzbudzić zazdrość najpoważniejszych twórców literatury sensacyjnej.” Anthony Boucher formułując tę opinię dokładnie wiedział, że w swoich utworach MacDonald daje czytelnikom najcenniejszy prezent, jaki może dać autor: szansę samodzielnego rozwiązywania sensacyjnej zagadki.

MacDonald to również autor scenariuszy wielu seriali telewizyjnych. Szczególną popularnością cieszył się thriller „The Impulse”.

Colibri  
RTW

ISBN 83-85493-13-1

Philip MacDonald

NAKAZ

ARESZTOWANIA:..x..

przełożyła

Zofia Zinserling

*Colibri*

Tytuł oryginału Warrant for X

Okładkę projektował Jan Sarnecki

© Copyright by Philip MacDonald

ISBN 83-85493-13-1

# I

## 1

Thomas Sheldon Garrett, aczkolwiek miał za sobą liczne podróże i należał do ludzi niewątpliwie czytanych, dopiero ukończywszy trzydzieści cztery lata zawarł znajomość z utworami G.K. Chestertona, co tłumaczyć można tym, że był Amerykaninem. Te trzydzieste czwarte urodziny wypadły we wrześniowy piątek roku, o którym mowa, i dość szczęśliwie zbiegły się z londyńską premierą jego sztuki zatytułowanej *Wakacje mędrca*. Ponieważ o godzinie dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć sukces jej stał się rzeczą oczywistą, przyjęcie wydane po premierze przez Brooks-Carewa nosiło charakter zdecydowanie alkoholiczny. Warto jednak pamiętać, że w przeciwnym wypadku Sheldon Garrett nie spędziłby prawie całej soboty na czytaniu *Napoleona z Notting Hill*, a co za tym idzie, nie zabłąkałby się w okolice Notting Hill w niedzielę po południu. Bo gdyby u Brooks-Carewa mniej podawano trunków i mniej nalewano w kieliszki, ani Sheldon Garrett, ani Manvers z „Telegramu” nie osiągnęliby tego wzniesłego stadium nietrzeźwości, w którym, nie znając się wcale, podjęli ważką literacką dyskusję w łazience Brooks-Carewa; a następnego wieczora Garrett nie kupiłby taniego wydania tej może zresztą

najlepszej z wszystkich książek Chestertona na stoisku w „Savoyu”.

Czytał ją w nocy z soboty na niedzielę, aż gdzieś przed piątą rano dotarł do końca historii Adama Wayne i Auberon. Potem przespał się i obudził o dziwnej godzinie — pierwszej w południe. Tak opóźniony, musiał wykreść się od spotkania przy lunchu i w rezultacie nie miał co robić w Londynie w to szare, jesienne niedzielne popołudnie. Zjadł lunch we własnym saloniku. Podczas jedzenia zagłębił się znowu w *Napoleona*, a o wpół do czwartej wysiadł z czerwonego autobusu na wprost przytlaczającej fasady stacji metra Notting Hill.

A potem wyruszył — prowadzony jak gdyby przez przypadek i przez Chestertona. Zrazu niezdolny nawet pogodzić świątecznej ciszy głównej arterii z wspaniałą ponurością ulic, po których przechadzał się w zadumie Adam Wayne, skręciwszy w lewo natychmiast znalazł się w okolicy, gdzie sztachety dziwnie przypominały włócznie.

Londyn był tej niedzieli bardzo szary, a ponieważ przed trzema dniami lato jak co roku uległo zagładzie, mglisty błękit wczesnego wieczoru wkrótce zaczął się stapiać ze stalowym poblaskiem, jedynym znakiem, iż gdzieś nad gładkimi, bezkresnymi chmurami świeci słońce.

Wydawało mu się, jakby chodził dopiero od pół godziny, ale spojrzawszy na zegarek stwierdził nie bez zdziwienia, że wysiadł z autobusu z górą godzinę temu. Stał na placu, a wysokie, szare, wsparte na kolumnach frontony domów krzywiły się z odpychającą, kanciastą godnością na otoczony żelaznymi prętami owal trawy i pokryte kuzem ciemnozielone krzewy.

Miejsce to sprawiało wrażenie wymarłego i nagle Garrett poczuł się bardzo zmęczony i — tak, tak! — lekko przestraszony. Odpiął najwyższy guzik u płaszcza, rozprostował wspaniałe bary i ruszył szybkim krokiem, by przekonać samego siebie, że idzie w ściśle określonym kierunku.

Doznał wstydlivej ulgi spotkawszy na zakręcie w tym wymarłym miejscu, wśród nasrożonych cegieł — drugiego przechodnia; usmarowanego mężczyznę z wypchanym długim workiem na plecach. Spotkali się niemal twarzą w twarz, tak że mężczyzna z workiem musiał zejść z drogi.

— Dobry wieczór — powiedział Sheldon Garrett, odczuwając potrzebę rozmowy.

— Co? — zagadnął ten z workiem.

— No — odparł Sheldon Garrett, pospiesznie wyciągając papierośnicę. — Ma pan zapalki?

Mężczyzna przeszukał kieszenie prawą ręką, lewą trzymając worek. Bez słowa wyciągnął i podał zapalki.

— Dziękuję — powiedział Garrett i zapalił papierosa, na którego wcale nie miał ochoty. Podsunął tamtemu otwartą papierośnicę. — Zapali pan?

Mężczyzna potrząsnął głową. Garrett zatrzasnął papierośnicę, wsunął ją do kieszeni i zwrócił właścicielowi pudełko zapalek.

— Dziękuję — powiedział.

Człowiek z workiem wsadził pudełko do kieszeni, przerzucił ciężar z lewego ramienia na prawe, wyminął natręta i odmaszerował w gęstniejący zmrok.

Garrett popatrzył za nim, chcąc go pod wpływem gwałtownego i śmiesznego impulsu dopędzić i — jak to określają kroniki angielskich gazet — „dokonać napadu w zamiarze zadania poważnych obrażeń cielesnych”. Ale Sheldon Garrett, podróżnik, człowiek majątny, autor popularnej sztuki, odrzucił świeżo zapalonego papierosa i oddalił się w przeciwnym kierunku.

Zrobiło się naprawdę ciemno. Za storami światła zaczynały błyskać w oknach, które dotychczas, jak oczy, spoglądały krzywo i bez wyrazu, a tu i tam, w górze jaryły się bladożółte, zniekształcone czworokąty ulicznych latarni. Garrett usiłował zapamiętać kierunek swej włości i doszedł do wniosku, że jeśli będzie stale skręcał w prawo, dotrze znów do głównej ulicy, którą przybył z „Savoyu” i z miejsc uczęszczanych przez ludzi. Skręcił zatem w prawo i zobaczył ulicę podobną do wielu innych

dotychczas przemierzonych. Gdzieś w połowie drogi napotkał chłopca z psem, ale go nie zaczepił. Koniec ulicy okazał się zagrodzony. Skręcił w lewo — i odniósł wrażenie, że to ta sama ulica. Zobaczył kobietę z psem. Nie odezwał się do niej. Szedł wciąż przed siebie, nieświadomie wydłużając i przyspieszając kroku, jak człowiek zagubiony w buszu wydłuża i przyspiesza kroku, zanim dopuści do głowy myśl, że właściwie nie wie, gdzie się znajduje.

Skręcił w prawo. Ta ulica była najwyraźniej inna, węższa, a ciągnące się wzdłuż niej domy, choć i one także spoglądały krzywo — niższe i brudniejsze. Spoza sztachet (które tym razem bynajmniej nie przypominały włóczni) każdy z nich jakby wionął w chłodne, wilgotne powietrze abstrakcyjnym miazmatem rozkładu. Duży, wychudły kot wskoczył na niski murek oddzielający chodnik od czarnych cieni domów poza nim. Kot popatrzył na człowieka lśnącymi, żółtymi oczyma i zniknął.

Garrettowi zrobiło się nieswojo, ogarnął go niepokój. Dokuczał mu ból w nogach, a stopy sprzeciwiały się deptaniu po bruku. Zimno szczypało w twarz, ale pod osłoną ubrania ciało miał nieprzyjemnie ciepłe.

Doszedł do bocznej uliczki, skręcił w prawo i na skutek jednego z tych ponurych czarodziejskich figłów, jakie tak często płała Londyn, przeniósł się w całkiem inny świat. Wrażenie rozkładu przysło. Teraz ciążyła mu, jak niewygodny płaszcz, ta atmosfera mrożącej, obleczonej w czarne rękawiczki poprawności, którą, ponieważ rzeź języka angielskiego jeszcze się nie dokonała, należy określać słowem „szacowność”. Domy były schludne. Mosiężne kołatki i otwory skrzynek na listy lśniły. Nawet szybki ulicznych latarni zdawały się czystsze. Sztachety stały wyniosłe na straży spokoju niewymagającego strażników.

A potem, choć z przerażającą dyskrecją, pojawiły się małe sklepiki; tylko ostatni w rzędzie nie miał zaryglowanych drzwi i ślepych, pozasłanianych okien.

Garrett szedł wciąż przed siebie, ale na następnym narożniku raptem przystanął. Bo ostatni sklep nie był właś-



ciwie sklepem. Nad jego drzwiami wisiała latarnia z fantazyjnie kutego żelaza, które próbowało imitować antyk. Zza szklanych jej szybek błyskało żółte światło, na szybkach zaś pełnym wykrętasów gotykiem wypisano słowa: „Stara chińska herbaciarnia”.

— Ach — powiedział na głos Garrett.

Jak najbardziej wbrew tradycjom lubił herbatę. Był też zmęczony, bolały go nogi, tak zgrzany nie mógł iść dalej i w gardle mu zaschło. Nacisnął klamkę przysłoniętych muślinową firanką drzwi i skądś z mrocznych czeluści dobiegło brzęczenie żalobnego dzwonka.

## 2

Wnętrze herbaciarni okazało się słabo oświetlone i większe, niż oczekiwał. Wzdłuż jednej ze ścian stały na wprost siebie pomalowane na imitację dębu sosnowe ławy o wysokich oparciach. Na ścianach wisiały talerze i miski z taniej ceramiki, pomalowane w chiński niebieski wzór z wierzbowymi liśćmi. Światło dawała jedynie wisząca pośrodku mosiężna lampa, stylizowana na starą, i kilka słabych, bladoróżowych żarówek przytrzymywanych przy ścianach żelaznymi uchwytyami, które usiłowały imitować kinkiety. „Stara chińska herbaciarnia” była, innymi słowy, nieodrodną siostrą setek innych starych herbaciarni.

Wnętrze jej świeciło pustkami. Garrett rozejrzał się dokoła, myśląc o ucieczce, ale właśnie wtedy pojawiła się — milcząc i jakby za sprawą jakiejś ponurej magii — typowa kelnerka. Była wysoka, smukła niczym wierzba i zmęczona, ubrana w tę długą, niezgrabną szatę, nieodłączną od herbaciarni. Jak zwykle też otaczała ją aura agresywnej wielkopańskości. Nie odezwała się do Garretta, tylko przyjrzała mu się z błyskiem pince-nez.

— Herbaty. Czy mógłbym się napić herbaty? — zapy-

tał Garrett i już siedział, twarzą do drzwi, w najdalszej i najciemniejszej z łóż utworzonych przez kanapy.

Zamówił chińską herbatę i — ponieważ sądził, że tego po nim oczekują, placuszki i dżem. Neofitka odplynęła bez słowa, niknąc w mrokach po przeciwnej stronie sali. Do uszu Garretta dotarło skrzywienie otwieranych i zamykanych drzwi, a potem, pewnie spoza tych drzwi, leciutki brzęk porcelany. Zapalił papierosa i usadowił się tak wygodnie, jak na to pozwalała nieprzyjazna kanapka. Stwierdziwszy, że wciąż jest mu za gorąco, wstał, zdjął płaszcz i wraz z kapeluszem położył go na kanapce na wprost siebie.

Zgasił papierosa, kiedy podano mu herbatę. Rzecz dziwna, herbata była dobra. Wypił dwie filiżanki i zjadł dwa kawałki pozbawionego smaku chleba z masłem. Nalał sobie trzecią filiżankę i zapalił nowego papierosa, po czym usiadł w kącie zastanawiając się, o czym właściwie myśli.

Drzwi wejściowe otwarły się z cichym skrzyzieniem, po którym zabrzmiał przytłumiony dźwięk dzwonka. Drzwi się zamknęły, dzwonek ucichł, Garrett zaś usłyszał kroki i kobiece głosy. Siedział bez ruchu w kącie utworzonym przez ścianę i oparcie kanapy. W jakiś nieokreślony sposób drażniło go to najście, tak jak drażni człowieka, jeśli coś wyrwie go nagle z przyjemnego stanu głębokiej zadumy nad niczym. Z kolei doleciał go szmer od drzwi w czarnych mrokach herbaciarni, a w chwilę później nowe szepty, gdy ospała kelnerka zwróciła się do przybyłych kobiet. Następnie zatupotały czyjeś stopy i ktoś usadowił się w sąsiedniej łoży. Garrett nie pochylił się do przodu, więc ani on ich nie widział, ani nie był widziany, słuch jednak mówił mu, że weszły dwie osoby.

Dobiegły go pomruki, szelesty, odchrząkiwania, stuk ustawianych parasolek i skrzywienie sosnowych ław pod ciężarem gości. Neofitka przepłynęła w ograniczonym polu widzenia Garretta i znikła przyjąwszy zamówienie. W głosie osoby zamawiającej, bez wątpienia kobiecym, brzmiała jednak dziwnie głęboka nuta, a jego zdecydowany, męski ton mimo woli zainteresował Garretta.

Skończył palić, zanim kobiety te weszły, i teraz leniwie rozważał, czy wysiłek sięgnięcia do tylnej kieszeni po papierośnicę wart jest wątpliwej pociechy, jaką daje tytoń. Zdecydował, że nie, i tym sposobem nieświadomie przesądził o dalszym biegu wypadków.

Spojrzał na zegarek. Była za dwadzieścia szósta. Garrett nie przypuszczał, że jest już tak późno. O wpół do siódmej musi być w „Savoyu” i przebierać się na wieczór. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki po portfel, pamiętał bowiem, że brak mu drobnych, lecz poza tym nie wykonał najmniejszego ruchu. Wyciągnął miękki skórzany portfel tak niedbale, że wysliznął się z jego palców, stuknął go w kolano i bez szmeru zsunął się na podłogę. Garrett schylił się, by go podnieść. Na próżno błędził w krąg ręką, musiał więc przykłęknąć na jedno kolano i dalej szukać po omacku w większym już promieniu.

Rzecz ciekawa, chociaż nie starał się zachowywać specjalnie cicho, nie wydał przy tym żadnego dźwięku.

Dotknął właśnie krawędzi portfela, kiedy posłyszał głosy z sąsiedniej łoży, rozbrzmiewające jakoś dziwnie wskutek jego bliskości od podłogi. Pierwszy głos był ten gruby, drugi natomiast stanowił jego absolutne przeciwieństwo; wysoki, lecz łagodny, młodzieńczy, lecz przyjemnie modulowany, miły, lecz z obcym dla Garretta akcentem. I bez drżenia zdolny wyrazić odcień trwogi.

Pierwszy głos powiedział:

— Mówiłam ci. Ani żywej duszy.

Drugi głos odparł:

— Poza kelnerką... i... czy patrzyłaś do tej łoży z tyłu?

Gruby głos:

— Ani żywej duszy, powtarzam! Nie bądź...

Łagodny głos:

— Popatrzę... dla pewności... Nic w tym złego... Głos ucichł. Tak jak i poprzedni, nie był znizony do szeptu, a jednak, podobnie jak tamten, sprawiał wrażenie konspiracyjnego. Z portfelem w dłoni Garrett zastygł — choć nie potrafiłby wówczas powiedzieć, dlaczego w całkowitym

bezruchu. Wstrzymywał nawet oddech. Poprzez łomot krwi w uszach dosłyszał, że ktoś się unosi, potem coś zaszurało o deski i wreszcie, kiedy ten ktoś znów usiadł, drugi, czyli łagodny głos powiedział:

— Nie. Nie ma nikogo. — Głos był zdecydowanie donośniejszy. A także pewniejszy.

Gruby głos odrzekł:

— A nie mówiłem? Nigdy nie miej sekretów w prywatnym domu. Nigdy nie miej sekretów w publicznym parku. Jeśli masz sekrety, miej je w herbaciarni.

Stłumione parsknięcie śmiechem, niezbyt wesołym, wydobyło się z drugiej krtani, a łagodny głos powiedział:

— Co też ty opowiadasz!

— To, co opowiadam — odparł gruby głos — zawsze ma jakiś sens... A więc, moja panno, cóż mi odpowiesz? Zrobisz to czy nie?

Łagodny głos zająknął się.

— Ja... ja... nie mogę się zdecydować. Jakoś się boję.

Ja... rozumiesz... ja.

Sheldon Garrett, pomny nie tylko na swoje śmieszne i nieliczące z godnością osobistą położenie, ale i na własne poglądy odnośnie podsłuchiwania, usłyszał, że otwierają się drzwi służbowe, ciche pobrzękiwanie zaś świadczyło, że zbliża się pełna taca. Szybkim ruchem, na wszelki wypadek bez hałasu, zerwał się z podłogi i usiadł.

Gruby głos powiedział ostrym, surowym, ledwie do Garretta docierającym półszepem:

— Cicho! — A potem głośniejszym i z chwalebnią naturalnością: — Świetnie! Mamy herbatę!

Herbatę przyniesiono i kelnerka znikła. Sheldon Garrett stwierdził z ulgą, że senna służka nawet nie spojrzała w jego stronę. Rozsiadł się wygodnie i bawił portfelem, okłamując sam siebie, że zaraz stąd pójdzie. Ale nie omieszkał bawić się cicho. I nie wyszedł. Ani się poruszył.

Gruby głos mówił chrapliwie:

— Już jej nie ma. Nie patrz jak lunatyczka, tylko odpowiadaj. Tak czy nie?

— Ja... ja., ja mówiłam ci, że się... — wyjąkał łagodny głos.

— Nie powtarzaj mi, że się boisz. Już to mówiłaś.

— Ale ja... ale ja...

— Zupełnie jakby gramofon się zaciął. Mówiłam ci ostatnim razem, mówię ci i dzisiaj, że nie ma się czego bać!

Łagodny głos odezwał się po dostrzegalnej przerwie:

— Ale ja się boję! Czasami chcę to zrobić, a potem myśłę, że jak to zrobić, spotka mnie coś strasznego. Bo przecież to... to nie jest w porządku! — Słowa popłynęły szybko: tylko raz, i to pod koniec zdania, przebiła z nich poprzednia niepewność. Ale ten pośpiech świadczył o podnieceniu.

Zapadła cisza, przerywana brzękiem porcelany, ilekroć dzióbek imbryka uderzył o krawędź filiżanki. Garrett wykorzystał tę okazję, by się ze sobą posprzeczać. Dlaczego ma tu siedzieć i z ukrycia wysłuchiwać zwierzeń dwóch kobiet, którym się zdaje, że są same? Czy dlatego, że nie zna Londynu i zawędrował do wrogiej jak dżungla dzielnicy, musi żywić takie dziwne przeczucie nieszczęścia? Nawet jeśli jest dość głupi, by ulegać tak silnie wpływowi klimatu i otoczenia, czyż musi sobie wyobrażać, że przypuszczalny początek jakiejś ponurej dyskusji, bezowocnej w całym sensie tego słowa, rzuca światło na czyn zbrodniczy? Dlaczego zatem nie odkasznął czy nie stuknął łyżeczką o porcelanę, nie wstał i nie podszedł do drzwi, nie zapłacił i nie opuścił tego miejsca?...

Cztery pytania, a brak odpowiedzi. Siedział spokojnie.

Gruby głos odezwał się, i to bardziej szorstko niż przedtem:

— A więc się boisz? Boisz się zrobić coś, z czego nie wynikną prawdopodobnie żadne dla ciebie kłopoty! Boisz się wygodnego życia na razie, a potem masy pieniędzy, która pozwoli ci żyć w o wiele większych wygodach do samej śmierci, nawet gdyby sądzona ci była setka! Boisz się! — W tonie głosu zaszła nagła zmiana; dalsze słowa brzmiały nie mniej ostro, ale przebijała w nich nuta

zadumy, bardzo nieprzyjemna; nuta sama w sobie stanowiąca groźbę. Głos mówił: — No cóż, będę musiała wrócić i powiedzieć Evansowi. Nie ucieszy się chyba, skoro ty wiesz o wszystkim. Ale nie ma rady.

— Och — wtrącił się niespodziewanie łagodny głos, też na nową nutę. — Nie mów tak! Ja... ja... ja nie powiedziałam, że tego nie zrobię. Właśnie, miałam mówić, że...

— Boisz się! Wiem. Cóż, zapomnij o strachu i nie bądź głupia. Pomyśl o tych pieniądzach. Bogu jednemu wiadomo, że zależy ci na pieniądzach, bo inaczej nigdy...

— Nie rozumiesz? Oczywiście zależy mi na pieniądzach! — Łagodny głos przycichł, ale Sheldon Garrett, wychyliwszy się do przodu, nadal rozróżniał słowa. — I wiem, że nie wynikną z tego dla mnie kłopoty... przynajmniej jeśli wszystko jest tak, jak ty i on mówiliście... ale nie o to mi chodzi! Chodzi o to, że, bo ja wiem, mogę polubić... — Łagodny głos zniżył się do szeptu, tak że po raz pierwszy Garrett przestał rozumieć. Pochwycił tylko szmer zamiast końca zdania.

— Ależ mnie nudzisz! — W grubym głosie brzmiała pogarda: — Ono będzie najzupełniej bezpieczne.

Nuta szyderczego gniewu musiała z kolei dopieć właścicielce łagodnego głosu, która odpowiedziała z irytacją i dosyć u niej zdumiewającą zgryźliwością:

— Dobrze, załóżmy, że tak. Ale to nadal jest... nie w porządku! A zresztą, co powiesz na niego? — Łagodny głos zamarał wzięwszy wysoką i chwilowo triumfalną poniekąd nutę.

— Co?! — zapytał szorstki głos szybko, samym tonem wykrzyknika dowodząc nagłego i głębokiego zainteresowania. — O czym ty mówisz?

— Dobrze wiesz, o czym. Załóżmy, że wezmę tę pracę i zrobię, co mi każą, a potem dostanę pieniądze. Wszystko w porządku, ale to nie oznacza, że na dodatek chcę być zamieszana ni mniej, ni więcej tylko w...

Garrett nie dosłyszał końca zdania dla tej prostej przyczyny, że nigdy nie zostało dokończony. Zamiast słów

rozległo się gwałtowne trzeszczenie kanapy, stuk czegoś uderzającego miękko w kant stolika i brzęk przewracanej porcelany.

A potem zduszony pisk protestu — ze strony tej o łagodnym głosie. Powiedziała szeptem:

— Och, nie! To boli!

Kanapa zatrzeszczała ponownie, gdy ktoś na powrót zajął swe miejsce. A potem odezwał się gruby głos. Mówił dużo ciszej niż poprzednio i powoli, co nadawało mu — tak przynajmniej sądził Garrett — jeszcze bardziej złowróżbne brzmienie.

— O-sza-la-łaś!

Zduszony odgłos, który mógł być łkaniem. A potem:

— Jak mogłaś! Ręka mnie boli!

— Diabła tam z twoją ręką!

Dwa zduszone odgłosy, najwyraźniej łkania.

— Jesteś... jesteś dziś straszna!

— A ty... szalona... Zechcesz mi może teraz powiedzieć, co ci strzeliło do głowy?

— Ja... ja... ja nic takiego nie chciałam powiedzieć...

— Niemożliwe!

— Nie patrz tak na mnie. Wiesz przecież, że ja... ja... nigdy bym nic nie powiedziała.

— Bo mogłabyś nie mieć okazji!... I nie siedz tu pochlipując! Mów zaraz, co za szalony pomysł strzelił ci do głowy. I skąd się wziął? No, dalej?

— Ja... ja... O Boże!... Nic takiego nie miałam na myśli... Tylko słyszałam ostatnio...

— Coś słyszała? — przerwał gruby głos dzikim półszepem, z nutą powściągananej furii. — Gdzieś słyszała? Kiedy? Co takiego? Dalej, mów zaraz albo pójdziemy wprost do Evansa. — Słowa padały bardzo szybko, wymawiane tak ściszym szeptem, że Garrett ledwo je chwycił.

— Ostatnim razem, jak byłam w tym domu. Siedziałam w saloniku, a ty i...

— Oczywiście podsłuchiwałaś! — powiedział gruby głos. Nie dźwięczał już czysto, tylko tak, jakby słowa wydobywały się spoza zaciśniętych zębów.

— Nie! Nie! Nie podsłuchiwałam. Naprawdę nie! To znaczy, nie naumyślnie. Podeszłam do stolika w rogu przy drzwiach, żeby wziąć gazetę, a tamten mężczyzna mówił bardzo głośno. Musiałam słyszeć. Ja...

— Co... słyszałaś?

— Proszę cię, tylko tak na mnie nie patrz. Naprawdę nic nie słyszałam. To znaczy nic... nic określonego. Przyszedł mi wtedy pewien pomysł, a kiedy się tak zastanawiałam... muszę być rzeczywiście bardzo głupia...

— Jesteś głupia! No, dalej.

— Więc ja... ja... kiedy się tak na mnie rozzłościłaś, byłam bardzo głupia i też chyba się rozzłościłam. A wtedy... musiałam powiedzieć więcej, niżbym naprawdę chciała. Ale właściwie nic nie powiedziałam. No nie?

Ochrypli głos odparł:

— Powinnaś się nadać do tej pracy. Sama jesteś jak dziecko. Ale czasami dzieci miewają głupie pomysły. I bardzo często za dużo miały językami.

— Naprawdę nic nie chciałam powiedzieć, naprawdę. Tylko trochę się rozzłościłam, bo myślałam, że ty jesteś zła na mnie.

— Hm! To nieważne, co chciałaś powiedzieć. Ważne jest, co myślisz.

— Nic nie myślę. Naprawdę nic... Ja... ja po prostu byłam głupia. — W łagodnym głosie przebijała przerażająca żarliwość.

Gruby głos zabrzmiał mniej szorstko:

— Wobec tego wszystko w porządku... jeśli się zgadzasz.

— To znaczy, jeśli ja...

— Jeśli przyjmiesz tę pracę. I postąpisz dokładnie według wskazówek. I pamiętaj, ze względu na siebie samą, ty idiotko, że nikomu... nie... stanie się... krzywda.

Cisza.

Łagodny głos odezwał się po chwili z drżeniem, ale zdecydowanie:

— Zrobię to.



Właścicielka grubego głosu wybuchnęła śmiechem, muzykalnym i, rzecz paradoksalna, jednocześnie wesołym i niewesołym.

— Możesz na pozór wydawać się głupia, ale w rzeczywistości jesteś rozsądną dziewczyną. Takie pieniądze i możliwość jakiegoś dodatku to nieźle jak za parę przepracowanych miesięcy. Zwłaszcza że taką pracę oni nazywają murowaną.

Łagodny głos zapytał:

— Jak długo to potrwa?

— Wiesz dosyć, żeby nie zadawać takich głupich pytań. Mogę ci powiedzieć, jak długo to nie potrwa. Nie potrwa dłużej niż pół roku.

— Ale może potrwać i krócej. Powiedz, że tak.

Oschły głos znów zachichotał.

— Może i na pewno potrwa krócej. I to znacznie krócej... No, a teraz wynośmy się stąd.

Sheldon Garrett zeszywniał w swym kącie. Instynktownie odchylił się do tyłu, przywierając plecami do ściany i oparcia kanapy, jak gdyby chciał wtopić się w drzewo i tynk. Jego wytężony słuch zareagował na uderzenie łyżeczką o filiżankę (które miało w tradycyjny sposób zwrócić uwagę kelnerki) niczym na wystrzał z działa. Poderwał się. Za jego prawym ramieniem zatrzeszczały sosnowe deski. Usiadł bez ruchu, wstrzymując oddech i lada chwila oczekując z drugiej łoży hałasów na dowód, że go usłyszano.

Ale nic takiego się nie zdarzyło. Filiżanka zagrzechotała ponownie, z wściekłością. W odpowiedzi najpierw skrzypnęły służbowe drzwi, a potem, wolniej niż zwykle, zjawiała się dystygnowana kelnerka. I tym razem mignęła w jego polu widzenia, ale jak poprzednio nie obdarzyła go spojrzeniem. Słyszał jej słowa z sąsiedniej łoży, słyszał niemily głos pytający, ile się należy, i wycedzoną odpowiedź...

I tu Garrett popełnił błąd. Nie wstał z kanapy. Spoza cienkiego przepierzenia doleciał go brzęk monet; potem nieuniknione „dziękuję”, typowe dla wszystkich starych

herbaciarni, i szmery towarzyszące zbieraniu się do wyjścia.

Kelnerka odplynęła raz jeszcze. Damskie obcasy zastukały po deskach, gdy dwie jego sąsiadki ruszyły ku drzwiom. Próbując nie zakłócić ciszy, Garrett szybko wychylił się do przodu i podparł na rękę, którą chwycił za zewnętrzną krawędź kanapy. Mignęły mu podczas otwierania drzwi. Plecami różniły się tak samo jak głosami — jedna była niska, krępa i kanciasta, bardzo wyprostowana, nieco męska w typie; druga, wysoka, smukła, rozsiewała ten urok, pod wpływem którego mężczyzna pragnie zobaczyć twarz kobiety.

Jakimś cudem dokładnie odpowiadały wyobrażeniom Garretta. Niska i tęga — najwyraźniej Głos Gruby — była ubrana na ciemno, „szacownie” (obce słowa *sub fusc* przyszły Garrettowi na myśl). Za to wysoki, smukły Łagodny Głos miał w stroju przygaszone barwne akcenty; kapelusz niewątpliwie czerwony, a futerko wokół szyi w przyjemnym odcieniu niebieskawoszarym. I ciemny płaszcz chyba ściśnięty kolorowym paskiem.

Garrett skrył się gwałtownym ruchem, kiedy doszły do drzwi i jedna z nich dotknęła palcami klamki.

Dzwonek zadźwięczał ponuro, a potem umilkł, gdy drzwi się za nimi zamknęły. Przez to mgnienie oka, kiedy były otwarte, wdarł się do herbaciarni widmowy podmuch zimnego, wilgotnego powietrza.

Garrett poderwał się i tak mocno potracił kolanem stolik, że filiżanka, spodek i dzbanek zagrzechotały w przysnutej kurzem ciszy. Wydostawał się z łoży, sięgał po płaszcz i naciągał go niemal równocześnie. Uświadomił sobie, że serce wali mu niczym biegaczowi, ale nie zdążył pomyśleć dlaczego. Wypada mu wierzyć — chociaż sam nie jest tego całkiem pewny — że w tym mrocznym sanktuarium domagał się nawet rachunku. Nikt mu jednak nie odpowiedział ani nie skrzyknęły służbowe drzwi, wiele sekund zaś upłynęło od wyjścia dwóch kobiet, które w swoim przekonaniu powinien był śledzić.

Wbił na głowę kapelusz, pogrzebał w kieszeni, przypomniał sobie, że nie ma drobnych, i w dwóch susach dopadł do drzwi. Szarpnął je i znalazł się na świeżym powietrzu.

### 3

Zrazu, z przedziwną mieszaniną ulgi i rozczarowania, sądził, że zgubił ich ślad. A potem z Bożą pomocą i dzięki ulicznej latarni, pod którą przechodziły, zdołał znów je dojrzeć. Gdy tak stał tyłem do drzwi, znajdowały się na prawo, w odległości dwudziestu kilku metrów. Nie mógł pomylić ich pleców.

Ruszył w pościg. Chciał biec, ale się opanował, bo na odgłos kroków w tym ceglanym pustkowiu ścigane osoby mogłyby się obejrzeć. Zawzięcie wyciągając nogi znalazł się wkrótce w przyzwoitej odległości od kobiet. Wieczór był bardzo cichy, więc niósł się ku niemu szmer ich głosów. Przeszedł na drugą stronę ulicy, żeby nie czuły się tropione, i wędrował o kilka zaledwie metrów za nimi.

Po przejściu przez jezdnię o mały włos znów ich nie zgubił, bo wtem skrzyły w prawo, w wąską, ciemną przecznicę, której on ze swego chodnika ani nie zauważył, ani by się spodziewał. Podążył za nimi, znowu nieomal biegiem.

Musiały zniknąć w przejściu między domami, które prawdopodobnie, pomyślał Garrett, przypominając sobie jak przez mgłę dziwactwa angielskiego prawa, było zachowaną dawną drogą. W tej wąskiej, mrocznej uliczce o wysokich ścianach stukot ich obcasów powracał do niego zwiłokrotniony ponurym, przeciągłym echem. Kroczył jak Agag. Zgubił ślad i został o jakieś czternaście metrów w tyle. Chętnie zmniejszyłby tę odległość, ale ponieważ tu trzeba było iść na palcach, nie mógł tego zrobić.

Mrok się przerzedził. Przy końcu uliczki płonęły latarnie, dobiegał też z tamtej strony wciąż narastający łośkot pojazdów.

Garrett domyślił się, że to główna ulica. W obawie, by na ruchliwej arterii nie zgubić tropu, do pewnego stopnia zrezygnował z ostrożności i wciąż na palcach pobiegł długimi susami, aż przybliżył się do nich na jakieś osiem metrów.

Nie obejrzały się, on za to wyraźnie słyszał głosy, wychwytywał nawet poszczególne słowa. Mówił Głos Gruby. Mamrotał coś, potem nie dokończył jednego czy dwu słów, a w końcu całkiem wyraźnie powiedział:

— ...jeśli będzie mógł się jutro z tobą zobaczyć. Wtedy będziemy mogli zacząć. Powinnaś tam być za niecałe dwa tygodnie.

Zdanie to skończyło się wraz z uliczką. Skreśliły w prawo i Garrett przez kilka sekund ich nie widział. Ostatnie metry przebył skokami.

Wynurzył się z uliczki, tak jak pomocnik beka wyłania się ze zwartej grupy graczy na boisku. Prawym ramieniem trącił w tors przechodnia, lewym — jakąś kobietę w żebra. Nie zdążył jeszcze oprzytomnieć, a już oszalałym wzrokiem spoglądał na prawo. Odetchnął z ulgą. Znajdowały się w polu widzenia, i do tego stały.

— Też coś! — powiedziała potrącona kobieta, ale parsknąwszy ruszyła dalej. Garrett uchylił kapelusza, kłaniając się jej plecom. Już mówił:

— Musi mi pani wybaczyć, proszę pa... — lecz druga jego ofiara nie dała mu dokończyć.

Był to krzepki osobnik w chustce na szyi i welwetowych spodniach. Chwyił Garretta za ramię i obrócił nim dokoła:

— No, no, po co ten pośpiech? — zapytał.

— Przepraszam! Bardzo przepraszam! — powiedział Garrett gorączkowo. Patrzył niespokojnie ponad ramieniem poszkodowanego... Tak, jeszcze są. Niby to oglądają wystawę, ale pewnie rozmawiają dalej. Gdyby tak mógł znaleźć się za nimi, posłuchać. Wtedy potrafiłby może...

— Pytałem, na co ten pośpiech. — Chrapliwy głos przywołał go do rzeczywistości.

Garrett odpowiedział z rozpaczą:

— Bardzo mi przykro. Chciałem dogonić kogoś znajomego.

Ponad barami mężczyzny dojrzał, jak zwierzyna oddała się, oddała od niego! Po raz pierwszy baczniej przypatrzył się swemu rozmówcy i ocenił jego wiek na jakieś czterdzieści cztery lata, a wagę na zaledwie o kilka funtów przekraczającą jego własną.

— Przeprosiłem pana — powiedział szybko. — Jestem zajęty. Niech się pan stąd wynosi do diabła! — Jednym szarpnięciem uwolnił ramię z uścisku zrogowaciałej ręki, przyłożył prawą dłoń na płask do cętkowanej chusty i popchnął. Zaatakowany zatoczył się do tyłu i z głośnym plaśnięciem wylądował na ulicznym murze. Odkaslnął, zaczerpnął tchu i rzucił się naprzód. Ale jego przeciwnik zniknął.

Krętą drogą przez zatłoczoną autobusami jezdnię szła niska sylwetka o kanciastych, kołyszących się plecach i druga wysmukła, wysoka, bardzo od tyłu kobieca, a tuż za nimi, dwukrotnie o włos uniknąwszy śmierci, podążał Sheldon Garrett.

Kobiety dotarły do przeciwległego krawężnika. Słyszac gwałtowne trąbienie i zirytowany okrzyk, Garrett odskoczył do tyłu. Wielki autobus odgradził go od chodnika. Obiegł go z tyłu; tłum ludzi na trotuarze jakby się zmówił, żeby mu przeszkadzać. I wszyscy napływali ku ogromnym sklepionym drzwiom. Wspiął się na palce, nieprzytomnym wzrokiem ogarniając, ile tylko głów zdołał. Aha, są! Zobaczył czerwony kapelusz. Torował sobie drogę poprzez tłum, niebaczny na krzywe spojrzenia i łajania, aż wylądował w miejscu, które nawet on zdołał rozpoznać jako kasy londyńskiego metra.

O! Są szczupłe plecy i czerwony kapelusz. Przed automatem z biletami. Ruszył w tę stronę.

O! Są i kanciaste plecy, koło tamtych. Odeszły w ką, ku okratowanym wejściom do czterech wind.

Garrett zmierzał ich śladem; przypomniał sobie, że bez biletu nie wyminie mężczyzny w drzwiach tego, co on nazwał dźwigiem.

We własnym kraju zaryzykowałby i spróbował wepchnąć kontrolerowi banknot w rękę, ale słusznie czy niesłusznie zdecydował, że pracownik kolei londyńskich na to nie pozwoli. Wyciągnął portfel i klusem zawrócił do okienka, roztrącając strumień pasażerów. Na szczęście nikt przy kasie nie stał. Rzucił banknot, krzyknął: „Piccadilly Circus!”, i chwyciwszy żółty kartonik pobiegł nie czekając na resztę.

Kiedy przedzierał się przez halę, ludzie w dalszym ciągu napływali do pierwszej windy. Z westchnieniem ulgi pognął i dopadł do niej wraz z rzednącą ostatnią już grupką ludzi.

Ponad tłustymi ramionami okrytymi fokowym futrem zajrzał do zatłoczonego wnętrza.

Bogu dzięki! Są, nadal zwrócone do niego plecami.

Mężczyzna przed nim podał bilet do skasowania i znalazł się w środku.

Garrett ruszył naprzód, ale zatrzymało go granatowe urzędowe ramię. W uszach zabrzmiał mu schrypnięty okrzyk: „Proszę następną windą!” — i tuż przed jego nosem, dosłownie o cal, przeleciała krata, zatrząskując się z hukiem.

— Do diabła z takim szczęściem! — powiedział Sheldon Garrett.

Z donośnym westchnieniem winda opadła w dół. Garrett, pełen obaw i wątpliwości wszedł do następnej, a gdy się zapełniła, zstąpił w głąb rurowatych królikarni i długo a bezowocnie ją je przeszukiwać.

## 4

Przygnębiony, wy dostał się na górę i przepchał się na chodnik, a zatrzymawszy taksówkę, zaczął wydawać kierowcy mgliste rozkazy. Wreszcie — w jakieś pół godziny

później — ponownie wkroczył do „Starej chińskiej herbariarni”. Przystanął tuż za progiem i czekał. Drzwi wewnętrzne zaskrzypiały i kelnerka pośpiesznie przyłąła w jego stronę. Kiedy się zbliżała, coś pokrewnego wyrazowi ludzkiego uczucia przemknęło po jej twarzy, poniżej pince-nez. Zanim jednak zdążyła się odezwać, Garrett wyciągnął portfel. Powiedział pospiesznie:

— Wyszedłem nie zostawiając czeku.

Na widok portfela blade usta wykrzywił skurcz, który mógłby uchodzić za uśmiech, ale słowa Garretta spowodowały, że zastąpiła go zmarszczka.

— Czeku? Niestety, my nie możemy...

— Przepraszam — powiedział Garrett. — Chciałem powiedzieć: rachunku. Piłem tu herbatę. Wybiegłem nie płacąc, więc pomyślałem, że... — Umilkł, ale wyciągnął za to z portfela dziesięcioszylingowy banknot.

Kobieta jak najbardziej dystyngowanym gestem wyjęła mu banknot pomiędzy palców.

— Bardzo jestem zobowiązana.

Garrett szybko zmierzał do celu. Powiedział ze śmiechem, który miał być swobodny, ale przeraził jego uszy swą straszliwą sztucznąścią.

— Bardzo dziwne! Te dwie panie, co siedziały w sąsiedniej łoży...

— Łoży? — powtórzyła kelnerka.

Garrett stłumił przemożną chęć chwycenia cienkiej szyi w obie dłonie i zduszenia jej. Obrócił się i wskazał ręką.

— Przy sąsiednim stoliku.

— Och, taak. Chyba pamiętam. Dwie panie. Taak.

Garrett uśmiechnął się. Chętnie zaryzykowałby znów jowialny śmiech, gdyby miał odwagę. Powiedział, wciąż uśmiechnięty:

— To były moje znajome. Ale zorientowałem się, dopiero kiedy zobaczyłem je w drzwiach. Zamyśliłem się pewnie o czymś innym. Kiedy zobaczyłem, jak wychodzą, i poznałem je, a właściwie jedną z nich, musiałem za nimi pobiec.

— Doskonale rozumiem — powiedziała kelnerka. — Ale, ale, jedna z pańskich znajomych zgubiła rękawiczkę... Ciekawam, czy...

Garrettowi załomotało serce. A więc jednak będzie miał coś namacalnego. Ale co to da?

— Słucham?

— Jedna z pańskich znajomych... jedna z nich zgubiła rękawiczkę.

— Niemożliwe! — powiedział Garrett w nadziei, że przyszłość coś okaże.

I rzeczywiście. Kelnerka zniknęła w mrocznych cieniach koło drzwi służbowych i przypląnęła z powrotem.

— Och! — wykrzyknął Garrett. — Naprawdę rękawiczka.

— Tak. Któraś z pańskich znajomych musiała ją upuścić. Podała mu rękawiczkę. Garrett nie chciał zdradzać zbytniego zainteresowania, więc zwinął ją z jak największą niedbałością i wepchnął do kieszeni. Była to bardzo zwyczajna rękawiczka, na dłoń bardzo przeciętnego rozmiaru, uszyta z czarnej kozłęczą skórki, z białymi szwami na zewnętrznej stronie dłoni i białymi guziczkami z masy perłowej.

— Dziękuję — powiedział Garrett, a potem, ulegając pasji odgrywania swej roli, dodał: — Doris ucieszy się, gdy ją odzyska.

— Nie warto o tym wspominać — powiedziała kelnerka. — Miło mi, że mogłam się na coś przydać. Przepraszam... A pański rachunek... szyling i dziewięć pensów. — Popatrzyła na trzymany w palcach banknot. — Zaraz przyniosę resztę.

Roztopiła się przed oczami Garretta. Ledwie znikła, wyciągnął rękawiczkę i ją obracać na wszystkie strony. Gdybyż to był doktorem Thorndyke'em — a później, pełen niedoświadczonego od lat podniecenia, poczuł się, jeśli już nie jak Thorndyke, to przynajmniej jak inspektor French.

Bo kiedy tak trzymał tę rękawiczkę, wyczuwając dotykem tani materiał, namacał coś jeszcze. W samym środku.

Palcami, ku jego zdumieniu niezbyt spokojnymi, przeszukał rękawiczkę.

Znalazł bilet autobusowy i skrawek papieru.



## II

### 1

Spóźnił się bardzo. Po obiedzie rozmawiał z udobruchaną już gospodynią.

— To było niewybaczalne — powiedział. — Ale przydarzyła mi się najniezwyklejsza w świecie historia. Jestem pewien, że podsłuchałem dwie osoby knujące, no, plan zbrodni. Ja...

— Strasznie to ciekawe — powiedziała pani domu. — Wprost fascynujące! Jestem entuzjastką kryminologii. A pan? To takie... takie prawdziwe! Szkoda, że nie ma tu Rogera. Powinien się pan z nim świetnie dogadać. Tak, pan i Roger mielibyście ze sobą tyle wspólnego... Och, musi pan bliżej poznać Adele, siedzieliście tak daleko od siebie przy obiedzie... Adela! Adela! Chodź tu na chwilę... Adela Pomfret, wie pan. Pisze najróżniejsze rzeczy, między innymi to coś, co wywołało taką sensację w ubiegłym roku czy kiedyś tam; to Coś—jakiegoś—tam—pana czy jak to tam było... Och, Adelo kochana, pomyślałam sobie, że musicie porozmawiać z panem Sheldonem. Ten wstęciuch tak się spóźnił, że nie zdążyłam przedstawić go przed obiadem, jak należało. Pan Sheldon jest ekspertem od kryminologii, prawda, panie Sheldon? Widziałaś jego sztukę w teatrze „Apollo”: *Najście głupców*. Oczywiście widziałaś... A teraz muszę porozmawiać z Tommy'm...

Sheldon Garrett popatrzył na pannę Adele Pomfret. Zbudowana jak tancerka taranteli, miała jednak twarz egocentrycznego i złośliwego konia.

— Nazywam się Garrett. Sheldon Garrett... — powiedział.

Skinęła głową.

— Wiem. A sztuka nosi tytuł *Wakacje mędrca*. Nie widziałam jej.

— Ach, tak — powiedział Garrett. — Albo raczej nie.

— Nigdy nie chodzę do teatru! — zapewniła Adela Pomfret. — Nigdy nic nie czytam. Rzadko kiedy bywam u znajomych. Nie interesuje mnie kryminologia. Czy słuchał pan wykładów Pandomano? Nie przypuszczam. Nie. Czy to coś do picia stoi tam na stole? Mógłby mnie pan tym poczęstować.

— Niewątpliwie — odparł Garrett, skłonił się i odszedł, dokładając wszelkich starań, aby już nie wrócić.

Przedstawiono go mężczyźnie, którego nazwiska nie dosłyszał, wysokiemu, potężnie zbudowanemu, z twarzą jakby stworzoną w tym celu, by zdołała ją peruka Doradcy Królewskiego. Gawędzili chwilę, po czym Garrett zapytał:

— Co by pan zrobił, gdyby pan wiedział, że popełniona zostanie jakaś... no, jakaś zbrodnia, i...

Gruba twarz roześmiała się dźwięcznie.

— Powiedziałbym złoczyńcom, jak ją popełnić, upewniłbym się, że istnieje jakiś kruczek, i podjąłbym się obrony. Co pan o tym myśli? No, co?

Garrett wykrzywił twarz na grzeszne podobieństwo uśmiechu. Odezwał się po dość długim milczeniu.

— Ale ja mówiłem poważnie. Gdyby pan wiedział, że zostanie popełnione poważne przestępstwo...

— Jakie przestępstwo? — zapytał Vaughan Critchley, w rzeczy samej Doradca Królewski. — Mord? Podpalenie? Gwałt? Zniesławienie? Kradzież? Szantaż? Zdrada stanu? Oszustwo? Urowadzenie?... Tyle ich jest.

— Tak — odrzekł Garrett z niezłomną cierpliwością. — Wiem, że pod słowem „zbrodnia” kryje się wiele nagłówków. Ja...

Nie dano mu dokończyć. U jego boku stanęła gospodyni. Wypowiadała jakieś słowa. Znaczyły chyba:

— No i proszę, panie Sheldon... Vaughan, czy znasz pana Garretta Sheldona? Och, naturalnie... widzę, że tak. Słyszałam, co pan mówił, panie Sheldon... Vaughan, czy wiesz, że pan Sheldon jest ekspertem od kryminologii?... Wy dwaj powinniście mieć ze sobą mnóstwo wspólnego... Och, muszę porozmawiać z Adelą... Nie będę wam przeszkadzać w tej... takiej pasjonującej...

Garrettowi wydało się, że oczy Vaughana Critchleya spoczęły na nim niezbyt łaskawie.

— A więc interesuje się pan kryminologią? — zapytał. Garrett potrząsnął głową.

— Nie — zaprzeczył zdecydowanie. — Wcale.

— Och — powiedział Vaughan Critchley, a potem, dojrawszy ponad ramieniem Garretta kogoś znajomego, zawołał: — Jak się masz, Morris? Chciałem się z tobą spotkać w zeszłym tygodniu. Ja...

Garrett wycofał się. Kiedy już wypadło to zrobić, podszedł do pani domu i pożegnał ją.

— Tak się cieszę, że jednak pan przyszedł — powiedziała. — Było mi bardzo przyjemnie... Mam nadzieję, że będzie się pan częściej pokazywał... Strasznie bym chciała, żeby pan poznał Rogera. Mielibyście ze sobą tyle wspólnego... Musi pan któregoś dnia zjeść z nami skromny obiad; wtedy będziecie mogli porozmawiać z Rogerem naprawdę od serca. Roger także jest entuzjastą kryminologii... Do widzenia, panie Sheldon, do widzenia. Nie widziałam jeszcze pańskiej sztuki, ale postanowiłam ją zobaczyć możliwie jak najszybciej... Do widzenia... I proszę pozdrowić ode mnie Maureen.

Garrett wyszedł przed dom. Był w złym humorze, bolała go głowa i zastanawiał się rozwścieczony, kimże na ziemi czy w piekle mogła być Maureen.

Popatrzył na zegarek — jedenasta trzydzieści — i pomyślał o łóżku. Ale w przewidywaniu bezsenności postanowił wstąpić do klubu, którego członkiem nadzwyczajnym wybrano go dzięki staraniom Brooks-Carewa.

## 2

Wybrał się na piechotę i wszedł do klubu punktualnie o północy. W środku było prawie pusto. Zatrzymał się w dużym barze, z oknami wychodzącymi na rzekę. Zastał tu

dwóch mężczyzn — barmana Jacka i jednego z członków klubu, który siedział na wysokim stołku z głową ukrytą w dłoniach.

Garrett zamówił whisky z wodą sodową i pijąc obserwował swego jedynego kompana. Z zadowoleniem stwierdził, że go zna, że to nie kto inny, tylko Jamieson Phipps, dziennikarz, dramaturg i piniacz polityczny.

Garrett dał znać o swoim istnieniu. Phipps odjął jedną rękę od głowy i spojrzał w górę. Przez chwilę wpatrywał się w Garretta bez wyrazu, a potem uśmiech przeciął okrągłą, bladą tarczę księżycową jego twarzy. Gestem wskazał stół.

— Siadaj. Cieszę się, że cię widzę.

— A ja — odparł Garrett — cieszę się, że widzę ciebie. Bardzo się cieszę! Bo choć wiem, że nie mam racji, ty wydajesz mi się jedynym rozsądnym człowiekiem w tym mieście. Taki już miałem dzień.

— To fatalnie. Fatalnie. Napijesz się? — Phipps skinął na barmana.

Garrett wbił wzrok w podłogę. Nagle odezwał się nie podnosząc oczu:

— Słuchaj, Phipps, musisz mi poradzić... Musisz mi powiedzieć, całkiem poważnie, co byś zrobił w tym mieście — to znaczy Londynie — gdybyś nie bez podstaw przypuszczał, że naprawdę zostanie popełniona groźna... hm, zbrodnia, ale gdybyś nie wiedział, kto padnie jej ofiarą?

Barman postawił dwie szklanki: przed Garrettem z whisky i wodą sodową, przed Phippsem — do połowy napełnioną czymś ciemniejszym. Phipps zwrócił się do Garretta:

— Coś mówił?

Garrett znów zapatrzył się w podłogę. Próbował uporządkować poplątane myśli. W chwilę później powiedział

— Sformułujmy to inaczej. Co byś zrobił, gdybyś słyszał, jak dwaj niewidoczni mężczyźni rozmawiają o ciężkim przestępstwie, które zamierzają popełnić, a potem szedł za nimi i stracił ich z oczu nie zobaczywszy ich twarzy.

Phipps okręcił się na stołku. Uważnie spojrzął na Garretta. Brwi miał ściągnięte, jak gdyby w namyśle. Sięgnął po szklanke, podniósł ją i wychylił jej zawartość. Ze swą okrągłą, bladą twarzą i rzadko owłosioną głową, nasadzoną na korpus długi i bardzo cienki, wyglądał na tym wysokim stołku, zaczepiony obcasami o górny pręt, z długimi rękami zwisającymi po bokach, jak intelektualny chochlik.

Garrett obserwował go oczekując na odpowiedź.

— Co bym zrobił? — powtórzył nagle Phipps donośnym głosem, tylekroć potężniejszym niż jego dotychczasowe mamrotania, że zarówno Garrett, jak barman podskoczyli. — Pokażę ci, co bym zrobił.

Powoli rozplatał nogi, opuścił je na podłogę i stanął jeszcze dłuższy i bardziej wychudzony, niż zapamiętał go Garrett.

— Powiem ci, co bym zrobił — ryknął. — Ja... ja... ja... zaśpiewałbym pieśń za grosik, z kieszenią pełną ryżu...

Przy słowie „ryż” głos jego przeszedł w chrypliwy skrzek, a gdy Garrett patrzył osłupiały, barman zaś drobnym krokiem pośpieszył ku drzwiczkom przy końcu baru, Jamieson Phipps wyrzucił ręce w górę, dwa razy zagulgotał i padł jak podcięte drzewo.

Garrett, pełen niedowierzania i zdumienia, widział barmana w białej kurtce klękającego przy rozciągniętym ciecie.

— Gdyby pan zechciał mi pomóc, sir... — powiedział barman.

Podnieśli Phippsa i położyli na kanapie. Był zaskakująco, aż trochę patetycznie lekki.

— Siedzi na tym stołku — objaśnił barman — od jedenastej rano, nie licząc jednej czy dwu małych wycieczek. Pije brandy. Ale miałem nadzieję, że tym razem do tego nie dojdzie.

— Wielki Boże!

— Zastanawiałem się, sir — rzekł barman — czy to może pańskie słowa tak go poruszyły.

Garrett uśmiechnął się. Najpierw delikatnie wykrzywił wargi, lecz później ryknął śmiechem, który nawet jemu samemu wydał się wprost obłąkańczy...

### 3

Wrócił do „Savoyu” parę minut po pierwszej. Wszedł do windy nachmurzony i zamyślony. Wpadł na pomysł, i to dobry pomysł. Prawie biegnąc po miękko wysłanym korytarzu do swego apartamentu, radośnie przeklinał własną głupotę. Jeden człowiek powie panu, co robić; powie od razu, czy to niemądra donkiszoteria, czy też normalny odruch. Co więcej, ten człowiek z całą pewnością nie leży jeszcze w łóżku, a nawet gdyby leżał, nie weźmie mu za złe telefonu...

Otworzył drzwi i zatrzasnął je za sobą, pędząc do salonu. Odszukał numer w notesie i zamówił rozmowę.

Długą przerwę zakłócił głos hotelowej telefonistki:

— Pański numer nie odpowiada, sir.

— Niech pani spróbuje jeszcze raz — odrzekł Garrett i czekał.

Po następnej, jeszcze dłuższej ciszy, właśnie wtedy, gdy stracił już nadzieję, rozległ się dzwonek. Odpowiedział mu męski głos, bardzo zaspany męski głos.

— Bill! — zawołał Garrett.

— Przepraszam pana. Czy pan chciał mówić z panem Akehurstem? — zapytał głos w słuchawce.

— Tak — odrzekł Garrett.

— Bardzo mi przykro, sir, ale pan Akehurst wyjechał. Jest w Wiedniu.

— Diabli nadali! — wybuchnął Sheldon Garrett, a potem już spokojnie zapytał: — Kiedy wraca?

— Dzień jego powrotu nie został określony. Mówi lokaj pana Akehursta, sir. Czy mógłbym w czym pomóc?

— Nie! — powiedział Garrett rzucając słuchawkę.

## 4

Położył się do łóżka za kwadrans druga. Spróbował czytać, lecz nie mógł. Zgasił światło i choć nie przypuszczał, że mu się to uda, zapadł w sen.

Śniło mu się coś nieprzyjemnego. Biegnie długą, wąską ulicą. Po obu stronach niszczące domy z szarej cegły wznoszą się w górę niby drapacze chmur. W żadnym z okien się nie świeci i ten będący dziełem rąk ludzkich kanyon rozjaśnia tylko biaława luna; bije ona jakby od niskich murków, które odgradzają chodnik od butwiejących ogrodów. Przed nim, gdy tak biegnie, suną dwie inne postacie. Zza jego pleców, gdy tak biegnie, dochodzi odgłos innych biegnących stóp. Nie ogląda się do tyłu, ale wie, że to stopy wroga, którego śmiertelnie się boi; wroga, który niesie na plecach, jak pokonany przeciwnik, długi, cienki worek. Dwie postacie przed nim wciąż biegną. Ścigające go kroki wciąż się przybliżają. Przenika go na wskroś pragnienie dotarcia do jakiejś kryjówki, a choć nie wie jeszcze, jakiej, pewien jest, że ledwo ją zobaczy, natychmiast ją pozna. I wtem, niespodziewanie widzi ją, na rogu — małą, otoczoną papierowymi chińskimi lampionami. Pędzi do wejścia, kuląc się w blasku lampionów. Wpada przez drzwi i odnajduje chwilowe bezpieczeństwo. Jest to obszerna sala, jak gdyby znajoma. Rozproszone stoją tu małe łóżka, każda ze stolikiem pośrodku. Zanurza się w jednej z nich, w dalekim, ciemnym kącie, jak spłoszony królik w swej norze. Wpełza pod stolik, kurczy się i leży dysząc ciężko, z sercem łomoczącym, jakby chciało wyskoczyć przez gardło. A tamci nadchodzą. Wypełniają wszystkie pozostałe łóżka dokoła. Wydaje się, że są ich setki, mówią równocześnie, mówią szeptem. Ale on słyszy ich szepty i wie, co mówią, chociaż niektórych słów nie rozróżnia, bo puls tak wali mu w uszach. Mówią o nim. Jego nazwisko przewija się w przybierającym na sile, to znów cichnącym syku ich głosów.

Chcą wyrządzić mu krzywdę. Ale to nie wszystko. Do syczącego chóru zakrada się nagle nowa nuta. Coś mu zrobią. To źle. Ale skrzywdzą także kogoś innego; kogoś, kto — stwierdził z nagłym zdziwieniem — więcej dla niego znaczy niż on sam. Kto to jest? Nazwisko wymawiają dość wyraźnie, ale jemu się zdaje, że w jakimś obcym języku i że nie potrafi tego przetłumaczyć. Nie sprawia mu to różnicy. Bynajmniej. To, że ją skrzywdzą — a więc chodzi o kobietę! — jest o wiele gorsze od tego, że jego zamierzają skrzywdzić. I wtedy, jak grzmiący bas w tej plugawej muzyce, zabrzmiało jeszcze jedno imię. I to jest najgorsze, bo jeżeli skrzywdzą tę osobę, będzie to nie tylko gorsze niż krzywda wyrządzona jemu samemu, ale niż krzywda „jej” wyrządzona. Zapraǳnął wstać i krzyzczeć. Zapraǳnął wypełznąć ze swej głupiej małej kryjówki i stawić im czoło. Poczul się nagle obdarzony boskim umysłem, ale kiedy spróbował podporządkować mu ciało, wyraziło sprzeciw i leżało skulone i drżące jak poprzednio. I wówczas uświadomił sobie coś nowego: uświadomił sobie, że gdzieś w pobliżu — być może w jakiejś innej kryjówce obok — znajduje się Ktoś Inny; Ktoś Inny, kto nie zna ani jego, ani tamtych, szepczących; Ktoś Inny, kto mógłby mu pomóc w rozprawie z nimi. Ale czy zechce? Czy tylko zechce?...

Obudził się spocony. Pościel leżała na podłodze. Mięśnie mu drżały, usta miał spieczone. Wstał, zapalił światła i napiwszy się wody, niezbyt starannie zasłał łóżko. Sen nie był mu już jednak pisany.

### III

#### 1

Sheldon Garrett gwałtownie poruszył się na krześle; tak gwałtownie, że łokciem opartym na stole przewrócił filiżankę z kawą. Nadbiegł kelner, by naprawić tę szkodę.



— Zrobię to, na Boga! — powiedział Sheldon Garrett.  
Kelner popatrzył zdumiony.  
— Przepraszam, sir?  
Garrett drgnął. Spojrzał na białą serwetkę, którą kelner rozpościerał na brązowej płamie.  
— Bardzo przepraszam. Co za niezdarność! Sam nie wiem, o czym myślałem! — tłumaczył.  
A było to kłamstwo.

## 2

Wsiadł w jedną z rzędu taksówek na Strandzie. Rozumiał wprawdzie, że to głupota, lecz dla jakiejś przyczyny nie życzył sobie, żeby portier z „Savoyu” słyszał, dokąd jedzie. Taksówka była łososiowa, bardzo elegancka.

— Dokąd jedziemy, sir? — zapytał kierowca, rzecz zdumiewająca, nie tylko równie elegancki jak jego taksówka, ale i grzeczny.

— Do Scotland Yardu — odpowiedział Garrett. — I możliwie najszybciej.

— Do Biura Rzeczy Zagubionych, sir? — Kierowca był energiczny.

— Nie — odparł Garrett.

— W takim razie przed które wejście, sir?

Garrett zatrasnął za sobą drzwiczki. Wychylił się z okna taksówki i powiedział.

— Nie wiem. Obojętne, przed które.

## 3

— A jednak to nie będzie inspektor Michaelson, sir — powiedział sierżant. Garrett spojrzął na zegarek.

— Więc kto? — zapytał, niestety chyba zbyt lakonicznie.

Sierżant uśmiechnął się ponuro.

— Przepraszam, że musi pan czekać, ale inspektor Andrews będzie wolny dopiero za parę minut.

## 4

Inspektor Andrews, nie zatrzymując oczu na gościu, wyglądał przez okno. Gość, patrzący na niego, dostrzegał jakby lekkie drgnienia wokół ust inspektora Andrews, które mogły stanowić zapowiedź uśmiechu.

— Więc to — zapytał wreszcie Andrews — jest wszystko, co ma pan do powiedzenia?

Garrett niespokojnie okręcił się na krześle i odparł z irytacją:

— Tak. Czy to nie wystarczy?

— W pewnym sensie i owszem, sir. W innym nie. — Andrews zerknął na bloczek, w którym podczas przemowy Garretta robił dorywczo notatki. Mówił z energią zdającą się wróżyć odprawę:

— Zastanówmy się. Według mnie mamy już wszystkie dane. Adres herbaciarni. Pański opis tych dwóch kobiet. Pański adres i personalia. A urzędnik stenografował zapamiętaną przez pana rozmowę. — Podniósł wzrok na Garretta. — To wszystko?

— Tak — odparł stanowczo Garrett i w tym momencie zwinięta w jego kieszeni rękawiczka i dwa skrawki papieru w portfelu jakby go zapiekły.

Andrews wstał. W tej klitce o ścianach — a częściowo i podłodze — zakrytych zakurzonymi aktami w pomarańczowych teczkach, wydawał się nieproporcjonalnie duży; jak pies bernardyn wyrosnięty ze swej budy.

Garrett, w nagłym przyplywie wściekłego uporów, ani drgnął. Za jego plecami otwarły się drzwi i jakiś głos powiedział:

— Chciałbym z panem pomówić, kiedy będzie pan wolny, Andrews.

Andrews przeniósł wzrok z drzwi na Garretta, z Garretta na drzwi.

— Zaraz przyjdę — powiedział w ich stronę i czekał.

Ale Garrett nadal siedział bez ruchu. Założył nogę na nogę i skrzyżował ramiona na chudym brzuchu, spoglądając na ogromnego policjanta.

— Co pan zrobi w tej sprawie? — zagadnął po chwili.

Andrews podniósł dłoń i w zadumie potarł swą długą, gładko wygoloną brodę. Odezwał się pochmurnie po uciążliwej przerwie:

— O tym, panie Garrett, zadecydują już moi przełożeni. Pan rozumie, że we wszystkich... hm... sprawach tego rodzaju składam pisemny raport.

— Kiedy? — zapytał Garrett.

Inspektor Andrews szerzej otworzył oczy.

— Raport będzie leżał na biurku mojego przełożonego dziś wieczorem.

— Dobrze. Przyjdę zatem jutro w południe. — Garrett wstał i wówczas pokój wypełnił się nagle mężczyznami niemal po brzegi. Andrews zdołał jakoś prześliznąć się obok niego i otworzyć drzwi.

— Niech się pan nie fatyguje, sir — powiedział. — Skomunikujemy się z panem, jeżeli...

Garrett obejrzał się od progu.

— To dla mnie żadna fatyga. Będę jutro w południe.

Zawrócił na pięcie i ruszył po kamienną posadzkę korytarza. Był wściekły na siebie. Zdawał sobie sprawę, że mówił niewłaściwym tonem. Ale nic na to nie mógł poradzić. Kiedy opowiadał swą kulejącą historię temu mężczyźnie o płaskiej, pozbawionej wyrazu twarzy, czuł się durniem — a nic bardziej człowieka nie złości. I nie dość, że czuł się jak dureń — usprawiedliwiał to uczucie zachowując się w ten sposób. Z gniewnym wzruszeniem ramion wyszedł ze Scotland Yardu na Embankment.

O dziewiątej czterdzieści pięć następnego ranka nadinspektor Horler natrafił na poniższy ustęp w raporcie jednego ze swych inspektorów. Czytał:

2. *Thomas Sheldon Garrett. Człowiek ten zgłosił się tutaj dziś po południu i został przesłuchany. Jest obywatelem amerykańskim i przyjechał do tego kraju na sześć miesięcy. Paszport ma w porządku. Utrzymuje, iż jest niezależny majątkowo i pisuje utwory dramatyczne. Jego sztukę „Wakacje mędrca” wystawia obecnie teatr „Apollo”. Mieszka w „Savoyu”, na Strandzie. Stwierdza, że ubiegłej niedzieli, osiemnastego bm., spacerował po okolicach Notting Hill. Około siedemnastej dwadzieścia wszedł do herbaciarni u zbiegu ulic Houston i Wilberforce. W. 3 (nazwa zakładu: „Stara chińska herbaciarnia”). Podano mu herbatę, jako jedynemu w chwili jego nadejścia gościowi. Około siedemnastej trzydzieści pięć zjawily się dwie kobiety i usiadły przy sąsiednim stoliku. Nie widział ich wskutek rozmieszczenia mebli. Utrzymuje, iż podsłuchał rozmowę tych dwu kobiet (z wyżej podanego powodu nieświadomych jego obecności), rozważających, jego zdaniem, jakieś zbrodnicze przedsięwzięcie, związane przypuszczalnie z uprowadzeniem dziecka i wyrządzeniem krzywdy jakiejś drugiej osobie. Na pytanie, co skłoniło go do wysnucia takiego wniosku, odparł: „Ogólny ton rozmowy”. Przesłuchiwany dalej, stwierdził, że jedna z kobiet zdawała się bać drugiej, która groziła jej, czyniąc wzmianki o człowieku nazwiskiem Evans. Zapytany, czy nie mógłby przytoczyć części rozmowy w dosłownym brzmieniu, usiłował to zrobić. Zanotowano jego słowa, ale notatek tych nie dołączam, ponieważ nie zdają się wskazywać na nic poważnego. W całym jego oświadczeniu nie było właściwie nic, czego nie dałoby się wyjaśnić zwykłymi okolicznościami. Kiedy mu to wytknięto, zdenerwował się i stracił pewność siebie.*

*Jestem zdania, że nie się za tym nie kryje. Człowiek ten, jako pisarz i gość w naszym kraju, wyraźnie dał się ponieść fantazji.*

Zmarszczka przecięła pogodną zwykle twarz nadinspektora Horlera. Przez chwilę wpatrywał się w ten ustęp zmrużonymi oczyma; potem wzruszył szerokimi barami; doczytał raport do końca; po raz wtóry wrócił do punktu drugiego.

Mruknął coś pod nosem i przycisnął dzwonek. W pięć minut później czytał:

*THOMAS SHELDON GARRETT*  
*Oświadczenie w sprawie rzekomej rozmowy*  
*w „Starej chińskiej herbaciarni”.*

*Kobiety weszły. Ani one mnie, ani ja ich nie mogłem widzieć. Po głosach poznałem, że są dwie. Usiadły w sąsiedniej łoży. Zjawiała się kelnerka, więc zamówiły herbatę. Wyraźnie różniły się głosami i wiadomo było, która z nich mówi. Jedna miała gruby, chropawy głos, druga — głos wysoki i łagodny. Ledwie kelnerka znikła, ta z grubym głosem coś powiedziała, a druga zaniepokoiła się, czy ktoś ich nie usłyszy. Ta z grubym głosem odparła, że nikogo tu nie ma, ale i tak któraś dla pewności zajrzała do mojej łoży, gdzie nic nie mogła zobaczyć. Bo tak się złożyło, że właśnie w tej minucie upuściłem portfel i szukałem go pod stołem. Usiadły ponownie, a jedna z nich powiedziała, że nie ma nikogo. W tonie ich rozmowy uderzało coś bardzo dziwnego — gruby głos straszyl, tamten drugi był przestraszony — a obu tak bardzo zależało na tym, żeby ich nikt nie podsłuchał. Wróciłem na swoje miejsce bez hałasu i właściwie wbrew woli zacząłem słuchać. Zachowanie ich, takie potajemne i „ukradkowe” — to jedyne słowo, jakie przychodzi mi do głowy — od razu głęboko mnie zaciekawilo. Ledwie się usadowiły na nowo, ta z grubym głosem zapytała, czy ta druga już podjęła decyzję. Tamta najwyraźniej jeszcze tego nie zrobiła, bo powiedziała, że się boi i — tu chyba dokładnie pamiętam jej słowa — dodała:*

„Chcę to zrobić, ale wciąż myślę, że jeśli to zrobię, przydarzy mi się coś strasznego, bo mimo wszystko to nie jest w porządku!” Wydaje mi się, że mniej więcej wtedy dostały herbatę i umilkły. Obawiałem się, czy kelnerka nie odezwie się do mnie i nie zdradzi mojej obecności, ale na szczęście do tego nie doszło. Ledwie się oddaliła, znów zaczęły swoje. A teraz ta, co straszyla, wydawała się rozzłoszczona. Powiedziała, że odrazą napętnia ją strach tej drugiej. Chciałaby wiedzieć, czego tu się bać, jeżeli nie ma żadnego ryzyka, a zarobią moc pieniędzy, jeżeli to, o czym mówią, przeprowadzi się należycie. A potem jakby nieco tamtą przynagliła, udając, że bierze jej odpowiedź za odmowę, i grożąc, że pewno będzie „musiała pójść i powiedzieć Evansowi”. Przypominam sobie znów chyba dokładne słowa. Powiedziała: „Nie będzie z tego zadowolony, skoro wiesz wszystko”. Ta wzmianka o Evansie uprawiła drugą kobietę w prawdziwą panikę. Zaczęła kręcić i powtarzać, że nic nie miała na myśli i — muszę się zastanowić — i chyba właśnie wtedy naprawdę się posprzeczały, bo ta z grubym głosem powiedziała coś, co tamtej drugiej zalazło za skórę, więc ona także się rozzłościła. Odrzekła coś w tym rodzaju: „Oczywiście zależy mi na tych pieniądzach i wiem, że nie będzie żadnych kłopotów, ale nie o to chodzi! Rzecz w tym, że mogę polubić...”, a tamta przerwała jej i powiedziała coś, co może stanowić klucz do zagadki, a mianowicie: „Nie mogę cię słuchać. Ono będzie bezpieczne”. Proszę zwrócić uwagę na to „ono”. A wtedy ta druga — ta z łagodnym głosem — rozzłościła się jeszcze bardziej i odparła: „Przypuśćmy nawet, że tak będzie. To i tak nie jest w porządku”. I dorzuciła: „Tak czy inaczej, co z nim będzie?” Zaakcentowała to „nim” tak mocno, że wiedziałem, iż teraz chodziło o kogoś innego. Mówiła głosem, który mógłbym określić jako nabrzmiały groźbą; mówiła to, jakby wygrywała atut, o którego istnieniu tamta druga nic nie wie. Tamta rzeczywiście się przestraszyła i powiedziała diabło opryskliwie: „O czym ty mówisz?” A łagodny głos, nadał wściekle, odparł

coś w tym rodzaju: „Wiesz, o czym mówię! Wezmę tę pracę i zrobię, co mi każą, a potem dostanę pieniądze. Wszystko w porządku, ale to nie oznacza, że na dodatek chcę być zamieszana ni mniej, ni więcej tylko w...” Zanim zdołała wypowiedzieć ostatnie słowo, tamta druga musiała sięgnąć przez stolik i chwycić ją, bo ta wydała lekki okrzyk: „Och, nie! To boli!” Tamta druga stwierdziła, że ta chyba oszalała, i zapytała, co za głupi pomysł przyszedł jej do głowy. Oczywiście łagodna musiała dowiedzieć się czegoś nieprzeznaczonego dla jej uszu. Oczywiście też wolałaby tego nie powiedzieć, ale tak się dała zastraszyć tamtej kobiecie i wzmiankom o Evansie, że w końcu przyznała się, iż usłyszała coś „ostatnim razem, jak była w tym domu”. Mówiła, że czekała w saloniku, kiedy ta druga i jeszcze inni ludzie byli w pokoju, i że przypadkowo coś usłyszała. Powiedziała, że „tamten mężczyzna mówił bardzo głośno” i że musiała usłyszeć. Potem próbowała ratować sytuację tłumacząc, że nie słyszała nic określonego, ale najwyraźniej kłamała, tyle że bała się przyznać, co to było takiego. Po tym krytycznym momencie, jeszcze trochę przestraszona, uległa całkowicie. Tak bardzo bała się tamtej drugiej kobiety i „Evansa”, że nie zamierzała przyczyniać im dalszych kłopotów. Zanim skończyły rozmowę, przystała na wszystko, czego od niej żądano. Wówczas ta druga pogratulowała jej i znów wspomniała o łatwym zarobku czy czymś takim. I — ach, tak! — ta druga wmawiała jej do znudzenia, że — pamiętam te słowa — „że nikomu nie stanie się krzywda”. A mówiła to w sposób, który utwierdził mnie w przekonaniu, że będzie wręcz przeciwnie. Tylko tyle powiedziały sobie w herbaciarni. Potem uregulowały rachunek i wyszły, nie widząc mnie nadal. A później, jak już mówiłem, zacząłem je śledzić. W drodze do stacji metra, gdzie straciłem je z oczu, pochwyciłem jeszcze jeden urywek rozmowy. Mówiła ta władcza — gruby głos. Powiedziała coś takiego, że gdyby ktoś mógł zobaczyć się z tą drugą nazajutrz, mogliby posunąć sprawy naprzód. A później dodała — pamiętam jej słowa: „Powinnaś tam być za niecałe dwa

*tygodnie”. To już chyba wszystko. Och, proszę zaczekać, było coś jeszcze. W pewnym momencie — już po tym, jak ta o łagodnym głosie całkiem spotulniała — zapytała, jak długo to wszystko potrwa, wtedy zaś ta władca zapewniła ją, że nie dłużej niż pół roku, a prawdopodobnie „znacznie krócej”. I to wszystko.*

Horler odłożył kartki. Przypatrywał im się chwilę, po czym podniósł słuchawkę telefonu.

## 6

Nadinspektor William Horler rzucił poprzez stół wesołe spojrzenie Thomasowi Sheldonowi Garrettowi, co należy zapisać mu na dobro, ponieważ w tym pracowitym dniu bez mała dwie godziny poświęcił swemu gościowi, a zachowanie się gościa bynajmniej nie uprzyjemniło mu tych godzin.

Horler przechylił fotel do tyłu, wsparł łokcie na poręczach i starannie złożył czubki dziesięciu grubych palców.

— Widzi pan, panie Garrett — powiedział — że kiedy analizujemy pańskie oświadczenie punkt po punkcie, tak jak zrobiliśmy to dziś po południu, dochodzimy do wniosku, że brak nam podstawy działania. Żadna z tych kobiet nie powiedziała nic określonego — o tyle przynajmniej, o ile sądzić można z pańskich słów — żadna z nich nie powiedziała nic takiego, czego nie dałoby się odnieść do... no, do najzwyklejszych w świecie spraw. Mnie się wydaje...

Sheldon Garrett wykręcił się na krześle.

— Ale niech pan pomyśli! Słyszałem tę rozmowę. Wiem, że te dwie kobiety i wspomniany przez nie mężczyzna zamierzali zrobić coś... coś strasznego. Nie jestem chyba do reszty pomyłony, a mogę ręczyć...

— Chwileczkę, proszę pana, jedną chwileczkę! — Głos Horlera zabrzmiał z niespodziewaną siłą; podniósł rękę



gestem nakazującym milczenie. Poza nim widział Garrett oczyma wyobraźni schludne, bierne szeregi brytyjskich podatników.

— Niechże pan łaskawie zrozumie — głos Horlera znowu brzmiał normalnie — że tę sprawę rozpatrzono ze wszystkich stron. Jeszcze wnikliwiej zapewne, niż gdyby pan był obywatelem tego kraju. Chcemy iść obcokrajowcom jak najbardziej na rękę, a w pierwszym rządzie chcemy okazywać wdzięczność tym, którzy próbują pomóc nam w pełnieniu naszych obowiązków. Z drugiej strony jednak musi pan przyznać, że my mamy większe w tym zakresie wiadomości i doświadczenie. Jesteśmy ogromnie zobowiązani, że zwrócił pan naszą uwagę na coś, co pańskim zdaniem było planowaną zbrodnią...

Sheldon Garrett wstał. Z przykrością wypada stwierdzić, że powiedział:

— Nonsens!

Nadinspektor Horler też podniósł się z fotela mówiąc uprzejmie:

— Przepraszam pana.

— Och, głupstwo, zupełne głupstwo! Przepraszam, jeśli wydałem się opryskliwy, ale cała ta historia i próba wytłumaczenia jej wam wszystkim trochę mnie rozstroiła — odparł Garrett.

Horler wyszedł zza stołu.

— Niech mi pan wierzy, że w pełni to rozumiem. I jeśli wolno mi tak powiedzieć, doceniam pańskie intencje. Ale chciałbym pana przekonać, że niepotrzebnie się pan martwi. Między nami mówiąc, nie dziwiłoby mnie wcale, gdyby jedna z tych kobiet nawarzyła sobie piwa... wie pan, co mam na myśli... a druga starała się jej dopomóc. To by tłumaczyło tę, jak ją pan nazwał, „ukradkowość” rozmowy. Ale nic kryminalnego nie podejrzewam ani przez chwilę. Jeśli zaś wolno mi tak powiedzieć, w tej grze sporo mam doświadczenie. Potrafię zwiertzyć zbrodnię na dziesięć mil, a tu nic nie naprowadza mnie na trop. — Zaśmiał się serdecznie. — Nic nie naprowadza na trop.

— Rozumiem — odparł głucho Garrett.

# IV

## 1

Avis Bellingham otworzyła drzwi swego mieszkania. Zrobiła to, jak zwykła robić wszystko, prawie bez hałasu. Dlatego też służąca nie usłyszała jej nadejścia. Avis położyła paczuszkę, rękawiczki i torebkę na małym stoliku w niewielkim przedpokoju i weszła do salonu. Był wieczór i panujące tu mroki rozpraszał tylko ogień na kominku, którego łagodne odbłaski kładły się na gustownych meblach. Zdjęła płaszcz i rzuciła go na oparcie fotela. Zdjęła kapelusz i położyła na płaszczu. Nad gzymsem kominka wisiało lustro, na lewo zaś od niego znajdował się kontakt. Avis nacisnęła kontakt i wtem ożyły dwa dyskretne światła po obu stronach lustra, nieco w górze. Przejrzała się i podniosła dłonie do włosów.

Ale poza własnym odbiciem dostrzegła coś jeszcze. Ręce jej opadły i odwróciwszy się stanęła zapatrzona, z nienaturalnie rozszerzonymi oczyma.

— Wielki Boże! — powiedziała Avis Bellingham nie odwracając wzroku.

Uwagę jej przykuwał duży, niski fotel na prawo od kominka, do połowy oświetlony, do połowy zaś pozostający w cieniu. Ten fotel powinien być pusty, nie istniał bowiem żaden powód, dla którego miałby być zajęty. A jednak był zajęty. I, rzecz zdumiewająca, przez mężczyzną. Nogi w ciemnych spodniach sterczały w kręgu światła, od pasa natomiast mężczyzna ginał w cieniu i stapał się z mrocznym tłem fotela.

Avis Bellingham drgnęła. Podeszła do drzwi, ale nie zrobiła ani kroku dalej. Przycisnęła drugi kontakt i żarówki wewnątrz kuli zawieszanej u sufitu rozbłysły niespodzianie.

Stała w miejscu, spoglądając na fotel. Widziała teraz, że mężczyzna leży wyciągnięty na wznak. Jednym ramieniem przesłonił sobie twarz i całą głowę. Nie ruszał się wcale. Głupie i nieprzyjemne myśli zakradły się do jej mózgu. Stłumiła je i skoncentrowała wzrok na fotelu. Czy ciało jest nieruchome? Czy też lekki ruch świadczy o oddechu?...

— Toż to absurd! — powiedziała Avis Bellingham, a własny głos dziwnie zabrzmiał jej w uszach. Znów musiała poskromić fantazję podsycaną wspomnieniami przeczytanych książek.

I wtedy mężczyzna drgnął — wykonał określony ruch; a ruch ten, sam w sobie bez znaczenia, zmusił twory wyobraźni do śmiesznej ucieczki. Powodowana dość przyjemnym uczuciem ciekawości Avis po raz wtóry przeszła przez pokój. Stała przed fotelem i przyjrzała się zajmującemu go człowiekowi.

— Hej! — zawołała.

Zgięte ramię opadło, odsłaniając twarz, ale oczy nadal kleił głęboki sen. Mężczyzna okręcił się i grubym, rozspanym głosem powiedział:

— Banda głupców! Jest jakiś sposób! Musi być!

— Tom! — Radosny uśmiech rozszerzył duże, śliczne usta Avis Bellingham. Nachyliła się i potrząsnęła śpiącego za ramię.

Thomas Sheldon Garrett zbudził się. Usiadł wyprostowany, z rękami wyciągniętymi na poręczach fotela. Potoczył nieprzytomnym wzrokiem po przytulnym pokoju, jakby go nie poznawał. Przetarł oczy i spojrzał na kobietę.

Skoczył na równe nogi. Wyglądał i czuł się jak chłopiec przyłapano na gorącym uczynku.

— Avis! Ja... Ja... w jaki sposób... mówiono... mam nadzieję, że ty... — jękał.

Nie przestawała się do niego uśmiechać.

— Siadaj — poprosiła. — I nie hałasuj.

W dwadzieścia minut później popatrzyła na niego ponad brzeżkiem szklanki. Nie był już rozczochrany, ale spod gładkich blond włosów wyzierała twarz mizerna i ściągnięta.

— Wypij i dolej sobie. A potem mi opowiedz.

Garrett wybuchnął obcym dla niej śmiechem. Wstał, spełnił jej prośbę i znów usiadł naprzeciwko.

— O czym ci opowiedzieć?

— O wszystkim. Co robisz w Londynie? Od jak dawna tu jesteś? Dlaczego wcześniej nie przyszedłeś do mnie? Jak się tu dostałeś? A co najważniejsze, na czym polega ten kłopot?

— Jestem w Londynie, bo Brooks-Carew był na tyle głupi, że wystawił moją sztukę...

— Tom! A ja nic o tym nie wiedziałam! Ale ja nie czytuję gazet.

— Jestem tu od dwóch tygodni. Nie przyszedłem wcześniej, bo — jak się zapewne domyślasz — nie wiedziałem, że cię zastanę. Dowiedziałem się wczoraj przypadkowo od Dorothy Brooks-Carew, że bawisz w Londynie. Kiedy zjawiłem się tutaj po południu, twoja służąca powiedziała mi, że wyszłaś, więc zmyśliłem długą i żalostną historię i dostałem się do środka. Nie zamierzałem spać, ale chciałem zobaczyć się z tobą, nawet gdyby mi wypadło czekać parę dni... Czy to już wszystko?

— Nie, sir, dziękuję pięknie. To nawet nie początek. Co się stało?

— Czy powinienem przychodzić do ciebie tylko wtedy, kiedy coś się stanie?

— Nie bądź osłem. Ale coś się stało!

— Dlaczego tak myślisz?

— Zasługujesz na baty. Jesteś bardziej chłopięcy niż jakikolwiek chłopiec na świecie. Usiądź sobie wygodnie, odpręż się, pij z pucharu bursztynowy trunek i opowiedz, co się stało. Zebyś dłużej nie zwlekał, powiem ci, że będąc jak zwykle dystyngowany, wyglądasz jednak nieszczerólnie. Jesteś nerwowy, niespokojny, schudłeś i odwracasz spojrzenie, co świadczy o jakiejś *idée fixe*... a poza tym nie spałeś...

— Nie spałem! — powtórzył Garrett i roześmiał się.

— Twój śmiech jest zaś chyba najgorszą imitacją śmiechu, jaką w życiu słyszałam... Nie bądź głupi, Tom! Powiedz!

Sheldon Garrett długo nie spuszczał wzroku z wielkich, niebieskich oczu gospodyni. Spłynął na niego, jak kojąca oliwa na zaognioną ranę, nagły spokój; ustąpiło napięcie, którego rozmiarów nie uświadamiał sobie, dopóki trwało.

— Masz rację — powiedział. — A zresztą, pewnie masz ją zawsze. Coś rzeczywiście się stało, ale teraz wydaje mi się to diablo głupie, więc może zszikowałem. Opętało mnie jednak, choć próbowałem się nie dać. Kiedy zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, i nic nie wskórałem, postanowiłem o tym zapomnieć. Ale się nie udało. Bynajmniej. To coś jest ze mną i próbuje spać ze mną, i dlatego zachowuję się tak dziwnie, jakbym kandydował do domu wariatów. A ja nie mogę się od tego uwolnić...

— Tom! Przestań wreszcie kręcić!

— Słuchaj — powiedział Garrett i zaczął...

## 2

— I oto — kończył Garrett w pół godziny później — co się stało. A teraz nazwij mnie głupcem cierpiącym na przerost wyobraźni! Powiedz, że na świecie o wiele lepiej się dzieje, kiedy każdy pilnuje własnego nosa. Powiedz, że nie mogłem zrobić nic więcej, jak zwrócić się do Scotland Yardu! Każ mi zapomnieć o całej tej sprawie! Dowiedz — och, tak sensownie! — że dopatruję się w tamtej rozmowie mnóstwa wyssanych z palca rzeczy. Powiedz mi... Avis Bellingham wstała.

— Powiem ci, żebyś był cicho. — Podeszła do drzwi. Obróciła się z ręką na klamce. — Zaczekaj tu! I zachowuj się grzecznie. — Otworzyła drzwi.

— Poczekaj chwilę! — Garrett zerwał się na równe nogi. — Co chcesz zrobić?

- Zatelefonować.
- Podszedł do niej.
- W... w sprawie mojej... *idée fixe*? Skrzywiła się.
- Nie bądź egoistą — powiedziała i znikła. Wróciła po niespełna pięciu minutach. Uśmiechała się, a w jej niebieskich oczach migotały iskry. Popatrzyła na zegarek i na Garretta.
- Jest wpół do siódmej. Ile czasu będziesz potrzebował, żeby przebrać się do obiadu i wrócić tutaj?
- Spojrzał na nią z ciekawością.
- Czterdzieści pięć minut. A bo co?
- Idziesz na obiad. Ze mną. Więc się pośpiesz!
- Ależ ja...
- Ależ nie! Idziesz... na... obiad... ze mną!
- Och — powiedział Garrett — rozumiem.

## V

### 1

- Taksówka podskakiwała i trzęsła.
- I dokąd to jedziemy? — przerwał milczenie Garrett.
  - Nie mówiłam ci? Jakaż ja jestem roztargniona! — Nie patrzyła na niego. — Do moich serdecznych przyjaciół. Spodobają ci się. Mam nadzieję, że i ty się im spodobaasz. Ja...
  - Jak się nazywają?
  - Gethrynowie. Lucy Gethryn z mężem.
  - Ach — odrzekł Garrett innym już tonem. A potem dodał: — Nie chciałaś wcale powiedzieć Lucy Gethryn z mężem, tylko Anthony Gethryn z żoną! — Pochylił się do przodu, wyciągając rękę, żeby zastukać w okienko kierowcy.

Zadziwiająco silna dłoń w rękawiczce chwyciła go jednak za przegub, a łagodny głos powiedział:

— Nie bądź niemądry, Tom!

Opuścił ramię i odwróciwszy się spozierał w mroku na profil mówiącej kobiety.

— A jeśli już musisz być niemądry, nie bądź na dodatek źle wychowany!

— Przepraszam cię, Avis. Ale nie dam się zaciągnąć do domu zapracowanego człowieka w charakterze biednego zbzikowanego głupka i...

— Nie jest mi przyjemnie pomyśleć, że jeśli idziesz gdzieś ze mną, ja ciebie ciągnę. W tej chwili zresztą Anthony nie pracuje.

— Ale...

Westchnęła głęboko.

— I nic nie mówiłam o twoim bziku! I nie powiem, dopóki nie zechcesz. — Spojrzała na niego nie odwracając głowy. — Nie sądziłam też, żeby zaszkodziło twojemu bzikowi poznanie jedyne go człowieka, który by mógł...

— Daj już spokój — przerwał jej Garrett. — Bardzo przepraszam. I jesteś strasznie miła.

— Tak już lepiej — odparła Avis Bellingham.

## 2

— Coś mi szepcze — powiedziała Lucy Gethryn — że gospodyni powinna teraz wyprowadzić panie. Chodź, Avis!

Garrett otworzył przed nimi drzwi. Kiedy je zamykał, nie zdążywszy ponownie zwrócić się w stronę stołu, Anthony Gethryn mrugnął lewym okiem. Spencer Hastings skinął głową.

Garrett usiadł na swoim miejscu. Naleli sobie porto. W rozmowie przeskakiwali z tematu na temat. Hastings

zaczął opowiadać zakulisową historyjkę o nieoficjalnym posiedzeniu gabinetu, które przed dwoma dniami doprowadziło do nagłej rezygnacji ministra spraw zagranicznych z dotychczasowego stanowiska.

W salonie na górze Avis Bellingham i jej przyjaciółka, z papierosami w palcach, wpatrywały się w płonące na kominku polana.

— Za dużo palę tych papierosów — powiedziała Lucy. — On mi się podoba. Ale dlaczego mówiłaś, że nie bardzo jest na co patrzeć?

Avis zapaliła następnego papierosa.

— Ciekawa jestem, czy skończyli już z tymi historiami.

— Jeszcze nie i daleko im do tego — odrzekła Lucy. — Jeśli już o to chodzi, nie są gorsi od nas.

— Nie to chciałam powiedzieć.

— Wiem.

— Myślisz, że już o tym mówią? — zapytała Avis. — Nie wspominałaś nic Anthony'emu, prawda?...

— Oczywiście że wspominałam! A przynajmniej opowiedziałam mu, że pan Garrett prosi o radę w pewnej sprawie. Posunęłam się nawet troszkę dalej...

— Lucy! Przecież obiecałaś!

— Ale powiedziałam mu zarazem, że według ciebie pan Garrett nie powinien się tego domyślić.

— Och! — westchnęła Avis Bellingham, a po przerwie dodała: — Jak się czuje następca tronu?

— Wspaniale — odparła Lucy z uśmiechem. — Dopytywał się wczoraj o ciebie, i to bardzo długo. Masz więc co najmniej dwóch zagorzałych wielbicieli, w tym momencie obu pod jednym dachem. Musisz wobec tego być miła.

— Alan jest uroczy — powiedziała Avis.

Na dole Hastings nalał sobie porto i podsunął karafkę Garrettowi, żeby zamknąć koło. Zwrócił się do pana do-  
mu:

— Ale to nie oznacza, by, teoretycznie rzecz biorąc, praca policji opierała się na z gruntu złych podstawach...



— Bynajmniej — zaprzeczył Anthony Gethryn. — Ale podstawy te nigdy nie będą idealne, ponieważ w żadnym cywilizowanym państwie nie będzie nigdy dość wspólnych dóbr, by ustanowić jedyny rodzaj policji odpowiadający wyobrażeniom utopistów.

— To brzmi bardzo sprytnie — odparł Hastings — ale niestety nic nie oznacza.

Anthony uśmiechnął się.

— W prostych, dostępnych dla młodzieży słowach chciałem powiedzieć, że idealna policja nie jest organizacją, która miałaby na celu ujmowanie i karanie zbrodniarzy, ale organizacją mającą zapobiegać zbrodniom.

Garrett ocknął się. Popatrzył bystro na gospodarza i drugiego gościa, ci jednak nie zwracali na niego uwagi.

— Paskudny pomysł! — powiedział Hastings. — Mógłby być zrealizowany tylko wtedy, gdyby każdy człowiek zamienił się w szpiega i śledził swych sąsiadów. I tak już nie możemy dziś właściwie odciąć się od świata, na litość boską, bądźmy więc choć czasem sami, nawet za cenę gwałtów i morderstw.

— I zapewnimy przez to Spencerowi Hastingsowi i całej reszcie z Fleet Street dostatnią egzystencję — dokończył Anthony.

Garrett wbił wzrok w pana domu.

— Chwileczkę — powiedział nagle donośnym głosem. — Czy pan rzeczywiście tak myśli? Czy też po prostu uderza pan w słaby punkt przeciwnika?

— On sam nie wie — odparł Hastings.

— To teoria, ale zdrowa teoria — mówił Anthony. — Niestety jednak postęp jest wrogiem rozsądku.

Garrett nie spuszczał z niego oczu.

— Ale pan rzeczywiście wierzy, że zbrodni powinno się raczej zapobiegać niż karać za jej popełnianie?

— Rzecz oczywista — powiedział Anthony. — A pan?

— Pozbawiwszy człowieka uświęconego tradycją przywileju zamykania drzwi tajni, kiedy ukradną mu konie, uczynicie jego egzystencję aż nazbyt monotonną — zauważył Hastings.

— Tak, tak. Wszystko to rozumiem. — Garrett mówił szybko i bez zwykłej uprzejmości. Nie patrzył też na mężczyznę, do którego się zwracał, tylko na pana domu. Wtem, mrużąc oczy, zapytał: — Czy Avis Bellingham coś panu mówiła? To znaczy, na mój temat.

Lekko zdumione spojrzenie Anthony'ego zasługiwało na podziw.

— Przepraszam, ale nie rozumiałem.

— Chodziło mi o to — rzekł Garrett — ech, dajmy temu spokój! Chciałem tylko powiedzieć, jakie to dziwne, że zesłaliśmy na podobny temat. Bo przed paroma zaledwie dniami przeżyłem to na własnej skórze. Ja... Ale może panów nudzę. Musicie mieć po dziurki w nosie przestępstw i przestępców.

Spencer Hastings wybuchnął śmiechem.

— Urodziłem się podejrzewając doktora, a umrę oskarżając księdza — powiedział Anthony. — Niech pan mówi.

### 3

Garrett skończył opowiadanie. Uśmiechnął się dość krzywo.

— I dlatego sędzę, że albo zwariowałem, albo przynajmniej nie wszystkie klepki mam w porządku.

Zadumany uśmiech nie wygładził zmarszczki na czole Anthony'ego.

— Tylko że jeśli nadal pana to niepokoi... Z kim rozmawiał pan w Scotland Yardzie za drugim razem?

— Z kimś o nazwisku Horler — odrzekł Garrett. — Z nadinspektorem Horlerem.

— Nie najgorszy facet — stwierdził Anthony. — Według pana nieobdarzony jednak zbytnią wyobraźnią?

— Jeśli ją posiada, to z pewnością głęboko ukrytą. Ale był bardzo uprzejmy, czego niestety o sobie powiedzieć nie mogę.

— I pan nie widział żadnej z tych kobiet nawet z profilu? — pytał powoli Anthony.

Garrett potrząsnął głową.

— Nawet z półprofilu. Widziałem ich plecy i jedynie plecy przez cały ten czas. Gdyby nie ta cholerna winda...

— Urwał wzruszając ramionami słabym, bezbarwnym gestem.

Anthony'ego zdawał się pochłaniać widok kropli ciemnego wina na dnie kieliszka.

— I nie słyszał pan, do jakiej stacji któraś z nich kupowała bilet? — zapytał z wciąż spuszczonego wzrokiem.

Garrett zdumiał się.

— Kupowała?

— Na stacji metra stał pan pewnie za daleko od nich przy kasie, żeby usłyszeć, dokąd kupują bilety?

— Och, przepraszam. Nie kupowały biletów przy okienku. Kupiły je w automacie.

Anthony podniósł zaniepokojone oczy.

— Obie w tym samym automacie?

Garrett przytaknął.

— Owszem. I co z tego?

— Czy gdyby wrócił pan na stację, potrafiłby pan wskazać ten właśnie automat?

— Tak.

— To nam pomoże. Albo może pomóc — powiedział Anthony.

— Nie rozumiem, w jaki sposób.

— Ani ja, z całym szacunkiem dla Wyższego Umysłu, tego nie rozumiem — wtrącił się Spencer Hastings. — Chodzi ci chyba o to, że widząc automat wiedziałbyś przynajmniej, iż pojechały do którejś z pół tuzina stacji.

— Wspaniale! — mruknął Anthony.

— Nie wiedziałbyś natomiast, czy która z tych stacji znajduje się w dzielnicy zamieszkiwanej przez jedną z kobiet. Nie zawsze wraca się do domu prosto po herbacie... nawet jeśli się ją pije w Notting Hill. Zwłaszcza w niedzielę.

Garrett popatrzył na pana domu, ale Anthony nie podniósł oczu ani się nie odezwał.

— O tym nie pomyślałem. — Głos Garretta rozpląnął się w ciszy, ale odczuwał ogromną ulgę, bo wreszcie miał do czynienia z inteligentnymi ludźmi, ci zaś nie traktowali go jak przestraszonego chłopczyka, do którego należy odnosić się pobłaźliwie, tylko wyteżali mózgi w sprawie tak mocno zaprzatającej jego umysł.

Anthony milczał ze zwieszoną głową, Hastings natomiast powiedział:

— To tak jak przepiłowanie kobiety w skrzyni.

— Co? — zapytał Garrett.

— Albo jak trik z liną. To znaczy diablo interesujące, ale niemożliwe do rozgryzienia.

— Och! — westchnął Garrett.

— Niech pan pomyśli — mówił Spencer Hastings. — Niech pan tylko pomyśli! Wielki Londyn zamieszkuje około ośmiu milionów ludzi. Kobiet jest w przybliżeniu, jak mi się zdaje, dwa razy tyle co mężczyzn. A więc przynajmniej pięć milionów... Boże, co za myśl!... A wśród tych pięciu milionów pan ma odnaleźć dwie po wyglądzie ich pleców...

— I po brzmieniu głosów — dodał Garrett ponuro. — Proszę o tym nie zapominać.

— To praktycznie nic nie daje — zauważył Hastings. — Znów coś w rodzaju przepiłowania kobiety. Wiadomo, że w skrzyni znajdują się dwie kobiety, ale jakim cudem się tam dostały, nie sposób odgadnąć.

— Plecy! — odezwał się nagle Anthony podnosząc wzrok na Garretta. — Zwyczajne plecy? Bez krzywej łopatki? Bez garbu? Nie utykały? Nie szły dziwnie? Nie miały w ubiorze nic nadzwyczajnego?

Garrett potrząsnął głową.

— Chwileczkę! — Hastings pochylił się do przodu tak raptownie, że omal nie wywrócił kieliszka. — A może jeszcze raz wstąpiły do tej herbaciarni?

Garrett uśmiechnął się niewesoło.

— Nikt rozsądny by tego nie robił... A zresztą do wczoraj się nie pokazały. Byłem tam.

— Jest pan tego całkiem pewny, prawda, panie Garrett?

— powiedział z wolna Anthony. — To znaczy pewny, że kryło się za tym coś podejrzanego?

— Wiem, że się kryło! Bardzo nieudolnie powtórzyłem ich słowa. Ale było coś więcej, o wiele więcej, w ich sposobie mówienia.

Obaj mężczyźni, spojrzawszy na niego ciekawie, zobaczyli, że twarz mu pobladła i pokryła się świeżymi bruzdami.

— Gdybyśmy tylko mieli coś jeszcze — powiedział Anthony pod nosem.

Garrett raptownie poruszył się na krześle. Przeniósł wzrok z gospodarza na drugiego gościa. W skupieniu marszczył czoło. Usiłował jakby dojrzeć coś pod powłoką ich twarzy. Wtem wstał, a oni śledzili go, zaskoczeni tym nieoczekiwanym ruchem. Wsparł ręce na stole i znów popatrzył na nich obu.

— Interesuje panów ta... ta sprawa. To oczywiste. Ale jak daleko posuwa się wasze zainteresowanie? Czy jest ono czysto akademickie? Czy też... prawdziwe?

Zawahał się, potem dodał zmienionym tonem:

— Wiem, że się strasznie naprzykrzam. Ale chciałbym usłyszeć prawdziwą odpowiedź.

Pierwszy zabrał głos Spencer Hastings.

— Chce pan podobno usłyszeć prawdę. A więc moje zainteresowanie, jak dotąd, jest czysto akademickie. Musi być takie, bo, jak mówię, pańskiego problemu nie można rozwiązać.

— Moje zainteresowanie — zapewnił Anthony — nie jest akademickie. Najwyższy czas zaprosić tu jakąś starą guwernantkę, żeby nam powiedziała, że zwrot „nie można” w słowniku nie figuruje.

— Słusznie! — odrzekł Garrett. Wsadził rękę do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyciągnął portfel. Położył go na stole i bardzo ostrożnie wyjął ze środka dwie koperty. Z pierwszej, większej koperty wydobył czarną damską rękawiczkę z koźlęcej skóry, z drugiej dwa skrawki papieru.

— Oto jedyne rzeczy, o których panom nie mówiłem — powiedział. — Według mnie na nic się one nie zdadzą, ale są „czymś jeszcze”, a tego panowie chcieli.

Anthony odepchnął krzesło i obszedłszy stół dookoła stanął koło swego gościa. Przyjrzał się dowodom rzeczowym z przekrzywioną głową.

— Wróciłem do herbaciarni, ledwie straciłem te kobiety z oczu — wyjaśnił Garrett — i powiedziałem, że były to moje znajome. Kelnerka dała się nabrać i wspomniała, że jedna z kobiet — nie wiadomo która — zgubiła rękawiczkę. Zapytała, czy mogę ją zabrać, a ja wyraziłem zgodę. Wewnątrz znajdowały się te skrawki papieru.

— Hm! — mruknął Anthony, wziął krzesło i usiadł. Podniósł rękawiczkę za sam brzeżek, obejrzał i odłożył. Pochylił się nad dwoma kawałeczkami papieru, przyciągając je delikatnie do siebie.

Spencer Hastings niedbale okrążył stół i zatrzymał się na prawo od Anthony'ego.

— Pokazywał je pan komuś w Scotland Yardzie? — zapytał Anthony nie podnosząc głowy.

Garrett wykonał przeczący gest.

— Nie. Nie pokazałem im, kiedy się zorientowałem, jak przyjmują moją opowieść.

Hastings zajął Anthony'emu przez ramię.

— Jedna tania rękawiczka, w najlepszym stylu okazyjnego kupna. Jeden numerowany bilet autobusowy. Jedna — co to? — ach tak, lista sprawunków. Jak nas to oświeca! A poza tym ma pan jeszcze charakter pisma. Problem: jeśli w Londynie mieszka pięć milionów kobiet, jakim cudem znajdzie pan jedną z nich, skoro nie widział pan jej twarzy, nie wie pan, gdzie mieszka, nie wie pan nawet na pewno, czy w Londynie; za to słyszał pan jej głos i widział charakter pisma, i wie pan, że ona zna męzczyznę nazwiskiem Evans. Obawiam się, że odpowiedź musi brzmieć: Taki cud się nie zdarzy.

— A dlaczego ma to być jej własny charakter pisma? — odezwał się Anthony nie patrząc na swych gości. — Może to być pismo jej matki. Albo kogokolwiek innego.

— A rękawiczka? — zapytał Garrett. — Czy nie ma możliwości poddania analizie?...

Spencer Hastings roześmiał się.

Tea  
Salt Biter.  
P. ons.  
9ft. Shrimps  
1/2 lb. Ss gels  
Matches  
L Lamb.  
1 lb Ste

— Na cienie Thorndyke'a!

— Myśli pan o oczyszczeniu jej z brudu, zbadania go i stwierdzenia, jakie kombinacje wchodzi w rachubę. To już robiono. Daje to rezultat, jeśli szczęśliwym trafem przedmioty należały do kogoś zamieszkałego między fabryką krochmalu i młynem na tej samej ulicy, przy której końcu stoi fabryka ołówków. Ale nic to nie daje, jeśli właściciel przedmiotu jest zwykłym człowiekiem i mieszka w zwykłym sąsiedztwie, ze zwykłą sadzą, błotem i kurzem.

— Nie zrobisz tego, Anthony! Co się z tobą dzieje? Czy nie widzisz?... — powiedział Hastings.

— Nie musi pan go zniechęcać, prawda? — wtrącił się Garrett ostro.

Hastings przesłał mu szybkie spojrzenie, a potem się uśmiechnął.

— Przepraszam. Nie chciałem oblewać go zimną wodą. Ale tak czy owak, nie da się powstrzymać Carltona Howe, kiedy zwierzy trop.

— To ja powinienem przepraszać — powiedział Garren. — Ja...

— Na litość boską, przestańcież wreszcie! Obaj. — Anthony wsparł się łokciami na stole, a brodę położył na dłoniach. Tuż przed nim znajdowały się: skrawek papieru z listą sprawunków, bilet autobusowy i do połowy nadmuchana powietrzem, a wskutek tego stanowiąca dość makabryczną karykaturę żywej ręki, czarna rękawiczka z taniej skóry.

Przez długą chwilę w pokoju panowało milczenie, podczas gdy trzy pary oczu wpatrywały się w te przedmioty rozłożone na krawędzi stołu. W końcu Anthony wstał i zwrócił się do Garretta:

— A ten automat? Jaka była cena biletów?... To znaczy, czy wrzucało się dwa pensy? Czy cztery?

— Nie potrafiłbym powiedzieć. Rozumie pan, byłem...

— Ale gdybyśmy teraz tam poszli, potrafiliby mi go pan pokazać? — zapytał Anthony.

— Tak — odparł Garrett.

## 4

— Ale jak długo to potrwa? — zapytała Lucy Gethryn. Spencer Hastings uśmiechnął się.

— Anthony prowadzi. Odjechali pięć minut temu. Będą tu, nim nabiorę ochoty na kolejnego drinka.

W trzy minuty później Garrett otworzył oczy, na odcinku ostatniej mili mocno zamknięte. Wydał lekkie westchnienie ulgi, rozluźnił kołnierzyk i stanął na chodniku, zwrócony twarzą do sklepionego wejścia na stację metra



Leinster Terrace. Anthony podążył za nim do kasy. Była niemal pusta.

— To ten — powiedział Garrett wskazując automat.

Z bliska zobaczył, że nad automatem, który wybrał, widnieje duża plakieta z napisem „3 pency” i wydrukowaną pod nim listą stacji. Lista, ku jego rozczarowaniu, była długa.

— Wygląda na to, że można stąd pojechać do jakiegokolwiek miejscowości na świecie — powiedział.

Anthony w milczeniu wyjął pióro i mały czerwony notesik i zaczął szybko pisać. Skończywszy schował je do kieszeni.

— Chodźmy! — Wyciągniętym krokiem ruszył w stronę ulicy.

Kiedy jednak znaleźli się na chodniku, przystanął i rozejrzał się dookoła.

— Chwileczkę. To musi być gdzieś tutaj.

Garrett zastanawiał się, o jakie „to” chodzi, a tymczasem Anthony skierował się ku postaci w płaskiej czapce i granatowym mundurze, stojącej plecami do wystawy sklepu tytoniowego. Z mniejszej odległości Garrett odczytał wypisane na odznace u czapki słowa: „Londyńska Powszechna Spółka Autobusowa”.

## VI

### 1

Anthony Gethryn został sam z żoną. Przez okno biblioteki dotarł słaby szum startera w samochodzie Hastingsa i zgrzyt zmienianych biegów taksówki wiozącej Garretta i Avis Bellingham.

Lucy przysiadła na brzegu dużego biurka i popatrzyła przez pokój na męża.

— A teraz może mi zechcesz wyjaśnić, o co właściwie chodzi?

Anthony podszedł i stanął naprzeciw niej.

— Młody, samotny Amerykanin podsłuchuje w herbaciarni rozmowę dwu kobiet, nieświadomych jego obecności. Rozmowa ta, na ogół aluzyjna, jest dla niego niejasna w szczegółach i zawiera nieokreślone stwierdzenia; jej sens natomiast, ton i atmosfera są złowieszcze. Wywołują zdecydowane wrażenie, że szykuje się coś, co poprzez dziecko przyniesie pieniądze i może się źle skończyć dla dorosłego mężczyzny. Jedyne wymienione nazwisko to nazwisko sprzymierzeńca, niepokojąco pospolite — Evans. Młody Amerykanin chce być zdolny do zidentyfikowania kobiet i niepostrzeżenie wychodzi za nimi z herbaciarni. Na stacji metra Leinster Terrace gubi ich ślad, nie zdoławszy zobaczyć ich twarzy. Wraca do herbaciarni i po raz pierwszy szczęście mu dopisuje, bo dostaje rękawiczkę jednej z kobiet, a w niej bilet autobusowy i skrawek papieru ze zrobioną ołówkiem listą sprawunków. Ale nic mu to nie wyjaśnia. Po długim namyśle i próżnym szukaniu rady idzie do Scotland Yardu, gdzie naturalną rzeczą kolejną są dla niego uprzejmi, ale zbytnio się nie przejmują. Nabija tym sobie głowę, ale jest bezradny do momentu spotkania ze swą uroczą przyjaciółką, a naszą znajomą. Koniec.

Drobna zmarszczka troski przecięła białe czoło Lucy.

— Ale...

— A oto — przerwał jej mąż — dowody rzeczowe A, B i C. — Otworzył środkową szufladę biurka i wyjął rękawiczkę, bilet i ciemnożółty paperek.

— Oto pewne przedmioty, pewne bardzo ładne przedmioty — powiedział na poły do siebie. — I do kogóż należą te bardzo ładne przedmioty?

Lucy stanęła koło męża, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Posłuchaj, kochanie! Ja... ja się martwię.

Anthony niecierpliwie podniósł głowę, spojrzął na nią, ale się nie odezwał.

— To bardzo miły człowiek i bez reszty tym zaprzęnięty — powiedziała po chwili. — Dla ciebie to tylko nowy rodzaj zagadki, nowy, bo zamiast wykrywać, kto popełnił zbrodnię, masz wykryć, kto ją popełni. A... a...

— Co takiego? — zapytał Anthony. Patrzył na nią, a uśmiech już pojawił się w kąciku jego warg.

— To... to... Och, do diabła z tym wszystkim! Po prostu nie mogę odegnąć myśli, że za bardzo dodałeś chłopcu otuchy. Czyś nie widział, jaki zmieniony stąd wychodził? Po tym, jak zaprosiłeś go na jutrzejszy lunch i wspomniałeś, że być może coś wymyślisz? Musiałeś przecież to widzieć. A ja uważam, że to nie...

— W porządku, panie oficerze, teraz ja będę mówił. — Wszelki ślad uśmiechu ulotnił się z twarzy Anthony'ego. — Garrett mi się spodobał. A sama wiesz, jaki mam stosunek do Avis. Pomógłbym zawsze każdemu z jej przyjaciół. Ale w tym przypadku nie powoduje mną przyjaźń... Jeżeli pani pójdzie na drugie piętro i otworzy drugie drzwi na prawo, gdzie się pani znajdzie?

Lucy obserwowała go bacznie.

— W sypialni dziecka, oczywiście.

— A w kącie stoi czyściutkie łóżeczko, prawda? I cóż takiego leży w tym łóżeczku?

— O czym ty mówisz, Anthony?

— Cóż leży w czyściutkim łóżeczku? Odpowiedz.

— Alan, ty głuptasie!

— Tak. I dzięki Bogu, mimo działalności skarbu państwa, jestem umiarkowanie bogatym człowiekiem. Przypuścimy zatem, że wychodzimy z tego pokoju za jakąś godzinę, idziemy na górę i otwieramy drugie drzwi na prawo, bardzo cicho, by nie obudzić tego, kto śpi w czyściutkim łóżeczku. I przypuścimy, że zastajemy tam okna balkonowe szeroko otwarte, a czyściutkie łóżeczko puste. I przypuścimy, że wcześniej tego wieczora, tu na dole, słyszeliśmy jakiś szmer z góry, ale nie zwróciliśmy na to uwagi. I przypuścimy...

— Przestań! Przestań natychmiast! — Lucy pobladła i szybko wciągała powietrze.

— Przypuśćmy... — zaczął znów Anthony po czym wsparł dłonie na ramionach żony. Wyczuwał dotykiem jej drżenie. Pocałował ją i rzekł z uśmiechem:

— Przepraszam. Ale chciałem, żebyś zrozumiała. Wierzę nie tylko w to, co słyszał Garrett, ale i w to, co czuł i czuje. A jeśli to się przeciągnie, chcę, żebyś rozumiała, bo musisz czuć podobnie. Widzisz, moja droga, nie słyszałaś jego opowiadania po obiedzie. Opowiadał strasznie ale dzięki temu o tyle bardziej przekonywająco.

Lucy wspięła się na palce i odwzajemniła doznaną chwilę wcześniej pieśczętę. A potem wywinęła mu się z dłoni i przeszła przez pokój. Jej krok zdradzał chęć pośpiechu pod płaszczykiem obojętności.

Anthony patrzył ze swego miejsca w otwarte drzwi. Dosłyszał wiele cichych, szybkich, milknących w górze kroków.

## 2

Lucy bezszelestnie zeszła ze schodów. Uśmiechała się, lecz za jej plecami, na drugim piętrze, drzwi dziecinnej sypialni pozostały otwarte. Przemierzyła hall i wróciła do biblioteki.

Anthony siedział za biurkiem i nie odwrócił się do niej. Stała u jego boku. Teraz rękawiczka, bilet i skrawek papieru leżały po jednej stronie biurka, a ich miejsce zajęły dwie zachodzące na siebie mapy — składany plan linii metra w centrum Londynu i mapa autobusowa z nagłówkiem „Trasa 19H”.

— Anthony! — powiedziała jego żona, więc zwrócił ku niej twarz. — Tak sobie myślałam, że to nie zdarza się w Anglii.

— Wszystko zdarza się w Anglii — odparł jej mąż. Ciemna głowa poruszyła się przeczącym gestem.

— Nie. Nie porywanie dzieci.

— Zdarzało się — odrzekł Anthony. — I znowu się zdarzy.

— To takie amerykańskie. Przecież to takie amerykańskie!

— Anglia zaś, na równi z resztą świata, co dzień bardziej się amerykańkuje. Na ogół to niezła rzecz. Bardzo czysta. W niektórych poszczególnych przypadkach tak jak ten... — Wzruszył ramionami.

— A czy te kobiety to Amerykanki? — zapytała Lucy.

— Nie sądzę. A dlaczego miałyby nimi być?

— Ależ, Anthony, naprawdę nie próbuj mi wmawiać, że wierzysz, by to było... no, jakimś wstępem do porwania dziecka, czy jak się tam mówi.

— Chciałeś powiedzieć „gangsterskiego wyczynu”?

— Tak... Ale dlaczego miałyby to być właśnie porwanie dziecka? Czy te kobiety mówiły coś o wykradzeniu dziecka?

— Jak można zrobić pieniądze... duże pieniądze... na dziecku, jeśli się go nie porwie? Mógłbym pomyśleć o innych sposobach, chociaż wolę nie... a zresztą to by nie pasowało.

— Nie rozumiem, dlaczego Sheldon Garrett tak się tym przejmuje — rozważała na głos Lucy. — Przecież to w końcu nawet nie jego ojczyzna. I sam przyznaję, że kobiety nie powiedziały nic określonego. Dlaczego więc o tym nie zapomni? Czy też wszyscy dramaturgowie są ożywieni duchem publicznym?

— Wyjaśnię ci to — odrzekł Anthony. — Zdradził mi to w drodze powrotnej z Leinster Terrace. Jego siostra ma dziecko. A jest żoną Barry Hendricksena...

— Hendricksena! — przerwała Lucy. — Nie?...

— Owszem, tak.

— Ale im oddano syna, prawda? Oczywiście to było straszne, chodzi mi jednak o to, że nie wydarzyła się rzecz podobna jak w tej okropnej sprawie Lindbergha.

Anthony uśmiechnął się do niej.

— Gdybyś zechciała chwilę poczekać, kobieto! — Uśmiech zniknął z jego twarzy. — Do wiadomości publicznej podano tylko, że dziecko zostało rodzicom zwrócone,

gdy po raz trzeci wpłacili żadaną sumę, pominięto natomiast fakt, że wróciło niespełna rozumu.

Lucy patrzyła na niego błędąc coraz bardziej. Otworzyła usta, jak gdyby chciała coś powiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Mąż jej okręcił się wraz z fotelem i ponownie wbił wzrok w mapy. Powiedział niemal z werwą:

— A teraz patrzajcie i oczekujcie, bo nie wiecie, w jakiej godzinie nadejdzie odpowiedź. Dwa kobiece głosy; dwie kobiety widziane od tyłu; jedna damska rękawiczka; jedna damska lista sprawunków; jeden nieokreślony bilet autobusowy; fakt, że obie kobiety kupiły trzypensowe bilety w automacie przy Leinster Terrace... Zadanie: odnaleźć właścicielkę rękawiczki.

Lucy przysiadła na poręczy fotela i, wsparta jedną ręką na prawym ramieniu męża, popatrzyła przez jego lewe ramię na mapy.

— To niemożliwe! — powiedziała. — Tego nie zdołasz zrobić... Och, ale nie zapominaj, że właścicielka jednego z głosów zna mężczyznę nazwiskiem Evans.

— W języku angielskim nie ma słowa „niemożliwe”, moja pani. Posłuchaj! Zapominamy o głosach, bo są bezużyteczne. Tak samo zapominamy o Evansie i rękawiczce. Trzymamy się natomiast w pierwszym rzędzie biletu autobusowego i trzypensowego automatu. — Otworzył szufladę i wyciągnął z niej ołówek, po czym narysował krąg wokół jednej z czarnych kropek na planie metra. — To Goldhawk Market, ostatnia i jedna z najdalej od Leinster Terrace na zachód położonych stacji, do której dojechać można za trzy pensy. Dlaczego wybieram właśnie tę spośród siedemnastu stacji? Odpowiedzi na ten mniejszej wagi problem udziela dowód rzeczowy B. — Wskazał na bilet. — Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Nie rozumiem i ty wiesz, że nie rozumiem... Ja...

— Sza, sza i jeszcze raz sza. Dlaczego zatem wybieram Goldhawk Market? Robię tak dlatego, że właścicielka rękawiczki kupiła trzypensowy bilet ze stacji Leinster Terrace, a w rękawiczce znalazł się bilet „Londyńskiej Powszechnej Spółki Autobusowej” na trasę 19H.

— Ale... — zaczęła Lucy.

— I znowu sza! Ten bilet autobusowy, chociaż brak na nim nazw, ma cyfry. Jest to bilet za dwa pensy, ze skasowaną cyfrą 5. A zachodni koniec trasy 19H to Gunnersbury. Przystanek pierwszy, który bynajmniej nie dziwnym trafem znajduje się na jej początku, to Bald-Faced Stag na Iron Lane w Gunnersbury. Przystanek drugi to skrzyżowanie Goldhawk Road z Jennifer Street. Przystanek trzeci... ale po cóż cię nudzić wszystkimi tymi zawodowymi szczegółami. Wystarczy powiedzieć, że bilet dwupensowy, skasowany na przystanku piątym, musiał być wykupiony przez kogoś, kto wsiadł do autobusu między skrzyżowaniem Goldhawk Road-Jennifer Street a Shepherd's Bush Empire i zamierzał wysiąść w Notting Hill. W ten sposób możemy słusznie wnioskować, w jakiej dzielnicy mieszka właścicielka rękawiczki...

— Dlaczego? — pośpiesznie zapytała Lucy i odetchnęła głęboko. — Może mieszkać w Hampstead, skąd kuzyn zawiózł ją samochodem do Richmond w odwiedziny do ciotki; a potem podrzucił ją do Shepherd's Bush, gdzie złapała autobus do Notting Hill, żeby stawić się na spotkanie z tamtą drugą, a później pojechała na umówioną kolację z Leinster Terrace dokądkolwiek, dokąd można pojechać za trzy pensy...

Anthony popatrzył na nią.

— Ósmy cud świata — powiedział. — Reba, Rozumująca Kobieta. Opieramy się, proszę pani... musimy się opierać... na prawdopodobieństwach, a uważam, że trzypensowy bilet z metra w połączeniu z biletem autobusowym stwarza duże prawdopodobieństwo, iż właścicielka rękawiczki mieszka — albo pozostaje w ścisłym związku z kimś, kto mieszka — w promieniu pół mili od miejsca wpół drogi między Shepherd's Bush Empire i skrzyżowaniem Jennifer Street-Goldhawk Road... — Głos jego przycichł i mruknął jakby do siebie: — A on powiedział, że to się nie przyda.

— Ale przecież nie przyda się na wiele? Naprawdę różnie trudno będzie odszukać kogoś w tym twoim promieniu, jak w całym Londynie. To znaczy, odnaleźć kobietę, której się nawet porządnie nie przyjrzało. Igły

gubią się w stogach siana; nie wyobrażam sobie, żeby rozmiar stogu mógł...

— Gdybyś zgubiła napastrzek na polu o powierzchni czterdziestu akrów, a Bóg spłynął na chmurze i powiedział ci, że ten napastrzek jest na środkowym akrze, łatwiej chyba byłoby ci go znaleźć niż z początku?... I zamilknij, niewiasto!

Odepchnął plany i z kolei ułożył przed sobą na bibule rękawiczkę i brudny skrawek papieru.

— Oto trzy drobiazgi — kto właścicielkę ich zna?

Jeden coś objawił — zostały nam tylko dwa.

— A ciebie się zawsze żarty trzymają — roześmiała się Lucy.

Anthony nie odpowiedział. Znów odwrócił się do niej plecami i wsparłszy łokcie na krawędzi biurka, głowę opuścił na złożone dłonie.

### 3

Zegarek na biurku wskazywał parę minut po pierwszej. Lucy dawno już poszła spać, ale jej mąż nadal siedział zapatrzony w kawałek brudnożółtego papieru i czarną rękawiczkę z prawej dłoni. Dym fajczany zawisł nad nim niebieską chmurą. Nie poruszał ani głową, ani resztą ciała, ale zielone oczy zdradzały ożywienie...

— Do diabła! — zawołał nagle i odepchnąwszy fotel rozprostował swe długie ciało. Zaczął przemierzać duży pokój; od okien balkonowych do drzwi i z powrotem. Fajka mu zgasła i już jej nie zapalał. Wciąż chodził, a jego myśli przypominały wiewiórkę w klatce.

Przystanął. Znów znajdował się na wprost biurka i znów patrzył na papierek i rękawiczkę. Wziął się do dzieła i wrzucił do szuflady rękawiczkę, skrawek papieru i bilet autobusowy. Zamknął szufladę na klucz, pogasił światła i ruszył po schodach na górę.



## 4

Był w swojej garderobie. Lucy go nie zawołała, więc widocznie śpi. Włożył piżamę i chwilę stał bez ruchu, podczas gdy wzburzony umysł narzucał mu raz jeszcze uporządkowane podsumowanie *l'affaire* Garrett.

Dziwne, żeby coś takiego przytrafiło się Amerykaninowi w niedzielne popołudnie w Notting Hill. Dziwne, żeby taki Amerykanin w ogóle znalazł się w Notting Hill, w niedzielę czy inny dzień...

— Mój Boże! — powiedział Anthony Gethryn na głos. Szarpnął drzwi szafy i zanurzył rękę w jej ciemnym wnętrzu, żeby wyciągnąć szlafrok. Wyszedł z pokoju i zbiegł po schodach nakładając go po drodze. Otworzył drzwi biblioteki, zapalił światła i długimi krokami skierował się do biurka. Przekręcił klucz i z otwartej szuflady wyjął skrawek brudnożółtego papieru.

## VII

### 1

Telefon nie przestawał dzwonić. Zbudził Thomasa Sheldona Garretta z pierwszego prawdziwego snu, w jaki udało mu się zapaść od soboty wieczór, dnia siedemnastego września. Dźwignął się na łokciu i mamrocząc grube przekleństwa wyciągnął po omacku rękę. Kiedy palce jego zaciskały się na słuchawce, otworzył oczy i napotkał wzrokiem podróżny budzik koło aparatu. Była za dziesięć ósma. Podniósł słuchawkę i warknął. W telefonie odezwał się głos:

— Garrett? Tu Gethryn.

— Och — powiedział Garrett już bez gniewu.

Głos mówił:

— Przepraszam, że pana budzę. Czy mógłby pan zamiast lunchu zjeść ze mną śniadanie?

## 2

— Czy cię obudziłem? — zapytał głos w telefonie.

— Tak — odrzekł cierpko Spencer Hastings. — Niech cię diabli! Czego potrzebujesz?

— Dysona — powiedział głos. — I Flooda.

— Są zajęci — odparł Hastings, teraz już nie tyle osoba prywatna, co wydawca i współwłaściciel „Sowy”<sup>1</sup>.

— Czy zajęci?

— Och... ja... — zawahał się wydawca.

— Nie bądź taki zachłanny. Są mi potrzebni.

— Dobrze! — Hastings rozbudził się do reszty. — O co chodzi?

— Powinieneś wiedzieć — odparł głos.

— Wielki Boże! — zdumiał się Hastings. — Nie chcesz chyba powiedzieć...

— Byłbym ci zatem bardzo wdzięczny, gdybyś przysłał ich, jak tylko przyjdą do biura — przerwał mu głos. — Do widzenia.

<sup>1</sup> Sowa — cotygodniowy przegląd, którego współwłaścicielami są pułkownik Gethryn i jego przyjaciel, Spencer Hastings, pełniący zarazem obowiązki wydawcy. „Sowa” drukuje „specjalne” dodatki do zwykłego numeru, ilekroć jakaś sensacja zdoła ten fakt usprawiedliwić.

## 3

Garrett stał przed biurkiem w bibliotece Anthony'ego. Na bibule leżał teraz fragment szczegółowego planu miasta,

którego punkt centralny stanowił zieleniec Shepherd's Bush. Anthony wskazującym palcem postukał na lewo od zielenca.

— Wybrałem miejsce gdzieś w połowie drogi między przystankiem autobusowym tutaj i Goldhawk Market leżącym tutaj. Potem wziąłem cyrkiel i ustawiwszy go w tym punkcie, zakreśliłem koło o promieniu pół cala, czyli pół mili. — Popatrzył na sztucznie obojętną twarz gościa i lekki uśmiech wykrzywił kącik jego warg.

Garrett powiedział z chwalebłą powściągliwością:

— Niestety nie posunęliśmy się chyba o wiele dalej... poza tym, że wyłącznie w oparciu o przypuszczenia zawężiliśmy teren naszych poszukiwań do milowego koła bardzo gęsto, jak się wydaje, zaludnionej dzielnicy miasta. A ponieważ nadal nie wiemy — bo i skąd moglibyśmy wiedzieć — jak ta kobieta wygląda czy też jak się nazywa...

Zamilkł, Anthony zaś otwarcie wybuchnął śmiechem.

— Przykro mi, ale nie widzę w tym nic śmiesznego — stwierdził sztywno Garrett.

— Bo też i nic śmiesznego w tym nie ma — odparł Anthony. — Przepraszam. Ale jestem z siebie zadowolony. Mam coś, czego wszyscy możemy się ucześcić. To nie tylko nowy fakt, ale potwierdzenie, że chodzi jednak o tę dzielnicę. — Postukał palcem w plan, w sam środek całego koła.

— Niech pan mówi dalej! Bardzo proszę!

Anthony bez słowa otworzył środkową szufladę biurka. Zanurzył w niej prawą rękę i wyciągnął sześciocalowy kartonik białego papieru. Zdumione oko Garretta dostrzegło, że nalepiono na nim starannie żółty wystrzępiony świstek z listą zakupów.

— Mówił pan, że pańskie dowody rzeczowe są nieprzydatne — zauważył Anthony i wskazał listę. — Ale to, mój chłopcze, w głos krzyczy!

— Co? — Garrett zmarszczył się i wziął ostrożnie do rąk kartonik. — Ależ to zwykła lista sprawunków. My wszyscy...

— Niech ją pan odczyta — przerwał mu Anthony. — I zrekonstruuje.

Garrett podniósł kartonik do oczu. Powiedział z wahaniem:

— Herbata. To łatwe. Potem „one sit. btrr.” Nie wiedziałem, co to znaczy, póki mi pan nie wyjaśnił, że chodzi o solone masło. „P. ons.” Przypominam sobie, że zdaniem pana albo Hastingsa są to marynowane cebulki. Następne to kwarta krewetek. Potem pół funta kiełbasek; dalej zapalki i udziec jagnięcy, i funt czegoś — nie pamiętam już, coście mówili...

— Łoju — odpowiedział z uśmiechem Anthony.

— Racja! — Garrett przeniósł wzrok na twarz Gethryna, po czym znów zagłębił się w liście, poruszając wargami, kiedy powtarzał cicho każdą pozycję. Wreszcie odezwał się: — Przykro mi, ale nic w tym nie widzę.

— Nie mam o to do pana żalu. W pańskim oświeconym kraju wszelkie produkty żywnościowe kupić można w niedzielę. Tutaj jedynymi sklepami otwartymi w niedzielę są sklepy ze słodyczami, tu i ówdzie apteki, to, co pan by nazwał delikatesami, i sklepy tytoniowe. Są oczywiście i inne, ale one nie grają w tym wypadku roli... A teraz niech pan spojrzy!

Garrett posłuchał, ale szybko podniósł oczy z powrotem. Potrząsnął głową i wzruszył ramionami.

— Nic z tego! Rozumiem, o co panu chodzi, ale nie domyślam się, jakie to ma znaczenie. Chce pan powiedzieć, że są na liście rzeczy — chyba masło, mięso i lój — których tego dnia nie mogłaby kupić. Mimo to nadal...

— Coraz lepiej. Nie tyle jednak chodzi o to, że nie można pewnych sprawunków załatwić w niedzielę, ile o to, że osoba, która sporządziła tę listę, była tego świadoma. Lista zakupów zrobiona na oddartym i wetkniętym w rękawiczkę skrawku gazety nie jest listą na drugi dzień; jest niemal zawsze listą na ten sam dzień, i to na zaraz, bo w normalnych warunkach żadna kobieta nie trzyma nic w rękawicze, jeśli nie jest to przeznaczone do natchmiastowego użytku. Innymi słowy, możemy założyć,

że właścicielka rękawiczki zamierzała załatwić sprawunki przed powrotem do domu. Wiemy, że działo się to w niedzielę, a zatem musiały to być niedzielne zakupy, co potwierdzają wszystkie pozycje z wyjątkiem dwóch ostatnich, nie do nabycia w niedzielę. Ta osoba musiała wiedzieć, że jest niedziela, bo w tym wciąż jeszcze lubiącym świętować mieście wie o tym każde, nawet niedorozwinięte dziecko. I dlatego jagnię i łój, zwłaszcza zaś to pierwsze, są intruzami, niewiarygodnymi intruzami. Rozumie pan?

Garrett skinął głową, ale między zwróconymi na Anthony'ego oczami przebiegała wciąż zmarszczka oszłomienia i niedowierzania.

— Wydaje się to słuszne — powiedział — ale jagnię i łój jednak na liście figurują!

— W tym właśnie punkcie pan się myli. Wcale na niej nie figurują! — Ponownie otworzył środkową szufladę biurka i wyjął z niej szkło powiększające. — Niech pan to weźmie i przypatrz się lepiej.

— Proszę posłuchać! — zirytował się Garrett. — Jeśli pan sobie wyobraża, że żyłem z tym przez tyle dni i nie przyjrzałem się temu przez szkło powiększające, musi pan być... — Pohamował się. — Musi mnie pan uważać za jeszcze tępszego, niż jestem w rzeczywistości! Jeśli chce mi pan powiedzieć, że dwie ostatnie pozycje dopisano kiedy indziej albo innym ołówkiem, może pan sobie oszczędzić fatygi. — Ton jego zdradzał silne wzburzenie. — Nie wspominałem o tym dając panu kartkę, bo sądziłem, że każdy spostrzeże to bez trudu.

— Rozumiem. A jak to pan wytłumaczy?

— Wydawało mi się to proste — odparł Garrett. — Myślałem, że właścicielka kartki nagle przypomniała sobie o mięsie i łoju i wówczas je dopisała.

— A chwiejność liter? — zapytał Anthony. — Widać ją gołym okiem, ale znacznie lepiej pod szkłem powiększającym.

Garrett utkwiał w nim wzrok.

— Pisane na chropowatej powierzchni. Może na ścianie. Albo na czymś innym, co nie było gładkie.

— Powiedzmy na torebce?

Garrett roześmiał się sucho.

— Nie. Myślałem już o tym, wie pan! To nie była torebka. Bo gdyby miała torebkę, nie wsadziłaby listy w rękawiczkę.

— A więc może — odpowiedział łagodnie Anthony — pisała to na czyjejś torebce. I być może w poruszającym się pojeździe. Gdyby pan przyjrzał się uważniej, spostrzegłby pan, że „m” w „Lamb” i „b” tuż przed „St” są chwiejne.

Teraz Garrett, pochylony nad kartką, patrzył przez szkło powiększające.

— To możliwe — przyznał niechętnie. Wyprostował się i obrócił do gospodarza. — Ale to niczego nie zmienia. Oznacza tylko, że mogła napisać te słowa w pociągu, autobusie czy samochodzie.

— I w niedzielę? — zagadnął skromnie Anthony.

— Ja nie... — zaczął Garrett, lecz się powstrzymał. Prawą ręką potarł w zadumie tył głowy. — Czy powie mi pan wreszcie, do czego pan zmierza? — wybuchnął niespodziewanie.

Anthony uśmiechnął się.

— Bardzo mi przykro. Lubię być tajemniczy i odsłaniać wszystko w ostatnim rozdziale... A teraz powtórzmy sobie po kolei. Po pierwsze, kobieta wsunęła kartkę do rękawiczki w niedzielę. Po wtóre, dwie ostatnie pozycje na liście to jedyne sprawunki, jakich nie da się załatwić w niedzielę. Po trzecie, nie mówiła z cudzoziemskim akcentem, a zatem wie, co można kupić w niedzielę. Po czwarte, dopisała dwie ostatnie pozycje do tej niedzielnej listy sprawunków w poruszającym się środku lokomocji, musiała więc przyciskać papier do chropowatej powierzchni, a ponieważ w kolei podziemnej czy w autobusie nic chropowatego nie ma, była to najprawdopodobniej zewnętrzna strona damskiej torebki. Po piąte, sama nie miała torebki, bo inaczej nie wetknęłaby listy w rękawiczkę...

Niech pan zsumuje te pięć punktów, a zgodzi się pan

chyba, że dwa ostatnie zapisy nie odnoszą się do jagnięcia ani funta łoju. Zaświtało mi więc, że dwie ostatnie linijki nie są tym, czym się wydają, gdyby zaś tym były, byłoby to rzeczą ogromnie dziwną. Bo udziec jagnięcy nie pasuje do tego rodzaju zapasów, jak pół funta solonego masła i mała ilość marynowanych cebulek. Nieprawdopodobne jest też, by taką spiżarnię zaopatrywano równocześnie w kielbaski i jagnię.

Garrett znów przyjrzał się kartce. Kiedy przemówił, w głosie jego zadźwięczało podniecenie.

— Ale czymże są te dwie ostatnie pozycje? — zapytał.

— Proszę pomyśleć — odpowiedział Anthony. — Nasza kobieta, która a) nie ma ze sobą torby, b) nie kupuje chyba udźców jagnięcych i c) nie próbowałaby kupić jagnięcia w niedzielę, jedzie autobusem do Notting Hill i po drodze notuje coś u dołu listy ze sprawunkami, podkładając pod nią czyjaś torebkę. Skoro jednak nie mogą to być zakupy, dlaczego pisze w autobusie? Bo jest to coś, o czym nagle pomyślała i co chce zapamiętać, coś, na co zwrócono jej uwagę właśnie w autobusie. Teraz, świadomy tego całego grochu z kapustą, niech się pan zastanowi nad samymi słowami: „L Lamb” i „1 Lb St.” Rozpatrując je w połączeniu z listą sprawunków, sądziliśmy, że oznaczają udziec jagnięcy i funt łoju. Ja osobiście utrzymuję, że naprawdę znaczą one: panna albo pani Lucy czy Letitia, czy Lettice, czy Lulu, czy Lola, czy też jakieś inne imię na „L”, Lamb, zamieszkała pod numerem pierwszym na Lb Street.

— Wielki Boże! — powiedział Garrett.

— Widzi pan, że wszystko to gra. Autobus, torebka i Lamb... Jeśli pisze się coś na jedynym kawałku papieru, jaki się ma przy sobie, w jadącym autobusie, i położy kartkę na torebce, którą trzeba było pożyczyć, chyba w siedemdziesięciu pięciu wypadkach na sto zapisuje się adres kogoś spotkanego w tymże autobusie. A kogóż takiego? Może to być znajoma z autobusu, ale kto wykupił bilet za dwa pensy, nie podróżuje dostatecznie długo, by dojść do etapu wymiany adresów. A zatem bardziej prawdopodobne, że jest to adres przyjaciółki z dawnych

czasów, osoby tej samej płci, właśnie w tym dniu spotkanej.

— Boże — powtórzył Garrett. — To wspaniałe. Nie ma najmniejszego znaczenia, czy była to nagła znajomość zawarta między kobietami, czy poznany mężczyzna, czy przyjaciel obojętnej płci! Mogła to być i hermafrodyta! Ktokolwiek by to był, zdoła nam coś powiedzieć. Jeśli my...

— Niech pan tak nie galopuje — powiedział Anthony z uśmiechem. — Jaką ulicę można, pana zdaniem, oznaczyć „Lb”?

Garrett zastanowił się.

— Tego nie wiem. Macie zresztą piekielnie śmieszne nazwy ulic. — Irytacja w jego głosie ustąpiła miejsca niepokojowi. — Czy pan przypuszcza, że nie da się...

— Przypuszczam — odparł Anthony — że to „Lb” nie może być skrótem jakiegokolwiek słowa mogącego stanowić nazwę londyńskiej ulicy. I jeśli te dwie litery to rzeczywiście „Lb”, czeka nas wściekła robota, ponieważ oznaczałoby to, że mamy do czynienia z bezsensownym skrótem. Nie przeglądałem jeszcze planu miasta, ale stawiam funta przeciw dolarowi, że nie więcej niż dwie ulice zaczynają się na „l”, a kończą na „b”. A żadna ulica nie zaczyna się na „lb”...

— Do diabła — powiedział Garrett i dodał jeszcze. dwa słowa.

— Pewno. Ale niech pan spojrzy przez lupę na te dwie litery przed „St”, czyli „Street”. Kiedy myśleliśmy o zakupach, oczywiście uważaliśmy je za „lb”. Ale teraz wołałbym przyjąć, że „b” jest w istocie drugim „l”.

Garrett chwycił szkło powiększające i nachylił się nad kartką. Powiedział niemal natychmiast:

— To możliwe. To całkiem możliwe... A niech to, musi tak być...

— Zapal, sam zapal, panie wygodnicki! — Anthony usiadł na brzegu biurka. — Ale chwilowo rozpatrujemy to jako podwójne „l”. I przyjmijmy coś jeszcze. Nie jest to może najoczywistej logiczne, ale moim zdaniem całkowicie słuszne przypuszczenie. Jeśli panna X spotyka



pannę Lamb w autobusie blisko swego domu albo miejsca, gdzie często przebywa, i zapisuje adres panny Lamb w tak niezmiernie skróconej formie, zarówno ten wielki skrót, jak i przypadkowe spotkanie dowodzą, że panna Lamb mieszka w tej samej dzielnicy co panna X. Gdyby panna Lamb mieszkała zupełnie gdzie indziej, ich spotkanie w autobusie byłoby nie tylko o wiele bardziej przypadkowe, ale skłoniłoby chyba także pannę X do zanotowania pełniejszego adresu. Dlatego też naszym pierwszym krokiem jest poszerzyć koło zakreślone przeze mnie na planie, a potem zobaczyć, jakie ulice wewnątrz tego kręgu zaczynają się na podwójne „l”.

— Ale niech pan pomyśli — zaczął Garrett i nie dookończył, bo przerwały mu jakieś hałasy za drzwiami, które były chyba zamykaniem innych drzwi i męskimi krokami na parkiecie. Rozległo się pukanie do drzwi pokoju, w którym siedzieli.

— Posiłki — rzekł Anthony z uśmiechem, a głośno dodał: — Proszę wejść.

— Niech się pan nie martwi, zaraz wejdziemy.

Na progu stanęło dwu mężczyzn. Pierwszy był wysoki, chudy i pochylony, w poplamionym i brudnym płaszczu nieprzemakalnym, spod którego wyzierały dwa bezkształtne walce starych, dalekich od czystości spodni z szarej flaneli. W ręce dzierzył zmaltretowany zwitek zielonkawoszarego piłśniu, który mógłby uchodzić za kapełusz, a wokół szyi miał przewiązany wełniany szalik koloru razowego chleba. Z jego fałdów sterczała sępia głowa o prostych czarnych włosach, zdradzająca poczucie humoru. Para okularów w rogowej oprawie, największych, jakie Garrett w życiu swoim widział, powiększała ciemne oczy o nawisłych powiekach, ale bystre zarazem.

Drugi gość zasadniczo różnił się od pierwszego. Był to młodo wyglądający mężczyzna, ubrany ze wspaniałą swobodą w soczyście brązowy tweed, z okrągłą, gładką, rumianą twarzą, o mocno przylizanych blond włosach, dość wylupiastych jasnoniebieskich oczach. Wskutek krzepkiej, masywnej budowy wydawał się niższy niż w rzeczy-

wistości i w sumie mógłby stanowić typowy okaz zdrowego, miłego, dość bezmyślnego przedstawiciela angielskiej płci brzydkiej, gdyby nie zmarszczki wokół ust i błysk znużonego, powątpiewającego humoru w oczach.

— Chcę panom przedstawić pana Sheldona Garretta — powiedział Anthony. — Panie Garrett, panowie Dyson i Flood.

W tej kolejności pierwszy mężczyzna skinął sępią głową; drugi postąpił naprzód, wyciągnął rękę, chwycił dłoń Garretta i mocno nią potrząsnął.

— Dyson i Flood będą nam pomagać — wyjaśnił Anthony. Popatrzył na nich obu. — A przynajmniej tego się spodziewam. Macie coś interesującego?

Dyson wykonał przeczący gest, opuszczając kąciki szerokich ust o wąskich wargach.

— Nic interesującego już nie ma — powiedział Flood.

— Siadajcie — poprosił Anthony — a dzięki mnie zmienicie ten pogląd.

Usiedli. Dyson opadł w róg wielkiego skórzanego fotela, jedną ręką przysłaniając okulary, a Flood, prosty i wymuskany, zajął krzesło o wysokim oparciu. Anthony zwrócił się do nich. Mówił krótko i jasno, niezmierną wagę przywiązując do szczegółów, ale wreszcie dobrnął do końca. Przyjrzawszy się swym gościom zapytał:

— No i jest coś interesującego? Napijecie się czegoś?

— Tak — powiedział Dyson nie odejmując ręki od twarzy. — I tak.

— A więc pierwszy krok to Ll Street? — odezwał się Flood. — Tak, chyba się napiję.

## 4

— Będzie mi potrzebny spis ulic — powiedział Dyson odejmując szklankę od ust. Flood skinął głową.

— Wszystko już zrobione — odrzekł Anthony. — Mam pięć alternatyw, jeśli idzie o ulice na „Ll”: Lloyd, Llewelyn i Llowndes — chociaż to zagadka, co taka nazwa tam robi — oraz Lowell i Laval.

Oklapnięta, długa postać Dysona jakby nagle z nieznanego źródła zaczerpnęła odżywcze soki; przed chwilą leżał bezwładnie, teraz już stał na nogach.

Flood podniósł się również. Wyjął lnianą chusteczkę, starannie otarł sobie usta i schował ją z powrotem. Dyson obserwował go. Bez słowa podeszli do drzwi, otworzyli je i zniknęli. Drzwi się za nimi zamknęły.

Garrett popatrzył na pana domu, unosząc brwi w zdumieniu.

— Dowiemy się... — powiedział Anthony. — Chciałbym teraz pokazać panu mojego synu.

## VIII

### 1

Mały, czyściutki samochodzik, jaskrawo-niebieski, z połyskującymi częściami metalowymi, skręcił od Hammersmith w Lloyd Street. Zawahał się na rogu, prześliznął wzdłuż lewego krawężnika, a po chwili przemknął przez jezdnię i powtórzył ten manewr. Jak gdyby odżywszy zdrowe zmysły, przejechał na właściwą stronę i pomrukując ruszył ulicą. U samego jej końca przystanął i wtedy wysiadł z niego młody człowiek w eleganckim ubraniu z brązowego tweedu. Rozejrzał się po ulicy i wzrok jego spoczął na drzwiach pierwszego domu; drzwiach niegdyś zielonych, ale teraz nieokreślonej barwy owijaczy, poznaczonej smugami szarżyzny tam, gdzie czas i deszcze całkowicie zmyły farbę.

Młody człowiek wbiegł po schodach. Z obu stron drzwi poszukał dzwonka, a nie znalazłszy go, chwycił kołatkę z kutego żelaza, zawieszoną na jednej tylko śrubie. Doleciał go głuchy dźwięk, więc czekał. Po minucie zakolała znowu i znowu czekał. Pochylił głowę ku drzwiom i zdawał się nasłuchiwać. Wyprostował się i zapukał z niemałą siłą, tym razem waląc zaciśniętą w kułak pięścią w rękawicze.

Nie doszedł go żaden odgłos, lecz wtem drzwi otwarły się z taką gwałtownością, że klamka po ich wewnętrznej stronie uderzyła w ścianę korytarza. Flood zamrugał powiekami i zobaczył stojącego w obramowaniu drzwi niskiego, przysadzistego mężczyznę w za obszernych granatowych spodniach i za ciasnej szarej koszuli. Spodni nie przytrzymał pasek ani szelki, więc nogawki spływały w dół słoniowatymi fałdami. Pozbawiona guzików koszula rozchyłała się na porośniętej gąszczem ryżych włosów ) piersi, a podwinięte rękawy odsłaniały parę niezwykle umięśnionych przedramion. W lewej dłoni mężczyzna dzierżył otwartą książkę; dzięki dużemu drukowi bystre oko Flooda ze zdumieniem rozpoznało łacińskie wiersze. Nad masywnym barkiem sterczała krótka szyja, ukryta prawie za wystrzępionym brzegiem jasnorudej brody, a spod krzaczastych brwi tego samego nieprawdopodobnego koloru ciskały błyskawicami groźne małe ślepka.

Flood z trudem zachował z góry przygotowany uśmiech.

— Czy pani Lamb jest w domu? — zapytał. Spoza brody dotarł głęboki, odległy głos:

— Nie!

Flood spróbował jeszcze raz, nadal się uśmiechając:

— A może panna Lamb?

— Nie!

Flood ulżył obolałym wargom. Powiedział z imponującą kurtuazją:

— Czy mam przyjemność mówić z panem Lamb?

— Nie!

Flood był wytrwały.

— Może potrafi mi pan powiedzieć, kiedy zastanę panią czy pannę Lamb?

— Nie! — Tym razem rozległ się już krzyk.

Flood nie ustępował, chociaż niejedną mężczyźna byłby się cofnął na jego miejscu. Ale uśmiech zniknął z jego twarzy.

— Czy nie wie pan? — zapytał.

Płomienie zdawały się strzelać spod nastroszonych rudych brwi. Broda poruszyła się, tym razem na tyle, że odsłoniła zęby niesłychanej wprost bieli. Spomiędzy nich wyrwało się jedno słowo:

— Nie!

Flood z uczuciem gracza w kardynały, który zamiast drewniak używa drobin amonali, obstawał przy swoim. Ale i on także zaczął mówić monosylabami.

— Dlaczego?

Postać w progu drgnęła. Cofnęła się o krok, podniosła prawą rękę wielką jak pęk bananów i wsparła ją na krawędzi drzwi. Kudłata broda wysunęła się nagle do przodu, a osłonięte nią wargi obnażyły się powtórnie. Wydo-  
był się z nich ryk.

— Bo tu nie mieszkają!

A potem ogłuszający trzask nappełnił Flooda obawą o ściany tego bliskiego ruiny domu. I znów stał zapatrzony w drzwi koloru owijaczy.

## 2

Listonosz zszedł po schodach domu numer dziewięć przy Lowell Street. Gdy znalazł się na chodniku, duży, hałaśliwy, ubłocony motocykl podjechał rysztokiem i zahamował koło niego.

— Oj! — powiedział motocyklista podpierając się nogą o krawężnik.

Wzrok listonosza przykuła para ogromnych rogowych okularów.

— Słucham? — zagadnął.

— Gdzie jest numer jeden? — spytał motocyklista. — Czy już zwalony?

— Lowell Street numer jeden? — zadumał się listonosz. — To „Czerwony Lew”, tam na rogu. Widzi pan, oni nie... — Pozostał w miejscu, zagapiony, a w uszach rozbrzmiały mu nieprzepisowe eksplozje z rury wydechowej...

W barze „Czerwony Lew” niewiasta obfitych kształtów z olimpijską łaskawością obsługiwała czterech przypadkowych gości, którzy popijali i gwarzyli swobodnie. Ponad tym wszystkim unosił się zapach piwa i nastrój spokoju, zakłócony nagle, w sposób brutalny, bez żadnego zgoła ostrzeżenia.

— Litości! — Bogini przyłożyła dłoń do wyniosłego łona. — A cóż to takiego?

Chudy mężczyzna uśmiechnął się pod wąsem.

— Jak Vimy! — powiedział.

Drzwi wahadłowe odskoczyły do środka, do baru zaś podeszła wysoka, chuda i pochylona postać, otulona brudnym płaszczem nieprzemakalnym. Spod wiekowego kapelusza wyzierały rogowe okulary nasadzone na groźny nos.

— Jedno gorzkie! — powiedział pan Francis Dyson kładąc pieniądze na ladzie.

Bogini obsłużyła go. Podniósł kufel, przytknął do ust i odstawił pusty.

— Dziękuję. Pani nazwisko Lamb? — zapytał.

— Co? — zdziwiła się bogini.

Dyson powtórzył pytanie.

— Paget — odparła bogini. — A na imię mi Doris. Chociaż co panu do tego, młody człowieku... — Zamilkła, ponieważ Dyson znajdował się już w połowie drogi do drzwi.

— Coś takiego! — powiedziała panna Paget, gdy drzwi zatrzaśniwały się za wychodzącym panem Dysonem.

We frontowej sali tegoż baru nie było innych gości w momencie pojawienia się tam Dysona.

— Jedno gorzkie! — powiedział, położył pieniądze i wziął kufel.

— Dziękuję! — rzekł, wypił i odstawił pusty kufel. — Pańskie nazwisko Lamb?

Zwracał się do wysokiego, zażywnego i wesołego mężczyzny, z zachowania i dostatniego wyglądu sądząc właściciela zakładu.

Poprzez ciemno połyskujący mahoń baru człowiek ten dobrodusznie spojrział na Dysona.

— Nie, proszę pana. Nazywam się Prescott. Alf Prescott... Nie, proszę pana, nikt tu nie nosi nazwiska Lamb. Ale, ale na Finchley Road jest przecież „Błękitny Orzeł”! To...

I nagle stwierdził, że ogląda oddalające się plecy pana Dysona.

### 3

Llewellyn Street jest bardzo mała, bardzo skromna i bardzo czyściutka. Liczy sobie wszystkiego dwadzieścia dwa domy. Kryje się dyskretnie między hałaśliwą Gunnersbury High Road z jednej strony, a łoskotem kolei z drugiej. Otaczają ją inne małe, wąskie uliczki, całkiem odrębne w charakterze, bo tak niechlujne i wrzaskliwe, jak Llewellyn Street jest cicha i pełna rezerwy. Llewellyn Street stanowi anomalię, lecz anomalię dziwnie pospolitą w rozrośniętym bezsensie Londynu.

Domy na Llewellyn Street to prostokątne pudełeczka z cegieł — ale oddzielone od chodnika wąskimi, ogrodzonymi skrawkami ogródków i właśnie te skrawki ogródków nadają ulicy specjalny charakter. Niektóre są wybrukowane kamieniami; inne rzeczywiście zielenią się trawą; niektóre wesołe, z porządnie ubitym żwirem, dokoła którego rosną krzewy, a nawet kwiaty. Widok Llewellyn Street — tak było w przypadku Flooda, gdy tu wjechał

niebieskim samochodzikiem z brudu i nędzy sąsiedniej Pettifer Road — radował zmysły, zarówno przez kontrast, jak i dla swych istotnych zalet.

Flood, sunąc wolno wzdłuż krawężnika i zerkając na czyste drzwi, zobaczył numer dwudziesty pierwszy z mośięzną kołatką, a potem biało wymalowany numer dziewiętnasty. Przycisnął prawą stopą pedał i samochodzik wyskoczył do przodu; zahamował dopiero przy ostatnim domu przed rogiem.

Flood wysiadł. Z przyjemnością popatrzył na numer pierwszy i podszedł do żelaznej furtki, którą od białych stopni prowadzących do drzwi oddzielał pas jaskrawozielonej trawy. Dwoma krokami znalazł się u podnóża schodów, a postawiwszy nogę na ostatnim stopniu, nacisnął dzwonek otoczony miedzianymi okuciami, lśnącymi w słońcu jak złote.

Spozą wyszorowanych drzwi dobiegło rażne pobrzękiwanie dzwonka; skrzypienie jakichś drzwi wewnątrz domu; szybkie kroki.

Drzwi się otwały. Flood uchylił kapelusza, a uśmiech tym razem nie sprawił mu trudu. Zobaczył młodą kobietę przyjemnie zharmonizowaną z Llewellyn Street w ogóle, zwłaszcza zaś z numerem pierwszym. Dość wysoka i dość smukła, ale nie koścista, miała bardzo niebieskie oczy spozierające z okrągłej twarzy, wesołej i milej, prosto w oczy Flooda. A włosy na gładko uczesanej głowce odbijały ciepłe blaski słońca.

— Panna Lamb? — zapyta! Flood tak, jak umiał najgrzeczniej.

Otwarła oczy troszkę szerzej, ale w dalszym ciągu bez przykrości patrzyła na gościa.

— To ja — odparła. A głos jej dobrze pasował do twarzy, figury i bieli odsłoniętych w uśmiechu zębów.

— Świetnie! — powiedział Flood z niewymuszoną serdecznością. Myślał szybko i po odrzuceniu dwu z góry naszykowanych historyjek w ciągu jednej sekundy zdecydował się na trzecią.



— Nazywam się Aston — rzekł zręcznie mieszając koleżeńskość z nieśmiałością. — Charles Aston. Z firmy Aston, Sparks i Aston. Jestem Aston młodszy. Jako adwokaci...

Niebieskie oczy stały się nieco mniej przyjazne.

— Czego pan chce? — zapytały usta.

Flood pośpieszył naprawić swój błąd.

— Niech pani nawet przez chwilę nie myśli, że moja wizyta oznacza jakąś przykrość, panno Lamb. — Ton okazał się dobrany rozsądnie. — Ale gdyby mogła mi pani poświęcić pięć minut, oddałaby pani tym samym wielką przysługę firmie i... no... — Szczerego młodszego wspólnika mitycznej firmy Aston, Sparks i Aston ogarnęło stosowne zakłopotanie. — I... no... chodzi mi o to, że firma bardzo by chętnie, w rzeczy samej... — Pan Aston stracił wątek i poszukał portfela.

Niebieskie oczy panny Lamb oczyściły się z podejrzeń.

— Chodzi panu o to — powiedziała — że mogłoby mi się to opłacić?

Młody pan Aston był wdzięczny. Zaśmiał się serdecznie.

— Otóż to!... Otóż to!

Panna Lamb, przekrzywiwszy na bok ładną główkę, dokonała krótkiego pokazu uprzejmości.

— Bardzo proszę, niech pan wejdzie do środka — zakończyła i odsunęła się na bok, a młody pan Aston, zdejmując wspaniałą brązowy kapelusz, przeszedł przez próg.

— Tutaj. — Panna Lamb wprowadziła go do jasnego pokoiku kompletnie zastawionego meblami. — Jedną chwileczkę — przeprosiła i znikła, zamykając za sobą drzwi.

Pan Aston drobnymi kroczkami przemierzał wolną przestrzeń między dwoma stolikami, fotelem na bieżunach i fisharmonią. Stał przed półką nad kominkiem i przerażony popatrzył na szklaną gablotkę, w której muszle morskie przyklepiono do pąsowego pluszu. Z jakichś głębin małego domku docierały głosy — ostry, lecz przy-

jemny w tonie głosu panny Lamb przeplatał się z niższym, ale też kobiecym pomrukiwaniem, bez wątpienia matczynym.

— Mówiłam matce — oświadczyła po powrocie. — Proszę, niech pan siada i czuje się jak u siebie w domu.

Pan Aston poczuł się jak u siebie w domu na krawędzi niepokojąco niewygodnego krzesła. Panna Lamb usadowiła się na wprost niego i położyła ręce na kolanach.

— A więc... — powiedziała.

Pan Aston rozpoczął swoją opowieść. Zaręcza pannie Lamb, że sprowadził go tu dość dziwny splot okoliczności. Po prostu przypadek. Panna Lamb jest właściwie zesłana mu przez niebiosa, jeśli tak można powiedzieć bez obrazy — a pan Aston był pewien, że można. I tak dalej, i tak dalej...

— Ale przechodząc do rzeczy. — Pan Aston przybrał nagle urzędowy ton. — Czy przypomina pani sobie jazdę autobusem numer 19H w niedzielę, osiemnastego bieżącego miesiąca?

— Prawdziwy z pana prawnik! Ale zastanówmy się. Niedziela osiemnastego; to w przyszłą niedzielę będzie dwa tygodnie.

— Otóż to — zapalił się pan Aston. — Numer 19H jadący w kierunku wschodnim.

— W kierunku wschodnim! — zawołała panna Lamb. — Nie jeżdżę z kompasami czy czymś takim...

— W stronę Notting Hill — wyjaśnił pan Aston. — Z pewnością pani pamięta.

— Tak — odparła panna Lamb. — Tak, pamiętam. Ja byłam... ale to nie ma nic do rzeczy.

— Chodzi o to — powiedział dobitnie pan Aston — czy spotkała pani kogoś w tym autobusie. Pamięta pani?

— Aha! Teraz rozumiem, do czego pan zmierza! — Panna Lamb przyjrzała się panu Astonowi dosyć podejrzliwie i odrzekła z wolna: — A załóżmy, że interesy moich przyjaciół mnie nie interesują. Załóżmy, że ja nie...

— Droga pani. Nie chcę, by pani choć przez chwilę sądziła, że oddając mi przysługę wyrządzi pani komuś krzywdę. — Uśmiechnął się otwarcie, po chłopięcemu, co wywołało zmianę w wyrazie twarzy gospodyni. — W gruncie rzeczy — ciągnął — mogę panią solennie zapewnić, że odda pani swojej przyjaciółce przysługę. A więc przypomina pani sobie spotkanie z przyjaciółką, prawda?

Panna Lamb nie odpowiedziała od razu, lecz obserwowała pana Astona, myśląc jednak o czym innym niż on. A potem niebieskie oczy przestały spozierać z roztargnieniem i powzięła decyzję.

— Wygląda pan nieszkodliwie — powiedziała. — Tak, dobrze pamiętam, że jechałam tym autobusem i spotkałam w nim Janet. Nie mogłabym tego zapomnieć. Wie pan, bardzośmy się kiedyś przyjaźniły, a nie widziałam jej coś ze dwa lata. I co z tego?

— Wspaniale! — wykrzyknął rozentuzjasmowany pan Aston. — Świetnie! A teraz, panno Lamb, powiem pani, dlaczego chcę nawiązać kontakt z pani przyjaciółką, a pani się przekonaj, czy oddała jej pani przysługę. I... no... — pan Aston odkaslnął — sobie prawdopodobnie również.

Spozywały na nim jak najbardziej przyjazne niebieskie oczy panny Lamb.

— Niechże pan to z siebie wreszcie wydusi — powiedziała.

## 4

Anthony Gethryn siedział w największym ze swych bibliotecznych foteli. Skrzyżował długie nogi, nad nim zaś unosiły się wonne chmury cygarowego dymu. Spod półprzymkniętych powiek śledził wiercącego się nerwowo gościa.

— Niech pan siada, człowieku — mówił — i uspokoi się. Wkrótce już będzie wiadomo.

— Przepraszam! — Sheldon Garrett zaśmiał się, zagłębił się w fotelu i popatrzył na gospodarza. — Zalażło mi to za skórę. — Zerwał się i znów zaczął przemierzać pokój.

— Czy naprawdę pan myśli, że ci dwaj czegoś się dowiedzą?

Anthony podniósł palec ruchem nakazującym milczenie i przechylił głowę w kierunku drzwi. Spoza nich dobiegł słaby odgłos kroków, a potem pukanie i słowa White'a:

— Pan Flood, proszę pana.

I wreszcie pojawił się Flood we własnej osobie. Z pozbawioną wyrazu twarzą skinął na powitanie Garrettowi, podszedł wolno do dużego biurka, wyjął z pudełka papierosa i zapalił.

— No i co? — zapytał Anthony.

Ręka Flooda powędrowała do bocznej kieszeni i wyciągnęła stamtąd kopertę. Flood odczytał na głos:

— Panna Janet Murch, opiekunka dzieci lady Baliister, 27 Roxburne Gardens, S.W.7.

Garrett zerwał się.

— Czy to?...

— Niech pan sam zobaczy — odparł Flood wręczając mu kopertę.

Garrett parokrotnie odczytywał te słowa; słowa napisane okrągłymi, uczniowskimi, dziewczęcymi literami.

— To adres właścicielki rękawiczki — wyjaśnił Flood.

— Mój Boże! — zawołał Garrett i usiadł.

— Proszę zobaczyć, co jest na odwrocie — powiedział Flood.

Garrett odwrócił kopertę. Z tyłu, tym samym charakterem pisma, zanotowany był drugi adres: „Pani Bellows, 148A Iron Court, Stockholm Lane”. Odczytał go na głos.

— Ciotka J. Murch — tłumaczył Flood. — A Stockholm Lane leży właśnie na trasie autobusowej 19H. Sprawunki miały być dla ciotki Bellows.

— Świetnie! — powiedział Garrett z szerokim uśmiechem. — Świetnie!

Anthony popatrzył na Flooda.

— Ulica Llowndes? Czy Lloyd?

— Llewellyn — odparł Flood. — Drugi strzał. Miał pan wiadomości od Dysona? — Uśmiech omal nie przepełnił jego twarzy.

Anthony wykonał przeczący gest.

— Odezwie się — stwierdził Flood, wciąż uśmiechnięty.

— Kim jest L. Lamb? — zapytał Garrett.

— Dziewczyną. Na imię ma Letty. Ładna. Tuż po dwudziestce. W dobrym gatunku. Pracowała z Janet Murch jakieś trzy lata temu. W autobusie spotkały się po raz pierwszy od tamtych czasów.

Garrett zmarszczył brwi.

— Jeśli to prawda, wydaje mi się, że chyba nie tego szukamy.

— Mój drogi, nie przypuszczał pan przecież, że zabijemy oba ptaszki pierwszym kamieniem, prawda? — zapytał Anthony.

— No... — wzruszył ramionami Garrett — to było możliwe.

Anthony uśmiechnął się...

— Ale piekielnie mało prawdopodobne. Kobiety, których rozmowę pan słyszał, znały się od dawna. Nie musiały zapisywać swoich adresów. Czyż nie mam racji?

Garrett potaknął.

— Stępiełem do reszty.

— Lamb jest w porządku — powiedział Flood. — Bardzo szczerza. I w niedzielę nie była w żadnej herbaciarni. Sprawdziłem to dla pewności.

Anthony wstał i wyciągnął się na całą długość.

— Wykluczywszy Lamb koncentrujemy się na Murch. — Skierował wzrok na Flooda. — Gdzież to ona pracuje?

— Janet dobrze sobie radzi. Jest pierwszorzędna. Pracuje u generał-majora sir Charlesa Ballistera, wie pan, tej grubej ryby w ministerstwie wojny — objaśnił Flood.

Z półki nad biurkiem Anthony wyciągnął czerwony opasły tom *Who's Who*.

— Jakim cudem pan to zrobił? — zapytał Garrett.

Flood z uśmiechem opowiedział o wizycie złożonej przez pana Charlesa Astona pannie Lamb.

— Kiedy się dowiedziała, że firma Aston, Sparks i Aston poszukuje Janet Murch, aby wypłacić jej spadek, Letty chętnie przyszła z pomocą — i dostała parę funtów, którymi młodszy wspólnik uważał za stosowne odwdzięczyć się za tę pomoc.

— Jest! — zawołał Anthony spoza *Who's Who*. — Ballister. Generał-major, sir Charles Montague. Ur. 1870... To nieważne... 1910 ożeniony z Alice, starszą córką państwa Fenton z Stoke Poges... To też nieważne... Jeden syn, dwie córki... nieważne... adres: 27 Roxburne Gardens S.W.7. — Zatrzasnął książkę. — I na tym, jak to się mówi, stanęło. — Spojrzał na Flooda. — Będą wiedzieli w redakcji „Sowy”?

Flood odwzajemnił mu spojrzenie.

— Co na przykład?

— W jakim wieku są dzieci. Cała trójka.

— Zapytać przez telefon?

Anthony wyraził zgodę.

— Niech pan posłucha — powiedział Garrett, niespodziewanie przenosząc wzrok na Flooda. — Nie mogę zrozumieć, w jaki sposób zdobył pan nazwisko tej kobiety.

Flood uśmiechnął się nie bez zadowolenia.

— Podać mi je Letty. Imię natychmiast. Miałem kilka paskudnych chwil, bo gdybym ją nakłaniał do zdradzenia nazwiska, wyszłoby na jaw, że ja go nie znam. Powtarzała w kółko Janet i Janet i troszkę utrudniała zadanie biednemu panu Astonowi... — Rozpromienił się pod wpływem tych wspomnień. — Ale biedny pan Aston ma chorą rękę. Nadwerżone ścięgna kciuka i palca wskazującego. Jakie to straszne! Letty jednak chętnie zapisała adresy Janet na tej kopercie.

— Och! — wybuchnął śmiechem Garrett. — To całkiem niezłe.

— Jeden syn, dwie córki — mruzczał Anthony pod nosem. — Nic by się nie stało, gdybym znał ich wiek.

— Przepraszam. — Flood obszedł biurko dokoła i podniósł słuchawkę telefonu. Mówił w nią coś tajemniczo przez parę minut, po czym wrócił na środek pokoju.

— Syn ma trzynaście; pojechał właśnie do Charterhouse. Jedna córka dziewięć, druga siedem — oznajmił.

Zapadło dłuższe milczenie. Anthony wpatrzył się w koniuszek swego cygara, Flood w podłogę, a Garrett wodził oczyma od jednej twarzy do drugiej.

Choć starał się nie przerywać ciszy, nie wytrzymał. Był podniesiony na duchu, a zarazem owładnięty żądzą czynu.

— Teraz to już łatwe, prawda? — zwrócił się do Anthony'ego.

Anthony nie spuszczał wzroku z koniuszka cygara.

— Może — odparł. — Potrzebne miłe, delikatne podejście.

Włożył do ust cygaro i usiadłszy na biurku sięgnął po słuchawkę.

## IX

### 1

Anthony Gethryn wszedł po sześciu niskich stopniach, które wiodły, między kolumnami portyku, do lśniących frontowych drzwi domu numer 27 przy Roxburne Gardens. Kiedy stanął na ostatnim schodku, w drzwiach pojawił się mężczyzna. Był mały i nie pasował do frontowych drzwi w tej dzielnicy; mały człowieczek w ciemnym, nieokreślonym ubraniu i źle wyszczotkowanym meloniku o numer za ciasnym. Miał dużą głowę i bladą twarz o ostrych rysach, niewyróżniającą się kształtem, ale przekrzywioną w specyficzny sposób na bok, co wskazywało, że zwykł odwracać ją od wszystkich razem i od każdego z osobna.

Minął Anthony'ego i zbiegł ze schodów z żwawym tupotem. Drzwi już się za nim zamykały, po czym szarpnięte rozwarły się na oścież, a w nich ukazał się postawny służący, z nienaganną maską na twarzy, i obejrzał Anthony'ego z przepisową mieszaniną powątpiewania, szacunku i docieklivosti.

— Lady Ballister — powiedział Anthony — spodziewa się mojej wizyty. Moje nazwisko Gethryn.

— Mężczyzna ustąpił na bok.

— Może zechce pan łaskawie wejść, sir...

W przestronnym, lecz smutnym hallu Anthony zdjął kapelusz, który odebrano mu z poprawnym szeptem. W ślad za szerokimi barami podążył przez całą długość hallu do biblioteki.

— Może zechce pan łaskawie zaczekać, sir. Powiem jaśnie pani...

Drzwi zamknęły się dyskretnie i Anthony został sam. Lubił obce pokoje. Interesowały go, a ten pokój nie stanowił wyjątku od reguły. Bardzo typowa biblioteka. Parę połyskliwych sreber. Setki książek, prawdopodobnie nigdy nieczytanych i z pewnością nudnych. Solidne biurko niecodziennej zgoła szpetoty. Skórzane fotele zachęcające w odwrotnym stosunku do swej pozornej wielkości i wygody. Mały ogień płonący czerwono na brzydkim ruszecie. Dwa zasłonięte francuskie okna, za którymi wyczuwało się zwykły, szary kensingtoński ogród. Staloryt przedstawiający bydło na wrzosowisku, zaskakująco dobra akwarela brygantyny pod wiatrem, sztywna, cudaczna olejna scenka z bazaru; w stylu Sergeanta utrzymany portret kobiety, która w naturze mogła być piękna; bardzo zła scena łowiecka. Na biurku, w srebrnej ramce, duża fotografia kobiety, być może tej samej co na portrecie. Na gzymsie kominka, między dwoma miedzianymi wyrobami z Benares, fotografia trojga dzieci — tyczkowanego chłopca w okularach, nienaturalnie upozowanego między dwiema pyzatymi, młodszymi dziewczynkami...

Drzwi otwarły się i do Anthony'ego podeszła kobieta



znana mu już z portretu i fotografii. Była wysoka i poruszała się z dyskretną gracją.

Wszyscy moi ludzie to służba — pomyślał Anthony i pośpieszył na jej spotkanie, tak manewrując, żeby światło padające przez zasłonięte francuskie okna spoczęło na jej twarzy, twarzy dobrej, o wiele lepszej niż na portrecie czy fotografii. Ocenił ją na oko, a także na podstawie wzmianki w *Who's Who* na trochę po czterdziestce. Jej ciemnych włosów nie przyprószyła siwizna, ale głębokie bruzdy biegły od nosa do ust. Cechowała ją bladość, jakaś świetlista, szarawa bladość, pewnie naturalna, ale pewnie też nietrwała i świeżo wywołana.

Przemówiła głosem tak cichym, jakby zdecydowana była zagłuszyć wewnętrzną niepewność:

— Pułkownik Gethryn?... Wspomniała mi Edith Carisbrooke...

Anthony skłonił się i wyciągnął rękę.

— Nie chciałbym sprawiać pani kłopotu, ale chyba zrozumie pani...

Ręka jego pozostała wyciągnięta. Tego nalegania nie dało się zlekceważyć i szczupła dłoń o długich palcach spoczęła wreszcie w jego dłoni; bardzo zimna ręka i jakby nieco drżąca.

Anthony zwolnił uścisk. Wiedział, że to on powinien teraz coś powiedzieć, ale milczał i zapadła niezręcznie się przeciągająca chwila ciszy.

— Musiałam niedokładnie zrozumieć Edith — zaczęła wreszcie kobieta. — Nie sprecyzowała, o co panu chodzi. — Jej usta ledwie przepuszczały słowa.

Anthony wybuchnął śmiechem.

— Bałem się, że pani może poczuć się zakłopotana.

To czysto domowa sprawa, ale może tym bardziej ważna.

— Był genialnie głupkowaty. — Tak naprawdę to powinna z panią pomówić moja żona. Ale leży w łóżku z katarem. Straszna pogoda w tym... Niepokoję panią w sprawie zasadniczej wagi, a mianowicie bony. Opiekunka mojego syna odchodzi. Wydaje się za męża — dziwna kobieta! — Śmiech jego był arcydziełem. — A zarówno żona,

jak i ja sam, proszę pani, niemal chorobliwie boimy się opiekunek. Aż tu Edith Carisbrooke w rozmowie z moją żoną wspomniała wczoraj, że ma pani nadzwyczajną opiekunkę do swoich dwu dziewczynek. Tak więc...

Pozwolił ostatniemu zdaniu się rozpląnąć. Chciał znowu zmusić te usta do formowania słów; chciał je obserwować i widzieć, czy w końcu nie przemogą czającego się za nimi postanowienia i nie zadrżą wyraźnie. Czekał zadumany — a ona przemówiła i usta jej nie zadrżały.

— Och!... Opiekunkę do dzieci? Tak. Rozumiem.

— Tak... tak. Janet jest bardzo dobra.

Urwała jakby w przekonaniu, że już udzieliła odpowiedzi. Na pół ukształtowane w głowie Anthony'ego poglądy musiały się rozwiać. Było dość oczywiste, że pani domu jest poruszona; że niedawno przeżyła wstrząs. Ale skoro najwyraźniej nie myślała o przedmiocie rozmowy, czyli o dzieciach, przyczyna tego wstrząsu nie leżała w kręgu zainteresowań pułkownika Gethryna.

— Przyszedłem tu właściwie po to — rzekł — by zamienić parę słów z tą znakomitą opiekunką. Edith Carisbrooke naprawdę była pod tak wielkim jej wrażeniem, że zastanawialiśmy się, czy ta dziewczyna nie mogłaby niejako doradzić nam kogoś dobrego. Bardzo to dziwna prośba, wiem doskonale, zawsze jednak powtarzam, że nie zawadzi zbyt ostrożność!

Spod wąskich, ciemnych brwi spojrzały na niego oczy pochłonięte innymi myślami. Lady Ballister ściągnęła brwi, jak gdyby usiłując się skupić, a w oczach jej zamigotał błysk.

— Pomówić z Janet? — zapytała. — Och, rozumiem, o co panu chodzi. Chce pan porozmawiać z opiekunką moich dzieci.

Anthony potaknął.

— Tak. O to mi chodzi. Chciałbym się dowiedzieć, czy nie ma przypadkiem siostry równie dobrej jak ona sama. Ha!

— Bardzo mi przykro, ale Janet odeszła.

— Ach! — zawołał Anthony, doświadczając pewnych kłopotów z zachowaniem dotychczasowej pozy. — „Rozumiem... — Wziął się w garść i jeszcze raz zdobył się na serdeczność. — To straszne! Straszne! A więc Edith Carisbrooke się myliła?

— Nie — odparł cichy głos. — Janet była znakomitą opiekunką. Znakomitą! — W głosie przebijał wysiłek, z jakim skupiała myśli. — Nie miałam jej nic do zarzucenia. Sama wymówiła parę dni temu. Odeszła wczoraj. Próbowałam nakłonić ją, żeby została; obiecałam podwyżkę, ale ona robiła wrażenie zdecydowanej...

Głos zamarł. Twarz pobladła jeszcze bardziej, jak gdyby do strachu dołączyło się zmęczenie.

— To okropne! — powtórzył pułkownik Gethryn. — Musiała znaleźć lepszą pracę. Albo lepszą w jej mniemaniu. Diabło niewdzięczna klasa ludzi! — Współczuł i płonął oburzeniem.

Kobieta podniosła dłoń do czoła i przesunęła po nim długimi palcami, jakby chcąc odegnąć ból.

— Nie mam pojęcia. W jej stłumionym głosie dźwięczał rozpaczliwy półton; jakby szykowała się do podjęcia wysiłku, który musi już być ostatni. Powiedziała głośniejszym głosem niż dotychczas: — Bardzo mi przykro, że nie mogłam panu pomóc. Nie mam nawet jej adresu.

— Dziękuję, dziękuję. — Pułkownik Gethryn zrozumiał, jak ma zareagować. Zaczął się wycofywać w kierunku drzwi. — Bardzo przepraszam, że na próżno sprawiłem pani kłopot.

Jej usta z trudem wykrzywiły się w uśmiechu. Mrużąc coś odprowadziła pułkownika Gethryna do drzwi.

Przez chwilę stali w hallu. Z jakichś zakamarków wynurzył się dostoyny służący niosąc kapelusz Gethryna. Pułkownik Gethryn wziął go i ponad nim uklonił się pani domu.

— Jeszcze raz dziękuję! I raz jeszcze przepraszam, że sprawiłem kłopot.

Kobieta nie spuszczała z niego zamglonego wzroku.

— Żałuję, że nie mogłam być bardziej pomocna — odparła. A potem, ostatni raz zdobywając się na grzeczność,

dodała: — Jeśliby pan zechciał z tego skorzystać, wiem o bardzo dobrej agencji. Przez nią dostałam Janet. — Ręka ponownie uniosła się do czoła i przeciągnęła po nim długimi palcami. — Nazywa się KJB. To niedaleko stąd. Na Brabazon Road, za Muzeum Morskim. Nie przypominam sobie numeru, ale... — I głos znów zamarł.

— Bardzo to uprzejmie z pani strony! Bardzo uprzejmie.

Pułkownik Gethryn skłonił się i przy wtórze dalszych przeproszań dotarł do drzwi, a stamtąd na dwór. Zbiegł po schodkach. Przy chodniku, o dwa domy dalej, czekał jego samochód. Zbliżył się długimi krokami i usiadł za kierownicą, obok Thomasa Sheldona Garretta. Powietrze w wozie gęste było od dymu z papierosów.

— I czego się pan dowiedział? — zapytał palacz z niecierpliwością. — Widział ją pan? Czy pan myśli?...

Anthony potrząsnął głową.

— Szach! — powiedział.

## 2

— Szach! — powtórzył w dwadzieścia pięć minut później, kiedy długi czarny wóz stał przy krawężniku przed sklepem spożywczym na rogu Stockholm Lane i Iron Court.

— Do diabła! — powiedział Garrett. — Ale dlaczego?

Anthony usadowił się za kierownicą.

— Bo pani Bellows, która na imię ma Martha i jest ciotką naszej panny Murch, już tu nie mieszka.

Na czole Garretta zarysowała się zmarszczka, a na jego twarz powrócił wyraz niepokoju, który nosił, gdy Avis Bellingham po raz pierwszy zabrała go na obiad do Stukeley Gardens.

— Powiedziałem szach, a nie szachmat. Proszę pamiętać o KJB — rzekł Anthony.

Garrett wzruszył ramionami.

— Agencja pewno nie na wiele się przyda.

Wsadził do ust papierosa, ale zapomniał go zapalić.

Anthony wrzucił pierwszy bieg i zaczął ostrożnie przedzierać się przez wąską, niemiłą i zatarasowaną Stockholm Lane.

Garrett ruchem głowy wskazał cel ich wyprawy.

— Nie było tam nikogo? Nikogo, kto by mógł powiedzieć...

— Było ich wielu i wszyscy mogli powiedzieć — przerwał mu Anthony. — Ale nie za dużo. Iron Court to coś, co wy byście nazwali czynszówką. Martha odnajmowała mieszkanie dwupokojowe. Na początku zeszłego tygodnia, we wtorek, Martha powiedziała swojej sąsiadce, pani Pettigrew, że „otrzymała list” i wyjeżdża. Według pani Pettigrew Martha była ogromnie podniecona. List musiał dotyczyć pieniędzy i, jak skłonna była sądzić pani Pettigrew, pochodził od krewnych. Z pewnością pociągał za sobą wyjazd do Szkocji. Martha spakowała manatki, zostawiła kufer pod pieczęcią dozorczy i odjechała z dwiema torbami taksówką. Słowo „taksówka” nie chciało przejść pani Pettigrew przez gardło; taksówki na Iron Court należą do rzadkości.

Umilkł, w skupieniu wyprowadzając samochód ze Stockholm Lane na szerszą, ale niemniej ponurą arterię — Goldhawk Road.

— I nie znają jej adresu? — zapytał Garrett. — Nie wiedzą nawet, w której części Szkocji miała zamiar przebywać?

Anthony potrząsnął głową.

— Jak dotąd nie wiedzą. Gdyby sypnąć dziesięcioszylingowymi banknotami i cały dzień temu poświęcić, może coś by się z nich wydostało. Ale, jak mówię, najpierw KJB. — Spojrzał z ukosa na swego pasażera. — Niech się pan rozweseli. Każdy dobry ruch grozi szachem.

Garrett uśmiechnął się nie bez trudu.

— Wiem.

Czarny samochód zanurzał się i wylaniał ze strumienia pojazdów. Dotarł do Hammersmith Broadway; został zatrzymany; zrobił okrążenie, wyskoczył na łatwiejszą drogę wzdłuż szerokiej Hammersmith Road, koło szkoły Św. Pawła i Olimpii, przemknął przez garbaty most na Addison Road i szybko wydostał się na przestronne ulice Kensingtonu, zmierzając ku szarym, brzydkim sylwetkom muzeów. Skręcił w lewo, później w prawo, potem znów w lewo i znalazł się w wąskiej, ślepej uliczce, nad której wschodnim krańcem dominował potężny masyw Muzeum Morskiego, a której północna i południowa strona obramowane były małymi wiktoriańskimi domkami o wyglądzie pełnym odrapanej dystynkcji.

Samochód zwolnił. Kierowca wychylił się przez okienko, kiedy wóz pełną wzdłuż lewego krawężnika. Zahałmował na wprost czwartego domu od końca. Nad drzwiami wisiła porządna wywieszka — białe litery na czarnej tablicy.

Garrett wykręcił szyję i przez szybę wozu odczytał napis: AGENCJA DOMOWA KJB.

Anthony wysiadł i ruszył ku tym drzwiom. Nacisnął guzik dzwonka, po czym z wnętrza domu dobiegło brzęczenie, ale nie rozległ się żaden inny odgłos. Znów zadzwonił i czekał, spoglądając na szyld. Po chwili rzucił okiem na zegarek i wolno wrócił do samochodu. Otworzył drzwiczki i raz jeszcze tego dnia usiadł obok swego pasażera.

— Szkoda. Już zamknięte — powiedział krótko.

### 3

Brabazon Street w jasnym słońcu wczesnego poranka znosiła swe odrapanie z pogodną przekorą; zdawała się mówić: taka-już-jestem-a-jak-ci-się-nie-podobam-możesz-

iść-do-diabła, nie w sposób obraźliwy, lecz przyjazny. Coś podobnego nie mogłoby istnieć w żadnym innym mieście poza Londynem i chyba samo o tym wiedziało. Obnosiło się z jakąś kogucią zadziornością, bezpieczne pod osłoną szarych spódnic muzeum. Było czyste, choć w ruinie, w oknach niektórych domków wisiały kolorowe zasłony, a na południowej stronie jedne frontowe drzwi świeżo pomalowano jaskrawą czerwienią. Przy końcu ślepej uliczki, tuż pod ścianą muzeum, rzecz zdumiewająca, dwa drzewa z wdziękiem unosiły się nad ulicą, a pod brązowym złotem ich gałęzi mały, biały piesek i wielki, rudy kot igrały przyjaźnie.

Garrett dojechał koleją podziemną do Brompton Road i kiedy zegar muzeum wydzwaniał za kwadrans dziesiątą, skręcił w Brabazon Street. Pomimo rozczarowań dnia ubiegłego spał bardzo dobrze; rozgrzał go teraz szybki, krótki marsz od stacji. Radował się porankiem, słońcem i Brabazon Street, świadomy miłego wewnętrznego podniecenia. Wczoraj był widzem, podczas gdy inni pracowali nad tym, co w gruncie rzeczy do niego należało; do niego prawem odkrywcy, prawem wytrwałości, prawem zapалу, zdecydowania i poświęcenia. Ale teraz, dzisiaj, on nad tym pracuje, podczas gdy tamci oczekują wiadomości od niego.

Wydłużył krok, machając laską, która wydawała się w Londynie czymś tak naturalnym, i zaczął pogwizdywać cicho, melodyjnie, acz niezbyt stosownie *Nowojorskie chodniki*.

Doszedł do środkowych drzwi po północnej stronie ulicy i przystanął pod czarną-białą tablicą, udając, że odczytuje napis, a jednocześnie przypominając sobie, czego będzie się musiał trzymać w rozmowie.

Odwrócił się do drzwi i stwierdził, że tego ranka są otwarte. Słowa: „Proszę wejść”, starannie wykaligrowane atramentem na białym kartoniku, widniały na prawo od drzwi. Posłuchał nakazu i wszedł do ciemnego, wąskiego hallu, pachnącego całkiem przyjemnie mydłem, linoleum i pastą do podłóg. Na wprost niego i drzwi

frontowych, za podnóżem schodów biegnących na lewo, znajdowały się drugie drzwi, z wypisanymi na szybcie z matowego szkła w górnej ich części słowami: „Informacje. Proszę wejść”.

Znów usłuchał i nad głową jego zadźwięczał dzwonek. Zamknął drzwi i rozejrzawszy się dokoła zobaczył wąski, biegnący przez całą szerokość domku pokój. Przez francuskie okno w głębi wpadał blask słońca, przywodziło też ono na myśl czysty, żwirowany ogródek. Na skromne umeblowanie składały się szafy na akta, dwa biureczka z maszynami do pisania i parę krzeseł. Pokój lśnił czystością. Na jednej z szaf stał wazon jaskrawych kwiatów. Ściany pomalowane były na kolor pierwiosnków, a na ruszcie kominka płonął wesoło niewielki ogień. Naprzeciw francuskiego okna dostrzegł drugie drzwi z szybką i czarnym napisem „Kierownik”. Tuż obok nich siedziała przy maszynie wdzięczna, puciołowata dziewczyna. Podniosła oczy, kiedy Garrett wszedł do pokoju, i posłała mu przyjazny, ale dobrze wystudiowany uśmiech. Garrett odchrząknął.

— Chciałem — powiedział — ja chciałem się dowiedzieć o opiekunki do dzieci...

Wyszła zza biurka, przesunawszy o pół cala jedno z krzeseł.

— Zechce pan usiąść? Zobaczę, czy pan Hines jest wolny.

Garrett rozglądał się po pustym, wesołym pokoju. Według amerykańskich pojęć tak mało przypominał on biuro — a jednak tak bardzo był biurem — że zasługiwał na uwagę. Dziewczyna znikła w gabinecie kierownika. Dobiegł stamtąd szmer głosów, a potem ukazała się znowu. Zostawiła drzwi otwarte i popatrzyła na Garretta.

Wstał i przeszedł do następnego pokoju, mniejszego, ale prawem kontrastu niemal luksusowego. Zza gładkiego mahoniowego biurka podniósł się mały człowieczek i gwałtownie skłonił głowę w powitalnym geście. Mógłby służyć za model jednego z braci Cheryble. Uprzejmym ruchem wskazał krzesło.



— Chciałem się dowiedzieć o opiekunkę do dzieci — mówił Garrett z rosnącym zapałem. — Rozumie pan, jestem Amerykaninem zamieszkałym w Londynie. Moja żona i córeczka przyjeżdżają w przyszłym tygodniu i mam wyraźne polecenie zdobyć jak najlepszą opiekunkę.

— Otóż to! Otóż to! — potaknął człowieczek. — Jeśli wolno mi tak powiedzieć, panie... panie... — Spoza połyskujących okularów pilnie obserwowała Garretta para jasnobrazowych oczu.

— Schumacher — odrzekł swobodnie Garrett. — Leslie Schumacher.

— I szuka pan opiekunki, panie Schumacher? — Człowieczek zatarł ręce. — Jeśli wolno mi tak powiedzieć, nie mógł pan lepiej trafić... Zaraz popatrzę! Zaraz popatrzę!

Wypielegnowaną białą ręką przyciągnął opasłą czarną księgę i zaczął przewracać jej kartki, nucąc wesoło pod nosem.

— Chwileczkę — przerwał mu Garrett. — Powinienem wytłumaczyć...

Oczy zamrugały ku niemu poprzez szkła.

— Jestem pewien, panie Schumacher, że będziemy w stanie pana zadowolić.

Garrett uśmiechnął się w przyływie sympatii do tej drobnej istoty.

— Sprawa wygląda tak, panie Hines — wyjaśnił. — Nie chodzi mi o opiekunkę w ogóle, tylko o jedną z nich, jeśli mnie pan rozumie.

— To znaczy?... — Okrągła główka przekrzywiła się na bok.

— Dokładnie to, co powiedziałem. Ma pan w swoich rejestrach pewną młodą kobietę, którą bardzo bym chciał zatrudnić. Nazywa się Murch. Janet Murch.

Pan Hines ściągnął wargi, a zmarszczka zadumy przecięła jego gładkie czoło.

— Murch? — rzekł jakby do siebie. — Murch?

— Janet Murch — odparł Garrett zdecydowanie.

— Nazwisko jest mi nieobce, panie Schumacher. Z pewnością nieobce. — Energicznie kiwał głową, przesu-  
wając białym kciukiem po ząbkowanym alfabecie księgi,  
by wreszcie znów ją otworzyć.

— Murch? — powtarzał pan Hines. — Murch...  
Murch... Ach! — Zatrzymał palec wskazujący u dołu stro-  
nicy. — No i mamy. Murch... Tak... hm... Tak... hm...  
Obecnie zatrudniona u lady Ballister. Żony jednego z  
naszych najślawniejszych żołnierzy, panie Schumacher.  
Obawiam się poważnie...

Garrett zmarszczył brwi. Zrobiło mu się słabo. Powie-  
dział dość ostrym tonem:

— Już nie jest tam zatrudniona. Wypowiedziała jakiś  
czas temu i niedawno odeszła. Myślałem...

Spozza okularów śledziły go zdumione oczy.

— Odeszła? Rzuciła taką posadę? Czy jest pan pewien,  
panie Schumacher? J a . . .

— Gdybym nie był pewien — uciał Garrett — to bym tu  
nie przychodził.

— Pst-pst!

Pan Hines wydawał się poruszony. Przycisnął dzwo-  
nek na biurku i po chwili u boku Garretta stanęła puc-  
łowata dziewczyna. Wysłuchawszy rozkazów znikła.

Wróciła po trzydziestu sekundach z wyciągiem z kar-  
toteki. Położyła fiszkę przed swym pracodawcą, który  
oglądał ją zmarszczony, wydając ciche piski.

— Nic tu nie ma! Nic nie ma! — stwierdził odsunawszy  
kartkę, po czym rozsiadł się w fotelu i przyjrzał swej po-  
mocnicy. — Murch nie telefonowała, panno Burns? —  
zapytał. — Nie dawała o sobie znać?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Nie, proszę pana.

Człowieczek był wytracony z równowagi.

— To dziwne! Dziwne! Czy mówiła pani?...

Spojrzał na nią pytająco, lecz dziewczyna znowu za-  
przezyła.

— Nie, proszę pana. Murch zapłaciła całą należną

prowiję już w marcu. Nowa opłata powinna nadejść trzeciego grudnia.

— Tst — powiedział pan Hines. — Tst! Tst! — Skinieniem pulchnej ręki kazał dziewczynie odejść. Popatrzył na Garretta z prawdziwym zakłopotaniem. — Przepraszam, panie Schumacher. Naprawdę bardzo mi przykro. Ale takie rzeczy się zdarzają. Co jakiś czas któraś z dziewcząt zrywa z naszą firmą... A teraz jeśli pan pozwoli, znajdę panu właśnie to, na czym panu zależy, chociaż Janet Murch wymknęła nam się z rąk.

Ponownie przyciągnął księgę i zaczął przebiegać palcem po kolumnach.

— Bardzo przepraszam — odezwał się Garrett — ale naprawdę zależy mi tylko na Janet Murch.

Pan Hines podniósł wzrok znad książki. Wzruszył tęgimi ramionami i rozłożył dłonie. Spoza lśniących szkieł łagodne brązowe oczy patrzyły na Garretta ze smutkiem.

— Jeszcze raz muszę pana przeprosić, panie Schumacher, ale słyszał pan, co mówiła moja sekretarka. Murch zrezygnowała z bardzo dobrej pracy nie radząc się nas, a co więcej, już do nas nie wróciła. Musimy wobec tego skreślić ją z naszych rejestrów.

Jego dobrotliwe usta zacisnęły się w wąską kreskę. Garrett poruszył się na krześle.

— Czy to znaczy, że nie może mi pan nawet podać jej adresu?

— No-no — zabrzmiała powątpiewająca odpowiedź.

Garrett pośpiesznie naprawił swój nietakt.

— Oczywiście będę nalegał, żeby pan przyjął opłatę za tę informację. — Lewą rękę uniósł wymownie w stronę prawej kieszeni kurtki. — Powiedzmy...

— Tst-tst! — powtórzył pan Hines ze zmienioną intonacją. — Naprawdę bardzo to ładnie z pańskiej strony! Ale niech mi wolno będzie zasugerować, że powinien pan znaleźć kogoś innego. Mamy w naszych rejestrach dużo dobrych dziewcząt. Wspaniałych dziewcząt. Nie chcę bynajmniej się chwalić, ale nie bez podstaw twierdzę, że — zwłaszcza jeśli idzie o opiekunki do dzieci — nasza firma

nie ma sobie równej w Londynie. Mogę to powiedzieć bez obawy, że mi ktoś zaprzeczy. — Jeszcze raz zajrzał do wciąż otwartej książki. — Widzę chociażby, całkiem przypadkowo, że mamy tu... w tej chwili niezajętą...

— Bardzo mi przykro — przerwał Garrett — ale naprawdę chciałbym odnaleźć Janet Murch.

Człowieczek z łoskotem zamknął książkę. Uśmiechnął się pokonany, ale nadal życzliwy.

— Adres Janet Murch? Bardzo proszę, panie Schumacher.

Nacisnął dzwonek, a kiedy poprosił pyzată dziewczynę o przyniesienie karty Murch, wróciła z nią niezwłocznie. Pan Hines poprawił okulary. Wziął kartę i odchrząknąwszy powiedział:

— Adres Murch, panie Schumacher, jest: U Bellows, 148A Iron Court, Stockholm Lane, W.

Odłożył fiszkę i ponad nią promiennie uśmiechnął się do gościa. Garrett jednak nie odwzajemnił uśmiechu. Ogarnęło go znane uczucie pustki. Znów był zagubiony. Pan Hines obserwował go z niepokojem.

— To na nic — rzekł po chwili. — Dostałem ten adres od lady Ballister. Wczoraj byłem tam, ale nie udało mi się skontaktować z Janet Murch. Pani Bellows to jej ciotka. Wyjechała dwa czy trzy dni temu, zwalniając mieszkanie.

— Tst-tst! — szepnął pan Hines i dodał: — O Boże! — Pogrążył się w zadumie, opierając łokcie na poręczach fotela i składając czubki rozcapierzonych palców. Wreszcie rzekł: — Doprawdy, panie Schumacher, nie chcę nalegać — mottem KJB jest nigdy nie nalegać na klienta — ale muszę zaproponować, zwłaszcza w tych okolicznościach, że jeśli pan pozwoli, poszukamy panu jakiejś innej młodej kobiety. Murch rzeczywiście zachowała się bardzo dziwnie i sędzę, że może ktoś spokojniejszy...

Garrett potrząsnął głową.

— Nie. Muszę jakoś nawiązać kontakt z tą Murch. — Zebrał się w garść. — Zobaczę, co się da zrobić. — Z trudem przesłał nad biurkiem uśmiech ku zażywej postaci

pana Hinesa. — Był pan bardzo uprzejmy. — Wstał. — Więcej niż uprzejmy. — Dotarł do drzwi, ścigany zmarzniętymi okrzykami małego człowieczka. Z dłonią na klamce odwrócił się. — Oczywiście — zapewnił z wysiłkiem — jeśli będę musiał zrezygnować z Murch, przyjdę wprost do pana.

Stanowczo zamknął drzwi i w chwilę później znalazł się znów na Brabazon Street. Ale teraz, choć słońce świeciło po staremu, ulica wydawała się tylko ponurym i brudnym zaułkiem.

## X

### 1

Sheldon Garrett przemierzył szybko hall „Savoyu” krokiem sprężystym i energicznym, z szerokim uśmiechem powitania na twarzy, Avis Bellingham jednak, już z fotela, w którym czekała, zobaczyła, że jest blady jak papier, mizerny, a oczy dziwnie mu błyszczą. Wyciągnęła do niego rękę, on zaś ujął ją w obie dłonie i pochyliwszy się dotknął jej wargami. Żrenice Avis rozszerzyły się lekko.

— Proszę! — powiedział Sheldon Garrett. — Proszę! Proszę!

Mówił głośniejszym niż zwykle i nie wypuszczał jej obciążonej rękawiczką dłoni.

— Tom! — Avis Bellingham patrzyła na niego uważnie. — Jesteś zalany!

Puścił jej rękę i wykonał szeroki gest.

— Szydzisz z człowieka, który dziś zaglądał śmierci w ślepie.

Avis nadal obserwowała go z powagą.

— Mam ochotę na lunch — powiedziała.

Przeszli ramię w ramię do baru, a Garrett gadał i gadał. Nie przerwał potoku wymowy nawet wówczas, gdy usiedli przy narożnym stoliku, i w powodzi słów zamówił posiłek.

Avis Bellingham spojrzała na spis cocktailów.

— Napiję się chyba tego co ty.

Mimo dość troskliwego tonu leciutka zmarszczka za gościła między jej oczami, które, wciąż z pewnym zdumieniem spoczywały na Sheldonie Garrettcie.

— Doskonale — odrzekł. — Możesz pić, ile ci się podoba, ale nie to co ja. O nie! — Wysączył resztę alkoholu i odstawił szklankę. — Widzisz, kochanie, jaki jestem roztrzęsiony! Kłębek nerwów! Zaledwie godzinę temu omal nie wpadłem w objęcia Kostuchy...

— Tom! — przerwała mu ostro. — O czymże ty mówisz?

Machnął ręką w stronę okien, za którymi, miast światła dziennego, które powinno panować o tej godzinie, unosił się szarawożółty opar.

— Mgła — powiedział. — Londyńska mgła. Wróg automobilisty, przyjaciel doktora, podpora amerykańskiego powieściopisarza. Przypatrz się Sheldonowi Garrettowi we własnej osobie, na parę chwil przed południem chwytającemu tęgą laskę i zanurzającemu się w wieczną noc. Zauważ, jak powoli, lecz dzielnie posuwa się StranDEM, a później krętymi i ciemnymi uliczkami dochodzi wreszcie do teatru...

— Jakiego teatru? — zapytała Avis.

Garrett zdumiał się.

— Jakiego teatru? Jeden jest tylko teatr. Cała reszta to budy komedianów. Teatr, gdzie wystawiają obecnie arcydzieło Thomasa Sheldona Garretta.

Podniósł do ust szklankę świeżo napełnioną przez kelnera, wypił i odstawił prawie pustą.

— Porzuciliśmy naszego bohatera, kiedy walczył z mgłą. Walczymy z nim wspólnie, gdy kołysząc się idzie beztrąsko aż do wąskiego zaułka, w który się musi pogrążyć, aby dotrzeć do wejścia dla aktorów tego jednego jedynego teatru. Czy dociera tam bez niepożądanego incy-

dentu? Nie, bo Śmierć próbuje zagrozić mu drogę! Nad drzwiami wzniesiono rusztowanie i stojący na nim rośli mężczyźni w zachlapanych spodniach już od wielu tygodni usiłują wymienić trzy cegły i belkę. Dzisiaj rośli mężczyźni nie pracowali, bo mgła im szkodzi na płuca. Lecz w czasie ich nieobecności coś niepożądanego wydarzyło się na rusztowaniu, tak dalece niepożądanego, że gdy nasz bohater, nucąc turyńską piosenkę, miał właśnie przejść pod nim, z góry dobiegł go rozdzierający, przesywający, podobny do łoskotu lawiny odgłos, po czym z wysokości jakichś czterech metrów zwała się ogromna kłoda drewna!... Zwykły śmiertelnik musiałby zostać unicestwiony. Ale nie nasz bohater: rączy jak kozica, wydał przenikliwy okrzyk i uskoczył. Belka trafiła w miejsce, gdzie stał uprzednio, strącając mu po drodze kapelusz i — a jakże! — rozłupując płytę chodnika... Jeśli podoba ci się ta historyjka, opowiedz ją przyjaciółom. W naszym następnym numerze oczekujcie nowej przygody Sheldona Garretta...

Avis Bellingham popatrzyła znad własnego pustego talerza na pełny talerz Garretta.

— Może jednak coś zjesz?

Garrett chwycił nóż i widelec.

— I tylko tak — powiedział z goryczą — na to reagujesz.

Ale zaczął jeść i wreszcie umilkł. Avis oparła łokcie na stole, a brodę na dłoniach i nie spuszczała z niego wzroku. Odezwała się po pewnym czasie.

— Wiem, co się z tobą dzieje. Oprócz tego, że jesteś pijany.

Garrett odłożył sztućce.

— Nie jestem pijany! Nigdy się nie zalewam! I nic się ze mną nie dzieje.

— Jedz! — powiedziała. — Według mnie coś się poplątało z tą twoją... zagadką. Siedzimy razem już prawie godzinę, a jeszcze o niej nie wspomniałeś. I chyba nie tylko dlatego, że coś o mało nie spadło ci na głowę, tak dużo piłeś z samego rana.

Garrett milczał i uśmiechał się, ale krzywo.

— Nic się nie poplątało z moją „zagadką”, jak ty to nazywasz. Nic a nic! Jakby to było możliwe, skoro cała sprawa spoczywa w kompetentnych rękach pułkownika Gethryna? Nie, nic się nie poplątało poza tym, że nawet znając nazwisko tej kobiety, nie potrafimy stwierdzić, gdzie ona przebywa, ani trafić na kogoś, kto by coś o niej wiedział! Nie, nic się nie poplątało! A nawet gdyby się poplątało, czegoż miałbym się martwić? Jak Mehitabel wziąłem sobie za motto: *Toujours gai!*

Po raz pierwszy niebieskie oczy Avis Bellingham utraciły swój na pół badawczy, na pół zdumiony wyraz.

— Och, Tom! Tak mi przykro! Ale to przypuszczalnie chwilowa przeszkoda, a ręce Anthony'ego Gethryna naprawdę są kompetentne. Więcej niż kompetentne. Jak już raz coś podobnego zaczął, nie spocznie. Mogę się z tobą założyć, że działa i teraz, w tej minucie!

Garrett spoważniał.

— W tej minucie czeka. Nic więcej zrobić nie może.

Mamy jeden ślad i tylko ten jeden. Gdzieś w Szkocji być może przebywa stara ciotka tej Murch. Gethryn udzielił co do niej wskazówek... — Na twarz jego powrócił uśmiech. — Nie złapią jej oczywiście. Ale co z tego, u diabła, jeśli jej nie złapią? *Toujours gai!*

## 2

Kawę pili w saloniku Garretta. Z zewnątrz na szyby napierała mgła, szarozółta i ciężka, niespłoszona przez światła lamp.

— Napijesz się brandy? — zapytał Garrett wyciągając z szafki dwie wielkie szklane bańki i omszałą butelkę.

Gość potrząsnął głową.

— Smaczna jest, moja droga! — powiedział Garrett.

Chlusnął ciemnozłotym płynem do obu kieliszków. Avis Bellingham siedziała wyprostowana.



— Nie chcę pić — rzekła. — I ty także.

Garrett przysiadł na krawędzi stołu. Ujął kieliszek w złożone ręce i zaczął delikatnie obracać go w stulonych dłoniach.

— Niestety, w tym ostatnim się mylisz! — odparł. — Ale wyglądasz przy tym cudownie; tak mało kobiet potrafi się złościć, nie mieć racji i jednocześnie wyglądać uroczo!

Podniósł kieliszek, chłonąc woń koniaku, i przytknął go do ust.

— Nie bardzo podobasz mi się w tym stanie. — Usta Avis uśmiechały się, ale oczy pozostały poważne. — Mogę tylko żywić nadzieję, że nie miał racji ten, kto powiedział: *in vino veritas...* — Pochyliła się do przodu. — Tom, tak cię proszę, bądź grzeczny!

— Grzeczny? — powtórzył Garrett. — Grzeczny! Co za słowo! Ale wiem, o co ci chodzi! Czyż nie byłem grzeczny? Czyż teraz nie jestem grzeczny? Czyż dalej nie będę grzeczny? — Wysączył koniak, odstawił kieliszek i wziął drugi. — Grzeczny! — A podnosząc do warg trunek dodał: — Toast! toast! Za twojego męża. Niech go Pan Bóg... chciałem powiedzieć, błogosławi!

Drgnęła. Pogodny wyraz, który usiłowała zachować na twarzy, został z niej starty. Popatrzyła na Garretta trudnym do odparcia wzrokiem i rzekła nadając głosowi dziwną intonację:

— Nigdy dotąd nie wspominałeś George'a. Czy wiesz o tym, Tom? A odkąd złożyłeś mi tę wizytę w moim mieszkaniu, my...

— Nie mówmy o tym człowieku! — przerwał odejmując kieliszek od ust. — Przez niego staję się sztuczny. Ilekroć na ciebie popatrzę, jego widmo, mamrocząc, jawi się przede mną! Ilekroć podążam za szelestem twych sukni, a serce wali mi w piersiach, czuję, jak mnie to trapi! Jestem jak ktoś, kto nie odwraca już głowy, bo wie, że stąpa za nim Zły Demon!... Otóż to!... Jakże ja nie znoszę tego człowieka! Moje nowoangielskie sumienie obdarza go potęgą, której ma żądza zaprzecza! Jestem na rogach Dylematu — zobacz pod Zoo. Jestem biedakiem, i w dodatku nie do siebie należę. Moje serce jest twoim, możesz

po nim deptać i nie ośmielam się — nie ośmieliłbym się!  
— rzucić ci go pod nogi!

— Tom — rozkazała Avis ostro. — Bądźże już cicho!

Sięgnął po stojącą na stole butelkę, chlusnął sobie do kieliszka i wychylił go.

— I w ten sposób — stwierdziła Avis — nie pije się dobrej brandy. Jeśli już musisz żłopać, rób to przynajmniej jak džentelmen!

Szybko wyrzucała z siebie te słowa, równie błada jak on. Odstawił kieliszek i z melodramatyczną pokorą ukląkł przed nią na jedno kolano. Rzekł, zacinając się z lekka:

— Wylej na mnie kubel pogardy! Wieszaj na mnie psy! Wyszydź mą beznadziejną miłość! Przepadam za tym, jestem masochistą! — Wyciągnął ku niej dłonie w tradycyjnym geście błagania. — Kocham cię, o pani! Ja...

Avis Bellingham wstała. Twarz miała zupełnie białą, a niebieskie oczy pod lśniącą, połyskliwą warstwą płonęły.

— Niech cię diabli! Nienawidzę cię! — powiedziała.

Garrett tkwił zapatrzonej w drzwi, a ich trzask rozbrzmiewał mu w uszach.

### 3

Anthony Gethryn podniósł słuchawkę.

— Jak go złapiesz — powiedział Lucy — zaprosz go na obiad.

Anthony, rzucając krótkie „halo” do telefonu, mruknął przez ramię.

— Łapię go.

Czekał chwilę.

— A ja nie zaproszę Avis — dokończyła Lucy.

Anthony znów się odwrócił.

— Dlaczego?

— Z powody mgły. I są zakochani, ale tego niepewni — a przynajmniej on, z jakiegoś tam powodu.

— Czy się przypadkiem nie mylisz? — zapytał Anthony i już mówił w słuchawkę: — Ach, to pan, panie Garrett. Tu Gethryn... Zje pan z nami obiad?... Tak, proszę... Jeszcze nic nie ma, ale może być... Co?... Tak, jeśli mgła nie zrzędzie, niech pan przyjeżdża metrem. Ze Strandu do Knightsbridge. Po wyjściu ze stacji... — Udzieliwszy szczegółowych wskazówek rozłączył się i obrócił fotel ku żonie. — Obraz dramaturga w przypiływie melancholii — powiedział.

A było to pięć minut po piątej.

## 4

Za kwadrans siódma Garrett przez środkowe drzwi „Savoyu” wy dostał się na dziedziniec. Mgła zgęstniała, powietrze było chłodne i nie wiał najlżejszy wietrzyk. Latarnie, jasne okna hotelu i oświetlony portyk małego teatrzyku nie rozpraszały ciemności, rzęda w nich tylko szarawożółta zasłona, myśląc ludzi, którzy ludzili się, że w świetle tym coś zobaczą.

Zimne a ostre ukłucia w nos i gardło kazały Garrettowi otulić usta szalikiem. Ręce wetknął głęboko w kieszenie płaszcza i powoli ruszył ku latarniom Strandu — żółtym kręgom poza zasłoną. Minął portyk teatru i wzdłuż ściany dotarł do szerokiego chodnika, po czym skręcił w lewo. Sunął teraz z mniejszym trudem. Jezdnia wprawdzie zatłoczona była długimi rzędami monstrualnych sylwetek pełznących w kierunku wschodnim i zachodnim, ale na chodnikach niemal nie spotykało się pieszych. Pilnie licząc przecznice i tylko dwukrotnie przystając, by uniknąć zderzenia z innymi ludźmi, dobrnął bezpiecznie do John Street, a potem, ocierając się lewym ramieniem o sztachety, z chwalebnią szybkością zszedł ze wzniesienia na Villiers Street i przeciąwszy jezdnię znalazł się na stacji Strand.

Trafiał do kasy, kupił bilet i zanurzył się pod ziemię. Po

raz pierwszy odczuł tę wdzięczność dla twórców metra, tak dobrze znaną przeciętnemu londyńczykowi. Rurowate, wyłożone kafelkami królikarnie były jasne, równomiernie ogrzane i nic tu nie ograniczało widoczności. Podziemia metra zapełniał tłum mężczyzn i kobiet — całym realnych, stąpających pewnie, a nie bladych, tajemniczych i błędzących jak widma.

Garrett spacerował drobnymi, posuwistymi krokami przy końcu korytarza prowadzącego na peron, a zewsząd napierali nań bliźni. Miał wizję podziemnego miasta; wizję ludzi, którzy kierując się borsuczym rozsądkiem i poczuciem bezpieczeństwa, zamieszkali pod powierzchnią nieprzyjaznego świata, z przekonaniem, że można go odwieść tylko w poszukiwaniu przygód.

Przeszedł na czarny od ludzi peron i z własnej chęci, a także pod wpływem nacisku tłumu posuwał się naprzód. Przed nim widniała niewielka wolna przestrzeń na krawędzi peronu. Upatrzył dla siebie miejsce i dotarł tam długimi krokami. Żył nadzieję, że kiedy pociąg nadejdzie, *t* zlituje się nad nim i ustawi drzwiami na wprost niego. Bezmyślnie spojrzął w prawo, na oświetloną tablicę. Czuł, że jeszcze tego brakowało w tym niefortunnym dniu, by następny pociąg nie przystawał na Knightsbridge, ale kiedy litery na tablicy rozblęsnęły, stwierdził, że przynajmniej w tym dopisało mu szczęście.

Czekał... W oddali nabrzmiewał głuchy łoskot. Jeszcze więcej ludzi napływało z korytarzy na perony... Jakieś nieokreślone, podświadome przeczucie mówiło mu, że jeśli drzwi nadjeżdżającego pociągu nie otworzą się na wprost niego, będzie musiał wsiadać przy użyciu siły. Nagle na pierwszy plan wysunęło się pragnienie, by tym samym pociągiem, którego ryk przybierał na sile, pojechać nie w stronę Stukeley Gardens, ale do wielkiego budynku z szarego kamienia, gdzie bardzo realna pośród setki rzeczy nierealnych przebywała Avis w swym małym mieszkaniu...

W crescendo upiornego hałasu pociąg wypadł z tunelu. Niedostrzegalnie zwolniwszy pędu wśliznął się z gwizdem na stację. Tłum drgnął; przebiegł przez niego pomruk,

zaszurały nogi. Przypominał dzikie zwierzę, które wstaje ze snu, pręży się i gotuje do skoku.

I właśnie wtedy, kiedy dwa rozjarzone światła na przedzie pociągu nieomal się z nim zrównały, za Garrettem, wśród ogólnego poruszenia, powstał gwałtowny rozgardiasz: krótki ostry krzyk; lekki brzęk; nagle, mocne uderzenie po jego ramionach i plecach. Palcami nóg dotykał bez mała skraju peronu. Nic nie oddzielało go od zięjącego koryta, którego spodem biegły szyny. A tuż za nim, spychanym w to koryto, majaczył przód potwora.

Do dziś nie wie — tak samo zresztą jak i ludzie, którzy go otaczali — jakim sposobem jego umysł zdołał w tak nieskończenie drobnym ułamku sekundy przekazać ciału sygnał do napięcia wszystkich mięśni i ścięgien i oparcia się własnemu napędowi. Ale na poły cudem zaparł się piętami w beton peronu i szarpnął w bok i do tyłu. Rozpostarł ramiona, chwytając za miękkie zwierzęce futro. Osunął się na kolano. Poczł podmuch wywołany przez pierwszy wagon. Uszy jego wypełnił zgrzyt hamulców. Przed oczyma rozesała się czarna mgła; mgła, która zasnęła mu także myśli i rozwiała się dopiero wówczas, gdy Garrett stwierdził, że siedzi w rogu ławki długiego, zatłoczonego przedziału. Wszystkie miejsca były zajęte, a pośrodku stali mężczyźni i kobiety, którzy, by ratować się przed kołysaniem i szarpaniem pociągu, trzymali za skórzane pętle, zawieszzone na stalowych prętach. Nie wiedział, jak tu wszedł i jak znalazł to miejsce. Popatrzył na swoje dłonie. W jednej ścisnął kłaczek szarawego futra. Strząsnął go drugą ręką i zauważył, że obie drżą, a na lewej widnieje długie, krwawe zadraśnięcie. Wyciągnął chustkę prawą ręką i przytknął ją do rany. Odzyskał słuch. Uświadomił sobie podniecony szmer głosów dookoła; dochodziły z boku z góry, gdzie dwóch mężczyzn uczepionych skórzanych pasów kołysało się w rytm ruchów pociągu. Obrócił głowę z dziwnym trudem. Przez rozdzielającą ich poręcz przelewała się ku niemu tęga kobieta w średnim wieku. Jej okrągła twarz, choć zgodnie z wszelkimi regułami powinna być mocno zaróżowiona,

była szara i ściągnięta. Otulało ją futro z pięknych popielic. Mówiła piskliwie do dwu stojących mężczyzn — wysokiego truposzowatego oraz niskiego sangwinika. Wykrzykiwała słowa na cały głos, żeby nie mógł ich zagłuszyć ryk pociągu. Oni też rozmawiali z podnieceniem. Wszyscy troje wyrzaskiwali słowa; próbowali przekrzywić nie tylko pociąg, ale i siebie nawzajem. Zaczął chwycić okruchy rozmowy... Isty cud!... Ktoś upuścił laskę; najpierw poczułem, że lecę w przód!... Musiał go pan popchnąć od tyłu!... Myślałem, że nic nie powstrzyma go od upadku!... Dobrze, że nie jestem z tych szczupłych kobiet!... Niewiele brakowało, a stałoby się nieszczęście!...

— Wiecie państwo! — powiedział Garrett i zdumiał go własny dziwaczny skrzek. — Wiecie!

Kobieta spojrzała na niego z twarzą pokrywającą się rumieńcem. Była to miła, pogodna twarz.

— Lepiej się pan czuje? — spytała. — To dobrze! Wielki z pana szczęściarz?

Garrett nie spuszczał wzroku z rękawa szarego futra. Koło ramienia widniał łysy skrawek. Przypomniawszy sobie sierść ściskaną w dłoni, rzekł:

— Gdyby nie pani, byłbym poleciał.

Błysnęła w uśmiechu wspaniałymi zębami.

— Mówiłam przed chwilą, jak to dobrze, że nie jestem z tych szczupłych kobiet! Gdybym tam ważyła kilkanaście kilo mniej, nie byłby pan tu z nami...

— Pani futro... — zaczął Garrett. — Ja...

— Niech się pan nie przejmuję. Jest stare i do tego ubezpieczone.

Jeszcze raz zaśmiała się przyjaźnie, radośnie. Garrett poczuł się lepiej.

— Co to było? — zapytał.

Teraz do rozmowy włączyli się dwaj zawieszeni na pasach mężczyźni.

— To ja pana pchnąłem — westchnął wysoki truposz.

— Ale jego popchnięto od tyłu — pośpieszył z wyjaśnieniem tęgi, sangwiczny towarzysz pierwszego. — Sta-

łem tuż koło pana. — Spojrzał na Garretta. — Ktoś gdzieś za tym panem upuścił laskę i próbując ją chwycić stracił widocznie równowagę i wpadł na tego pana, a ten pan, rzecz oczywista, wpadł na pana... Ho, ho! Niewiele już panu brakowało!

## 5

Garrett szedł korytarzem w stronę wind na stacji Kinightsbridge. Drażniły go własne nogi, takie niepewne. Po drodze dumął. Zły dzień! Paskudna pogoda! Kłody drewna spadają prawie na człowieka! Głupcy na zatłoczonych peronach upuszczają laski i niemal wpychają człowieka pod pociąg! Oczywiście musi kupić nowe futro z popielic — i to nietypowy rozmiar. A do tego rozczarowanie, bo tory, które tak nieomylnie zdawały się prowadzić do Janet Murch, okazały się ślepyimi torami. Potworne wspomnienia o synku siostry, a żony Barry'ego Hendrickse-na... Wszystko to i coś jeszcze; coś, co nieustannie, wbrew woli wysuwa się w myślach na pierwszy plan. To coś dotyczy głupca, który pozwala, by rozczarowanie i zła pogoda, i nieprzyjemne zdarzenie doprowadziły go do bezprzykładnego spożycia alkoholu; głupca, który zachowuje się jak gburowaty, zarozumiały uczeń w stosunku do najbardziej uroczej kobiety na świecie!

Zatłoczona winda uniosła go w górę, pod arkady stacji Kinightsbridge, gdzie jeszcze raz uderzył go w nozdrza wstrętny, cierpki odór mgły, gęstszej nawet niż na Strandzie. Jeźdźnię tarasowały rzędy nieruchomych pojazdów, których światła tylko podkreślały ich bezradność. Czerwone błyski policyjnych latarek przesywały żółtą zasłonę. Dochodziły jakieś odgłosy, ale stłumione i nierealne. Miasto tu w górze było wymarłe i pełne bezużytecznych zjaw; jedynie pod ziemią istniały światła i wygoda, i celowy ruch...

Po trzech krokach od wyjścia ze stacji otoczyła go nieprzenikniona mgła. Otulił szalikiem nos i usta, naciągnął na czoło rondo czarnego, miękkiego kapelusza. Podniósł, rękę; na odległość ramienia nie widział już dłoni. Przystanął. Na wspomnienie ciepłych, jasno oświetlonych podziemnych królikarni poczuł chęć, by zanurzyć się w nich z powrotem.

Wpadła na niego idąca po omacku kobieta; wymamrotała słowa przeprosin i okręciwszy się wkoło zniknęła.

— No, dalej! — powiedział Garrett do siebie. Kierował się dotykiem, świadomie obojętny na wszystko poza celem swej podróży. Najpierw tym chodnikiem. Potem druga ulica na prawo. Potem do pierwszego skrzyżowania. Później skręcić, przejść przez jezdnię i iść dalej przez czarnicę, aż do Stukeley Gardens. Następnie do pierwszego narożnika, a tuż po drugiej stronie ulicy będzie numer 19A.

Z trudem posuwał się naprzód. Raz skręcił niewłaściwie, ale miał tyle szczęścia, że wpadł na policjanta. Wysłuchawszy jego wskazówek cofnął się i odnalazł pożądaną przecznicę, by po nieporadnej przeprawie przez jezdnię wylądować w Stukeley Gardens.

Przyśpieszył kroku. Albo mgła zrzędła, albo nagi chodnik i wytyczające drogę sztachety ułatwiały marsz. Przy pierwszym narożniku oderwał się od przyjaznego żelaza, skręcił w lewo i zszedł na jezdnię.

Ostrożnie powłóczył nogami, piekącymi oczyma usiłując przewiercić żółty mrok. Tu gdzieś będzie krawężnik, a jeśli go nie dostrzeże, może upaść. Nie chciał upaść. Całe jego obolałe ciało buntowało się na samą myśl o upadku. Widzi krawężnik. Westchnąwszy z ulgą, uniósł nogę i stąpnął na chodnik.

Zza pleców dobiegł go słaby odgłos. A potem coś spadło mu na tył głowy ze straszliwą, druzgocącą siłą.

W głębi oczu rozbłysło nagle jasnożółte światło i zgasło w ciemności. Z gardła wydarł mu się pomruk, runął na twarz i przekręciwszy się leżał bez ruchu.



## 6

White odchylił kotarę w głębi hallu na parterze domu pułkownika Gethryna. Podszedł do skrzyni z bretońskiego dębu, stojącej na prawo, koło drzwi frontowych. Miał nadzieję, że listów nie będzie. Ale były — aż cztery. Wszystkie ze znaczkami i zaadresowane.

White westchnął. Na jego kwadratowej, czysto ogolonej twarzy usta złożyły się do soczystego żołnierskiego przekleństwa. Wziął listy i otworzywszy frontowe drzwi wykrzywił się w stronę mgły. Podniósł kołnierz marynarki, po czym ostrożnie zszedł ze schodów i po płytach chodnika zmierzał do furtki. Marszczył się, mrużąc oczy, w które kąsało wilgotne powietrze, i oddychał z zamkniętymi ustami, jakby obrządzał konia. Wreszcie znalazł się na ulicy. Z niesmakiem myślał o dziewięćdziesięciu metrach dzielących go od narożnej skrzynki. Zatrzasnął za sobą furtkę, skreślił w prawo i ruszył naprzód.

Nie uszedł pięciu metrów, kiedy się potknął, nadepnąwszy prawą nogą na coś miękkiego i ciężkiego.

— Cóż, u diabła? — powiedział White i schylił się, by zobaczyć.

Ciało leżało twarzą do ziemi, skrecone, z jednym ramieniem wyrzuconym za głowę i podkurczoną jedną nogą. Sądząc z wyglądu, mógł to być człowiek martwy. Ale White pomyślał, że nie: widywał przecież wielu nieboszczyków.

Ukląkł. Wilgotny chłód bruku przenikał kolana. Z chrząknięciem obrócił ciało na plecy. Było ciężkie. Żółta mgła otaczała ich zewsząd, dławiąc świadomość jakby ohydny kocem. White pochylił się niżej. Nie widział twarzy, tylko biały, owalny zarys, ale przytknął ucho do tego zarysu i poczuł drobne ciepłe tchnienie wydobywające się spomiędzy warg. Wyprostował się na klęczkach i poszukał w kieszeni zapalek. Znalazł je i zapalił. Osłaniając płomyczek dłonią, ponownie się schylił. Odskokzył.

Płomień zamigotał, ale White nie dał mu zgasnąć. Pochylił się raz jeszcze.

— Niech mnie szlag trafi! — powiedział White. Wstał, odrzucił zużytą zapalną i przez chwilę wyteżał we mgle wzrok, rozglądając się dokoła. Zrezygnowawszy z prób zobaczenia czegokolwiek, przez następną chwilę nasłuchiwał. Ale też bezskutecznie. Zdecydowany pochylił się nad ciałem, złapał je za ramię i wkręcił pod nie swą masywną postać, by zastosować chwyt strażacki...

## XI

### 1

Za pięć dziewiąta mgła była gęstsza niż o jakiegokolwiek godzinie, siedem po dziewiątej natomiast ustąpiła bez śladu. Łagodny wschodni powiew wymiół ją ze wszystkich zakamarków miasta. Teraz czarne, inkrustowane gwiazdami niebo kopułą wznosiło się nad światem.

Pani Bellingham siedziała w swym salonie. Panował w nim porządek; był nie za jaskrawo, ale dostatecznie oświetlony, kominek jarzył się czerwienią, a książkę spoczywającą na kolanach Avis napisał człowiek, który to potrafił, i Avis już od tygodni cieszyła się, że ją przeczyta. Miała na sobie również ulubioną suknię, papierosy leżały w zasięgu jej ręki i była po obiedzie doskonałym, choć lekkim.

Powinna przeto odczuwać zadowolenie. A jednak książka, chociaż otwarta, pozostała nieczytana, papierosy nie smakowały niczym więcej niż dymem, przyjemna czerwień ognia nie jarzyła się w jej oczach i nawet suknia zdawała się leżeć jakoś dziwacznie.

Patrzyła nad książką w ogień, niczego nie widząc. Wokół jej ust rysowały się drobne zmarszczki, których na ogół tam nie było.

Głowę trzymała zbyt świadomie uniesioną do góry, a gdzieś w głębi niebieskich oczu malował się ból...

Do uszu jej dotarło brzęczenie dzwonka u drzwi. Poderwała się, niemal gwałtownie. Książka zsunęła się jej z kolan i niezauważona leżała na dywanie.

Avis miała do siebie żal. Oczywiście nasłuchiwała. Oczywiście też czekała nie na dzwonek u drzwi, lecz na dzwonek telefonu. Gdzieś na dnie jej świadomości czaiła się, od chwili powrotu do domu, myśl o telefonie...

Dzwonek rozległ się znowu, przypominając jej z uporem, że dziewczyna ma dziś wychodne. Wstała i przeszła do niewielkiego hallu.

Przez matową szybę zewnętrznych drzwi zamajaczyła sylwetka mężczyzny. Wbrew surowym zakazom umysłu serce jej podskoczyło. Dotknęła zamka.

Gość wszedł i uchylił kapelusza.

— Anthony! — zawołała Avis Bellingham.

## 2

Anthony Gethryn stał plecami do kominka w salonie Avis Bellingham i patrzył na jej pobladłą twarz.

— Słyszałaś, co mówiłem. Nie ma niebezpieczeństwa — zapewniał dość ostrym tonem.

Powieki jej uniosły się z wolna, a niebieskie oczy zwróciły ku górze i napotkały spokojne wejrzenie zielonych.

— Jesteś pewny? Czy nie może być?... — zapytała.

— Nie, nie może — przerwał jej Anthony. — Jest nieprzytomny, ale nie zachodzi obawa o życie.

Odpowiadał w sposób umyślnie brutalny. Avis wysunęła język i zwilżyła wargi.

— Jak... co... Czy nie wiedzą, jak... — wybąkała z trudem.

— Uderzenie w tył głowy — odparł Anthony. — Żadnych ran. Dość silny wstrząs mózgu. Niepodobna stwierdzić, jak się to stało. Mógł to być upadek, leżał jednak twarzą do ziemi, kiedy White go znalazł, a po takim uderzeniu prawdopodobnie nie zdołałby się obrócić. Uderzyło go pewnie coś wystającego z samochodu. — Popatrzył na kobietę. — Mogło to się zdarzyć na kilkanaście różnych sposobów — powiedział bez pośpiechu, kładąc lekki nacisk na pierwszym słowie.

Avis Bellingham siedziała wyprostowana. — Niestety okazałam się głupia. Ale... ale to było dość zaskakujące. Ja...

— Musisz czegoś się napić — przerwał jej Anthony. — Dziękuję, ja też się napiję. Siedź, sam znajdę.

Zrobił trzy duże kroki i zniknął za drzwiami.

Wrócił szybko z tacą, na której stała karafka, syfon i szklanki. Pani domu uśmiechnęła się do niego, kiedy umieszczał tacę na stoliku koło kominka.

— Czy ty chociaż jednej rzeczy nie potrafisz? — zapytała.

Anthony nalał whisky do szklanek.

— Grać w golfa i pisać listów. — Dolawszy wody sodowej podał jej pełną szklankę. — Wypij to.

Avis pociągnęła drobny łyk.

— Wypij! — powtórzył Anthony.

Uśluchała i odejmując szklankę od ust przesłała mu uśmiech.

— Nic mi nie jest. Napij się także, a później powiedz, co o tym sądzisz.

Anthony znów zakrzętała się koło tacy.

— O wypadku wybitnego dramaturga?

Przytaknęła.

Zajął stanowisko przed kominkiem, uniósł szklankę i wypił.

— Możliwe — rzekł w końcu — że to jednak był wypadek.

Avis Bellingham obserwowała go z głębi wielkiego fotela.

— Ja nie... Czy on coś mówił? — powiedziała z rozszereżonymi oczami.

Anthony potrząsnął głową.

— Jest nieprzytomny. I przypuszczalnie dość długo nie odzyska świadomości. — Wpatrywał się w nią. — Co jeszcze wiesz?

— Chciałam powiedzieć, że... że to... jakieś dziwne... — Urwała. Białe zęby przygryzły dolną wargę, a zmarszczka skupienia przecięła czoło. — Jadłam dziś z Tomem lunch. W „Savoyu”. On... on opowiadał mi o wypadku, jaki przydarzył mu się dziś rano...

Urwała ponownie.

— Dziś rano? Opowiedz mi o tym.

— Wyszedł przez lunchem. Była mgła. Miał się zobaczyć w teatrze z George'em Brooks-Carewem. Murarze dokonywali remontu nad wejściem dla aktorów. Dziś nie pracowali, ale kiedy Tom stanął w drzwiach, na rusztowaniu coś się wydarzyło i ogromna belka spadła, omal go nie trafiając. Mogłaby go zabić.

— A potem?

Avis utkwiała w nim wzrok.

— Myślałam tylko... że dwa wypadki jednego dnia to... to dość przerażające.

— Tak sądzisz?

Anthony wsadził rękę do kieszeni i wyciągnął cienki portfel z niebieskiego marokinu, zdobiony złotem. Po zewnętrznej stronie wybite były małe inicjały: T.S.G.

— Jedyne to miał w kieszeni. Wszystkiego dziesięć funtów; kilka jego biletów wizytowych; prawo jazdy... amerykańskie, i coś takiego.

Otworzył portfel i z jakiejś przegródki wydostał mały kartonik. Odszedł od kominka i podał jej bilet wizytowy. Odczytała: „Pani Claude Kenealy, 97 Stockbrook Road, Richmond, Surrey”. W dolnym lewym rogu był zanotowany ołówkiem numer telefonu: „Richmond 0246”.

— Znasz ją?

Avis zaprzeczyła. Zapadło milczenie. Anthony, obejrawszy kartonik, wsadził go na powrót do portfela, a portfel do kieszeni.

— Widziałeś, że jest pomięty. Kiedy go znalazłem, był złożony na pół. Został wetknięty do portfela w pośpiechu. Inne rzeczy były starannie poukładane... W takich okolicznościach wskazana jest rozmowa z Richmond.

Avis śledziła go bacznie.

— Nie wiem, do czego zmierzasz.

— Ani ja — odrzekł Anthony. — Ale się przekonamy.

Podszedł do narożnego stolika, usiadł przy telefonie i zaczął wykręcać numer. Avis obróciła się w jego stronę.

— Halo — powiedział Anthony. — Richmond 0246?... Czy mogę mówić z panią Kanealą? Och, tak! Mówi przyjaciel pana Sheldona Garretta. Pan Garret miał wypadek i...

Przerwał mu istny potok wymowy. Metaliczny jazgot dźwięczał w uszach Avis. Szybko stanęła obok Anthony'ego. Mówił właśnie w słuchawkę:

— Rozumiem... Nie, to nie miało z tamtym nic wspólnego... Szedł do mnie na obiad i ten wypadek przytrafił mu się pod samym moim domem.... Co? Och, Martin. Théodore Martin. Mieszkam w South, Kensington... Tak... Tak... Tak, niestety paskudny wypadek... Widocznie potrącił go samochód jadący mimo mgły. Wie pani, ci automobiliści!...

I znów Avis musiała wysłuchać jazgotliwego wybuchu w słuchawce. Nadal nie potrafiła rozróżnić ani słowa. Nieświadomie położyła dłoń na ramieniu Anthony'ego; dłoń, której palce wpiły mu się w ciało do bólu.

— Rozumiem — mówił Anthony w telefon. — To zdumiewające!... Tak, najwyraźniej miał pechowy dzień!... Tak... Tak... Niestety niezbyt dobrze rozumiem... Och, tak! Powtórzę mu... Tak, koniecznie. Mój numer jest Flaxman 00123... Tak... Dziękuję pani...

Dziękuję... Tak... Dobranoc...

Zdecydowanie odłożył słuchawkę. Obrócił się na krzesło i z uśmiechem powiedział do pani domu:

— Jakie ty masz silne, długie palce, babciu!

Avis Bellingham popatrzyła na zaciśniętą na jego ramieniu rękę i cofnęła ją.

— Och, przepraszam!... Co to było, Anthony? Nie rozumiałam ani słowa. Nie...

Anthony wstał rozcierając ramię.

— To? Jeszcze jedna dziwna rzecz w labiryncie dziwaczności. Coraz ciekawsze! Pani Claude Kenealy twierdzi, że poznała pana Garretta dziś wieczorem. Na linii Piccadilly. Przedtem go nie znała. Stała koło niego na peronie dla pasażerów odjeżdżających w kierunku zachodnim, gdy wtem ktoś pośliznął się w tłumie i o mały włos nie wepchnął go pod koła wpadającego właśnie na stację pociągu...

— Boże! — zawołała pani Bellingham.

— I tylko wysiłek pana Sheldona Garretta — ciągnął dalej Anthony — który pani Kenealy uważa za cudowny, ocalił go od śmierci. Ratując się musiał schwycić rękę pani Kenealy i zniszczył jej futro. Dojechali razem aż do Knightsbridge, gdzie pan Garrett wysiadł. Pani Kenealy twierdzi, że wyrządzona jej okryciu szkoda to drobiazg, pan Garrett natomiast, dżentelmen w każdym calu, obstawał, że nie drobiazg, i wymienił bilety wizytowe z panią Kanealy. Świadcami niedoszętego wypadku byli dwaj mężczyźni, ale pani Kenealy nie wie, kto to taki. O ile jej wiadomo, pan Garrett, który wydawał się roztrzęsiony, lecz w tych okolicznościach zachował zdumiewające opamiętanie, nie dowiedział się ich nazwisk i adresów i nie podał im swego. Pani Kenealy zapewnia stanowczo, że żaden z tych mężczyzn nie był winien owego wypadku. Pani Kenealy uważa pana Garretta za wyjątkowo ujmującego młodego człowieka, chociaż jest Amerykaninem. Bardzo gorąco pragnie być informowana o stanie jego zdrowia... Podaliśmy jej zatem numer Théodore Martina, zamieszkałego w South Kensington. Jest to w istocie prywatny numer faceta nazwiskiem Gethryn. Koniec wiadomości.

Avis opadła na fotel. Niezbyt łatwo przyszło jej powiedzieć:

— To trzy! Jednego dnia! I... i... — Głos jej drżał, lecz się opanowała. — Czy to nie... no, czy to nie dziwne?

Anthony powrócił do kominka i wziął z gzymsu szklanę.

— Nie sądzę. Bywają dziwne wypadki, ale jeśli jednego dnia w Londynie ktoś głęboko zainteresowany bardziej niż dziwną sprawą trzykrotnie ledwo umyka śmierci, nie mogą to już być wypadki. I dlatego nie są dziwne.

A przynajmniej w tym sensie, jaki ty im nadajesz. Bo zgoła rozsądna jest chęć zgładzenia takiej osoby i przedsięwzięcie kroków, by ją zgładzić.

Nie spuszczała z niego oczu.

— Wiedziałam, że to powiesz. A w każdym razie wiedziałam, że zaprzeczysz, jakoby to były wypadki... Powiesz, że twoim zdaniem ktoś próbował... go zabić.

Ale...

Umilkła. Anthony przesłał jej uspokajający uśmiech.

— Ale nie wiedziałas, że zechcę powiązać te próby z panną Murch *et omnes*?

W ciszy skinęła głową.

— A one muszą się wiązać — rzekł Anthony. — Posłuchaj!

### 3

To samo powtórzył w godzinę później, rozmawiając przez telefon z sir Egbertem Lucasem, naczelnikiem Urzędu Śledczego dla Spraw Kryminalnych.

— Będę u ciebie w biurze — zapowiedział Anthony — o dziewiątej czterdzieści pięć jutro rano. *Ack emma*.

— Niech cię diabli! — odparł senny głos w słuchawce.



Dwadzieścia po dziesiątej następnego rana sir Egbert Lucas rozsiadł się w fotelu i obrócił w stronę inspektora Pike'a. Obaj popatrzyli na wysoką, szczupłą postać wyciągniętą w fotelu pod tym oknem, z którego, jak powszechnie twierdzono, roztacza się najlepszy w całym Scotland Yardzie widok na rzekę.

Lucas przerwał milczenie.

— Bardzo to interesujące! Ładna historia! Trochę naciągnięta, być może, ale nie ma na to rady dziś, kiedy tyle się tego pisuje. — Ociekał ironią. — I czegoż ty właściwie od nas oczekujesz, Anthony?

Inspektor Pike spojrzął na pułkownika Gethryna, lecz się nie odezwał. Z fotela dobiegł głos:

— Nie tyle oczekuję, ile się spodziewam.

Lucas uśmiechnął się kwaśno.

— Jak zawsze mistrz persyflażu! Mów jaśniej.

Anthony usiadł wyprostowany.

— Spodziewam się, że choć raz odegracie właściwą rolę — albo zrobicie to, co powinno do was należeć — i pomożecie mi zamknąć drzwi stajni, zanim koń zostanie skradziony.

Inspektor Pike wciąż milczał, ale nadal nie spuszczał zadumanych oczu z pułkownika Gethryna. Lucas zapalił papierosa. Poprzez dym powiedział:

— Przykro mi, ale nie widzę drzwi, które wymagałyby zamknięcia. Działa tu zbyt pobudliwa wyobraźnia, i to wszystko. Ja... — Telefon na jego biurku zabrzączał przenikliwie. — Chwileczkę! — Podniósł słuchawkę. — Co takiego?... Kto?... Proszę przeliterować... Och!... — W ostatnim wykrzykniku brzmiało zdziwienie. — Kto jest dzielnicowym lekarzem?... Och, tak. To dobrze!... Co pan mówił?... Tak... Tak... Już choćby za to należy być wdzięcznym. Dobrze, niech się pan porozumie z Andrewsem, dopilnuje szczegółów i prześle zwykły raport... — Odłożył słuchawkę, jeszcze raz spojrzawszy na Anthony'ego. — Przepraszam — powiedział. — Ale to było ważne.

Pike pytająco uniósł brew.

— Mały kłopot. Samobójstwo. Ale będzie trochę szumu. To żona starego Ballistera. Osobiście nie zdziwiłoby mnie żadne samobójstwo w jego rodzinie. Siedziałem raz...

Umilkł, bo Anthony nagle poderwał się na nogi.

— Co się stało? — zapytał podchodząc do biurka i wsparłszy na nim dłonie wbił wzrok w Lucasa. Jego pozbawiona wyrazu twarz nosiła ślad pewnego napięcia, przed chwilą jeszcze niedostrzegalnego. Inspektor Pike wciąż tkwił bez ruchu, teraz z głęboką zmarszczką na czole.

— Alice Ballister? — zapytał ponownie Anthony. — Żona Charlesa Montague Ballistera?

— Tak — potwierdził Lucas.

— Kiedy?

— Znaleziona dziś rano. Godzinę temu, dla ścisłości. Dzielnicowy lekarz twierdzi, że mogła nie żyć od trzech godzin. Bez wątpienia samobójstwo.

Anthony bokiem przysiadł na biurku.

— No, no — powiedział. — A więc to tak! Teraz, Policjo, będziesz musiała mi pomóc z drzwiami do stajni.

Lucas odchylił się na oparcie fotela i z szorstką otwartością zapytał:

— O czym ty, na litość boską, mówisz?

— Janet Murch, ta od Sheldona Garretta, pracowała u Alice Ballister — wyjaśnił Gethryn. — Sam rozmawiałem z nieżyjącą.

Prawa ręka inspektora Pike'a jęła w zadumie pocierać zapadłe policzki.

— Co? — zdziwił się Lucas i dodał: — To pewnie przypadek.

— Ty — odparował Anthony — należysz do tych przytyków, co to stosują na co dzień opowieści starych kobiet; jesteś tego pokroju człowiekiem, który sądzi, że albinos potrafi przeczucić złoto i że prawa skarpetka mańkuta to lekarstwo na kołowaciznę. Ładny mi przypadek! — Obserwował Lucasa z wyrozumiałością pomieszaną ze zniecierpliwieniem. Po chwili rzekł: — Słuchaj! Widocznie

trzeba powtórzyć ci wszystko od nowa, tym razem włączając tę nieszczęsną panią Ballister... Jesteś gotów? Ruszamy! Mężczyzna podsłuchuje rozmowę dwóch kobiet. Jest przekonany, że planują zbrodnię albo kilka zbrodni, nierozzerwalnie związanych z porwaniem dziecka. Jako obcemu w tym mieście i kraju trudno mu znaleźć kogoś, kto by uwierzył, że nie jest panikarzem o zbyt bujnej wyobraźni. Mimo to w końcu uzyskuje wsparcie i wraz ze swymi pomocnikami stwierdza, że jedyna nić, jaką dysponował, prowadzi do przyjaciółki jednej z kobiet, które słyszał, ale których właściwie nie widział. Od tej przyjaciółki dowiadują się nazwiska kobiety — Janet Murch — i zdobywają informację, że Murch pracuje w domu generała Ballistera. Pomocnik Gethryn, bez skrupułów wykorzystując wspólną znajomość, odwiedza lady Ballister i prosi o chwilę rozmowy z Janet Murch. Ale Janet Murch rzuciła tę pracę! Lady Ballister nie może podać Gethrynowi adresu Janet Murch, mówi natomiast, że zdobyła Janet za pośrednictwem Agencji Domowej KJB mieszczącej się pod numerem 14 przy Brabazon Road, w South Kensington. Gethryn oddała się z tym, a bystre oko i osobista wrażliwość podszeptują mu, że w każdym razie podczas tej rozmowy Alice Ballister była strapiiona i przełknięta do ostateczności. Nie kojarzy — bo i dlaczego miałby kojarzyć? — tego strapienia i trwogi z przedmiotem własnych poszukiwań, lecz jego encyklopedyczny umysł rejestruje dla przyszłego użytku ten fakt, jak również spotkanie na schodach domu Ballisterów z małym, paskudnym człowieczkiem, którego nie sposób byłoby wziąć za kogoś z towarzystwa. Uzbrojony w jedyną świeżą informację na temat Murch — a mianowicie w adres agencji — wraca do pana Sheldona Garretta. Postanawiają z kolei udać się do ciotki Janet Murch, pod adres podany uprzednio innemu pomocnikowi przez przyjaciółkę Janet. Ale kiedy się tam zjawiają, po ciotce ani śladu! Całkiem nierozważnie wyjechała nagle do Szkocji, w wielkim podnieceniu, i do tego — rzecz w jej dzielnicy niespotykana — taksówką. Następnego dnia rano Garrett

odwiedza Agencję Domową KJB pod pseudonimem Leslie Schumachera, przyjeźdnego Amerykanina o silnych ojcowskich instynktach, który poszukuje Janet Murch, rzekomo najlepszej w świecie opiekunki do dzieci. Kierownik agencji — niejaki Hines — jest pełen otuchy i usłużny, ale nie może pomóc przyszłemu klientowi, bo Janet Murch zerwała kontakt z agencją. Pan Hines usiłuje — rzecz naturalna — skłonić pana Schumachera, by za pośrednictwem KJB dobrał jakąś inną dziewczynę, ale pan Schumacher — rzecz także naturalna — nie chce powierzyć im tego zadania. To było w sobotę. W poniedziałek pan Sheldon Garrett — we własnej sprawie — odwiedza mimo mgły teatr, gdzie wystawiana jest jego sztuka. Ma wtedy wypadek przy wejściu dla aktorów, który pewno pamiętacie. Wieczorem wyrusza na obiad do Gethryna i najpierw o mało nie zostaje wepchnięty pod kolej podziemną, a potem obrywa czymś tajemniczym — co, stawiam mój kwartalny dochód przeciw sześciopensówce, było workiem piasku — w tył głowy, już pod domem Gethryna. Następnego dnia Gethryn przychodzi do Scotland Yardu, by opowiedzieć tę historię i użyć, jak się wydaje, zgoła mitycznych wpływów. Ledwie skończył, tak zwane satyryczne uwagi zastępcy komisarza stołecznej policji ucina telefon, który zwiastuje śmierć — pozornie samobójczą — lady Ballister.

Zamilkł, przenosząc wzrok z jednego słuchacza na drugiego.

— I tak się to przedstawia — powiedział. — Chyba wystarczy.

— Przyznaję, że to dziwne — rzekł Lucas. — Ale przecież wszystko może wydawać się dziwne. — Zwrócił oczy na trzeciego z nich. — A co pan powie, Pike?

Pike mówił ze spuszczoną głową, jakby zajęty oglądaniem czubka jednego ze swych lśniących butów.

— Można by powiedzieć, sir, że zgadzam się z obu panami. To znaczy, że z punktu widzenia pułkownika Gethryna sprawa jest bardzo dziwna i nie zaszkodziłoby, a nawet powinno by się nią zainteresować. Z drugiej strony

wiem, o co panu chodzi, sir... Może to być po prostu zbieg okoliczności.

— I tak, i nie — mruknął Anthony. — Pan powinien pracować w ministerstwie spraw zagranicznych, Pike!

— To wszystko hipotezy — stwierdził opryskliwie Lucas. — Co więcej, niepełne hipotezy. Chcesz, żebyśmy powstrzymali kogoś od zrobienia czegoś, ale nie wiesz, kto to ma zrobić i co takiego może zrobić... Do diabła, Gethryn, tyle w tym sensu co w Lewisie Carrollu.

— To dużo powiedziane — odparł Anthony. — Ale nawet i tu nie masz racji.

— Ohoho! Ciekaw jestem, czy... — Pike uważnie wpatrywał się w Anthony'ego. — Sugeruje pan, że lady Ballister nie popełniła samobójstwa?

Anthony potrząsnął głową.

— Nie, to oczywiście możliwe. Ale wówczas... — Zwrócił się do Lucasa: — Kto jest lekarzem w tej dzielnicy?

— Latrobe.

— W takim razie można postawić sto przeciw jednemu, że istotnie było to samobójstwo. — Anthony skierował wzrok na Pike'a. — A to o wiele lepiej pasuje.

— Naprawdę? — ironizował znów Lucas. — Co do czego pasuje? Co rozumiesz przez słowo „pasuje”?

— Stwierdziłeś przed chwilą, że chcę, abyś spróbował nie dopuścić do popełnienia przez niewiadomą osobę niewiadomej zbrodni, przy czym nie znam żadnej z tych niewiadomych. Mam rację?

Lucas potaknął.

— Innymi słowy — ciągnął Anthony — chciałeś powiedzieć, że nikomu nic nie zarzucam. Nieprawdaż?

Lucas znów skinął głową.

— A ja powiadam, że dopuszczalne są dwa zarzuty. Pierwszy pod adresem nieobecnej Janet Murch. Drugi — pod adresem obecnej Agencji KJB.

— Zarzuty? — spytał Lucas. — Czy chcesz, bym odnalazł Janet Murch i posadził ją na ławie oskarżonych pod zarzutem tak doskonałego pełnienia obowiązków, że

jej odejście pchnęło chlebowdawczynię aż do samobójstwa? Czy też chcesz...

— Chcę chwili absolutnej ciszy!... — przerwał mu Anthony. — *Rex versus Janet Murch*: Janet Murch pod słuchano na omawianiu przypuszczalnej zbrodni, która pociągnie za sobą zmianę pracy. Na własne żądanie odchodzi od lady Ballister. Nie zostawia lady Ballister żadnego adresu. Niezatrzymuje się pod jedynym znanym adresem, a osoba tam zamieszkała, jej ciotka, również tajemniczo gdzieś znika. Uzasadniony wniosek — Janet Murch podjęła się niecnej pracy: wiemy, że zamierzała to zrobić, a jej zachowanie potwierdza podejrzenia. Po odejściu Janet lady Ballister popełnia samobójstwo. Człowiek usiłujący wytropić Janet Murch trzykrotnie staje o włos od śmierci niemal natychmiast po przeprowadzonym wywiadzie. Przypuszczenie: Janet Murch, a zapewne i jacyś jej towarzysze to niewyraźne zbrodnicze typy, z którymi winna zawrzeć znajomość policja.

Lucas i Pike wymienili spojrzenia. Lucas zmarszczył się, wziął ołówek i zaczął rysować na bibule końskie głowy.

— *Rex versus* Agencja Domowa KJB — podjął Anthony. — Lady Ballister angażuje Janet Murch z polecenia Agencji KJB. Janet Murch odchodzi od lady Ballister. Lady Ballister popełnia samobójstwo. Agencja KJB, nagabywana w sprawie Janet Murch, usiłuje zgładzić pytającego. Przypuszczenie...

— Hola! — zawołał Lucas, a Pike poruszył się na krzesle.

— Słucham? — zapytał grzecznie Anthony.

— Nawet jeśli przyjmujemy, że te trzy... no, te wczorajsze przygody pana Garretta nie były wynikiem zbiegu okoliczności, ale przemyślaną próbą zamordowania go, nie mamy podstaw, by zakładać, że istniał koniecznie jakiś związek między tymi wypadkami i agencją.

— No, no! — rzekł Anthony przenosząc wzrok na twarz Pike'a.

Pike skinął głową i mruknął:

— To wydaje się dość słusznie, sir.

— A dlaczego? — spytał Anthony.

Lucas powstrzymał gest zniecierpliwienia. Znów rysował.

— Bo chociaż pan Garrett rzeczywiście poszedł i wypytywał o tę Murch w tej agencji—powiedział Pike po chwili — wiele innych osób, jak pan sam mówił, sir, nagabywano w sprawie Murch i to one mogły próbować się go pozbyć.

— Nie — zaprzeczył Anthony.

Pike obstawał przy swoim.

— Ależ z całą pewnością tak, sir! Na przykład weźmy tę przyjaciółkę Janet Murch, tę, która pierwsza podała jej adres. I wszystkich tych ludzi wypytywanych, kiedy próbowaliście trafić pod właściwy adres...

— Triumfuję — oświadczył Anthony — ale to tani triumf, ponieważ, być może, wyraziłem się nieściśle. Zamachy na życie Garretta musiały być robione przez KJB albo przez ludzi z agencją związanych, bo nie zbierał on żadnych innych informacji. Dalej, nikt z poprzednio wypytywanych nie może kojarzyć z tymi pytaniami Garretta, bo a) nie widział pytających więcej niż raz, b) słyszał — jeśli w ogóle podawano nazwiska — nazwiska fałszywe i c) nie miał możliwości śledzenia pytających. Uznajcie to nie za przypuszczenie, ale za fakt stwierdzony. Jakże inaczej rzecz się miała z Garrettem i KJB. Wchodzi do ich biura, przebywszy pieszo drogę ze stacji South Kensington. Podaje fałszywe nazwisko i pyta o Janet Murch. Nie interesuje go nic poza Murch. Oddała się i nie jest trudno iść za nim do „Savoyu”, zapytać kogoś ze służby, nie budząc podejrzeń, kto to taki, i stwierdzić, że to nie tylko nie pan Leslie Schumacher, ale i człowiek nieżonaty. Jakże też łatwo wyobrazić sobie, co pomyślała KJB zdobywszy tę informację. Thomas Sheldon Garrett jest młodym amerykańskim dramaturgiem. W Londynie przebywa zaledwie od kilku tygodni. Pod fałszywym nazwiskiem i fałszywym pozorem usiłuje nawiązać kontakt z Janet Murch. Możliwe, ale zgoła nieprawdopodobne jest, by potrzebował opiekunki do dziecka. Więc dlaczego tak mu na niej zależy? Janet Murch macza palce w niecznych przedsięwzięciach; czyż nie to mogłoby budzić tak wielkie zainteresowanie? Omawiają sprawę wciąż od nowa. Dochodzą do wniosku, że jakimś cudem Garrett dowiedział

się czegoś, co każe mu podejrzewać Janet Murch. Ktokolwiek wsadza teraz nos w poczynania Janet Murch, jest wysoce niepożądany. Nie zaszkodzi próba zgłędzenia tego jedyne go wścibskiego, zakładając, że nie wzbudzi ona podejrzeń w stosunku do sprawców czynu...

— Zaczekaj! — powiedział Lucas. — Teraz usiłujesz nam wmówić, że za sprawą Murch stoi Agencja KJB.

— Och, mój drogi! — odrzekł spoglądając na niego Anthony. — Przedstawiłem ci dwie oddzielne sprawy, co wcale nie znaczy, bym uważał, że się ze sobą nie wiążą.

Lucas odchrząknął.

— Jeśli w tym coś jest, sir, to już coś dużego — powiedział Pike. — Ryzykowali z tym panem Garrettem.

— Dużego! — roześmiał się Anthony.

Lucas rzucił ołówek. Odchylił się w fotelu i przyjrzał Anthony'emu.

— A ja nadal nie widzę, co moglibyśmy zrobić. Jeśli chcesz, żebym się uznał za przekonanego, iż dzieje się coś, co dzieć się nie powinno, powiem: tak. Ale co my możemy zrobić?

Anthony wstał.

— Dowiesz się nieco później... Do widzenia i dziękuję za okazaną cierpliwość.

Dwaj mężczyźni zobaczyli zamykające się drzwi. Lucas westchnął, wziął ołówek i zaczął rysować nowy łeb koński.

— Chyba miał rację — rzekł nie podnosząc głowy. — A niech go!

## XII

### 1

Big Ben jął wybijać dwunastą, kiedy Anthony wyprowadził samochód ze Scotland Yardu na Whitehall. Sześć minut później zatrzymał go przed domem, wyskoczył na



chodnik i zatrzasnął drzwiczki. Po pół minucie siedział już w bibliotece za biurkiem. A kiedy odprężył się fizycznie, umysł jego zaczął szybko, lecz starannie szeregować rzeczy pozostałe do zrobienia.

Drzwi otwarły się cicho i do pokoju weszła Lucy. Uśmiechnął się do niej, zdjął z widełek słuchawkę i wykręcił numer. Stała obok niego. Już miał jej coś powiedzieć, ale powstrzymał go czyjś głos w telefonie.

— Halo... Dyson?... Tu Gethryn.

— Wszystko idzie jak z książki — mówił Dyson. — Zażeliśmy stanowiska tuż po dziesiątej. Jedną przepuściliśmy, kiedy Harris przygotowywał sprzęt. Ale resztę mamy. Podobno światło jest dobre. Są dalsze rozkazy?

— Nie ma — powiedział Anthony. — Róbcie swoje.

Dyson odłożył słuchawkę i obrócił się. Stał w pokoiku, którego umeblowanie świadczyło, że da się podciągnąć pod nagłówek „sypialno-bawialnego”. Pomarańczowa narzuta na kanapie pod ścianą niezbyt dokładnie maskowała nocne jej przeznaczenie; dalej szafa z biało pomalowanej sosny, jeden fotel, dwa zwykle krzesła, bielizniarka, stół oraz niepewnie wyglądająca półka ze starymi periodykami i niemal kompletnym wydaniem dzieł Bulwera-Lyttona. Oprócz tych pospolitych sprzętów dziś znajdowało się tu coś więcej: trójnóg z czarnego drzewa i połyskliwej stali, ustawiony w dużym oknie, a na nim coś jak prostokątne czarne pudełko. Za trójnogiem klęczał mężczyzna. Na krześle koło niego, zagłębiony w lekturze różowej gazety, siedział Flood.

Dyson przeszedł przez pokój i przystanął za klęczącym mężczyzną; wyjrzał oknem na wesoły, skąpany w blasku słońca mały odcinek Brabazon Road.

W swej bibliotece Anthony Gethryn obrócił się w fotelu i spojrzał na żonę.

— Odzyskał przytomność — powiedziała z uśmiechem. — Pielęgniarka mówi, że nagle, zaraz po twoim wyjściu, odezwał się do niej. Bolało go, więc zrobiła mu zastrzyk

zostawiony przez doktora Holmesa. Obecnie śpi.

— Dobrze — odparł Anthony. — Chciałbym zobaczyć się z Avis.

Lucy wstała.

— Już do niej dzwoniłam. Pielęgniarka mówi, że będzie spał co najmniej pięć godzin... Ale mimo to ja...

— Dostrzegam tu podwójny obowiązek... Przyrowadź ją, jak tylko przyjdzie! — Uśmiechnął się ponownie i jeszcze raz chwycił słuchawkę. — A ty, kobieto, nie stój tu, skoro masz odejść.

Wykręcił ten sam numer co poprzednio.

— Istny Napoleon! — Lucy wykrzywiła się do niego, pocałowała go w czubek głowy i znikła.

Anthony uzyskał połączenie.

— Poproszę pana Flooda — powiedział. — Halo, czy to pan, Flood?... Tak... Tak... Zmusiłem Lucasa, żeby się tym zajął, bo lady...

— Ballister popełniła samobójstwo — dokończył głos w słuchawce. — Czytałem. Ciekaw jestem...

— Dość! Ma pan rację — przerwał mu Anthony. — Pańskim zadaniem będzie zamieścić w jak największej liczbie wieczornych gazet dyskretną wzmiankę, że pan Thomas Sheldon Garrett, wybitny młody amerykański dramaturg i autor *Wakacji mędrca, et cetera*, i tym podobne głupstwa, doznał wczoraj groźnego upadku na ulicy (miejsca nie wspominać). Znaleziony przez Samarytanów, leży — z wstrząsem mózgu, nieprzytomny i poważnie chory — w klinice doktora Traversa Hoylake na Welbeck Street. Podkreślić to jak najmocniej. Wywołać zdecydowane wrażenie, że chyba nie będzie żył... Oczywiście wizyty wykluczone... O nic więcej nie musi się pan kłopotać. Umówiłem się już z doktorem Hoylake i w klinice będą wiedzieli, co robić w razie telefonów. Zechce pan to powtórzyć.

Telefon zagadał krótko.

— W porządku!

Anthony odłożył słuchawkę i przeszedł w kątek pokoju, by z niesmakiem popatrzeć na stolik z maszyną do pisania.

Usiadł, wkręcił papier i ją pisać bardzo szybko, zważywszy, że posługiwał się tylko jednym palcem każdej ręki...

W pół godziny później odchylił się na oparciu krzesła, oddychając z ulgą. Wziął garść kartek, złożył je starannie i odczytał powoli:

*Drogi Lucas!*

*Z opóźnieniem przepraszam za moje nieznośne zachowanie dziś rano. Ale musiałem — bądź sądziłem, że muszę — być szorstki, gdyż inaczej w ogóle byś mnie nie wysłuchał.*

*Znam Cię dość dobrze, by Twoją ostatnią uwagę pod moim adresem rozumieć jako zgodę na przystąpienie do gry. I dlatego ci to przysyłam:*

*Wiemy, że Agencja Domowa KJB nie jest taka niewinna, jakby się zdawało. Ale wciąż brak nam czegoś dostatecznie konkretnego dla przeciętnych zakutych łbów w angielskim sądownictwie, nie możemy więc oskarżać KJB i jej popleczników. Dlatego też nie popełnijmy karygodnego błędu, jakim byłoby ostrzeżenie agencji. To w istocie oryginalna sprawa i powinna być rozwiązana w oryginalny sposób. Dotychczasowa działalność KJB (i ludzi kryjących się pod jej płaszczykiem) nic nas w obecnej chwili nie obchodzi, bo nie możemy jej zapobiec, ale jeśli odpowiednio rozegramy nasze karty, możemy ich powstrzymać od zamierzonej zbrodni. Spisuję tu pewne ogólne i szczegółowe wytyczne, jakich winniśmy się trzymać:*

#### *a. Ogólne*

*1. Żadnym jawnym postępkim nie zdradzić, na marginesie sprawy Ballister czy w inny sposób, zainteresowania policji agencją.*

*2. Użyj swojego „wpływu” na koronera, żeby też się do tego stosował.*

*3. W celu właściwej realizacji punktu 1 i 2 wpłyn, żeby oficjalne śledztwo w domu Ballisterów prowadził ktoś zorientowany, czego naprawdę szukamy, a nie jakiś inteligentny glina, który przypadkowo może na coś natrafić.*

4. Ponad wszystko nie dopuść, by czynniki urzędowe pod jakimkolwiek pretekstem i z jakiegokolwiek powodu przebywały w okolicy biura KJB.

#### b. Szczegółowe

1. Umieście kogoś dobrego w klinice Traversa Hoylake na Walbeck Street i kaźcie śledzić wszystkich dowiadujących się o Garretto. (Garrett nadal leży u mnie. Wraca do zdrowia, ale będąc zdecydowany nie spłoszyć KJB, zamieszczam w dzisiejszych wieczornych gazetach notatkę, że po doznanym upadku leży w klinice nieprzytomny, w beznadziejnym stanie).

2. Skontaktujcie się z Hoylake'em (który wie, o co chodzi) i powiedzcie mu, do kogo w Scotland Yardzie ma dzwonić jego telefonistka, gdy ktoś tą drogą zapyta o zdrowie pana Garretto. A także, jeśli to możliwe, niech centrala notuje numery, spod których dzwoniono do kliniki w tej sprawie.

3. Niech ktoś bystry ma oko na pannę Letitię Lamb spod numeru i przy Llewellyn Street. Nie powinien kontaktować się z nią osobiście, ale w miarę możliwości stwierdzić, czy nie ma na sumieniu żadnych związków z KJB albo Janet Murch i czy jest tak niewinna, jak wskazywałoby jej nazwisko i wygląd (vide Flood). Czy cieszy się dobrą opinią? Czy kiedykolwiek łączyło ją coś z podejrzanyymi osobami, niewyraźnym miejscem pracy czy dziwnymi wypadkami? (To już czysta ostrożność. Lamb na pewno jest tu bez zarzutu, ale musimy jeszcze raz się przekonać).

4. To samo w odniesieniu do pani Claude Kenealy, 97 Stockbrook Road, Richmond, hrabstwo Surrey — kobiety, która utrzymuje, że swą wagą i futrem ocaliła Garretto od śmierci w metrze.

5. Spróbujcie ustalić miejsce obecnego pobytu pani Bellows spod numeru 148A Iron Court, Stockholm Lane. To rzekoma ciotka Janet Murch. Zanim Lamb podała nam ten adres, Bellows wyjechała nagle do Szkocji, poruszona i tajemnicza — albo też powiedziała, że tam

jedzie. Przepytywałem pobieżnie na stacjach, z których mogłaby odjechać, i w sąsiedztwie, ale to nie dało rezultatu.

6. Niech ktoś (mam nadzieję, że będzie to Pike), obecny podczas oficjalnego przesłuchania w sprawie samobójstwa lady Ballister, zda mi relację albo przedstawi wszystkie konkretne dowody. Jak najszybciej.

7. Poszukajcie w archiwach (jeśli nie zdążyliście tego zrobić) Janet Murch. (To prawdopodobnie bezcelowe, ale nie powinno się niczego zaniedbywać).

8. D i t t o w odniesieniu do Evansa — wymienianego jako straszak podczas rozmowy, którą Garrett podsłuchał w herbaciarni w Notting Hill i która wszystkiemu dała początek. Będą oczywiście tysiące Evansów, ale może nie zawadzi sprawdzić, czy który z nich nie maczał palców w niecznych sprawkach agencji domowej w ogóle, a służby w szczególności.

9. Podobne badania przeprowadzić także odnośnie samej Agencji KJB, chociaż te prawie na pewno nie przyniosą owoców.

10. Prześlij mi, jak tylko będziesz mógł (najchętniej przez White'a, który ci to doręczy), raporty z dwóch rozmów Garretto w Scotland Yardzie z Andrewsem i Horlerem w dniach dziewiętnastego i dwudziestego ubiegłego miesiąca.

11. Spróbuj bardzo dyskretnie wy badać, kto zaczął opuścić dom Ballisterów tuż przed moją rozmową z lady Ballister — to znaczy około trzeciej w piątek, trzydziestego ubiegłego miesiąca. Jak się nazywa i czym się trudni? Z kim się widział? Czy bywał już w tym domu? (Nie mam specjalnego powodu do ciekawości, wyjąwszy powód ulubiony — dziwaczne wrażenie, jakie sprawiał.)

12. Jeżeli — ale tylko jeżeli — ktoś bardzo dobry prowadzi urzędowe śledztwo w sprawie lady Ballister, niech wy bada, nie zdradzając zainteresowania, ile służących w ciągu ostatniego roku przyszło tam z poręki KJB.

Serdeczne dzięki, sir. Okaż mi cierpliwość i jak najszybciej zaczynaj działać.

Anthony przeczytał list, wstał i zaniósłszy kartki na biurko podpisał ostatnią z nich, po czym nacisnął dzwonek.

## 2

Sheldon Garrett otworzył oczy, po raz drugi tego dnia, w obcym otoczeniu. Pokój przesyciła szarawa czerń zmierzchu, tuż na krawędzi nocy, którą rozświetlały czerwone, wesołe i migotliwe odbłaski dużego ognia. Nie czuł właściwie swego ciała. Oczy mówiły mu, że leży w łóżku, ale nie czuł materaca pod sobą ani koców. Był odrętwiały i cieszył się z tego...

Popatrzył w sufit. Choć ogarniał go oczyma, wydawały mu się powolne i ospałe, niechętnie spełniające nakazy przytępionego umysłu. Słuch miał za to nadnaturalnie wyostrzony. Uszy jego odbierały zwielokrotnione dźwięki. Bardzo słaby, bardzo stłumiony łoskot pojazdów... Bardzo głośny, bardzo ostry trzask gorących węgli... Skrzypienie, kiedy czyjeś ciało przesunęło się na krzesło... Bardzo delikatny szmer głosów gdzieś spod podłogi... A potem, zdecydowanie wybijający się ponad nie wszystkie, szelest krochmalonego płótna...

Umysł polecił mięśniom dźwignąć głowę z poduszki i obrócić ją w prawo. Nie poruszyła się jednak — tylko przeszywający ból wypuścił od podstawy czaszki swe macki, targając każdym nerwem jego ciała. Wzrok przesunęła mu mgła i niejasno uświadomił sobie, że oblewa się potem. Leżał spokojnie...

Jeszcze głośniej zaszeleścił krochmal i w polu widzenia Garretta zamajaczyła górna połowa biało ubranej kobiety. Schyliła się, przykładając suchą i o twardym naskórku, ale pulchną rękę do jego spotniałego czoła. Migoczące smugi ognia zapalały iskry w krążkach szkła, które osłaniały jej oczy.

— Jak się pan czuje? — zapytała głosem łagodnym i odczłowieczonym.

Odpowiedział głosem grubym i niskim:

— Choruje się, co?... Głowa boli... Gdzie jestem?

Słowami nie tyle wyrażał myśli, ile wprawiał się w trudnej sztuce mówienia.

Zdjęła niemłą mu dłoń z czoła, wyprostowała się z nowym szelestem i stała spoglądając w dół. Powiedziała coś, ale zaabsorbowany własnymi myślami nie zadał sobie trudu, by to zrozumieć.

— Pani Bellingham?... Gdzie ona jest?... Co to za dom?... Proszę zadzwonić do pułkownika Gethryna... — Pod wpływem wysiłku twarz jego okryła się kroplami zimnego potu. Ale mówił dalej: — Pułkownik Gethryn... Numeru nie pamiętam... Pani Bellingham — St. John 4383... Ona powie...

Znów szelest płótna, gdy się pochylała. Z zaokrąglonych ust wydobyło się uciszające „sza”.

— Proszę nie rozmawiać! Zaszkozi pan sobie. Niech pan leży spokojnie, a wszystko będzie dobrze.

Uniosła z koca jego prawą rękę. Poszukała pulsu i trzymając dłoń Garretta w przegubie spoglądała na własny zegarek.

### 3

— Jesteś pewna, że na tym koniec? — zapytał Anthony stukając końcem ołówka w kartkę, która leżała przed nim na biurku. Spojrzał na zajęty przez gościa fotel.

Avis Bellingham skinęła głową.

— Nie sądzę, żeby mogło ich być więcej. Znałam całą rodzinę.

Anthony ogryzał koniuszek ołówka, a po chwili wziął się do pisania. Przeczytał gotowy tekst na głos:

Nie słuchajcie pogłosek o ciężkiej chorobie stop Wszystko w porządku stop Ważne powody stop Zadzwońę koniec tygodnia kochający Tom.

Rozsiadł się wygodniej i popatrzył na gościa.

— Dobrze? — zapytał.

Znów skinęła głową.

— Jeżeli... czy naprawdę uważasz, że będzie mógł zadzwonić?... To jest, czy będzie...

Anthony uśmiechnął się do niej.

— Naturalnie. On... — Przerwało mu pukanie do drzwi. — Proszę — powiedział.

Z szelestem fartucha weszła pielęgniarka. Stała w progu i skrzyżowawszy ramiona wzięła Anthony'ego na cel swych okularów.

— Nie chciałabym panu przeszkadzać, panie pułkowniku, ale pan Garrett się zbudził. Ma bóle, nie mogę jednak dać mu drugiego zastrzyku przed przyjściem doktora Holmesa. Próbowałam znaleźć panią Gethryn, podobno jednak wyszła. A ja muszę dopilnować, żeby pan Garrett leżał spokojnie, on zaś wciąż prosi, żebym „zatelefonowała” do pułkownika Gethryna albo do kogoś imieniem Avis. Powtarza to imię. — Umilkła, a jej oczy spoza lśniących szkieł pobiegły ku gościowi pułkownika Gethryna. — Avis wykonała nagły ruch i znów siedziała spokojnie. — Zdołałam uspokoić pana Garretta dopiero wtedy, kiedy obiecałam, że pójdę...

Anthony słuchał już dość długo.

— Tak, tak — powiedział. — To jest właśnie pani Bellingham, z którą chce się widzieć pan Garrett. — Świadomie obojętną twarz zwrócił ku Avis. — Gdybyś nie miała nic przeciwko temu i poszła na górę...

Pani Bellingham wstała zdumiewająco powoli. Jedyne na policzkach jej malowały się żywsze niż zazwyczaj rumieńce. Popatrzyła na Anthony'ego z uśmiechem i ruszyła ku pielęgniarce.



— Dobry wieczór pani — powiedziała. — Jeżeli zdołam na coś się przydać...

Anthony przysunął fotel do biurka i wzięwszy telegram sięgnął po słuchawkę.

## 4

Otwarcie drzwi rozbrzmiało w uszach Garretta artyleryjską salwą. Ale już się nauczył; nie próbował unieść głowy. Leżał spokojnie, szybko oddychając. A potem Avis pochyliła się nad nim.

Spoglądał na nią bez ruchu. Powoli koncentrował wzrok, aż wreszcie każdy szczegół jej twarzy zarysował mu się wyraźnie. Oczy miała bardzo niebieskie, bardzo łagodne i lśniące. Usta jej poruszyły się bezdźwięcznie, jak gdyby zamierzała coś powiedzieć i nie mogła. Pozostały rozchyłone, a spoza nich błyskała biel zębów. Uśmiechnął się, obojętny na ból, który przeszył mu głowę pod wpływem wysiłku tych paru mięśni. Chciał się odezwać, wymówić bodaj jej imię, gdy wtem jak dziecko poczuł bolesny skurcz w gardle. Zachował uśmiech, ale nieproszona, paląca wilgoć napłynęła mu pod ociężałe powieki...

Później nakrochmalony szelest; stuk; obłudny, zbędny głos pielęgniarki:

— Dlaczego pani nie siądzie, pani Bellingham? Proszę się czuć jak u siebie w domu. Tylko proszę nie przyzwalać, żeby chory za dużo mówił, bo będę miała nieprzyjemności od doktora Holmesa.

Przysunęła Avis krzesło i zachęcającym gestem klepała jego oparcie. Avis siadła nie odwracając oczu od ściągniętej twarzy na poduszce.

Znowu szelest; pielęgniarka podeszła i też nachyliła się nad łóżkiem. Na chwilę przyłożyła pacjentowi dłoń do czoła. Cofając ją stwierdziła:

— No, widok gościa chyba panu nie zaszkodził. Ale trzeba być grzecznym! — Z żalną łobuzerią pogroziła mu palcem. — Nie wolno być niegrzecznym i zepsuć tej miłej niespodzianki, jaką dla pana przygotowałam.

Wargi Garretta ułożyły się w bezdźwięczne i godne ubolewania słowo. Avis zatkało. Podniosła do ust chusteczkę, opanowana dziwną chęcią śmiechu i płaczu zarazem.

— Chwilowo — powiedział obłudny głos — zostawię was samych. — Palec uniósł się znów w nieśmiałym napomnieniu. — Ale proszę pamiętać i mówić niewiele!

Nakrochmalone płótno zaszeleściło ponownie, gdy się oddaliła i pełna taktu usiadła obok kominka plecami do nich.

Ospale źrenice Garretta powędrowały w jej kierunku. Usta jeszcze raz bezdźwięcznie sformowały straszliwe słowo.

— Przestań! — powiedziała Avis Bellingham zduszonym głosem. — Proszę cię, przestań, Tom!

I wtedy opuściła ich raptem wszelka ochota do śmiechu; znów patrzyli na siebie, mając niejedno do wyczytania w swych oczach.

Garrett odezwał się pierwszy, prawie nie poruszając wargami, niewyraźnie:

— Cios w głowę... Nie wiem, jak dawno tu jestem... Chciałem przeprosić za tamten lunch... Kiedy to było?... Tak jakby...

Pochyliła się jeszcze niżej.

— To było w poniedziałek, Tom. Wczoraj. I absolutnie nic...

Przerwał jej ochryply, gardłowy głos:

— Ależ tak!... Żle się zachowałem... Za dużo wypilem...

Każde następne słowo przychodziło mu z większym wysiłkiem. Położyła rękę na kocu okrywającym jego ramiona.

— Przestań, Tom! Nic się nie stało, absolutnie nic się nie stało!

Znów poruszył wargami.

— Ależ tak, stało się... Coś bardzo złego!... Wyglupiłem się, choć naprawdę mi zależało...

Głos zamarł, a Garrett spróbował zwilżyć językiem krnąbrne usta.

— Och! — rzekła Avis Bellingham łagodnie. — Ja...

Opanowała się i mocno zacisnęła wargi, żeby nie wyrwało się z nich już nic więcej. Zapadło milczenie.

— Nie wiem... — zaczął Garrett powoli i z trudem, ale dokończyć nie dał mu głos tępy i kompetentny, najwyraźniej maskujący żelazo pod aksamitną powłoką.

— Proszę, żeby pacjent za dużo nie mówił.

Garrett skierował ociężały wzrok w stronę, skąd ten głos dolatywał. Ale tym razem nie poruszył wargami; były zbyt znużone, by marnotrawić wysiłek. Avis, nisko nad nim schylona, uśmiechała się, wylewając jak gdyby kojącą balsam na jego cierpienia.

— Zrobię to dla ciebie — powiedziała i jej usta bezdźwięcznie ułożyły się w jakieś słowo.

Garrett już miał odwzajemnić uśmiech, lecz pohamował się w samą porę i nie dopuścił do nowego ataku tego potwornego bólu. Spoważniał i dziwnie ostro zapytał:

— A jak ta... jak ją nazwałaś... zagadka? Miałem... — Jego czoło przecięła powoli bolesna zmarszczka, chmura przesłoniła mu oczy. — Miałem... jakieś sny... Barry i Edna, i... i...

Avis Bellingham przerwała mu rozkazującym szep-tem:

— Nie wolno ci rozmawiać! I nie myśl o takich rzeczach! To się nie stanie!... Widziałam się z Anthony'm. To jego dom, wiesz przecież. Jest bardzo, ale to bardzo zajęty. Powiem ci jutro, a może on sam ci powie. Niejedno się przez ten czas wydarzyło.

Iskra zabłysła w ospałych oczach, a z nieruchomych warg wyrwało się pochopne krakanie:

— Znaleźli Murch?

— Sza! — Dowiedziała Avis. — Nie dowiesz się ode mnie szczegółów, ale musisz mi wierzyć. Różne rzeczy się dzieją.

Głos Garretta zabrzmiał niespodziewanie donośnie:

— Proszę cię, opowiedz...

I wtedy ze zdecydowanym szelestem pojawiła się przy łóżku pielęgniarka. Ton jej wyzuty był ze wszystkiego prócz stanowczości:

— Na dziś wystarczy! Dosyć!

## XIII

### 1

Dom Gethrynów opanowało zdziwienie. Jego pan nie tylko przyszedł na śniadanie, ale do tego wykąpany, ogolony i ubrany. Syn dał głośno i ochoczo wyraz swej radości i zdumienia, żona powitała go z kpiną. Nie ugiął czoła przed żywiołami; nałożył sobie na talerz, usiadł i zaczął jeść z całym spokojem.

— Jestem zapracowany. Wielkie sprawy zależą od tego, co powiem i zrobię. — Napił się kawy. — Można śmiało porównać mnie z pajakiem.

Żona przyglądała mu się ciekawie.

— Przybrałeś ten swój tajemniczy wygląd, Anthony!

I wydajesz się czymś zajęty.

Odłożył nóż i widelec.

— Nic nie mówię, chociaż mógłbym powiedzieć niejedno. Powiem tylko, że w przyszłości powinienem być znany jako Semlok, detektyw „na opak”. — Sięgnął po gazetę, rozłożył ją i spoza niej dodał: — Jeśli się nad tym zastanowić, rzeczywiście jestem pajakiem, przebiegłym pajakiem, który siedzi pośrodku swej pajęczyny, rozsnutej szeroko.

— Nie lubię pajaków — oświadczył jego syn — ale pajęczyny są ładne.

Anthony opuścił gazetę. Zrobił minę, która niezawodnie wywoływała u syna potężniejszy wybuch śmiechu. Rzekł spoglądając na żonę:

— Nie ma zręczniej uprzedzionej ani zmyślniejszej nitki niż moja, skarbie. Poczuję natychmiast ze wszystkich stron sygnał, jeśli coś dotknie skrajną pajęczyny.

Skończył śniadanie przy wtórze nieprzystojnych nagrań rodziny. Zostawił ich samych, by w ciszy gabinetu pograć się w rozmyślaniach.

O dziesiątej przybył oczekiwany gość. Był to Pike, uśmiechnięty i rześki. Nie chciał niczego się napić, wziął za to papierosa i usiadł w dużym fotelu obok biurka Anthony'ego. Wyciągnął z kieszeni wielką, urzędowo wyglądającą kopertę, a z niej zbieraninę papierów przewiązanych gumką.

— No i co, sir? — zagadnął z uśmiechem.

— To pan niech powie, co — odparł Anthony wydmuchując kółka dymu.

— Wobec tego zaczynam. Przekazaliśmy sprawę Ballister cywilnemu inspektorowi, sir, ledwie jednak pan Lucas otrzymał wczoraj w południe pański list, zaraz go odwołał. Zapytał mnie, czy ja bym się tego nie podjął, a ja w lot chwyciłem okazję, można powiedzieć. — Znow wsadził rękę do górnej kieszeni kurtki i wydobyl stamtąd złożone kartki maszynopisu. Rozłożył je i wygładził na kolanie. Podniósł wzrok na Anthony'ego. — Odpis pańskiego listu, sir. Czy nie mógłbym zaraz odpowiedzieć na wszystkie punkty?

Anthony przestał wydmuchiwac kółka dymu.

— Na wszystkie? — zapytał. — To by było wspaniale. Może pan to zrobić?

Pike uśmiechnął się, nie bez oznak zadowolenia z samego siebie.

— Tak, sir. Jest pan gotów?... Odnośnie do pierwszego paragrafu pańskiego listu pan Lucas kazał przede wszystkim powiedzieć, że nie czuł wówczas żadnej urazy. Po drugie: oczywiście przystępujemy do gry. Po trzecie: pan Lucas doskonale rozumie, dlaczego nie chce pan

ostrzegać tej bandy z KJB... A teraz mogę przystąpić do wyliczonych przez pana punktów. Pod nagłówkiem „Ogólne”, idąc w kolejności, mogę pana zapewnić, że nikt nie posądzi nas o cień zainteresowania Agencją KJB. Po drugie: z koronerem pomówić ma pan Sparkes — zna go pan, sir! — i to dobrze, bo on nie okaże KJB zainteresowania. Po trzecie: no, mam nadzieję, że to nie wymaga odpowiedzi, skoro osobiście prowadzę dochodzenie. Po czwarte: już ja się postarałem, żeby nikt związany z policją nie kręcił się w pobliżu ich biura.

Obrócił kartkę maszynopisu, rozsiadł się wygodniej, odchrząknął i zaczął na nowo:

— A teraz, sir, odnośnie do „Szczegółowych”... Po pierwsze: obsadziłem kogoś bardzo dobrego — pamięta pan Howellsa? — w klinice na Welbeck Street. Jest tam dodatkowym portierem, w liberii i w ogóle. Drugi nasz człowiek stoi na ulicy i jeśliby kto pytał o pana Garretta, Howells mu powie, a on już będzie śledził daną osobę...

Po drugie: sam rozmawiałem z doktorem Hoylake i prosiłem, żeby telefonistka dzwoniła na wewnętrzny 232 w Scotland Yardzie, w razie gdyby dowiadywano się o zdrowie pana Garretta. Ale za to nie uda się chyba poprosić centrali o notowanie numerów, spod których dzwoniło z takimi zapytaniami. Tu pobiła nas automatyzacja.

— Postęp — powiedział Anthony.

Pike spoglądał na niego grzecznie.

— Słucham, sir?

— Postęp jest wrogiem samego siebie. I co dalej?

— Poleciałem Dixonowi — nie zna go pan chyba, ale jest dobry — zająć się tą młodą kobietą, panną Lamb.

Musi jeszcze trochę popracować, ale przed przyjściem tutaj widziałem go i na podstawie dotychczas zebranych informacji wykluczałbym jakikolwiek jej udział w tej sprawie. Szukaliśmy jej w archiwach; nie figuruje tam ani ona, ani nikt o jej nazwisku. Dixon zbadał jej przeszłość, można powiedzieć, i wszystko jest jasne. A teraz punkt czwarty. Wczoraj wieczorem, nie mając za wiele roboty,

zająłem się panią Claude Kenealy. Niech mi pan wierzy, sir, że jej o nic nie można posądzać. Zgromadziwszy pewne dane, osobiście zobaczyłem tę panią. Nie wątpię, że jak mówią w Stanach, ona jest najzupełniej okay.

Popatrzył na Anthony'ego z uniesioną brwią.

— Jeśli pan tak twierdzi, Pike — powiedział z przekonaniem Anthony.

Pike promieniał.

— Dziękuję panu. Punkt piąty: pani Bellows. Nie mogę tu jeszcze nic powiedzieć. Wysłaliśmy policjanta z dzielnicy Hammersmith do Iron Court; jego zdaniem była w sąsiedztwie bardzo lubiana. Porządna kobieta. Wszystkie rachunki uregulowane i tym podobne. Mieszkała tam dość długo. Powiedziała sąsiadom, że jedzie do Szkocji odwiedzić swych krewnych. Nie zostawiła żadnego adresu. Może dowiemy się czegoś więcej po pewnym czasie, kiedy dobrze się rozejrzemy w okolicach King's Cross i St. Paneras. Ale na razie muszę wyznać, że stanęliśmy w martwym punkcie.

Urwał, poklepując zwitek papierów.

— W punkcie szóstym prosił pan o wszystkie konkretne dowody w sprawie lady Ballister. Oto one, sir, i wrócimy do nich niebawem... Punkt siódmy zalecał poszukanie nazwiska Janet Murch w archiwach. Zgodnie z pańskimi przewidywaniami nie osiągnęliśmy żadnego wyniku. W punkcie ósmym chodziło o to samo odnośnie do Evansa. — Roześmiał się. — Miał pan rację, że będą ich tysiące, sir, ale żaden nie miał nic wspólnego ze służbą domową... To samo dotyczy punktu dziewiątego — Agencji KJB. W archiwach nienotowana, prowadzi interes, można powiedzieć, bardzo wysokiej klasy. W punkcie dziesiątym chodziło o raporty z rozmów pana Garretta w Scotland Yardzie. — Znów postukał się po wewnętrznej kieszeni marynarki. — Mam je tutaj.

Odchrząknął i poprawił się w fotelu. Nad trzymanymi w ręce kartkami spojrzął na Anthony'ego i zauważył uśmiechając się, że oczy ma przymknięte.

— Odnośnie do punktu jedenastego, sir, mogę podać konkretne dane. Wypytałem o człowieka, który wychodził z domu Ballisterów w tamten piątek i minął pana na schodach. O jego wizycie wiedział lokaj. Był to agent jakiejś firmy instalującej centralne ogrzewanie. Lady Ballister nosiła się z zamiarem założenia takiej instalacji w wiejskiej rezydencji generała, gdzieś w hrabstwie Buckingham, niedaleko od Aylesbury, a ten mężczyzna usiłował zainteresować ją systemem stosowanym przez jego firmę. Zadałem mimochodem to pytanie staremu generałowi, sir, a on potwierdził słowa lokaja. Nie pamiętają, jak nazywa się firma, ale jeśli bardzo panu zależy, przypuszczam, że potrafimy się dowiedzieć. Ten człowiek bywał tam kilka, zdaniem lokaja cztery razy. Nazywa się Smithers...

Dotychczas Anthony nie przerywał opowiadania, lecz w tym miejscu się wtrącił.

— Dobrze nazwisko. Nie tak wpadające w ucho jak Smith.

Pike spojrział na niego ze zmarszczką na czole.

— Przepraszam, sir?

— To nieważne. A co z punktem dwunastym?

Pike uśmiechnął się.

— Może tu okazałem zbyt ni egoizm, jakby to powiedzieć, sir. Pisał pan, że gdybyśmy mieli kogoś dobrego, powinien by wybadać, ile osób ze służby w domu Ballisterów przyszło w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy z poręki KJB. Ośmieliłem się przyjąć, że odpowiadam pańskim wymaganiom, i dyskretnie wysunąłem macki — bardzo dyskretnie! Na pewno nie wzbudziłem podejrzeń, a zresztą, sir, jak to mówią, nie było co budzić. Dlaczego? Bo nikt ze służby obecnie w tym domu zatrudnionej nie przyszedł za pośrednictwem KJB! To sprawdziłem.

Jest ich wszystkiego pięćoro, włączając nową opiekunkę na miejsce Murch. Czwooro poleciała inna agencja, piąta osoba sama znalazła tę pracę. Ale, sir, w ciągu tego roku nie tylko Janet Murch przyszła do nich z KJB. Mieli jeszcze pokojówkę nazwiskiem Dillson, Doris Dillson.



Zaczęła pracować w lutym, a została, zwolniona z początkiem maja za impertynencję... I tyle, sir, zdaje mi się, można by na razie powiedzieć o sprawach poruszonych w pańskim liście.

Pike westchnął i odchylił się swobodnie do tyłu. Jego małe, lśniące, brązowe oczy badały twarz Anthony'ego.

Anthony ożył.

— Niekiedy zgadzam się z amerykańskimi powieściopisarzami — powiedział — którzy przypisują Scotland Yardowi nadludzkie możliwości.

Pike uśmiechnął się od ucha do ucha. Wziął z kolan przewiązany gumką zwitek papierów i podał go Anthony'emu.

— A tu, sir, jest to, o co pan prosił w punkcie szóstym: rzeczy należące do lady Ballister.

Anthony wziął pakiecik, położył na biurku i obróciwszy fotel zdjął gumkę. W środku znalazł grzbiety pięciu książeczek czekowych, książeczkę bankową, otwartą kopertę zaadresowaną rozlazłym charakterem pisma do „Charlesa”, małą czerwoną książeczkę oprawną w marokina, z wytłoczonym słowem „Dziennik”.

— Czy to wszystko? — zapytał.

Pike skinął głową.

— Tak, sir, poza jedną rzeczą, której nie mogłem przynieść i o której opowiem panu, jak pan skończy.

— Hm! — mruknął Anthony i pochylił się nad dowodami rzeczowymi.

Pike zapalił papierosa, spoglądając na zegarek. Była jedenasta...

## 2

Zegar nad Muzeum Morskim wybił ostatnie, jedenaste uderzenie, kiedy spod numeru 14 przy Brabazon Road wyszła młoda kobieta w granatowym płaszczu i ozdobionym

granatowymi wstążkami kapeluszu opiekunki do dzieci. Przy ścianie pod samą tablicą KJB stał wózek. Opiekunka pochyliła się nad nim i zajrzała do niemowlęcia, które opatulone w kołderki spało rumiane i spokojne. Młoda kobieta delikatnie odciągnęła wózek od ściany i zawróciwszy ostrożnie ruszyła szybkim krokiem przez Brabazon Road do głównej ulicy Emperor's Gate. Była dziewczyną o smukłych nogach, dumnie noszącą twarzowy strój, z malującym się na mocno upudrowanej, choć ładnie zarysowanej twarzy wyrazem ogromnej, acz mało sympatycznej kompetencji.

Nim doszła do połowy ulicy, spod numeru 11 po przeciwnej stronie wynurzył się energiczny młody człowiek w ciemnej czapce i granatowym kombinezonie mechanika. Kombinezon był względnie czysty, ale ręce mechanika nosiły czarne znamiona jego zawodu, w prawej zaś dłoni dzierżył małą skórzaną torbę z narzędziami. Stanąwszy na chodniku ostro skręcił w lewo i przenikliwie pogwizdując pomaszerował ku Emperor's Gate. Ładna opiekunka i jej wózek posuwali się szybko, mechanik jednak był prędszy. Kiedy ona skręcała w Emperor's Gate na prawo, dzieliło ich już zaledwie dziesięć jardów.

Mechanik przestał pogwizdywać. On także skręcił w prawo, przeciął wylot Brabazon Road i zwolnił kroku. Droga jego zdawała się zbiegać z drogą opiekunki i wózka...

Ona dotarła do końca Emperor's Gate i ruszyła na lewo, szeroką ulicą, która oddziela Ogrody Kensingtonskie od brązowej masy domów stojących do nich frontem. Czasem dwadzieścia, czasem tylko dziesięć jardów za nią kroczył mechanik. Dziewczyna i wózek skręcili w trzecią przecnicę na lewo. To samo, w kilka sekund później, uczynił mechanik. Podniósł głowę, jak gdyby niepewny, gdzie się znajduje, i odczytawszy nazwę ulicy: „Pierpont Gardens”, poszedł dalej.

Przed numerem 17 opiekunka przystanęła. Mechanik znajdował się wówczas na wprost numeru 11. Upuścił torbę, zatrząsk odskoczył i narzędzia rozsypały się po

chodniku. Zaklął soczyście, pochylając się, by zebrać je bez widocznego pośpiechu.

Przed numerem 17 krzątała się opiekunka. Wyciągnęła pasek z dna wózka i przywiązała go za koło do ogrodzenia. Zdjęła kołderki ze śpiącego wciąż dziecka i na rękach wniosła je przez frontowe drzwi.

Mechanik podniósł resztę narzędzi z rynsztoka. Poprawił zamek torby i teraz już leniwie ruszył w dalszą drogę. Naprzeciwko numeru 17 znalazł się w chwili, gdy drzwi skrywały trzepoczący granat. Popatrzył na numer i ścisnąwszy nogami torbę odegrał wielką scenę sprawdzania czegoś na kartce, którą wyciągnął z kieszeni kombinezonu. A potem, pogwizdując, wszedł w furtkę numeru 17, popchnął ją i nadal pogwizdując zbiegł po schodkach i zapukał do kuchennych drzwi...

### 3

Anthony odsunął ostatni grzbiet książeczki czekowej. Otworzył kopertę oznaczoną: „List pisany przez lady Ballister (nieżyjącą) do męża”, i czytał:

*Mój drogi Charlesie!*

*Nie sądz mnie zbyt surowo za to, co mam zamiar zrobić i co zrobią, zanim ten list przeczytasz. Mówiłam Ci chyba o mych bólach głowy. Ale nigdy Ci nie mówiłam, jakie są straszne. Przychodziły okresami, coraz silniejsze. I spowodowały zaburzenia w moim umyśle. Trzymałam się na wodzy, myśląc, że może miną; ale nie minęły! I teraz już wiem, co się stało. Ja wariuję!*

*Nie mogę znieść myśli, że będę Tobie i naszym drogim dzieciom niewdzięcznym ciężarem, istotą bezrozumną!*

*Zamierzam z tym skończyć. Mogę mieć jedynie nadzieję, że przebacysz swej kochającej żonie*

*Alice*

Anthony obrócił się i spojrział na Pike'a? A dowód rzeczowy numer trzy, którego nie mógł pan przynieść?

— Dowód rzeczowy numer trzy, sir — odparł Pike — to góra zwęglonego papieru na kominku w pokoju lady Ballister. Poddano go analizie. Rozpoznanie brzmiało: bardzo gruby papier na cieniutkiej tekturze, po jednej stronie mocno satynowany.

Anthony wzruszył ramionami.

— Cokolwiek to oznacza, fajerwerk mi pasuje. Wszystko się zgadza, prawda? — Strzelił palcami w kierunku grzbietów książeczek czekowych. — Kobieta wydaje około trzydziestu pięciu funtów miesięcznie od lat; nagle zaczyna podejmować duże sumy, które wzrastają od stu do pięciuset funtów, i to co parę tygodni. Pali papiery i popełnia samobójstwo, pozostawiając za bardzo literacki w stylu, fałszywy w tonie list. Wszystko to według Cockera.

Długa twarz Pike'a, obleczona w posępny wyraz, nieco się ożywiła.

— Chce pan powiedzieć, że przyczyną samobójstwa tej pani był szantaż? Tak, sir?

— O co chodzi, Pike? Przecież szantaż pasuje.

— A pan chce powiedzieć, sir, że za szantażem stoi Agencja KJB. Czy mam rację? — Pike mówił teraz powoli.

— Na cienie Dupina! — rzekł Anthony z uśmiechem. — Pike, pan nie jest policjantem. Ma pan za bujną wyobraźnię.

— Ale mam rację, sir? — obstawał przy swoim Pike.

— I to jaką! — odparł Anthony. — Ciekaw byłem, kiedy z podsumowania KJB plus Murch i KJB plus Ballister otrzyma pan w wyniku, że KJB równa się szantażowi. — Popatrzył na Pike'a, lecz mroku jego długiej, ponurej twarzy nie rozjaśnił żaden promyk. — A teraz ciekaw jestem, dlaczego to wszystko napęłnia pana takim smutkiem.

Pike niespokojnie obrócił się w fotelu.

— Istnieje po temu cała masa powodów, sir. Po pierwsze jest...

— Wolnego, Pike — przerwał mu Anthony. — Ma pan tylko ten jeden kłopot: czuje pan — i pewno nie bez racji — że mimo najusilniejszych starań nie zdołalibyśmy oskarżyć Agencji KJB o szantażowanie lady Ballister, a wszelkie badania po tej linii tylko ich ostrzegą i umożliwią zatuszowanie sprawy Murch, tak że nigdy już jej nie rozszyfrujemy.

— Otóż to, sir. Otóż to. — W Pike'a jak gdyby nowy duch wstąpił. — Widzi pan...

I znów Anthony nie dopuścił go do słowa.

— Proszę zaczekać. To tylko połowa pańskiego kłopotu. Druga połowa jest taka: jeśli zaniechamy śledztwa w sprawie Ballister, w jaki sposób zdołamy zgromadzić materiały obciążające KJB, co z kolei posłużyłoby za atut w rozgrywce z Murch? — Dobrodusznie obserwował Pike'a. — I o to chodzi. To cały pański kłopot. Nic poza tym.

Pike pogrążył się w głębokiej zadumie. Po chwili na twarz jego wypłynął lekko skruszony uśmiech.

— Ma pan rację, sir. O to mi tylko chodziło. Ale jeśli się nad tym zastanowić, to dużo.

— Więc niech się pan nie zastanawia.

— Słucham, sir?

— Niech się pan nie zastanawia. Niech pan nie myśli. Niech pan wcale o tym nie myśli. Niech pan zapomni o biednych Ballisterach. I przy okazji ułatwi sytuację sir Charlesowi, który z pewnością walczyłby jak lew, żeby obalić wszelkie dowody na istnienie szantażu.

Pike wstał. Dygotał, rzecz u niego całkiem niezwykła. Powiedział gwałtownie:

— Ale wobec tego nie mamy o co zahaczyć KJB. My...

— Niech pan zachowa absolutny spokój. KJB jest nam potrzebna. Po pierwsze — zapominając o Ballisterach — musimy udowodnić sami sobie, że Agencja KJB stanowi groźbę, ale nie możemy nastraszyć jej, boby wygrzecniała.

Po wtóre, chcemy przyłapać KJB na gorącym uczynku. Racja?

Pike przestał niespokojnym krokiem przechadzać się od biurka do okna.

— W porządku, sir. Zapomnę o Ballisterach. W ten sposób cofamy się do etapu, na którym zabraniał pan zbliżać się do KJB, czy coś w tej sprawie robić.

— Otóż to — potwierdził Anthony.

Pike obserwował go niemal z pasją. Odezwał się głosem zbliżonym do krzyku:

— Ale wobec tego nic nie możemy zrobić!

— Otóż to — powtórzył Anthony. — Pan nie może nic zrobić. — Na tym „pan” położył leciutki nacisk.

— Co? — zapytał ostro Pike. I dodał: — Chce pan powiedzieć, że ma pan kogoś, kto będzie śledził KJB?

Anthony skinął głową.

— Och! — wybuchnął Pike, ale twarz miał pozbawioną wyrazu, stał spokojnie i bardzo wyprostowany.

— Niech się pan nie obraża. Proszę pamiętać, że ja zająłem się tym wówczas, kiedy Scotland Yard odmówił wysłuchania pana Garretta. Dlatego musiałem być nieortodoksyjny. Proszę zjeść z nami lunch, a pokażę panu wyniki.

## XIV

### 1

Pike zjadł z nimi lunch o pierwszej i po posiłku panowie przeszli do salonu. Rozmawiali, ale bynajmniej nie o sprawie najbardziej leżącej im na sercach.

Kwadrans po trzeciej przybył Flood. Skłonił się Anthony'emu, uśmiechnął do Pike'a i obu podał rękę.

Pike wydał odgłos zbliżony do prychnięcia.

— Nie dziwi mnie to! — Ale się uśmiechał. Flood popatrzył na Anthony'ego.

— Gotowe — oznajmił. Anthony poprowadził ich do drzwi.

— A gdzie nasz pan Dyson? — zapytał Pike.

— Zajęty — odparł Flood. — Niby pszczołka! Zeszli do biblioteki. Ciężkie story były tu zaciągnięte,

plonęły górne lampy. Nad szafami bibliotecznymi, w pobliżu drzwi, wisiało prześcieradło. W drugim końcu pokoju, koło francuskich okien, stał projektor, a przy nim łysy człowieczek o wyglądzie i zachowaniu wykwalifikowanego robotnika. Parę kroków przed projektorem, na wprost prześcieradła, ustawiono trzy krzesła.

— Chodźcie! — powiedział Flood. — Chodźcie! Zobaczycie cudowny film! Najbardziej sensacyjny film stulecia! Człowiek polujący w puszczy Kensingtonu!

— Cicho bądź — poprosił Anthony i usiadłszy na środkowym krześle, dał znak Pike'owi i Floodowi, by zajęli miejsca po obu jego stronach. Obrócił się i przez ramię powiedział do mężczyzny przy projektorze:

— Czekamy na pana.

Rozległo się pstryknięcie i światła zgasły. Projektor zabrzęczał, po czym szeroka smuga białego światła padła na prześcieradło.

— Nowoczesne metody detektywistyczne — szepnął Flood. — Zbieranie poszlak aparatem filmowym.

Pike chrząknął. Usiadł i wetknął rękę głęboko w kieszenie zapatrzył się w ekran.

Obraz zajmował około jednej trzeciej jego powierzchni. Fotografie zrobiono widocznie z bardzo małej odległości. Ukazywała cegły spojone okruciami zaprawy wokół ciemnego prostokąta otwartych drzwi. U góry wisiało coś, co przypominało deskę. Na prawej framudze drzwi, gdzieś w połowie obrazu, widniała kartka, powiększona do dość sporych rozmiarów, z wypisanymi czarnymi literami słowami: „Proszę wejść”.

— Pike, ogląda pan to, co w języku technicznym nazywa się zbliżeniem frontowych drzwi numeru 14 przy

Brabazon Road, w South Kensington — powiedział Anthony. — To coś u góry to dół tablicy KJB. Chociaż widać, że kamera umieszczona była wyżej niż obiekt, zdjęcie wygląda na zrobione z bliska. W rzeczywistości jednak aparat stał w oknie na piętrze domu numer 11, po przeciwległej stronie ulicy — i miał specjalny teleskopowy obiektyw...

Urwał. Obraz nagle pociemniał, zatarty przez jakąś masę, która pojawiła się w lewym rogu, a potem przesunęła na środek. Wtem masa drgnęła i zmalowała odszedłszy przed obiektywem. Były to plecy mężczyzny w szoferskiej czapce i płaszczu o wysokim kołnierzu. Plecy zniknęły, pochłonięte przez ciemną paszczę drzwi.

Błysk... i tym razem postać wynurzająca się z czarnej czeluści. Ta sama, obecnie widziana od przodu. Czapka szoferska nasadzona beztrąsko. Lśniące guziki czarnej liberii połyskiwały w słońcu. Rysy starannie ogolonej twarzy, kanciastej, mocnej, lecz młodej, były absolutnie wyraziste. Mężczyzna przystanął. Cienkie wargi ułożyły się do czegoś, co musiało być wesołym pogwizdywaniem, a potem wznosił ręce i wciągnął na nie duże rękawice. I olbrzymia postać ruszyła znowu... Głowa zniknęła, płaszcz wypełnił ekran... Drzwi raz jeszcze opustoszały.

— Dość — powiedział Anthony przez ramię.

Brzęczenie i pstryknięcie. Smuga światła się urwała.

Jeszcze jedno pstryknięcie i u sufitu zapłonęły lampy. Anthony spojrział na Flooda. Flood przerzucił kartki czerwonego notesiku i odczytał:

— Czwartego października — to znaczy wczoraj.

Dziesiąta czterdzieści rano. Drugi gość. Zajechał krytym rolls-royce'em, numer GW-8439Y. Czas od wejścia do wyjścia — siedem minut. Nieśledzony, bo miał samochód. Wóz należy do lorda Charlesa Montforta, zamieszkałego na Lennox Street pod 34 albo w Bickleigh Towers, w hrabstwie Hertford. Nazwisko szofera — Thompson. Pracuje u Montforta od czterech miesięcy. Koniec.

Pike chrząknął.

— Dalej — powiedział Anthony przez ramię.



Lampy zgasły ponownie, rozległo się brzęczenie i w smudze światła dojrzeli drzwi na ekranie.

Następną osobą, widzianą najpierw od tyłu, a potem od przodu, była kobieta. Otyła, w średnim wieku i ubrana dość schludnie, na modłę służby domowej z ubiegłego dziesięciolecia. Jeszcze raz na życzenie Anthony'ego przerwano projekcję i zapłonęły lampy. Jeszcze raz Flood odczytał z notesu:

— Też wczoraj... Właściwie cały ten film jest wczorajszymi, bo dzisiejszego nie zdążono wywołać... Trzeci gość. Jedenasta trzy rano. Czas od wejścia do wyjścia piętnaście minut. Nie uważano, by należało ją śledzić.

— Proszę dalej — powiedział znów Anthony przez ramię.

Tym razem była to opiekunka do dziecka, w stroju jakby troszkę na nią za ciasnym. Plecy miała szerokie, twarz macierzyńską niemal do mdłości... Flood przeczytał:

— Czwarty gość. Jedenasta trzydzieści rano. Czas od wejścia do wyjścia — siedem minut. Śledzona. Była sama. Doszła do Emperor's Gate i wsiadła w autobus, którym dojechała na skrzyżowanie Morden Gardens i Fulham Road. Do domu numer 9 przy Morden Gardens dostała się drzwiami kuchennymi. Sprawdzono, że jest opiekunką trojga dzieci pani Frampton. Pracuje od siedmiu miesięcy. Nie ma zamiaru odejść.

Następna dziewczyna wydawała się tak drobna i schludna, jak jej poprzedniczka gruba i niechlujna. Była bez kapelusza, w ciemnym płaszczu, który zakrywał biały fartuszek i czarną sukienkę pokojówki... Flood przeczytał:

— Piąty gość. Pięć po dwunastej. Czas od wejścia do wyjścia — dziewięć minut. Śledzona. Skręciła w Emperor's Gate i weszła pod numer 98. Stwierdzono, że jest pokojówką w domu hrabiego Feralli. Pracuje od dwu miesięcy. Nie ma zamiaru odejść.

— Proszę dalej — powiedział znów Anthony... i tak się to ciągnęło.

Pokaz dobiegł końca. Biblioteka przybrała znowu normalny wygląd, zdjęto ekran, a człowieczek z projekto-rem zniknął.

Pike odezwał się po raz pierwszy, odkąd zaczęto wy-świetlać film.

— To bardzo interesujące, sir. — Popatrzył na Anthony'ego w zadumie. — Ale muszę wyznać, że nie widzę w tym celu. Zwłaszcza że pan Garrett chyba tego nie wi-dział.

— Zobacz film jutro — odrzekł Anthony.

— I pan myśli... — zaczął Pike.

— Nie, założę się, że nie pozna pleców żadnej z tych osób — przerwał mu Anthony.

— Och! — powiedział Pike i szczerze zaskoczonym to-nem mówił dalej: — Wobec tego nie rozumiem, do czego pan zmierza, sir. Te fotografie mogłyby się przydać, ale tylko w razie gdybyśmy kiedykolwiek mogli wystąpić przeciwko KJB. A do tego czasu wiele wody upłynie.

— Niech się pan zastanowi — rzekł Anthony — a przy-zna pan, że te fotografie jednak coś dają. — Spojrzał na Flooda. — Niech mnie pan poprawi, gdybym się omylił... Wczoraj odwiedziło KJB trzynaście osób. Cztery były w liberii, wszystkie cztery śledzono lub zebrano dotyczące ich dane. We wszystkich przypadkach okazało się, że ma-ją dobre posady i nie wymówiono im ani one nie wymó-wiły. Cztery na trzynaście to... chwileczkę... to z górą trzydzieści procent. A ja wciąż utrzymuję, że gdyby KJB była tylko tą przyzwoitą małą agencją, za jaką się podaje, trzydzieści procent odwiedzających ją jednego dnia osób w liberii nie mogłoby nie szukać pracy. — Zwrócił się do Flooda. — Dalszych informacji udzieli nam agent X-13. Opowie, co zdarzyło się dzisiaj; film będzie gotów dopie-ro jutro.

Flood uśmiechnął się, spozierając na Pike'a z błyskiem w oku.

— Zanotowałem szczegóły do czternastej trzydzieści dnia dzisiejszego — powiedział. Ponownie wyciągnął z kieszeni czerwony notes. — Od dziewiątej czterdzieści pięć dziś rano do czternastej trzydzieści było czternastu interesantów, siedmioro z nich w liberii.

— Dzisiaj pięćdziesiąt procent — powiedział Anthony.

— Śledziliśmy czworo, reszta nam umknęła. Zbiegli się ze sobą w czasie, rozumie pan — wyjaśnił Flood. — W tej czwórce były dwie jakby pokojówki, lokaj...

— Lokaj? — przerwał mu Anthony.

— Coś w tym rodzaju. Miał miękki kapelusz i jasny płaszcz, ale pod spodem liberię z metalowymi guzikami. Zobacz pan jutro.

— A dalej?

— Czwartą osobą była znów opiekunka do dzieci. Pchała wózek z niemowlęciem. Sam poszedłem za nią. Pracuje pod numerem 17 na Pierpont Gardens, w South Kensington. Nazywa się Jessie Brice. Bardzo lubiana przez resztę służby. Jest tam sześć miesięcy i nikt nie sły-szał, by chciała odejść.

— Następna?

— Ja mam na koncie tylko tę jedną. Dysonowi przy-padły pozostałe kobiety. Mężczyzna, którego ja śledziłem, pracuje u sir Harry'ego Goodenougha, tej grubej ryby w przemyśle stalowym. Jest tam od dwu miesięcy. Wydaje się, że zostanie. Nic nie wskazuje, by miał odejść... A te-raz dwie kobiety Dy sona. Jedna pracuje w Fulham — jako kucharka. Druga to pokojówka Nony Moon. Obie zatrudnione od trzech miesięcy. Nie ma mowy o zmianie pracy.

— A więc — zwrócił się Anthony do Pike'a — w ciągu dwóch zwyczajnych dni przeszło czterdzieści procent in-teresantów KJB to ludzie w liberii, pracujący i nie stojący w obliczu bezrobocia. Więc dlaczego tam chodzą? Zwykle służba udaje się do agencji tylko po to, by dostać pracę.

Kiedy już to osiągnie, stara się zapomnieć o agencji, często aż do tego stopnia, że zapomina uregulować opłatę.

Pike w zadumie potarł brodę.

— Tak, sir. Jeżeli spojrzeć na to w ten sposób, rzeczywiście wydaje się dziwne... — Mówił powoli. — Ale nadal nigdzie to nie prowadzi. Według mnie możemy najwyżej uznać to za jeszcze jedną dziwną rzecz, którą wypadnie zapisać na liście dziwnych sprawek KJB. Z pewnością nie daje tego, czego moim zdaniem nam potrzeba — podstawy działania.

Anthony uśmiechnął się.

— Wolnego, Pike, wolnego!

Pike wykrzywił kącik ust w na wpół żalonym grymasie.

— Pan do czegoś zmierza, sir, to widzę. I chyba nie może mi pan powiedzieć, co to takiego.

— Boże broń — zaprzeczył Anthony. — Jest pan zbyt przyzwoity. I płacą panu za to, żeby stał pan na straży prawa takiego, jakim jest, a nie takiego, jakim być powinno.

— Staroświeckie — powiedział Flood potrząsając poważnie głową. — Staroświeckie.

Pike łypnął na niego wściekle.

— Jeśli o pana chodzi, naruszył pan zapewne to staroświeckie prawo kilkanaście razy w ciągu ostatnich sześciu godzin, kiedy przeprowadzał pan wywiady. A jeśli chodzi o pańskiego przyjaciela Dysona...

— Panowie Flood i Dyson — odparł Flood z godnością — są obywatelami pełnymi nieskazitelnymi cnót. Ma pan na myśli dwu mechaników z gazowej spółki instalacyjnej.

Pike przeniósł wzrok na Anthony'ego.

— Więc nie chce mi pan powiedzieć, co to takiego, sir?

— Nie zaaprobowałby pan tego. A obawiam się, że komisarz dostałby ataku. Panu prywatnie szepnę jednak dwa słówka. Słówka francuskie. *Agents provocateurs!*

# XV

## 1

W piątek siódmego października o dziesiątej trzydzięści rano, panna Rose Parfitt jechała taksówką z wyżyn St. John's Wood na stację Waterloo. Na okrągłej, pospolitej twarzy panny Parfitt gościł szeroki uśmiech, jak gdyby była dzieckiem, które czymś nagle uraczono. W torbie panny Parfitt leżał niezarobiony pięcioletni banknot, a koło kierowcy stał jej żółty kuferek. Panna Parfitt rozpoczynała nieoczekiwane i dlatego w dwójnasób rozkoszne wakacje.

Tego rana o dziesiątej czterdzięści pięć panna Ada Brent weszła do westybulu Lords' Mansions w St. John's Wood. Za nią kroczył kierowca taksówki dźwigając kuferek, który mógłby być bliźniakiem kufereka panny Rose Parfitt. Wiek panny Ady Brent wahał się gdzieś między dwudziestką piątką a trzydziestką. Była ładna i zgrabna, dość mocno upudrowana, w schludnej i skromnej czerni.

Panna Brent zamieniła kilka słów z portierem nadzorującym ustawianie jej bagażu i obserwującym ją z uznaniem, kiedy płaciła kierowcy.

— Czternaście A, prawda? — zapytała panna Brent, rzucając mu powłóczyście spojrzenie dużych ciemnych oczu.

Portier odparł, że czternaście A. A panna...

— Brent — powiedziała panna Brent z uśmiechem.

— Ach! — Portier nabrał śmiałości i wojskowym gestem podkręciwszy groźnego wąsa, też się uśmiechnął. — A ja nazywam się Stubbs. Sierżant Stubbs. Eric Stubbs.

Panna Brent błysnęła ładnymi zębami spoza bardzo czerwonych warg.

— A więc dopilnuje pan mego bagażu? — spytała, uzyskawszy zaś twierdzącą odpowiedź, wsiadła do windy i szybko wleciała na szóste piętro.

## 2

— Nie sędzę, żeby pracy był u tu za dużo — powiedziała Avis Bellingham. — Kierownik agencji bardzo pochlebnie się o pani wyrażał, a z pani świadectw wnioskuje, że będziemy doskonale do siebie pasowały. — Uśmiechnęła się. — Szczęście mi dopisało, bo tak szybko panią dostałam.

— Tak, proszę pani — odpowiedziała panna Brent i pozwoliła sobie na grzeczny uśmiech, który jednak nie rozjaśnił jej oczu. — Dziękuję pani.

Pokazano jej pokój i zaznajomiono z nowymi obowiązkami. Dopilnowała przybycia kuferka i w wyjątkowo krótkim czasie wzięła się do pracy, czysto i stosownie ubrana w czarną serżę i białe płótno...

Była zręczna, prędką, wprawna i odruchowo grzeczna. W razie potrzeby nawet nieźle radziła sobie z gotowaniem. Jako służąca pod każdym względem znacznie przewyższała bawiącą na urlopie pannę Parfitt, aż za bardzo natomiast „znała swoje miejsce”. Pызata panna Parfitt chętnie zawierala z pracodawcami przyjaźń, jeśli się tylko dało, a jeśli się nie dało, czuła się nieszczęśliwa i odchodziła. Wręcz przeciwnie panna Ada Brent — ta nigdy nie odzywała się pierwsza, a jeśli już — to jak drewniana i bezdusznа wzorowa służąca...

## 3

Trzeciego dnia pracy panna Ada Brent wyłączyła budzik o siódmej rano, wstała z łóżka, wykąpała się i ubrała, po czym z wzorową szybkością i sprawnie przystąpiła do pełnienia codziennych obowiązków. O wpół do dziewiątej całe mieszkanie, z wyjątkiem sypialni jej pani, było gotowe

powitać nowy dzień. Punktualnie o dziewiątej panna Brent zastukała do drzwi sypialnego i usłyszawszy „proszę” weszła do środka niosąc na tacy kawę z rogalikami i poranną gazetę...

W dwie godziny później panna Brent zamknęła za swoją panią frontowe drzwi. Cieszyła ją świadomość, że nie ma już nic do roboty, że jej pani wróci dopiero po obiedzie; że nie musi na nią czekać; że nic się już na pewno w tych planach nie zmieni; że ona będzie tylko odbierać telefony.

Panna Brent z powagą powróciła wąskim korytarzykiem do lśniącej kuchni i usiadła ze złożonymi na kolanach rękami. Twarz jej jak zwykle przypominała maskę. Na półce nad piecem, widoczny bez odwracania głowy, stał budzik. W mieszkaniu było cicho i panna Brent czekała nieruchomo, podczas gdy wskazówka zegara przesuwiała się z minuty na minutę, wytrwale, choć niedostrzegalnie...

Kwadrans po jedenastej panna Brent uległa przemianie. Zawsze odczekiwała kwadrans, a teraz ten kwadrans upłynął. Wstała i zerwawszy z głowy czepeczek, rzuciła go na stół, po czym przeczesła rękami grzywę czarnych włosów i pogwizdując modną melodię ruszyła do salonu. Ze srebrnego pudełka na gzymsie kominka wzięła papierosa, zapaliła go i z kolei przeszła do stołowego. Tu z kafełki i syfonu naląła sobie whisky i wody sodowej. Ze szklanką w jednej ręce, a papierosem w drugiej powoli wróciła do salonu, usiadła przy telefonie, skrzyżowała nogi w ładnych pończochach i podniósłszy słuchawkę wykręciła numer. Po zwykłej przerwie spytała:

— Czy Harry jest w domu?... Więc proszę go obudzić... Proszę mu powiedzieć, że dzwoni panna Brent... Proszę się ze mną nie spierać, do jasnej cholery; jak się nie wie, z kim się rozmawia...

Wykrzywiła się do telefonu, potem uśmiechnęła, a później na przemian piła i paliła, czekając spokojnie.

Telefon zaskrzeczał.

— To ty, słonko? — powiedziała panna Brent. — Słuchaj, ta suka wyszła. Whisky jest dobra. Może dałabym się namówić, gdybyś obiecał nie być dżentelmenem, i zaprosiłabym cię tutaj dziś po południu.

Telefon zaskrzeczał podniecony.

— Słuchaj — ciągnęła panna Brent. — Daj spokój. Do popołudnia. Wtedy mi powiesz.

Telefon zaskrzeczał mniej wylewnie.

— Nie, nie mogę — odparła panna Brent stanowczo. — Nie. Przyjdź o wpół do trzeciej i ani minuty wcześniej... Tak, oczywiście zrobiłam, co do mnie należało. To nie w związku z tym... A teraz słuchaj, dzieciно! Albo przyjdiesz, kiedy cię zapraszam, albo przestaniesz przychodzić! Nie chcesz chyba, żebym się gniewała? Druga trzydzieści i ani minuty wcześniej... I nie jedź windą; wejdź prosto i w górę po schodach... Czternaście A... Do zobaczenia, skarbie! I zachowuj się grzecznie aż do popołudnia...

Panna Brent rzuciła słuchawkę. Przez chwilę siedziała, z wyraźną przyjemnością kontemplując telefon, potem wstała, wrzuciła niedopałek papierosa do ognia i dokończyła whisky.

Znów pogwizdując zabrała szklankę do kuchni, wypłukała ją nad zlewem, wytarła i odstawiła na miejsce. Wtedy dopiero w całym jej zachowaniu dokonała się raptowna przemiana. O ile przedtem była mile rozleniwiona, o tyle teraz stała się szybka i stanowcza. Przeszła do salonu krokiem zasadniczo różniącym się od niedbałego, rozkołysanego chodu sprzed minuty i od prędkiego, poważnego stąpania w czasie służby. Teraz wyciągała nogi swobodnie i zdecydowanie.

Zbliżyła się do biurka w rogu pokoju. Przysunęła sobie fotel, usiadła i zaczęła szukać w przegródkach czegoś zupełnie określonego. Zawartość niektórych kwitowała przelotnym spojrzeniem, z innych zaś wyjmowała papiery i rozłożywszy na bibule poddawała metodycznym oględzinom. Godzien uwagi był fakt, że po takim przeglądzie wszystko leżało nie tylko w odpowiedniej kolejności,



ale przegródka sprawiała identyczne wrażenie jak uprzednio.

Kiedy już przetrząsnęła przegródki, odchyliła się do tyłu i obrzucając wściekłym spojrzeniem biurko powiedziała na głos:

— Do diabła z tym wszystkim! — A potem z nagłą nutą podniecenia dodała: — A może...

Otworzyła bibularz. Była to teczka w pergaminowej oprawie, z sześćdziesięcioma czy siedemdziesięcioma kartkami, a w środku znajdował się przedmiot jej poszukiwań — list, nad którym pani domu tak długo ślezczała poprzedniego wieczora, ale który, jak wносиła panna Brent, nie został dokończony.

I oto tu leży! Na siedmiu kartkach! Urwany w pół zdania...

— Co za idiotka! — powiedziała panna Brent z niewymowną pogardą.

Zaczęła czytać. Jej brwi uniosły się po pierwszych pięciu liniijkach, kiedy zaś chciwe oczy pochłoneły ostatnią z gęsto zapisanych kartek, przechyliła się na oparcie fotela, wydeła policzki, a jej zaokrąglone wargi wydały przeciągły, stłumiony gwizd zdziwienia.

— No, jeśli to nie jest namiętne!... — powiedziała panna Brent.

## 4

Działo się to we wtorek, jedenastego października — to znaczy w dwa dni po przeczytaniu przez pannę Brent niedokończonego listu, który tak bardzo ją zdziwił. Na odgłos dzwonka służąca pani Bellingham pośpieszyła do frontowych drzwi, chwilę z kimś rozmawiała i odszukała swą panią w salonie.

— Pozwoli pani? — zapytała panna Ada Brent.

Pani Bellingham odłożyła książkę.

— Słucham.

— Przyszedł jakiś mężczyzna, proszę pani. Mówi, że chciałby się z panią zobaczyć w bardzo ważnej sprawie.

Pani Bellingham zmarszczyła brwi.

— Zobaczyć się ze mną? W ważnej sprawie? — Po minucie zastanowienia potrząsnęła głową. — Czy powiedział, jak się nazywa?

— Tak, proszę pani. Jenks, proszę pani.

— Jenks? — Pani Bellingham uśmiechnęła się. — Nie znam nikogo o tym nazwisku.

— Mówił, proszę pani, żebym powiedziała, że to bardzo, bardzo ważna sprawa.

Pani Bellingham wzruszyła ramionami.

— Pewno chce mi coś sprzedać. Proszę powiedzieć, żeby sobie poszedł... Chwileczkę! A jak wygląda?

Panna Ada Brent zastanowiła się, po czym z leciutkim prychnięciem odparła:

— Zwyczajnie, proszę pani... Niech mi pani wybaczy, ale nie zanoszę się, żeby sobie poszedł. Usiłowałam mu wytłumaczyć, że pani go nie przyjmie, jeśli nie powie, o co chodzi. Ale był bardzo... hm, natarczywy.

Pani Bellingham wykonała gest irytacji.

— Dobrze, Brent. Dobrze, proszę go wprowadzić.

— Tutaj, proszę pani?

— Tak, tak. — Pani Bellingham wstała, zamknęła książkę i położywszy ją na stole czekała, twarzą zwrócona do drzwi.

Drzwi się otwały. Panna Ada Brent przytrzymała je, spoglądając ze swoistą, pozbawioną wyrazu dezaprobatą na idącego jej śladem mężczyznę. Kiedy ten stanął na środku pokoju, pośpieszyła w stronę kuchni.

Pani Bellingham skierowała wzrok na gościa. Zobaczyła małego człowieczka w nieokreślonym wieku, ubranego tak niepozornie, jak sam wyglądał. W rzeczywistości przypominał tych niższych urzędników, koło których siada się w autobusie czy metrze. Bystre oko pani Bellingham jednak już po przelotnych oględzinach wyłowiło z tej pospolitości dwie cechy szczególne: po pierwsze, głowa

rzadko porośnięta słabym, piaskowym włosem była bardzo duża w stosunku do reszty ciała; po drugie, nosił ją specyficznie przekrzywioną na bok, jakby w celu obserwowania twarzy rozmówców bez konieczności napotykania ich wzroku.

W lewej ręce trzymał lekko zakurzony melonik, a pod lewą pachą, przyciśniętą do boku, cienką skórzaną kopertę największych rozmiarów.

— Słucham — powiedziała pani Bellingham, zwrócona plecami do światła napływającego przez cztery okna w drugim końcu ładnego pokoju.

Gość uklonił się, jeszcze bardziej przechylając głowę.

— Czy pani Bellingham? — zapytał.

Pani Bellingham potaknęła.

— Nazywam się Jenks — powiedział gość.

Głos jego pasował do wyglądu: bezbarwny, monotony i mocno zaprawiony akcentem City. Pani Bellingham śledziła go bacznie.

— Słucham pana... panie Jenks. Czego pan sobie życzy?

Pan Jenks odkaszlnął. Wymamrotał: — Jeśli pani pozwoli — i gestem wyrażającym, ile ten kapelusz dla niego znaczy, położył go na poręczy fotela. Wyciągnął spod pachy kopertę i w obu dłoniach trzymał ją przed sobą.

— Jestem przedstawicielem firmy fotograficznej, proszę pani — powiedział.

Postąpił dwa kroczki dalej, wciąż oburącz ściskając kopertę. Głowa, jakby bardziej niż zwykle przekrzywiona, wydała się nagle monstrualnie wielka. Pani Bellingham, która omal się nie cofnęła, niespodziewanie przypomniał płaza.

— Nie interesuję się fotografią — powiedziała ostro. — Traci pan tylko czas.

Duża głowa gościa kiwała się z boku na bok, gestem nieprzyjemnym, bo stale przekrzywiona.

— Myślę, że te fotografie panią zainteresują.

Otworzył kopertę i powoli wydobył z niej dwa duże prostokąty czegoś, co pani Bellingham, widząc jedynie ich grzbiety, wzięła za dwa cienkie arkusze kartonu.

Stał teraz tuż przy niej, zdoławszy jakoś niedostrzeżalnie się zbliżyć, a pani Bellingham naprawdę cofnęła się do tyłu. Powiedziała głosem jeszcze ostrzejszym i cieńszym:

— Nie wiem, o czym pan mówi. I nie podoba mi się pański sposób bycia. Proszę stąd wyjść.

Pan Jenks znów się zbliżył, tym razem jawnie. Całkiem nagle pani Bellingham uświadomiła sobie, że jego twarz nie jest tak przeciętna, jak wyglądała z pozoru, lecz lisia — i o specyficznej trupiobladej cerze.

— Ja nie zgaduję — powiedział. — Ja wiem na pewno, że zainteresują panią te zdjęcia wykonane przez moją firmę.

Raptem obrócił kartki tak, że prawa strona górnej z nich znalazła się przed oczyma pani Bellingham. Na lśniącej powierzchni odbite były jedna nad drugą jakby dwie strony gęstego, dobrze znanego jej pisma.

— Poznaje pani ten charakter, co? — zapytał pan Jenks wyżej podnosząc rękę.

Pani Bellingham poznała charakter pisma, i to z przychylny najoczywistszej. Oczy jej się rozszerzyły i odetchnęła z ostrym sykiem. Wyciągnęła dłoń błyskawicznie, ale pan Jenks, z miną i opanowaniem człowieka prowadzącego znaną sobie grę, ukrył kartki za plecami.

— Nie — powiedział pan Jenks. — To niegrzecznie!...

## 5

Następnego dnia, w środę, pan Jenks znów zjawił się w salonie pani Bellingham i znów z nią rozmawiał. Z rzeczową satysfakcją zauważył, że pani Bellingham jest blada stosownie do okazji i że ręka podnosząca do ust cygarniczkę drży nerwowo.

Pan Jenks położył kapelusz, nie pytając już o pozwolenie, w tym samym miejscu co dnia poprzedniego i spod lewej pachy tym samym gestem wyciągnął dużą kopertę. Popatrzył na panią Bellingham, ale się nie uklonił. Powiedział z bardzo nieprzyjemną pozorną serdecznością:

— Dzień dobry, dzień dobry! I jakże się dziś mamy? Już grzeczna, co?

Pani Bellingham milczała spoglądając na niego, jakby istotnie był płazem. Nie spuszczała zeń oczu, podczas gdy pan Jenks dokonywał dziwnych ewolucji, które nie stanowiły części wczorajszego programu. Minał ją i podszedł do okien, by podnieść wszystkie cztery długie zasłony zwisające po bokach. Zajrzał za każdą z osobna, aż wreszcie zadowolony wrócił na środek pokoju i stał z wielką głową bardziej niż zwykle przekrzywioną, rozglądając się dokoła. Zajrzał za i pod dużą kanapę ustawioną ukośnie do rogu. Usatysfakcjonowany i w tym względzie, wstał i nucił otworzył drzwi, by wyrzucić na korytarz.

Ponownie zajmąwszy swe stanowisko na wprost pani Bellingham rzekł wciąż z tą niemłą pozorną serdecznością:

— No, wszystko pięknie, ładnie! Cieszę się, że jest pani taka grzeczna... A teraz do rzeczy! — Wyciągnął kopertę spod pachy, otworzył ją i wyjął dwie odbitki. — Proszę — powiedział. — Mam nadzieję, że pamięta pani, co mówiłem wczoraj. Mój szef bardzo na to zwraca uwagę i nie lubi operować czekami, więc jeśli pani po prostu wręczy mi pieniądze, ja oddam to pani.

Pomachał trzymanymi w prawej ręce odbitkami nieprzyjemnie żartobliwym gestem.

Pani Bellingham kurczowo zaciskała w lewej dłoni jedwabną torebkę. Teraz otworzyła ją i wolno wyciągnęła gruby plik banknotów opasanych gumką. Nie spuszczała oczu, otwartych szeroko w wyrazie przerażenia i wstrętu, z przekrzywionej twarzy pana Jenksa. Zrobiła taki ruch, jak gdyby już miała dać mu pakiet, a potem cofnęła rękę.

Głosem zupełnie innym niż w czasie jego pierwszej wizyty spytała:

— Czy na pewno będzie w porządku, jeśli dam panu te dwieście funtów teraz, a pan odda mi fotografie?... — Urwała, z trudem łykając ślinę.

— W jak największym porządku — odparł gość. — A potem, za trzydzieści dni od dzisiaj, będę miał przyjemność odwiedzić panią znów z następną porcją odbitek. Wtedy zapłaci mi pani za tamte... i tak dalej, ze wszystkimi pięcioma egzemplarzami, aż dojdziemy do szóstej raty, która, proszę nie zapominać, będzie podwójna. Dopiero wtedy dostanie pani negatywy!

Pani Bellingham otworzyła usta, jak gdyby chciała coś powiedzieć, ale nie wydobyło się z nich ani jedno słowo. Zwilżywszy językiem wargi spróbowała raz jeszcze. Wreszcie rzekła:

— Ale... ale przypuśćmy, że nie będę mogła płacić za każdym razem.

Pan Jenks uniósł palec gestem napomnienia.

— No, no! O tym wszystkim rozmawialiśmy już wczoraj. Interes, pani B., jest interesem! Zapłaci pani za fotografie w ustalonym dniu. Jeśli nie... — Pan Jenks urwał. Na chwilę wyprostował głowę i popatrzył w niebieskie oczy pani Bellingham. — Jeśli nie... wtedy, ponieważ interes jest interesem, mój szef zostanie wbrew woli zmuszony wysłać odbitki, no, sama pani wie do kogo...

Pani Bellingham zbrakło tchu. Powiedziała wysokim głosem:

— Dobrze, dobrze! A teraz bardzo proszę to wziąć i dać mi tamto!

Lewą ręką pan Jenks wziął paczkę banknotów, ale w prawej nadal ukrywał fotografie za swymi plecami.

— Proszę nic się nie bać, te pani dostanie, pani B., ale interes interesem, więc najpierw muszę przeliczyć ten drobiazg.

Przeszedł w drugi koniec pokoju, położył fotografie na

biurku, a na nich plik pieniędzy i przeliczył je szybkimi, wprawnymi palcami.

Pani Bellingham stała w miejscu, wpatrując się w niego.

Pan Jenks skończył liczyć, wstał, wsadził pakiet do kieszeni i starannie zapiął bezkształtny płaszcz. Wróciwszy do pani Bellingham podał jej odbitki, które ona przyjęła powoli i z powątpiewaniem. Cofnął się.

— No i proszę! — powiedział. — Pięknie, ładnie! Pani płaci, my dostarczamy towar!

Pani Bellingham spoglądała na kawałki kartonu trzymane w dłoni. Nie podnosząc oczu, odezwała się głosem tak cichym, że niemal szeptem:

— Niech pan już wyjdzie. Proszę, niech pan stąd wyjdzie!

— Z pewnością! — odparł pan Jenks. — Z całą pewnością! — Przez chwilę obserwował ją, lewym policzkiem dotykając prawie ramienia; a potem okręcił się na pięcie, wziął kapelusz i pomaszerował w stronę drzwi. Tu odwrócił się raz jeszcze. Podniesionym głosem powiedział:

— I niech pani pamięta, pani B., że przyjdę znów dwunastego przyszedłego miesiąca.

Pani Bellingham milczała. Pan Jenks wyciągnął rękę do klamki. Ale ktoś już go wyręczył i otworzył drzwi. Pan Jenks zrobił trzy szybkie, posuwiste kroczki do tyłu i stał zapatrzony, jak gdyby nogi wrosły mu w podłogę... Pani Bellingham usiadła na poręczu fotela i zapaliła papierosa.

Trzech mężczyzn ruszyło od drzwi ku niemu. Jeden był wielki, niezgrabny, bardzo skromnie ubrany. Drugi — drobniejszy, żwawy młodzieniec odznaczał się władcym wyrazem twarzy i doskonałym, acz umiarkowanym smakiem w ubiorze. Trzeci, mniej emfaticzne wydanie pierwszego, z pewną ostentacją niósł ołówek i reporterski notatnik. Z ust pana Jenksa wydobył się nieartykułowany dźwięk. Drugi, ten władczy, podszedł do niego energicznie i poklepał go po ramieniu.

— Mam tu nakaz aresztowania pana pod zarzutem szantażu — powiedział.

# XVI

## 1

Mimo wczesnego popołudnia wszystkie zasłony w bibliotece mieszkania Gethrynów były zaciągnięte i nad szafą z książkami raz jeszcze zawisł ekran z prześcieradła. Łysy człowieczek pakował w mroku statyw i projektor do ich schludnych futerałów.

Sheldon Garrett ze zmarszczką na czole wpatrywał się w gładką obecnie biel prześcieradła. Był blady bladością człowieka, który kilka ostatnich dni spędził w łóżku, a w jego chudej twarzy wyłobiły się jakby nowe głębokie bruzdy. Potrząsnął głową, wydając słaby jęk. Siedząca obok niego Avis Bellingham położyła mu dyskretnie rękę na ramieniu. Spojrzał na nią, ale się nie odezwał.

Kiedy drzwi zamknęły się za operatorem, natychmiast otworzył je pan domu, który ogarnął siedzącą w fotelach parę rozbawionym wzrokiem.

— Wyglądacie jak dwoje dzieci w kinie za dziesięć pensów — powiedział.

Garrett nie uśmiechnął się.

— Nawet w rządach za dziesiątaka człowiekowi należy się coś za jego pieniądze — odrzekł.

— Chce pan powiedzieć, że to nie na wiele się zdaje. Ale nie spodziewał się pan tego, prawda? — zapytał Anthony.

Garrett wzruszył ramionami.

— Widziałeś to cztery razy, Tom — wtrąciła się Avis. — Gdyby ta kobieta tam była, poznałbyś ją natychmiast. Więc...

— Wiem, wiem! Tylko taki już ze mnie głupiec!

— Przyszedłem pana pocieszyć — powiedział Anthony. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnął cienki, porządnie złożony pakiet kartek formatu quarto. — Może



zechce pan to przeczytać. Prawdopodobnie okaże się lekarstwem na pańskie czarne myśli. Wetknął kartki w dłoń Garrettowi. — Kopia listu do Lucasa, doręczonego w południe. Ale nim go pan przeczyta, nadszedł czas, jak mawiają detektywi, aby poinformować pana o wielu sprawach. Po pierwsze: mogę już donieść, że poza mnóstwem towarzyskich i przyjacielskich zapytań o pańskie zdrowie w klinice Traversa Hoylake, gdzie jakoby nadal pan przebywa, były cztery telefony anonimowe — za każdym razem dzwonił mężczyzna z różnych niedających się zidentyfikować rozmównic. Po drugie: dziś po południu zjawiała się tam osobiście młoda kobieta — tajemnicza piękność, o której więcej dowie się pan z następnego podniecającego odcinka powieści. Dalej niewątpliwie ucieszy pana wiadomość, że policji udało się wreszcie natrafić na ślad nieuchwytej pani Bellows, ciotki Janet Murch...

Garrett zerwał się na równe nogi. Szeroki uśmiech zmasał wiele bruzd z jego twarzy.

— Gdzież ona jest? Czy coś z niej wydostali? Czy zna miejsce pobytu Murch? Zawsze uważałem, że gdyby...

Anthony uśmiechnął się.

— Co za ogień! Nie tak ostro! Jak dotąd uchwycili tylko jeden koniec tej nici, koniec zaczynający się w St. Paneras; drugi koniec zdaje się prowadzić do małej wioski w Midlothian, zwanej Brodie. Będziemy wiedzieć na pewno dziś wieczorem. — Wskazał trzymane przez Garrettta kartki. — A teraz proszę czytać. Podszedł do biurka i przysiadłszy na jego krawędzi zapalił papierosa.

Avis Bellingham bliżej przysunęła się do Garrettta. Zaglądając mu przez ramię czytała z nim razem.

*Drogi Lucas!*

*To do Twoich akt. Jest to zwięzłe sprawozdanie z moich ostatnich niecnych (i oczywiście nieusankcjonowanych) posunięć w sprawie Agencji Domowej KJB, jak również kroków, które dziś doprowadziły do aresztowania Arthura Jenksa czy Smithersa, Eustace'a Hinesa*

*i Belli Barnes. Dzięki uprzejmej i odważnej pomocy ze strony pani Bellingham doszło do następujących wydarzeń:*

*1. Pani Bellingham udzieliła swojej służącej urlopu.*

*2. Pani Bellingham powiadomiła Agencję KJB, że jest bez służącej, i poprosiła o natychmiastowe zastępstwo.*

*3. Wkrótce po zatrudnieniu nowej pokojówki (Ady Brent) pani Bellingham przepisała własnoręcznie list ułożony przeze mnie, adresowany zaś do osobistości tak ważnej jak lord.... który rzeczywiście jest jej znajomym (dzięki czemu fakt pisania do niego nabierał cech prawdopodobieństwa). Ten list, gdyby istotnie ktoś go napisał, byłby szczytem marzeń szantażysty, ponieważ zawierał prawie tysiąc słów mówiących o zakazanej, a silnej i zgoła nie sentymentalnej miłości.*

*4. Pani Bellingham stworzyła Brent dość okazji do znalezienia tego listu, a następnie dała mi o tym znać, ja zaś kazałem pilnie śledzić posunięcia Brent i przekonałem się, że odwiedziła KJB wieczorem w poniedziałek, dziesiątego bieżącego miesiąca, po godzinach urzędowania. Wpuszczono ją i spędziła tam dwadzieścia minut.*

*5. Rano we wtorek, jedenastego bieżącego miesiąca, panią Bellingham odwiedził mężczyzna podający nazwisko Jenks. Nie powiedział jej, z czyjego polecenia przychodzi, ale ją szantażował, proponując kupno odbitek wyżej wspomnianego listu. Pani Bellingham znakomicie odegrała ofiarę szantażu i była szantażowana niejako etapami, bo Jenks umówił się, że po pieniądze przyjdzie nazajutrz.*

*6. Poczyniwszy te kroki pani Bellingham powiadomiła mnie, a ja z kolei skontaktowałem się z Pike'em.*

*7. Dzisiaj rano, stosownie do mojej rady, pani Bellingham wysłała Adę Brent na parę godzin do miasta — i kiedy pan Jenks przybył po pierwszą ratę, głos jego został nagrany na dyktafon, on sam zaś aresztowany przez sierżanta śledczego Sharplesa.*

*8. Brent powróciła do Lord's Mansions dokładnie w chwili, kiedy wyprowadzano Jenksa pod eskortą. Siedziała w taksówce. Widział ją i poznał detektyw Manners, który poprzednio ją śledził. Ja także ją*

widziałem, bo przyjechałem właśnie do Lord's Mansions po panią Bellingham. Brent nie wysiadła z taksówki. Ani Manners, ani ja sam niczym nie zdradzi-  
liśmy, że ją widzimy. Rzecz naturalna, nie wróciła do pani Bellingham, ale ją śledzono. Towarzyszący mi Dyson złapał drugą taksówką i nie stracił Brent z oczu.

Powinienem także zanotować, że przystałeś na moją prośbę, by nie czyniono żadnych kroków w kierunku aresztowania Ady Brent, lecz trzymano ją pod obserwacją. O ile wiem, któryś z ludzi Bike'a złuzował Dysona wkrótce po południu i dzięki temu możemy przyjąć, że nie stracimy śladu Brent.

I na tym podpisany inicjałami, kończył się list. Ale Garrett wciąż trwał z wzrokiem wbitym w ostatnią jego stronę. Avis obrzuciła go zatroskanym spojrzeniem, ponieważ bladość ustąpiła na jego twarzy miejsca ceglaste-  
mu rumieńcowi, który rozlał się od kołnierzyka aż po włosy. Powieki mu opadły i grymas bólu zniekształcił rysy. Powiedziała coś i przysunęła się bliżej, ale on powstrzymał ją gestem wyciągniętej ręki i popatrzył wściekle na Anthony'ego.

— Czy nie za wiele bierze pan na siebie, jeśli wolno spytać? — wycedził.

— Ależ Tom! — wykrzyknęła Avis ze zdumieniem i trwogą.

— Nie rozumiem, co panu chodzi — rzekł spokojnie Anthony.

Garrett zagryzł usta.

— Jedyne o to, że ci dranie mogli przecież wyrzucić Avis krzywdę. I to wszystko! O tym chyba pan nie pomyślał! Następnym razem niech pan próbuje swoich sztuczek z pracowniczką policji albo z kimś z własnej rodziny!

— Tom! — wybuchnęła Avis Bellingham i umilkła na znak dany jej przez Anthony'ego, który zabrał głos:

— Niech się pan nic nie przejmuje. I wyjaśnijmy to sobie. — Mówił tonem rozsądnym, wolnym od gniewu czy nawet napięcia. — Myśli pan, że narażałem Avis na niebezpieczeństwo, bo...

Garrett przerwał mu, postępując krok w jego stronę. Głos miał schrypnięty, słowa padały szybko.

— Wiem, że narażał pan Avis na niebezpieczeństwo! Czyż te lotry nie próbowały i nie zdołały do mnie się dobrać? Czy mnie nie śledziły? Czy nie mogły widzieć mnie z Avis i zebrać o niej informacji? A pan każe jej zaangażować służącą za ich pośrednictwem i zastawić na nich pułapkę? Czy nie rozumie pan, że mogli do tego dojść i...

— Proszę o ciszę! — powiedział Anthony z taką siłą i tak głośno, że Avis aż podskoczyła.

Oczy Garretta miotaly wściekle błyski, lecz zamilkł. Nieświadomie podniósł rękę do głowy.

— Niech pan posłucha — odezwał się Anthony już normalnym tonem: — Oczywiście mogli sobie skojarzyć Avis z panem, ale w tym wypadku wystarczyło im nie złapać się na przynętę. A zresztą ona zaangażowała tylko dziewczynę. A Dyson i Flood byli stale w sąsiednim mieszkaniu, przynajmniej jeden z nich...

— Anthony! — zawołała Avis. — O tym mi nie mówię!

— A z chwilą kiedy KJB chwyciła haczyk — ciągnął Anthony nie zwracając na nią uwagi — stało się jasne, że Avis nie grozi niebezpieczeństwo. — Uśmiechnął się nagle. — Więc nie ma o co się złościć.

Garrett przysiadł nagle na oparciu fotela. Rękę wciąż przyciskał do głowy.

— Ma pan rację — rzekł po chwili. — Ale ja jestem ten, co się u was nazywa wielbiciele. Przepraszam pana.

Avis karcąco zmarszczyła brwi.

— Wstydź się, Tom!

— Głowa mnie boli — powiedział. — Patetyczny przypadek.

Uśmiechnęła się do niego i przysunawszy drugi fotel kazała mu usiąść, sama natomiast usadowiła się na poręczy. Wyraził wzrokiem swą wdzięczność i odezwał się do Anthony'ego:

— Muszę to panu oddać. Jest pan bardzo pomysłowy. Anthony przytknęła dłoń do czoła.

— Dziękuję uniżenie, sir.  
— Teraz nie powinno to już potrwać długo, prawda? — zapytał Garrett.

Anthony wzruszył ramionami.

— *Quien sabe?*

— A ja tak sobie myślę — zabrała nagle głos Avis — że bardzo mi żal tych wszystkich biedaków naprawdę szantażowanych. Zastanówcie się, co będą przeżywać, gdy dojdzie do tej sprawy.

Anthony potrząsnął głową.

— Mniej niż przypuszczasz. Mamy zwyczaj przeprowadzać śledztwo w sprawie szantażu bez ogłaszania nazwisk ofiar; i jeszcze jeden zwyczaj — możliwie daleko posunięty — zapominać jako przedstawiciele prawa o błędach tych ofiar. Mogę zaryzykować twierdzenie, że jedyne brudy, w jakich się będą grzebać, to brudy Jenksa i Spółki. — Wstał. — A teraz, dzieci, zostawiam was samych.

— Zaczekaj chwilę — poprosiła Avis. — Czy nie usłyszymy tego drugiego odcinka opowieści o pięknym gościu kliniki?

Anthony uśmiechnął się do niej.

— Na razie nie, ponieważ należę do Związku Detektywów. Nasze motto brzmi: „Nigdy nic nie mów”.

Avis zachowała powagę.

— No cóż, uważam to za bardzo brzydkie z twojej strony! — odparła, a wzrok jej przez ułamek sekundy zatrzymał się na Garrettcie.

— Do szlachetniejszych cech mojego charakteru zaliczam jednak przyznawanie się do tego, kiedy nie mam racji. Powiem wam przeto, że piękną nieznaną, która dziś w południe pytała w klinice o stan zdrowia pana Thomasa Sheldona Garretta, był nie kto inny tylko panna Ada Brent!

Patrzyli na niego szeroko otwartymi oczami.

— I co pan o tym sądzi? — zagadnął Garrett po krótkiej przerwie. — Co to może oznaczać?

Anthony podszedł do drzwi.

— Bóg raczy wiedzieć — odparł — ale nam nie powie.

## 2

W pokoju sir Egberta Lucasa panowało milczenie. Lucas spoglądał na Pike'a, Pike na Lucasa. Nie rozmawiali. Zadzwoił telefon i Lucas niecierpliwym ruchem podniósł słuchawkę.

— Proszę go przysłać — rzekł po chwili.

Pike przybrał zaciekawiony wyraz twarzy i w odpowiedzi doczekał się twierdzącego skinienia.

Drzwi otwarły się niebawem i do pokoju wkroczył wysoki, elegancki pułkownik Gethryn. Przysiadł na poręczy fotela i rozejrzał się po zmarszczonych twarzach.

— Obrazek z problemem. Z Johna Colliera. Policjo, czymże się trapisz? — zapytał.

— A tobie wesoło? — odciął się Lucas.

— Czemu by nie? Posuwamy się naprzód szybkim krokiem. A może nie mam racji?

— Posuwamy się! — powtórzył Lucas i roześmiał się krótko, niewesoło.

— Przeszkody — stwierdził Anthony obraźliwie proczym tonem — stworzone są po to, by je pokonywać.

— Och, pewno! I wszystko jest jak najlepiej na tym najlepszym ze światów! I tak, dalej, *ad infinitum* i aż do znudzenia! Co twoim zdaniem ty...

— Hola — przerwał Lucasowi Anthony. — A teraz niech poznam przyczynę strapienia.

— Pike ci wszystko opowie. — Lucas zabrał się do rysowania końskich łbów.

Pike odchrząknął.

— Sir Egbertowi chodzi o to — wyjaśnił — że znaleźliśmy się w kropce; można by powiedzieć, w ślepej uliczce.

— Można by powiedzieć, ale my tak nie powiemy. Proszę wyrażać się jaśniej — rzekł Anthony.

— Spróbujmy po francusku — wtrącił się gorzko Lucas. — *Cul-de-sac!*

— Podrażniony — stwierdził Anthony. — Opryskliwy.

Warczy. Nie przyjmuje pokarmu. Szczypta siarki w wodzie do picia czyni cuda. — Popatrzył na Pike'a. — Czy rzeczywiście mam przez to rozumieć, że nie możecie wytoczyć sprawy KJB i Spółce? Po wszystkich tych trudach, jakie sobie zadałem?

Pike nie spuszczał zeń oczu.

— Och, to jest proste, sir! Nasz kłopot polega na tym, że po schwytaniu tamtego towarzystwa nie możemy popchnąć naprzód tak zwanej sprawy Murch.

Anthony wstał. Raz jeszcze obrzucił obu mężczyzn wzrokiem.

— Historia przyłapana na bieżąco. Tablica numer 14, angielscy policjanci wreszcie chcą zamknąć drzwi stajni... — powiedział.

— Dość tego! — warknął Lucas groźnie.

Anthony usiadł.

— Przepraszam. Ale mówmy poważnie. Na czym polega trudność? Czy żaden z ptaszków nie chce śpiewać?

Koniuszek ołówka złamał się i Lucas cisnął go z hałasem na biurko.

— Otóż to! Niech cię diabli! Wszystkim nam każesz przejąć się tą sprawą i właśnie kiedy zaczyna nabierać interesującego posmaku, musimy wracać do punktu wyjścia.

— Nie — zaprzeczył Anthony. — Nie. W punkcie wyjścia to nie była w ogóle sprawa. — Raz jeszcze spojrział na Pike'a. — Co mówił Hines?

Odpowiedział mu Lucas:

— Nic. Nie chciał składać zeznań; żądał widzenia ze swymi adwokatami. A to, mój drogi, nie kto inny, tylko Dunkle i Abrahams. Hines zaś sprowadza samego Dunkle'a<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Przez wiele lat ta spółka prawników była solą w oku angielskiego wymiaru sprawiedliwości, zwłaszcza że bronili oni z reguły poważniejszych przestępców.

Anthony gwizdnął.

— A Jenks? Też nie złożył zeznań?  
— Bardzo długie, sir. Ale... — odpowiedział Pike.  
— Sama woda — wyjaśnił Lucas. — Dwa tysiące słów abrakadabry.

Anthony w zadumie skubał dolną wargę.

— Hm! A ta urzędniczka... Barnes?

Pike potrząsnął głową.

— Nic nie powiedziała, sir. Z tej prostej przyczyny, że nic nie wie.

— Pike jest tego strasznie pewny — wtrącił się Lucas.

— Chce ją wypuścić, ale ja uważam, że lepiej ją tu sprwadzić, a później odesłać z powrotem do więzienia.

— Ta młoda kobieta, sir, jest w równym stopniu zamieszana w brudne sprawy co arcybiskup Canterbury.

W tonie Pike'a dźwięczało przekonanie.

— Pike wie najlepiej — powiedział Anthony.

— Jeśli ją wypuszczę — rzekł Lucas — każę ją śledzić.

Napisał parę linijek na bloczku i podał kartkę sekretarce, która zjawiała się na dzwonek. Pike uśmiechnął się do Anthony'ego. Sekretarka wyszła i w pokoju zaległo milczenie.

— Czasami wzdycham — odezwał się wreszcie z namysłem Lucas — do szerszych uprawnień śledczych, jakie przysługują moim amerykańskim kolegom.

Anthony uśmiechnął się.

— Z rozkoszą patrzyłbym, jak dajesz paniczowi Smithersowi-Jenksowi coś, co chyba nazywają tam „obróbką”. Scena pierwsza: Podziemna cela w Scotland Yardzie. Osoby: Kapitan policji Egg Lucas: Niezłomny Jenks. Kostiumy opracowane przez urząd robót publicznych. Gumowego węża dostarczyła firma Dunlop.

Zaszokowany Pike wpatrywał się w lśniące czubki swych butów.

— Ale skąd ta rozpacz? — podjął Anthony. — Widziałeś już więźniów, którzy z początku nie chcieli mówić. Później będą... kiedy już dotrzemy do Mamy Bellows i...

— Proszę mu pokazać ten telegram, Pike.



Pike wziął z tacy na biurku Lucasa różowy blankiet telegraficzny. W milczeniu, z jeszcze bardziej niż zwykle zapadniętymi policzkami, wręcz! go Anthony'emu, który przeczytał:

Aci Scotland Yard — Londyn Nikogo nazwiskiem Bellows w Brodie stop nie mieszka tam nikt o tym nazwisku i jak dotąd żaden z mieszańców nie miał kontaktów z nikim takim stop w okolicznościach rysopis Bellows nie dość szczegółowy stop dla dalszej współpracy pożądaną rozszerzony rysopis

S MACFARLAND  
INSP MIDLOTHIAN

— Hm — powiedział Anthony skubiąc dolną wargę.

— A teraz — rzekł z upodobaniem Lucas — można by zacytować zwrot ze sztuki twojego przyjaciela Sheldona Garretta: „I jakże ci smakują te cebulki?”

Anthony potrząsnął głową.

— Nie za bardzo. I cóż przedsięwzięłeś?

— Posłaliśmy człowieka do Iron Court — odpowiedział Pike — żeby zdobył jak najpełniejszy rysopis poszukiwanej. Może potrafi wydstać fotografię, i tak dalej. Jak tylko wróci, nadam do MacFarlanda następną depeszę.

— Wiesz — mówił w zadumie Lucas — powinniśmy zatrzymać tę Brent i zobaczyć, co ona powie.

Anthony zaprzeczył ruchem głowy.

— W żadnym wypadku, chyba że wymuszanie zeznań stanie się dozwolone. Słuchaj, Lucas, ta kobieta, dopóki uważa się za wolną, to dla nas jedyna szansa szybkiego zdobycia danych o Murch. — Popatrzył na Pike'a. — Mam nadzieję, że ktoś dobry przypadł jej w udziale.

— Najlepszy z ludzi w mojej dyspozycji, sir.

— A ja obstaję przy tym, że powinniśmy ją zamknąć. Skąd ta pewność, że naprowadzi nas na trop? Przypuszczalnie ona...

— Ona już coś zrobiła — przerwał Anthony. — Może pół godziny wcześniej, zanim twoi ludzie przejęli od Dysona opiekę nad nią, nasza panna Brent zjawiała się w klinice Traversa Hoylake i pytała o Garretta. — Przeniósł wzrok z Lucasa na Pike'a i znów na Lucasa. — Dowiedziałbyś się tego dziś wieczór od swoich ludzi, ale zapragnąłem pierwszy podzielić się nowiną. — Uradowany śledził minę Lucasa. — I jakże, jeśli wolno mi zapytać, smakują ci te cebulki?

### 3

Panna Ada Brent szybkim krokiem wyszła ze stacji Knightsbridge. Była pierwsza z niewielkiej grupki osób, które wysiadły z tego samego pociągu. Skręciła na prawo i spiesznie zdążyła naprzód. O jakieś dziesięć jardów w tyle, za innymi przechodniami, kroczył mężczyzna, z wzrostu i ubioru, chodu i wyglądu, kolorytu i zachowania tak przeciętny, że aż — jak w niejednej już doniosłej chwili — prawie niewidzialny.

Panna Brent w niczym, pominąwszy rysy twarzy, nie przypominała byłej pokojówki pani Bellingham. Świetnie, choć może w pewnych subtelnych szczegółach zbyt elegancko ubrana w proste i nienagannie skrojone rzeczy, widokiem swym radowała oko każdego młodego człowieka i budziła nadzieje w sercach tych jego starszych braci, którzy lubią władczę kobiety. Ale, przynajmniej tego dnia, panna Brent nie zwracała uwagi na liczne rzucane jej spojrzenia. Cienkie brwi miała ściągnięte zmarszczką w kształcie litery V, kąciki ust opuszczone, a wyraz jej oczu świadczył o tym, iż rozmyśla o sprawach niemiłych czy trudnych, bądź o jednych i drugich równocześnie. Panna Brent wyglądała na skłopotaną; i nie mogłaby chyba wyglądać na bardziej skłopotaną, nawet gdyby jej było wiadome, że w chwili gdy skręcała w Stukeley

Gardens, stanowiła przedmiot rozmowy toczącej się w biurze aktywnego kierownika urzędu śledczego.

Zwolniła kroku. To samo za jej plecami uczyniło uosobienie przeciętności, detektyw C. D. Fields. I chociaż niejako wtopiony w miejski krajobraz, postacią i zachowaniem ani o cal nieodbiegający od swej paradoksalnie intensywnej normalności, koncentrował uwagę na panie Brent i ani nie widział, ani nie zauważył — bo dla czego miałby zauważyć? — że za nim, w odległości niemal takiej samej jak odległość dzieląca go od panny Brent, kroczył drugi mężczyzna...

Panna Brent spoglądała na numery na kamiennych słupkach furtek. Doszła do numeru 19A; zawahała się; przez chwilę jakby miała zamiar go minąć — a potem, prostując szczupłe ramiona, otworzyła furtkę i ruszyła ścieżką do drzwi frontowych.

## 4

Za kwadrans czwarta po południu panna Brent zadzwoniła do drzwi domu pułkownika Gethryna. Dziesięć minut wcześniej, w gabinecie Lucasa, Anthony wstał mówiąc:

— Pójdę już. Niech pan będzie tak dobry, Pike, i da znać, gdyby wydarzyło się coś nowego. A więc do jutra.

— Dokąd idziesz? — W tonie Lucasa przebijała podejrzliwość.

— Do domu — odpowiedział Anthony z uśmiechem. — Tylko do domu.

— Bardzo żałuję, sir — odezwał się Pike — bo liczyłem, że pójdzie pan ze mną obejrzeć dom Hinesa i mieszkanie Jenksa.

— Czy dotąd nie zostało to zrobione?

— Powinien pan na tyle mnie znać — odparł Pike z wyrzutem. — Nakazy rewizji wydano przed pierwszą

i paru ludzi już tam było. Ale chciałem teraz sam pójść i zobaczyć, co znaleźli. Albo co przeoczyli.

— Oby wszyscy w urzędzie byli tak gorliwi jak Pike w prowadzonych przez ciebie sprawach — westchnął Lucas.

Pike spojrzał na Anthony'ego.

— Mógłby pan jednak pójść ze mną, sir.

— Chyba bym mógł — odparł Anthony.

Tak więc się stało, że zamiast dotrzeć do domu w momencie, kiedy panna Ada Brent rozmawiała z White'em, Anthony w towarzystwie Pike'a zmieniał cały bieg tej historii jadąc przez Hyde Park ku dostojnym pustkowiom Bayswater.

## 5

Za dziesięć czwarta Avis Bellingham usiadła w wykuszu okna w salonie Lucy Gethryn.

Lucy nachyliła się i położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki.

— Wydaje mi się, Avis, że jak na inteligentną kobietę skończona z ciebie idiotka. Dlaczego mu nie powiesz?

— Nie mogę.

— To najzabawniejsza rzecz, jaką w życiu słyszałam! — w głosie Lucy dźwięczała irytacja.

Avis potrząsnęła głową.

— Bynajmniej. Czy ty nie rozumiesz? To jakby nowa wersja żądania „kochaj mnie dla mnie samej”.

— Ale on przecież nie wie!

— Właśnie. Przypuśćmy jednak, że mu powiem, a potem okaże się, że on nie... nie... — Avis umilkła. — A zresztą nie ma o czym mówić!

Odwróciła głowę i ponad frontowym ogródkiem wyjrzała na prosty, szeroki pas Stukeley Gardens.

— Posłuchaj — odezwała się Lucy. — Myślę, że jeśli nie powiesz...

Urwała raptownie. Miła twarz Avis Bellingham nagle znieruchomiała, a palce jej prawej ręki boleśnie wpiły się w ramię Lucy.

— Co się stało? — spytała Lucy zaskoczona.

Avis patrzyła na ogród oczyma rozszerzonymi zdumieniem. Powiedziała jakby do siebie:

— To... to niemożliwe! Skądże znowu... I trwała tak w bezruchu.

— O co chodzi?

Lucy pochyliła się i też wyjrzała przez okno. Zobaczyła idącą powoli ścieżką ku furtce smukłą i elegancko ubraną kobietę.

— Kto to taki? Powiedz.

— Mój Boże! — Avis zerwała się na równe nogi i pobiegła. Otworzyła drzwi z taką siłą, że klamka trzasnęła o ścianę. Pomknęła na górę schodami. Po drodze wołała bez tchu:

— Tom! Tom!

## 6

Ani Anthony, ani Pike, ani żaden z ich poprzedników nie znalazł nic w małym, obskurnym domku pana Hinesa czy też pozbawionym cienia indywidualności, tanim mieszkaniu pana Jenksa — nic takiego, co nie mogłoby się tam znajdować, gdyby stanowiły schronienia szarych, miłujących prawo obywateli.

Nic dziwnego zatem, że Anthony, powróciwszy do Stukeley Gardens nieco po wpół do siódmej, gorąco i wyszukanie przeklinał pecha, który przeszkodził mu być świadkiem takiego fenomenu, jak wizyta panny Brent w jego domu.

White, z dyskretnie opanowaną twarzą maskującą podziw dla tego, co później w rozmowie z przyjaciółmi określił jako: „Ni mniej, ni więcej tylko apopea”, zachowywał milczenie.

— I czemuż to, na mrozy piekielne — wołał Anthony — nikt nie okazał dość rozsądku, by natychmiast szukać ze mną kontaktu, tego już pojąć nie mogę.

White odkaslnął.

— Proszę mi wybaczyć, sir, sugerowano to wprawdzie, ale kiedy pani i pan Garrett, i pani Bellingham przeczytały kartkę pozostawioną przez tę młodą damę, sir, zapadła decyzja czekania na pański powrót.

— Kartkę! — wykrzyknął Anthony. — Gdzie jest pani Gethryn?

— W salonie, sir — odpowiedział White i zobaczył już tylko długie nogi swego pana, znikające za zakrętem schodów, susami po trzy stopnie naraz.

## 7

Kartka, skreślona dziwnie drobnym, porządnym charakterem pisma, miała następujące brzmienie:

*Sir, wiedząc, że pan jest zainteresowany odnośnie Arthura Jenksa, i mogąc odnośnie tego wiele więcej jeszcze panu powiedzieć, przypuszczam, iż opłaci się panu poświęcić trochę czasu na spokojną rozmowę ze mną. Zadzwonię do pana odnośnie tego później.*

*A. Brent*

— Mój Boże! — Anthony przeniósł wzrok z twarzy swej żony na twarz Avis Bellingham.

— Co to znaczy? Co to znaczy? — pytały równocześnie obie kobiety. Ciemne i niebieskie oczy wpatrywały się w niego.

— Odnośnie! — powiedział Anthony.

— Bestia! — wybuchnęła Lucy. — Myślałam, że coś odkryłeś.

— Co to znaczy, Anthony? — nalegała Avis. — Że tak tu sobie przychodzi!

Pan domu wzruszył ramionami.

— Rewidujcie mnie!

— Czy niczego się nie domyślasz? — pytała Lucy.

— Mnóstwa rzeczy. Ale to jeszcze nieuporządkowane.

Widziałyście ją?

— No pewno — roześmiała się Lucy — że widziałyśmy. Myślałam, że Avis dostała bzika. Siedziałyśmy tu w wykuszu okiennym...

— Pogrążone w zwierzeniach — dodała Avis. — Bardzo dziewczęcych.

— ...gdy wtem Avis schwyciła mnie za ramię i wskazała na ogród. Nie wiedziałam, kto to taki. Zobaczyłam tylko dziewczynę, lecz Avis wypadła z pokoju i pogalopowała po schodach jak oszalały koń...

— Pobiegłam do Toma. Wyciągnęłam biedaka z łóżka i dowlokłam do okna akurat w porę, by mógł dobrze się przyjrzeć plecocom panny Brent. Przyszedł mi pewien pomysł, rozumiesz, Anthony. Uważałam go za znakomity! Myślałam, że może...

— Panna Brent okaże się panną Murch — dopowiedział Anthony z uśmiechem. — Tak sądziłaś, prawda?

Avis, niepokieszona, wzruszyła ramionami.

— Nie na wiele się to zdało. Zdaniem Toma panna Brent jest panną Brent. Jej plecy z całą pewnością nie są plecami żadnej z kobiet z herbaciarni. Niepodobne zupełnie, mówił Tom. O mało nie pogniewał się na mnie.

— Naprawdę? — Anthony urwał, bo w drzwiach stanął White zdradzający niepożądane oznaki podniecenia.

— Dzwoni młoda kobieta, sir — powiedział. — Podąła nazwisko Brent, sir. Wydaje się...

Nie dokończył zdania. Po raz drugi w przeciągu pół godziny stwierdził, jak szybki potrafi być jego pracodawca.

Gethrynowie mają w domu kilka telefonów, ale z salonu najbliższej jest do wnęki u stóp schodów, gdzie aparat stoi na małym stoliku. Dlatego też Anthony tam pobiegł.

Nad nim, na półpiętrze, tłoczyli się White, Lucy i Avis Bellingham, podsłuchując bezwstydnie. Głos Anthony'ego docierał do nich wyraźnie. Słyszeli:

— Tak. Przy telefonie. Nie, to nie żarty, to Anthony Gethryn... Tak... tak... Mówiono mi, że pani była. Żałuję, że mnie pani nie zastała... Tak, na pewno mógłbym, a może woli pani przyjść tutaj?... Rozumiem. Więc proszę podać mi adres... Nie, nie potrzebuje się pani obawiać. Zapewniam panią, że jeśli obiecuję nie zawiadomić policji, dotrzymam słowa!... Dziękuję. Pani mi pochlebia... Dzwoni pani z domu? Och, nie ma pani telefonu — to bardzo mądrze!... Swinburne House 163... Tak, wiem. Koło Sloane Square. Tak... A więc dziewięta czterdzieści pięć... Do zobaczenia.

Stuknęła odkładana słuchawka.

## XVII

### 1

Sloane Square ma w sobie jakąś stateczną i miłą pogodę, która w jego południowo-wschodnim sąsiedztwie stopniowo zanika. Daisy Street zaś, w sposób absolutny przecząca swej nazwie, nigdy cechy tej nie posiadała, nie posiada i posiadać nie będzie.

Długi i wąski pas brudnej szarżyny, obramowany posępnymi bryłami cegły, przypuszczalnie bez sensu zamieszkiwanymi przez pewne istoty ludzkie, to była Daisy Street, zrodzona jakby z nicości. Jej kulminację stanowił olbrzymi, nachmurzony i podobny do więzienia masyw Swinburne House. Swinburne House jest pomnikiem ku czci niejakiego Josepha Hardcastle'a, który — być może nieśmiało ulegając wpływowi swego nazwiska — obdarzył cierpliwe miasto pół tuzinem ponurych baraków, znanych



zbiorowo pod nazwą Ulepszonych Domów Robotniczych Hardcastle'a. Naturalną rzeczą kolejną nie zdarzyło się, by z Domu Hardcastle'a korzystał kiedy przedstawiciel klas pracujących. Smutne kamienne królikarnie — każda z setkami mieszkań — dają przytułek różnego rodzaju ludziom. Spotyka się tu urzędników i kobiety uliczne, maszynistki i chórzystów; nonkonformistycznych pastorów i pijanych dziennikarzy; poważne studentki; frywolnych studentów; borykających się z losem młodych lekarzy; płaczliwych wdowców; skąpych euroazjatyckich póladowatów; emerytowanych marynarzy floty handlowej; nauczycielki szkół podstawowych i jeszcze tysiąc i jeden przedstawicieli tego ponurego bigosu, zwanego niższym drobnomieszczactwem.

O ile Daisy Street za dnia — nawet jeśli wyjątkowo świeci słońce — stanowi szare i smętne przypomnienie o wyrachowanej surowości cywilizacji, to nocą jest w najwyższym już stopniu beznadziejna. Ani dość czysta, ani dość bogata, bez promyka nadziei; ani dość biedna, ani dość brudna, nie osiąga tragicznych barw awanturniczej nędzy. Za dnia ruch panuje tu mały — wyjąwszy godziny, kiedy fala zatrudnionych w City mieszkańców Swinburne House zalewa ulicę, by zdążyć na poranny pociąg i potem wrócić na wieczorny posiłek — ale wieczorem, jeśli nie liczyć spóźnionych i chwilowo oddających się hulankom mieszkańców Swinburne House i niekiedy pustej taksówki, życie w ogóle tu zamiera. Ulica była więc wymarła, głucha i ciemna, gdy długi, czarny samochód Anthony'ego Gethryna zanurzył się w nią od strony Sloane Square. Na szybko wozu jęła osiadać mżawka i przez otwarte okno po stronie kierowcy wpadały podmuchy tego łagodnego, a jednocześnie bardzo przenikliwego zimnego wiatru, w którym zimy londyńskie niejako się specjalizują.

— Zapomniane przez Boga miejsce! — mruknął Anthony.

Dyson chrząknął.

— Gorsze od Poplar — powiedział Flood. Wyjrzał na zewnątrz. — Gdzie to jest?

— Tutaj — odparł Anthony i podprowadziwszy wóz do lewego krawężnika, wyłączył motor.

We trzech wkroczyli w zamgloną ciszę. Odgłos zatrzaśniętych drzwiczek samochodu zabrzmiał niczym wystrzał armatni. Anthony zadrżał i podniósł kołnierz smokinga, by ochronić jedwab koszuli.

— Powinien pan być wziąć płaszcz — powiedział Dyson chowając brodę w kołnierzu zatłuszczonego burberry, który otulał jego wychudłą postać. Flood zadarł głowę, żeby spod ronda głęboko nasadzonego kapelusza obejrzeć masyw Swinburne House.

— Przypomina mi Dartmoor — zauważył.

Anthony poprowadził ich przez czarną, lekko połyskliwą nawierzchnię jezdni do groźnego sklepienia bocznych drzwi. Przystanął w bramie, rozglądając się po ciemnej pustce betonowego podwórka, otoczonego z czterech stron wstrętymi ścianami Hardcastle'owego pomnika ku czci brzydoty.

— Jaki to numer? — zapytał Dyson.

— Sto sześćdziesiąt trzy. — Anthony ruszył w głąb małego tunelu.

— Prosto i na prawo — rzekł Dyson. — Czwarte wejście od tamtej strony.

— Szczegóły! — powiedział Flood. — Człowiek, Który Niczego Nie Zapomina.

— Naprzód! — wezwał ich Anthony i ze spuszczoną głową, wyciągniętym krokiem wyszedł z bramy w splekiwany mżawką mrok podwórza.

Tupot trzech par nóg zabrzmiał stłumionym echem, które wróciło odbite czterokrotnie przez piętrzące się, podziurawione oknami ściany. Poza tym panowała cisza.

Po przeciwnej stronie prostokąta znaleźli czwarte z kolei drzwi. Nad nimi, tak jak i nad innymi, błyskała blade, doświetlone światłem gazowa latarnia o brudnym szkiełku, z taniego kutego żelaza.

— Sto sześćdziesiąt trzy będzie na czwartym piętrze — powiedział Dyson.

— Dziękuję — odparł Anthony. — Wy dwaj tu zaczekacie. I bądźcie niewidzialni. — Zniżył głos do szeptu.

— A gdyby tak pójść z panem? — zapytał Flood. — Moglibyśmy poczekać na następnym podeście. Bylibyśmy bliżej.

— Za blisko — sprzeciwił się Anthony. — Jeśli Brent jest szczerą, moglibyście ją spłoszyć, a wtedy nie oddałaby już nam żadnej usługi.

— Na wypadek zasadzki będziemy za daleko — rzekł Dyson.

— Zostańcie w miejscu! — rozkazał Anthony i zniknął.

— A nie im zastanawiać się, dlaczego... — mruknął Flood.

Dyson chrząknął. Stali wpatrzeni w czerń wejścia. Do ich uszu docierał tupot Anthony'ego po kamiennych schodach.

## 2

Pod butami Anthony'ego niskie stopnie wydawały się szczególnie twarde, a żelazna balustrada chłodziła mu palce. W Swinburne House było bardzo ciemno. Na każdym podeście paliła się tylko jedna gazowa lampka, błyskając, migocąc i niewiele dając światła. Niezycliwie schody spowijał mrok.

Anthony wspiął się na drugi, a potem trzeci podest, mało co widząc i nie słysząc nic poza własnymi krokami. Osiągnął czwarty podest i — o ile Dyson miał rację — kres swej wędrówki. Korytarzykiem doszedł do oświetlonych drzwi i w wątlým blasku lampy odczytał numer. Sto sześćdziesiąt siedem. A zatem sto sześćdziesiąt trzy powinno być po tamtej stronie, o dwoje drzwi dalej.

Było. Odszukał małą mosiężną kołatkę i przycisk dzwonnka. Zadzwoił. Gdzieś ze środka dobiegło wytrwałe, metaliczne brzęczenie.

Czekał. Spodziewał się pochwycić słuchem jakiś ruch, ale na próżno. Znów przycisnął dzwonek i znów odpowiedziało mu tylko zgrzytliwe brzęczenie. Chwyciwszy palcami kołatkę jął energicznie bębnić w drzwi. Jedynym tego rezultatem był odgłos stukania i martwe echo.

— Do diabła! — zaklął Anthony Gethryn i bez wielkiej nadziei spróbował poruszyć klamką. Rzecz dziwna, klamka ustąpiła i drzwi się otwarły.

Szczupła twarz Anthony'ego przybrała wyraz nowy, na który składała się czujność i zgoła przyjemne oczekiwanie. Podeszwą prawego buta popchnął drzwi. Poleciały do środka. Stał wpatrzony w prostokąt absolutnej ciemności. Ramiona zwisały mu swobodnie po bokach; głowę podaną miał nieco w przód, jak człowiek łowiący uchem najłżejszy ze szmerów.

Ale nie rozległ się żaden szmer. Postąpił krok naprzód i daleko wyciągnął rękę natrafiając palcami na kontakt przy framudze. Nacisnął go i prostokąt przestał być ciemny.

Wszedł do środka i rozejrzał się na wszystkie strony. Stał w malutkim przedpokoju, na wprost wewnętrznych drzwi. Otworzył je z zachowaniem poprzednich środków ostrożności. Teraz światło wydobyło się spod przeraźliwie różowego klosza. Oczom jego ukazał się pokójk zagracony szpetnymi meblami o pokryciach w zjadliwym guście.

Utorował sobie przez ten gąszcz drogę do stojących otworem drzwi. Znalazł kontakt, przycisnął go i ruszył dalej, do sypialni tak nieładnie spartańskiej, jak salon był żałośnie ozdobny. Ale i tu także jedynym żywym człowiekiem był on sam. Popatrzył w krąg. Wąskie żelazne łóżko; tania komoda z biało emaliowanymi, podpryskiwanymi uchwytnymi, cynowa umywalka; zniszczony wieszak na ręczniki; drewniane krzesło; w rogu przy oknie zielona zasłona spływająca z krzywego mosiężnego lambrekina. A całą niemal resztę podłogi zajmował duży kufer w dobrym gatunku i znakomitym stanie.

Za zasłoną znalazł mnóstwo sukni, sukni kobiecych; wszystkie były porządne, niektóre nawet piękne. Przetrasnął je, ale bez skutku. Z kolei otworzył kufer. Był prawie w jednej czwartej wypełniony innymi sukniami, najwyraźniej niedawno spakowanymi. Opuścił wieko, wyprostował się i jeszcze raz rozejrzał dookoła, po czym dwoma krokami wrócił do salonu. Z drugiej strony okna także znajdowały się drzwi. Otworzył je teraz.

Tutaj nie musiał po omacku szukać kontaktu. Świeciło się już — jedna nieocieniona żarówka pod sufitem.

Stał w wąskim, ciasnym pokoiku, który spełniał w tym mieszkaniu rolę kuchni. I po raz pierwszy dostrzegł ślady ludzkiej obecności.

Oczy mu się rozszerzyły. Postąpił dwa kroki do przodu, spoglądając w dół. Powiedział na głos:

— Boże wszechmogący!

### 3

Sierżant Joseph Mather z urzędu śledczego poszukał w kieszeniach nowej paczki papierosów, którą powinien był mieć przy sobie. Nie mógł na nią natrafić z tej prostej przyczyny, że jej tam nie było. Zaklął siarczyście pod nosem, ponieważ w perspektywie majaczyła noc długa i czarna. Za ciemnym, ponurym schronieniem bramy mżawka przechodziła w równą, gęstą ulewę, nadającą czarnej nawierzchni Daisy Street nieprzyjemne lśnienie. Deszcz nie docierał do bramy, ale wiatr — wciąż przybiegający na sile i coraz zimniejszy — czynił to niewątpliwie. Całonocna służba bez papierosa! Sierżant Mather głębiej wepchnął ręce w kieszenie grubego, włochatego płaszcza i otulił głowę podniesionym kołnierzem. Patrzył spode łba. Nienawidził siebie i swego zawodu, panny Ady Brent i sir Waltera Raleigha. Znał ten rodzaj służby. Do rana nic się nie wydarzy, a każda następna godzina będzie się

wydawała dwukrotnie dłuższa od poprzedniej. Pod koniec nocy zaś, o zimnym, szarym i przypuszczalnie deszczowym świecie, zmieni go jakiś inny nieszczęśnik, a on sam wróci z bólem głowy, w złym humorze, przeziębiony i z pustymi rękoma.

Należy żałować, że sierżant Mather wypowiedział na głos Chaucerowskie słowo. Być może nie porzestałby na jednym, gdyby uwagi jego nie przykuły nagle szybkie kroki dobiegające z podwórza Swinburne House, którego sklepione wejście znajdowało się dokładnie na wprost jego kryjówki.

Były to bez wątpienia kroki męskie i dlatego, w tym szczególnym przypadku, nie powinny wzbudzić urzędowego zainteresowania Mathera. Ale Mather, znudzony, skwaszony, chętnie korzystał z każdej rozrywki. Wysunął się do przodu i spojrzął na drugą stronę jezdni.

Tamten mężczyzna wyszedł przed dom i na ułamek sekundy oświetliła go jedna z nielicznych na Daisy Street latarni. Skręcił w lewo — i stał się niewidzialny, a zarazem naprawdę interesujący.

Bo poza słabym kręgiem blasku przestał iść, a puścił się biegiem. Tupot jego nóg — chyżych, stawiających długie kroki — wybijał dziwny rytm w pustce i ciszy.

Cholernie dziwne! — pomyślał Mather. — Ciekawe, co to ma znaczyć?

Ogarnęło go przelotne pragnienie, by znowu być policjantem (M.X.4321) Josephem Matherem, i do tego w mundurze. Gdyby nadal był tym Josephem Matherem, mógłby dla zabicia nudy i dla rozgrzewki puścić się w pogoń za szybkobiegaczem. Ale sierżant Joseph Mather z urzędu śledczego musi pozostać na miejscu, bez tytoniu i bez celu, wciąż śledząc norę króliczą, aby jedna królicza nie wydostała się z niej niepostrzeżenie.

Odgłos kroków ucichł w oddali, przeszedł w normalne stąpanie i zamarł. Mather odruchowo spojrzął na zegarek i stwierdził, że jest za dziesięć dziesiąta.

Jeszcze raz, ponieważ nic już nie zaprzętało jego uwagi, wsadził ręce w kieszenie i dopiero wtedy przypomniał

sobie, że nie znajdzie w nich gładkiej, nowiuteńkiej paczki z dwudziestoma papierosami.

Ponownie złożył usta do starego przekleństwa i znów fala gniewu zalała go od stóp do głowy, cały metr osiemdziesiąt wzrostu i dziewięćdziesiąt kilo żywej wagi. Aby oderwać myśli od tytoniu, dał pierwszeństwo sprawom urzędowym i spróbował skupić się na tej bardzo nudnej zagadce Ady Brent... A zresztą może wcale nie jest taka nuda. Musi w niej tkwić coś niezwykłego, jeżeli zadanie to zlecono sierżantowi; i poza tym to jedna ze spraw pułkownika Gethryna...

Poczuł się mniej skrzywdzony i uśmiechnął się na myśl, że zaledwie przed paroma minutami on, niepostrzeżenie, śledził pułkownika Gethryna i tamtych dwóch facetów z prasy, gdy wysiadali z wozu zaparkowanego przy krawężniku zaledwie parę kroków od niego i wchodzili do Swinburne House...

A może jeszcze tego wieczora coś się zdarzy — myślał Mather — bo cóż by mogli robić ci trzej w takim miejscu, gdyby ich wizyta nie miała jakiegoś związku z Adą Brent? Humor mu się poprawił.

## 4

Flood poruszył się niespokojnie.

— Jak dawno już poszedł?

— Jesteś stara baba! — burknął Dyson.

— Ja nie... — zaczął Flood i urwał, bo do uszu ich doleciał, odbity dziwnym echem w ciemnym, zimnym szybie klatki schodowej, przeraźliwy gwizd w trzech tonach, gwizd dobrze im znany.

Dyson pierwszy podbiegł do podnóża schodów. Z bocznej kieszeni starego burberry wyciągnął dużą elektryczną latarkę i w migotliwym białym kręgu jej światła zaczął przeskakiwać po dwa stopnie naraz. Na ostatnim podejściu dogonił go Flood.

Dostrzegli wysoką postać Anthony'ego stojącego tuż pod gazową lampką na czwartym piętrze. Podeszli bliżej, on zaś gestem wskazał im otwarte drzwi numeru sto sześćdziesiąt trzy.

— Tylko bez hałasu — rzekł wprowadzając ich do saloniku i spoglądając na nich w różowym świetle.

— Ptaszek wyfrunął? — zapytał Flood.

— I tak, i nie. Spójrzcie! — Anthony otworzył drzwi kuchenne i odstepił na bok.

Flood przystanął w progu zdumiony.

— Chryste! — wyszeptał.

Dyson przecisnął się koło niego i dwoma krokami znalazł przy zlewie. Patrzył na coś, co leżało zwinięte na podłodze. Nie powiedział nic, ale usta pod jego orlim nosem ściągnęły się i wydały cichy, przeciągły gwizd.

— Uważaj na buty, człowieku! — zawołał nagle Flood.

## 5

Pan Arnold Pike, z fajką w zębach, a whisky z wodą sodową u boku, pochylał się radośnie nad stolikiem szachowym ustawionym koło kominka w jego salonie. O siódmej trzydzieści wyszedł ze Scotland Yardu — więc miał jakby pół święto — i dobrze załatwił sprawunki; zjadł smaczny obiad; zamienił granatową serżę i połyskliwe czarne buty na wiekowy tweed i ranne pantofle, a teraz w miłym podnieceniu oczekiwał starego przyjaciela i starszego jeszcze przeciwnika w tej najwspanialszej ze wszystkich gier.

Telefon zadzwonił przeraźliwie. Pan Arnold Pike drgnął i spojrzął na aparat wzrokiem wyrażającym komичne pomieszanie trwogi i irytacji. Odepchnął fotel do tyłu i wstał. Dzwonek wciąż jeszcze rozbrzmiewał. Pan Arnold Pike, zamieszkały pod numerem 78 w Poindex-



ter Mansions, podniósł słuchawkę i wydał kilka zwykłych przy tej okazji dźwięków.

— Co? — zapytał inspektor Arnold Pike z urzędu śledczego.

— Słyszał pan przecież — warknął głos w telefonie. — Tu Dyson. Mówię ze Swinburne House. Od portiera. Ada Brent nie żyje. Znalazł ją Gethryn...

— Zamordowana? — pytał Pike.

— Całkowicie. Niech pan słucha. Jest tam Gethryn. Flood poszedł po waszego detektywa. Gethryn prosi o natychmiastowe przybycie.

— Dobrze! — Pike rzucił słuchawkę i natychmiast się podniósł. Połączył się z Whitehall 4000 i wydał zwięzłe rozkazy.

Działo się to pięć po dziesiątej.

## 6

O dziesiątej trzydzieści dwie inspektor Arnold Pike wyszedł z kuchni numeru sto sześćdziesiąt trzy w Swinburne House. Mimo różowego oświetlenia twarz jego wydawała się bardzo blada.

— No i co? — spytał Anthony.

Kąciki ust Pike'a opadły w dół.

— Nie tak łatwo wytrącić mnie z równowagi, sir — powiedział. — Ale to mnie wytrąciło! Ktokolwiek to zrobił, musi być najstraszliwszym szaleńcem.

— Spotykamy pana Evansa. Czy też może nie mam racji?

Pike w zadumie potarł brodę.

— Szybki pan jest, prawda?

Wymamrotał coś na swoje usprawiedliwienie i wyszedł drugimi drzwiami, aby za chwilę wrócić w towarzystwie dwóch mężczyzn w cywilnych ubraniach. Pierwszy z nich dźwiżył długi, wąski kufereczek z cyny pokrytej

laka, drugi statyw i dwa duże futerały z czarnej skóry. Pike wskazał im drzwi kuchenne.

— Tam — powiedział.

Ciężkie choć ciche stapania tych dwu rozległy się w małym pokoju. Człowiek z kufereczkiem otworzył kuchenne drzwi; drgnął i przystanął; wciągnął z sykiem powietrze przez zęby i wszedł do środka. Jego towarzysz flegmatycznie podążył za nim. Drzwi się zamknęły.

— A teraz, sir? — zagadnął Pike Anthony'ego.

— Kiedy my daremnie przeszukiwaliśmy nory Jenksa i Hinesa dziś po południu, panna Ada Brent była u mnie w domu...

— Co? — zawołał Pike.

— I owszem. Kiedy się dowiedziała, że mnie nie ma, zostawiła kartkę. Oto ona.

Brazowe oczka Pike'a zalsniły. Wziął kartkę i chłonał ją chciwie.

— Telefonowała — podjął Anthony. — Nie chciała przyjść ponownie. Prosiła, żebym stawił się tutaj o dziewiątej czterdzieści pięć. Pod warunkiem, że nie zawiadomię policji. Więc nie zawiadomiłem. Ale, będąc paskudnie podejrzliwy z natury, zabrałem ze sobą Dysona i Flooda. Na dzwonek nikt nie odpowiadał. Dziwnym trafem jednak drzwi nie były zamknięte. Zajrzawszy do kuchni poprosiłem Dysona, żeby do pana zatelefonował, a Flooda, żeby odnalazł detektywa śledzącego pannę Brent.

— Tok Mather — powiedział Pike. — Dobry pracownik. Gdzie on się podziewa, sir?

— Zniknął. Ugania się za cieniem.

Pike przymrużył oczy.

— To znaczy, sir?

— Za dziesięć dziesiąta — to jest w parę minut po naszym przyjeździe — Mather zobaczył mężczyznę wychodzącego z tego katafalku na ulicę. Skręcił w lewo i pobiegł jak szalony. Zbudził urzędowe instynkty Mathera na tyle, że zapamiętał godzinę. Po kilku minutach Flood odnalazł Mathera i przyprowadził tutaj. Mather opowiedział mi o tym i to ja kazałem mu ruszyć w ten niezbędny pościg. Zgoda?

Pike potaknął.

— Oczywiście, sir. Czy przyjrzał mu się?

Anthony wzruszył ramionami.

— Widział go przez ułamek sekundy. Na nic się to nie zda. Średniego wzrostu, ciemny płaszcz, normalna budowa.

— Hm! — Pike pochylił głowę w typowym dla siebie geście zadumy; potem uniósł ją gwałtownie, jak gdyby urażony widokiem swych zniszczonych, grubych butów. — Mógł biec do pociągu. Slaone Square jest w tej stronie.

— A pociągi metra odchodzą co pięć minut. W obie strony — dodał Anthony.

Po raz pierwszy od momentu przybycia tutaj Pike się uśmiechnął.

— Mógł biec na pociąg do Hounslow, sir.

Anthony też się uśmiechnął.

— Albo dla rozgrzewki czy za kobietą. Czy z nadmiaru radości życia.

Zapanowała chwila ciszy, którą przerywało tylko głośne, metaliczne tykanie porcelanowego zegara i stłumione odgłosy dobiegające spoza drzwi kuchennych. Pike odezwał się pierwszy.

— Jest jedna szansa. Ludzie zwracają uwagę na biegnącego człowieka.

— Owszem. Ale, jak mówi Mather, on przestał biec nie dalej niż w połowie Daisy Street. A ulica była pusta.

Pike wzruszył ramionami.

— No cóż, zobaczymy.

Rozglądał się po pokoju, aż wreszcie wzrok jego spoczął na małym biurczku. Leżało tam kilka uporządkowanych stosików kartek.

— Pracował pan?

— Tak — potwierdził Anthony. — I bez rezultatu. Same szpargały, które mogłyby należeć do każdego z nas.

— Kiedy dokładnie pan, Flood i Dyson tu przyszlście, sir?

— Powiedzmy, że o dziewiątej czterdzieści dwie. To będzie dość ścisłe.

— A Mather widział, jak ten mężczyzna wychodził o dziewiątej pięćdziesiąt, czyli osiem minut później?

— Owszem. I nie spotkaliśmy się z nikim na podwórzu. A ja nie minąłem nikogo na schodach. Dyson i Flood zaś stali w drzwiach przez cały czas i nikt stąd nie wychodził.

— Wszystko zatem sprowadza się do tego, sir: jeśli mężczyzna, którego widział Mather, był mordercą, musiał opuścić to mieszkanie i ten dom przed przybyciem panów, a potem ukryć się gdzieś i przeczekać, aż wejdziecie.

— Jest tutaj tysiąc i jeden zakamarków — stwierdził Anthony. — Może był w którymś z mieszkań w innym bloku. Jako gość, a nawet jako lokator.

— Wspomniał pan niedawno nazwisko Evansa, sir — wtrącił się Pike szybko. — Czy należy przez to rozumieć?...

Anthony potrząsnął głową.

— Niestety nie. Dyson przejrzał listę u portiera. Nie mieszka tu nikt nazwiskiem Evans.

— Ale niech pan posłucha, sir. Jeśli on tylko co...

— Jeżeli chce pan zasugerować, że był w tym mieszkaniu, dopóki nie usłyszał moich kroków — przerwał mu Anthony — a następnie wydostał się jakąś inną drogą, na przykład wyjściem zapasowym, to jest pan w błędzie. Obejrzałem sobie okna. Przez jedno może kot zdołałby się wydostać. Znajduje się w sypialni i prowadzi do drabinki przeciwpożarowej. Ale wszędzie leży tam nietknięty kurz grubości jednej ósmej cala.

Między brwiami Pike'a zarysowała się głęboka bruzda. Skubał dolną wargę i znów oglądał czubki swych butów. Po chwili rzekł:

— Kiedy pan to znalazł, sir — wskazał kciukiem kuchenne drzwi — jak dawno, pana zdaniem, no, jak dawno mogło już tak być?

— Nie jestem lekarzem — odrzekł Anthony. — A nawet gdybym był, nie potrafiłbym dokładnie określić czasu. Ale jeśli mam zgadywać, nie więcej niż piętnaście minut. Krew nie wszędzie zaczęła krzepnąć... Gdzie jest lekarz dzielnicowy? I kto to taki?

— Zna go pan. To Hancock. Będzie tu lada moment. — Pike w dalszym ciągu przyglądał się butom i skubał dolną wargę.

Drzwi kuchenne otwarły się i dwaj mężczyźni w cywilu wyszli zamykając je za sobą. Ten z kufereczkiem był pierwszy; jego okrągła twarz, lśniąca potem, w różowym świetle zdradzała bladeść. Za nim flegmatyczny fotograf niósł statyw i futerały.

— Gotowe? Ile zdjęć, Harris? — zapytał Pike.

— Tuzin, sir — odpowiedział człowiek ze statywem. — Nie licząc odcisków dla Johnsona.

Pike przyjrzał się drugiemu z nich.

— Nie poszczęściło się, Johnson?

Mężczyzna dużą chustką ocierał czoło.

— Na oko nie, sir. Dużo odcisków, ale wydaje się, że one wszystkie są — przełknął ślinę — są jej.

Z przedpokoju dobiegł chropawy, przenikliwy dźwięk dzwonka.

— To pewnie doktor Hancock — powiedział Pike.

## 7

Charles Grandison Hancock, członek Królewskiego Kolegium Chirurgów, licencjat Królewskiego Kolegium Medycznego, pochylał się nad parującą cynową miednicą stojącą na stole pod różową lampą. Po skończonej pracy energicznie mył ręce. Bił od niego silny zapach środków dezynfekcyjnych.

Z pokoju sypialnego wyszedł Anthony, a za nim Pike. Hancock podniósł głowę, skinął potakująco i raz jeszcze

schylił się nad miednicą. Anthony wciągnął w nozdrza powietrze.

— Przyjemnie pachnie... tutaj — zauważył.

— Nic szczególnego, doktorze? — zapytał Pike.

Hancock wziął się do wycierania rąk.

— Zależy, co ma pan na myśli. Szczególnie paskudna robota.

— Wygląda niemal na dzieło wariata — stwierdził Pike.

— A czy zdarzają się ludzie normalni? — odezwał się Anthony.

Hancock pokiwał głową, po czym spojrzął na Pike'a.

— Jeśli człowiek, który to zrobił, jest wariatem, nie dałoby się tego poznać na pierwszy rzut oka. Bardzo skrupulatny. Dopóki nie zobaczyłem kombinezonu i rękawiczek pod zlewem, wyobrażałem sobie, że musiał ociekać krwią.

— Czy nic nie wskazuje, by miał praktykę chirurgiczną, jakby pan to powiedział? — spytał Pike.

Hancock wykonał przeczący gest.

— Nie zdradził wiedzy wykraczającej poza przeciętną. Ogólnie wiadomo, że jeśli poderżnie się gardło i rozpląta brzuch, ofiara poniesie śmierć. Ktoś z praktyką chirurgiczną byłby schludniejszy.

— Może — powiedział Anthony — ale nie na pewno.

Hancock odsonił w uśmiechu zęby olśniewające bielą pod czarnym wąsikiem.

— A pan jak zawsze się spiera — odparł.

— Niech pan posłucha, doktorze. Mnie interesuje, czy... — mówił Pike.

— Wiem, wiem. Chodzi o czas śmierci. Nie wcześniej niż dwie godziny temu; nie później niż, powiedzmy, trzy kwadransy.

Pike mruknął porozumiewawczo.

— Nie dowiemy się nic bliższego, doktorze?

Hancock potrząsnął głową.

— Ani ode mnie, ani od nikogo innego, kto zna swój zawód. — Wrzucił ręcznik do torby, zatrzasnął ją i wypro-

stował się. — Jeśli nie mają panowie czegoś jeszcze... — powiedział i pożegnawszy się szybko, wyszedł.

— Dał nam dobry przykład — rzekł Anthony. — Idźmy jego śladem.

Pike rzucił okiem na zegarek.

— Ja nie mogę pójść, sir. Stephens i ktoś drugi przyjeżdża ze Scotland Yardu. Muszę wydać im polecenia.

Anthony nie wyraził sprzeciwu.

Dzwonek u drzwi frontowych zabrzączał ostro.

— Już są — powiedział Pike wychodząc do przedpokoju, aby wpuścić dwu poważnych, statecznych mężczyzn.

A działo się to o jedenastej dwadzieścia.

## XVIII

### 1

Thomas Sheldon Garrett nie mógł zasnąć. W jego wciąż jeszcze obolałej głowie wbrew woli kłębiły się myśli. Wydawało mu się, jakby pod sklepieniem czoła miał dwa kieraty myśli, zupełnie różne, niepokojące i chociaż tak różne, obracające się wokół dwu kobiet...

— Niech to wszyscy diabli! — zaklął głośno Thomas Sheldon Garrett i usiadłszy na łóżku sięgnął do kontaktu, po czym jął grzebać w zastawionym rozmaitymi przedmiotami nocnym stoliku.

Szukał czerwonego pudełeczka ze środkami uspokajającymi, których dotychczas zdecydowany był nie używać. Nie znalazł go, więc jednym ruchem odrzucił kołdrę, spuścił nogi na podłogę i wstał.

Doznał tak silnego zawrotu głowy, że musiał gwałtownie usiąść. Pokój wirował mu przed oczami, serce łomotało i czuł mdłości. Siedział bardzo spokojnie i atak stop-

niowo minął. Uniósł się powoli i podszedł do wysokiej komody. Czerwone pudełeczko lypało na niego, leżąc tuż przy papierosnicy. A później, kiedy znalazł się na wprost okna, usłyszał zgrzyt hamującego przed domem wozu. Drzwiczki trzasnęły i do uszu jego dobiegły znajome męskie głosy.

W tej sekundzie pojął, że nie chce spać — i niebawem, w szarych flanelowych spodniach i swetrze naciągniętym na pidżamę, pojawił się na trzecim podejściu schodów.

Zstępował z wolna, słysząc po drodze głosy. Minął hall, otworzył drzwi biblioteki i zajrzał do środka.

Z trudem przywołał uśmiech na ściągniętą twarz, gdy pytał:

— Nie przeszkodzę panom?

A działo się to o jedenastej trzydzieści pięć.

## 2

— Podsumowując — rzekł Anthony za minutę dwunastą — sprawa przedstawia się tak: Panna Ada Brent, bliiski współpracownik Moriarty'ego, którego szukamy i którego w braku lepszego nazwiska będę zwał Evansem...

— Czy jest pan pewien? — zapytał Garrett w podnieceniu.

Anthony wzruszył ramionami.

— Niech się pan zbytnio nie zapala i nie da zwieść na manowce! W rzeczywistości nie jesteśmy aż tak bliscy tropu Murch. Chodzi mi o to, że nie wiemy, czy morderca nazywa się Evans, i niezależnie od nazwiska, czy jest tym samym mężczyzną, którym grożono Murch. Ale wszystko w tej niezwykłej sprawie wskazuje na istnienie jednego kierowniczego mózgu; dlatego też zachodzi wielkie prawdopodobieństwo, że posiadacz tego kierowniczego mózgu mógłby być straszakiem.



— Bez wątpienia, oczywiście by mógł... — odezwał się Pike.

— Niech pan nie mówi w trybie aż tak warunkowym — przerwał mu Anthony. — Jeżeli chcę nazywać naszego Napoleona Evansem, wolno mi chyba?

Pike uśmiechnął się.

— Jak pan sobie życzy, sir.

— Skąd pan wie, że Brent była blisko związana z Evansem? — pytał Garrett.

— Smak puddingu poznaje się jedząc — odparł Anthony. — Proszę zaczekać na następny odcinek opowiadania, a sam się pan przekona. A zatem: Panna Ada Brent, bliski współpracownik Evansa i tym samym ktoś więcej niż zwykły pionek KJB, w przypadku pani Bellingham gra rolę zwykłego pionka. Dlaczego tak się dzieje, nie wiemy, ale to żaden powód do troski. Wiemy natomiast, że panna Brent widzi aresztowanie swego współtowarzysza, Jenksa. Widzi także, iż macza w tym palce niejaki Anthony Gethryn, którego poznaje, bo — wbrew usilnym jego staraniom — podobiznę jego często zamieszczały gazety. Będąc osobą bystrą, nie wysiada z taksówki, z której to obserwuje, ale każe wieźć się dalej. Następnie, chwilowo przynajmniej bezpieczna, rozważa to sobie i postanawia między innymi powiedzieć nam o czymś, cośmy już stwierdzili, a mianowicie, że jest zauszniczką Evansa. Sądzi, że najłatwiej ocali własną skórę oszukawszy Evansa — nie przez złożenie donosu policji, które może tylko uczynić ją świadkiem koronnym i uzyskać dla niej zmniejszony wyrok, ale przez skontaktowanie się z Gethrynem. Nie jest on policjantem z urzędu, ale ma posłuch u władzy. Z nim można się potargować.

— Chwileczkę! Nie nadażam — powiedział Garrett. — W jaki sposób dowodzi to, że jest ona bliskim współpracownikiem Głównego Winowajcy?

Anthony uśmiechnął się.

— Ze specjalnymi względami dla świeżo rozbitych głów. Dlatego, mój pocziwce, że ta jej decyzja — niezależnie od wewnętrznych pobudek — musiała świadczyć,

iż Brent wie o czymś więcej niż o samych tylko szantażach KJB. Była to, sam pan przyzna, zdecydowanie bystra młoda kobieta. I dlatego widok Jenksa aresztowanego pod zarzutem szantażu upewnił ją, że 1) albo policja stopniowo dowie się wszystkiego o działalności KJB, a w tym wypadku ona nie będzie miała co w targach zaoferować, 2) albo że Jenks, Hiñes i Spółka są tak dobrze chronieni przez Evansa, a zarazem tak się go boją, że nikogo więcej nie oskarżą.

— Ta-ak — w głosie Garretta brzmiało powątpiewanie. — To prawdopodobne...

— Niechże się pan zastanowi, człowieku! To tak prawdopodobne, że niemal pewne. Ale staje się całkiem pewne, gdy do tego wielkiego prawdopodobieństwa dodamy następujące fakty: a) że panna Ada Brent odwiedziła dziś po południu klinikę Traversa Hoylake i pytała o pana, b) że pierwsza i druga linijka w kartce panny Brent do mnie brzmiała mniej więcej tak: „Wiedząc, że jest pan zainteresowany odnośnie Arthura Jenksa, i mogąc odnośnie tego wiele więcej jeszcze panu powiedzieć”.

Garrett wsparł ręce na kolanach i ukrył w dłoniach głowę.

— Oczywiście! Oczywiście! Przepraszam.

Zapanowało krótkie milczenie, które przerwał Pike.

Mówił powoli, wpatrując się w Anthony'ego:

— Wydaje mi się, sir, że ilekroć naszym zdaniem jesteśmy już na tropie, wpadamy, można powiedzieć, w ślepą uliczkę. Czy wiemy teraz na przykład o Murch więcej niż na początku?

— Wiemy, że taki problem istnieje — powiedział Garrett nie podnosząc głowy.

— I wiemy, że jest poważny — uzupełnił Anthony.

— Poważny! — rzekł Pike. — O wiele więcej niż poważny, sir. Ale pytałem, gdzieśmy się znaleźli.

Anthony uśmiechnął się.

— Chce pan powiedzieć: gdzie znajduje się Murch Och, gdzie jest Janet, czym jest, że my, nędzne wieprzki, nie możemy jej znaleźć?

Pike zachował powagę.

— Lady Ballister mogłaby nam pomóc, ale nie żyje. Ta Brent chciała nam pomóc i też nie żyje. A nie zanosi się na to, byśmy odnaleźli i ciotkę...

— Gdybyście tylko aresztowali Brent! — powiedział Garrett.

— To samo powie Lucas — zwrócił się do Pike'a Anthony. — Ale gdybyśmy to zrobili, ona by milczała. Rzykowałaby wraz z Jenksem i Hinesem. Jako świadek uzyskałaby tylko zmniejszenie wyroku. To by dla niej było za mało. Ta dziewczyna postawiłaby wszystko na jedną kartę.

Garrett podniósł głowę i spojrzał najpierw na Anthony'ego, potem na Pike'a.

— Czy to morderstwo nie doprowadzi nas na ślad Evansa, kimkolwiek on jest?

— Jeśli będzie to zależało od żmudnej pracy, panie Garrett, i owszem — powiedział Pike. — Dwaj moi najlepsi ludzie są teraz w Swinburne House i zbierają dane o Brent — o jej nawykach, przyjaciołach, o wszystkim. Ale...

— Nie jest pan bardzo pewny.

— Nie pragnie pan chyba tego, co pułkownik Gethryn nazywa kłopotami, sir?... — odrzekł Pike. — No, więc ja osobiście czuję, jestem, można by powiedzieć, zdania, że schwytemy mordercę; ale że zajmie to sporo czasu. Ogromnie dużo czasu!

— A przez ten czas ta... ta sprawa Murch dobiegnie pewno końca. — Garrett uległ zwątpieniu.

— To znaczy, jeśli uznamy mordercę za jedyną nić wiodącą do Murch — powiedział Anthony.

— Wiecie, panowie — mówił Garrett — powinniśmy złapać tę starą Bellows... Musimy to zrobić! Czy nie rozumiecie, że stanie się coś strasznego? — Szybko wyrzucił z siebie słowa i po raz pierwszy siedział wyprostowany. — Było dość źle na samym początku. Teraz jest jeszcze gorzej. Na początku zaledwie weszliśmy zbrodnię — teraz mamy pewność; wiemy, że to coś tak złego, iż za-

mieszani w to ludzie próbują mnie zabić, a potem zarzynają kogoś z własnego gangu. A my tu siedzimy, gadamy i...

— Może pan być całkiem spokojny, że urząd... — przewrwał mu oziębłe Pike.

— Niech pan nie przybiera oficjalnego tonu, Pike — powiedział Anthony. — To sprawa pana Garretta. Gdyby nie on...

Garrett zdobył się na uśmiech przeznaczony dla Pike'a.

— Przepraszam, inspektorze. Nie chciałem krytykować. Ale to mnie wzięło. Rozumie pan, ja wiem, co znaczy porwanie dziecka. — Głos jego przycichł i zapatrzył się w podłogę pomiędzy swymi nogami. — To... to... — Umilkł. — Ale mniejsza z tym! Pamiętajmy tylko, że te łotry usiłowały mnie zgładzić! — Uniósł rękę do głowy.

— Niech mi pan wierzy, że pana rozumiem. — W tonie Pike'a brzmiała szczerłość...

— Zadania na jutro — zaczął Anthony. — Po pierwsze, zatrudnić więcej ludzi w sprawie morderstwa Brent. Po drugie, ponaglać Midlothian o Mamę Bellows. Po trzecie, przetrząsnąć ruchomości Brent w...

Garrett poderwał się.

— Na litość boską, czy wy nie... — Urwał. — Przepraszam pana, Gethryn!

— Nie jesteśmy aż tak nieudolni — odparł Anthony z uśmiechem. — Co się tyczy mieszkania, Pike i ja przejrzeliliśmy wszystko, i bez rezultatu. Mówiłem o kuferku czy też o tym, co ona zostawiła u Avis. Do tego jeszcze nie dotarliśmy.

— Przyniosą go jutro rano, sir — powiedział Pike.

— Nie przypuszczam, żeby w nim coś było — zauważył Garrett. — Pewno by nie wzięła... — Umilkł zapatrzony w Anthony'ego.

Anthony wstał. Nagła zmarszczka ściągnęła mu brwi i chociaż się nie poruszał, opadła zeń wszelka swoboda. Twarz jakby mu zeszczułała, a pod chmurnym czołem płonęły dziwnie zielone oczy.

— Co się stało? — zapytał Garrett.

— Jaki jest numer Avis? Prędko! Żrenice Garretta się rozszerzyły.

— Prędko! — powtórzył Anthony. Stał już przy biurku i sięgał po słuchawkę.

— St. John 4383 — odparł Garrett. Stwierdził, że też stoi.

Anthony wykręcał numer. Powiedział zagłuszając ciche brzęczenie:

— Należałoby nas rozstrzelać, Pike! Biegł, bo mu się spieszyło.

Nakręcił numer. Pike także już stał. Garrett podszedł do Anthony'ego i chwycił go za ramię.

— Co się stało? — pytał. — Na litość boską, proszę mi powiedzieć!

— Chwileczkę — odparł Anthony.

Zapanowała cisza. Poprzez nią docierał, wyraźny nawet dla uszu Garretta i Pike'a, cichy, przerywany pomruk telefonu, świadczący, że po drugiej stronie linii rozlega się sygnał.

Anthony słuchał. Pomruk nie ustawał. A potem twarz Anthony'ego się rozjaśniła. Pomruk ucichł wraz z pstryknięciem, które dowodziło, że tam w oddali podniesiono słuchawkę.

— Halo — powiedział Anthony — halo!

Brak odpowiedzi.

— Halo, halo! — powtarzał podnosząc głos.

— Proszę mi dać słuchawkę — powiedział Garrett wyrzuwając ją z dłoni Anthony'ego i przykładając sobie do ust.

Brak odpowiedzi.

Anthony spojrział na zegarek. Było dwadzieścia po dwunastej.

— Halo! Halo! — krzyczał Garrett w telefon.

— Proszę dać spokój! — powiedział Anthony. — Może gdzieś wyszła i ktoś inny odebrał telefon.

— Rozmawiałem z nią dziś wieczorem. Miała wcześniej położyć się spać. Ale jest przecież służąca. Dlaczego nie miałyby odpowiedzieć, jeśli podeszła do telefonu?

Ponownie krzyknął w słuchawkę. Pike spojrział na Anthony'ego.

— Ma pan drugi telefon, sir?

Anthony potaknął.

— Linii prywatnej. W mojej garderobie. Trafi pan?

Pike zniknął.

Garrett krzyczał:

— Halo! Halo!

Anthony schwycił go za lewe ramię, obrócił nim dookoła i wydarłszy mu słuchawkę, rzucił ją na widelki.

— Strata czasu — powiedział. — Pike rozmawia już z policją w Hampstead. Jadę.

Trzema krokami znalazł się przy drzwiach. Otworzył je i już go nie było.

### 3

Przestało padać i niebo pojaśniało, ale wiatr dmuchał chłodniejszy i z większą mocą. A silnik voisina wystygł.

Anthony zaklął, wyregulował zasysacz i ponownie nacisnął starter. Silnik zakasłał, zająknął się i ożył, wybuchając niskim, pełnym warkotem. Ktoś szarpnął przednie drzwiczki. Zadyszany Garrett wdrapał się do samochodu.

— Przekłety głupiec! — wybuchnął Anthony. — Jest pan chory! — Ale wychyliwszy się chwycił za klamkę i zatrzasał drzwiczki. — Proszę mocno się trzymać — powiedział.

Czarny wóz pomknął po Stukeley Gardens i skręcił w prawo tak gwałtownie, że Garrett oparł się o ramię Anthony'ego. Ruszyli dalej szerokim pasem Knightsbridge.

Garrett usiadł wyprostowany. Wskazówka szybkościomierza podskoczyła do pięćdziesięciu... sześćdziesięciu. Przed boleśnie wytężonymi oczyma Garretta mignął masyw hotelu „Hyde Park”.

— Przez park, człowieku! Przez park! — krzyknął.

Ale zanim wypowiedział te słowa, samochód wjeżdżał już w żółty krąg światła, na wprost szpitala St. George, który wskazuje zapóźnionym gościom drogę do kawiarni „Junior Turf”. Anthony odrzekł półgębkiem:

— Park jest zamknięty.

Minęli kawiarnię; potem podwójne bramy Corner. Voisin skręcił w lewo, w Park Lane. Garretta przycisnęło do drzwiczek. Wyprostował się i powiedział, a raczej krzyknął:

— Co się mogło stać? Proszę powiedzieć!

Anthony jechał niemal środkiem pustej jezdni. Na lewo przepływały czarne sztachety parku. Na prawo majaczyła ciemna sylwetka Dorchester House. Zza zakrętu tuż za nim wystrzeliła nagle, dokładnie w poprzek drogi voisina, żółta taksówka.

Garrett mimo woli zamknął oczy. Spomiędzy zębów z sykiem wydobył mu się urywany oddech. Podniósł prawą rękę, by osłonić głowę. Poczł, że samochód raptownie zarzuca, i raz jeszcze wylądował na drzwiczkach. Uszy jego wypełnił pisk torturowanych opon. Wtem doznał takiego wstrząsu, że wyprostował się, i wyleciał ze swego miejsca. A później ostry przechył w prawo, jeszcze jeden wstrząs — i znów gładko pomknęli do przodu.

Garrett uświadomił sobie, że zasłania oczy. W bezsensownym zawstydzeniu opuścił rękę. Usłyszał, jak Anthony mówi:

— O mały włos! Szczęściem krawężnik nie był wysoki!

Skręcili w lewo, między Marble Arch i Hyde Park, i wypadli na szeroką, prostą ulicę wiodącą do Notting Hill Gate.

Wskaźówka szybkościomierza przekroczyła siedemdziesiąt. Silnik zaczął wydawać niskie buczenie, jak zawsze przy dużej prędkości. A potem, w pobliżu Lancaster Gate, Anthony przeniósł nogę z pedału gazu na hamulec. Garrett powiedział:

— Na litość boską, niech pan mi powie, co pańskim zdaniem się stało?

— Proszę się trzymać! — odparł Anthony.

Garrett usłuchał i przez chwilę siedział prosto, podczas gdy wóz — jakby na dwóch kołach — skręcał w prawo, w Westbourne Terrace. Anthony ponownie dodał gazu. We względnych mrokach tej ulicy reflektory kładły się białym pokosem.

— Na litość boską, czy pan myśli, że ten diabeł?... — pytał Garrett.

Ostry, w podwójnej tonacji utrzymany klakson voisina zagłuszył dwa dalsze słowa. Z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę dojeżdżali do ostatniej przecznicy przed Marylebone Road i na czarnej nawierzchni, od wylotu prawej przecznicy, połyskiwało jedno sunące ku nim światło. Zbacząc w lewo, Anthony mocno przycisnął prawą nogą pedał. Wóz jakby wyrwał się do przodu. Światło przemknęło w istotnie bezpiecznej, lecz pozornie niebezpiecznej odległości jarda, który dzielił samochód od motocykla policyjnego z przyczepą.

Voisin z rykiem mknął dalej, z tyłu zaś doleciało nagle, wściekle zawroźnienie policyjnej syreny.

— W nogi! — powiedział Anthony.

Przez Canalo Bridge... potem w prawo... potem w lewo... potem znów w prawo i do Westbourne Grove... W lewo i znów prosto... Wskazówka szybkościomierza zawiśła nad osiemdziesiątką... klakson wył nieustannie... Z tyłu syrena policyjna wyrzaskiwała swą wściekłość... Groźny ułamek sekundy podczas spotkania z ciężarówką bez tylnych świateł... Jeszcze groźniejsze i jeszcze krótsze spotkanie z niedbałym czy też praworządym taksówkarzem...

Potem długi mur Lords... zgrzyt hamulców... Postój przy krawężniku na wprost wejścia do Lords' Mansions.

Anthony wyskoczył z samochodu, zatrzasnąwszy za sobą drzwiczki, syrena jeszcze raz rozbrzmiała mu w uszach i stanął skąpany w białej powodzi pojedynczego światła. Gruby, rozsierdzony głos zawołał na niego, lecz w tej samej chwili trzasnęły drugie drzwiczki voisina i rozległy się męskie kroki; to Garrett potykając się obiegł samochód



od przodu, a dwie zwaliste, ciemno ubrane postacie w płaskich czapkach oderwały się od motocykla i pognały za zdobyczą.

Anthony, przebywszy już pół drogi po wyłożonym płytami chodniku ku bramie Lords' Mansions, odkrzyknął coś przez ramię. Garrettowi krew waliła w uszach niby młot Thora, rozróżnił jednak dwa słowa: „...wytłumacz... karta...” I u stóp jego, paradoksalnie jak gdyby ołowianych, a zarazem jakby stąpających w powietrzu, legło coś z cichym plaśnięciem.

## 4

Pani Bellingham zajmuje w Lords' Mansions mieszkanie na drugim piętrze. Anthony, wiedząc, że po jedenaściej nikt nie obsługuje windy, ruszył w górę schodami. Kiedy znalazł się na pierwszym podeście, ktoś popchnął wahadłowe drzwi i ciężkie obute stopy pognały przez wyłożony kaflami westybul.

Jak dotąd nie napotkał nikogo, nikogo też nie było na drugim podeście. Susami przemierzył go i podbiegł do drzwi Avis, po mieszczańsku zamkniętych. Za szybą z matowego szkła i firanką nie paliło się światło. Szarpnął za klamkę, ale bez skutku. Lewą ręką chwycił kołatkę i energicznie zastukał. Prawą ręką nacisnął dzwonek. Nie czekał jednak na odpowiedź; pukanie i dzwonek nie były prośbą, tylko ostrzeżeniem. Opuścił ręce i jednym ruchem rozpiął i zerwał smoking. Przerzucił go przez prawą dłoń, miękkim czarnym suknem i jeszcze miększym jedwabiem grubo owijając prawy kułak. Krótkim, mocnym pchnięciem wybił szybę najbliższej zamka. Brzęk tłuczonego szkła zmieszał się z ciężkim tupotem butów po schodach.

Odrzucił smoking, który upadł i rozpostarł się jak czarna plama na chodniku. Szybko, lecz ostrożnie wsunął

lewe, osłonięte rękawem koszuli ramię przez otwór i długimi palcami namacał i przekręcił gałkę zatrasku.

Drzwi się otwały. Choć był tu zaledwie dwa razy z wizytą, pamięć go nie zawiodła i w mrokach przedpokoiku, na lewo od drzwi, znalazł kontakt. Nad jego głową ożyło lekko ocienione, bursztynowe światło i zalało wnętrze idealnie porządne. Wszystko leżało tu na swoim miejscu. Na prawo drzwi do salonu były zamknięte, tak jak i inne drzwi w korytarzu na lewo.

Ciężki łomot biegnących stóp rozbrzmiał niedaleko. Drzwi skrzypnęły ponownie, a towarzyszył temu brzęk tłuczonego szkła. Anthony obrócił się. Zobaczył policjanta, ale nie takiego, jakiego oczekiwał, nie był to bowiem motocyklista, lecz sierżant z kropkami potu lśniącego pod hełmem, na okrągłej i czerwonej, ale bystrookiej twarzy. Anthony westchnął z ulgą.

— Z komisariatu w Hampstead? Na rozkaz inspektora Pike'a? — zapytał ostro.

Policjant zasalutował.

— Tak jest, pułkowniku Gethryn. — Głos miał urywany po niedawnym wysiłku.

— Dobrze. Proszę przeszukać wszystkie pokoje na prawo. I proszę na siebie uważać — powiedział Anthony.

Ręka znów powędrowała do hełmu. Anthony otworzył drzwi salonu. Po ciemku odszukał i przycisnął kontakt. Oczom jego ukazała się jeszcze jedna scena całkowitego i czarownego porządku. Zawrócił do hallu. Z pierwszych drzwi na prawo — drzwi jadalni — wyłoniła się umundurowana postać sierżanta.

— Tutaj wszystko w porządku, sir — zameldował.

— Dalej! Dalej! — ponaglił go Anthony i sam pobiegł do pierwszych drzwi na lewo.

Nie wiedział, dokąd prowadzą. Otworzył je. Tak jak w salonie panowały tu ciemności. Sięgnął za framugę, tym razem jednak nie natrafił na kontakt. Postąpił krok do przodu i przystanął. Do uszu jego dobiegły dwa dźwięki — albo raczej jeden zbiorowy dźwięk i jeden dźwięk pojedynczy: z zewnątrz tupot jeszcze dwu czy trzech par

ciężko obutych stóp, z wewnątrz mieszkania wypowiedziane szybkim, chropawym głosem sierżanta słowa, których sensu nie chwycił, ale których ton kazał mu wrócić na korytarz jednym susem i pobiec do drugich drzwi na prawo. Te drzwi stały otworem i płynęło z nich światło.

Dwoma krokami wpadł do pokoju.

Sierżant klęczał koło nieruchomego, leżącego na podłodze tobołka odzieży, w którym Anthony, postąpiwszy bliżej, rozpoznał kobietę.

Leżała na wznak, ubrana do wyjścia w tanią, ale porządną czerń. Okrągła plama twarzy, z zamkniętymi oczyma, była blada i zwrócona w górę. Ramiona rozrzuciła szeroko. Jedną nogę miała podkuloną. Koło głowy, wciąż w jakiś sposób uczepiony masy rozspanych, aż niestosownie pięknych brązowych włosów, walał się kapelus z szaroczarnego filcu. Z prawego ucha zwisał cienki łańcuszek zakończony pince-nez, z którego potłuczone szkło rozsypało się małymi, lśniącymi gwiazdkami po dywanie.

Sierżant spojrzął na Anthony'ego.

— Żyje, sir! Ale porządnie dostała w głowę. — Wskazał niebieską pręgę ciemniejącą na czole.

Rozległo się ponowne skrzypienie frontowych drzwi, kroki; niewyraźny męski głos, a potem krzyk Garretta:

— Gethryn! Gethryn!

— Jestem tutaj!

Sierżant, wciąż na klęczkach, zwrócił się twarzą ku najdalszemu od drzwi kątowni pokoju.

— Niech pan spojrzy, sir.

Anthony już patrzył. Wyciągnięty z kąta, z podniesionym wiekiem, stał tam kufer, a dokoła w przeraźliwym bałaganie rozrzucona była jego zawartość.

— Ktoś się spieszył, sir? — zagadnął sierżant.

Anthony znów patrzył ku drzwiom.

— Proszę położyć ją na łóżku. A później przeszukać całe mieszkanie do końca i wrócić do niej — powiedział przez ramię.

Wyszedł i skręciwszy w lewo zderzył się z dużym, ubranym na granatowo mężczyzną w getrach, rękawicach i płaskiej czapce policji zmotoryzowanej.

— No i czego pan tu szuka? — zabrzmiał donośny bas. Dłoń, która i bez rękawicy ważyła pewnie ze siedem kilo, zacisnęła się na lewym ramieniu Anthony'ego.

Anthony nie zrobił kroku; ani się nie poruszył. Ale podniósł prawą rękę i krawędzią otwartej dłoni wymierzył krótki, silny cios w obciążone granatem mięśnie...

— Ach! — Gruby głos, rzecz dość komiczna, zabrzmiał teraz bardziej barytonowo niż basowo.

— Z drogi! — zawołał Anthony, odpychając policjanta.

Wąski korytarz i nieco szerszy prostokąt hallu wydawały się zatłoczone. W bursztynowym świetle pojawił się jeszcze jeden zmotoryzowany konstabl. Kciuki założył za pasek, rozkraczył się, a pod okularami zsuniętymi na czapkę jego długa, chłopięca twarz była jakaś pozbawiona wyrazu, gapiowata i oszołomiona. Tuż obok niego stał nowo przybyły mężczyzna w koszuli i spodniach, z włosami potarganymi od snu. On też się gapił. Z drzwi pierwszego pokoju, do którego zaglądał sierżant, wyszedł Thomas Sheldon Garrett. Na widok Anthony'ego zatrzymał się, zachwiał i oparł o framugę.

— Jest tam Avis? — spytał ochryple, z wysiłkiem, wskazując dalszą część korytarza.

Anthony potrząsnął głową.

— Trochę cierpliwości! — powiedział i wyminąwszy Garretta wszedł do sypialni, równie uroczej jak jej właścicielka.

Ale właścicielki tu nie zastał.

Pokój nosił świeże ślady czyjejś bytności. Kapa zdjęta z łóżka, po jego lewej stronie poduszka z wciąż wyraźnym odciskiem głowy, koce i prześcieradła odrzucone. W łóżku tym jeszcze niedawno musiał ktoś leżeć.

Anthony wciągnął Garretta do sypialni i łagodnie popchnął na fotel. Krawędź fotela wypadła mu pod kolanami, więc usiadł.

— Proszę odpowiadać na pytania — rozkazał Anthony.

— Tak. — Głos Garretta, monotony i martwy, wydobywał się jakby z wielkiej głębi. Podniósł na Anthony'ego oczy, które zdawały się być osadzone daleko pod czaszką.

— Mówiła, że wcześniej położy się spać? — pytał Anthony. — Kiedy to było?

Bezbarwny głos odpowiedział:

— Około ósmej trzydzieści. Mówiła, że zaraz kładzie się do łóżka.

— W służbówce leży pobita kobieta. Niska, tęga, koło trzydziestki piętki. Ubrana jest na niedzielne wychodne. Masa brązowym włosów. Okulary. Czy to służąca?

— Tak. Nazywa się Parfitt. — Garrett patrzył bez zmrużenia powiek.

— Jeszcze jedno pytanie. Czy dziś Parfitt miała swój wolny dzień?

Garrett podniósł rękę i mocno potarł nią czoło. A potem zerwał się na równe nogi.

— Co ja, u diabła, tu robię? Siedzę jak ta kukła! — Obrócił się i pośpieszył ku drzwiom.

Anthony złapał go za ramię i spojrzał mu w twarz.

— Niech pana wszyscy diabli! Proszę mnie posłuchać. Czy dziś był dzień wychodnego Parfitt?

— Tak — odrzekł Garrett. — A teraz, do cholery, proszę mnie puścić! — Wyswobodził się z uścisku.

Do świadomości Anthony'ego dotarły z korytarza ściszone pomruki. Mówił głos jeden, żywy, władczy, głos mu znajomy.

W korytarzu był Pike. Za nim stał gapiowaty motocyklista i mężczyzna w koszuli i spodniach, przed nim drugi motocyklista, nadal żałośnie rozcierający prawe ramię, a w drzwiach służbówki sierżant. Pike trzymał cienki portfel z marokinu, który Anthony rzucił Garrettowi pod nogi przed domem, i mówił:

— Stado bałwanów! Widzieliście to! — Pomachał portfelem przed oczyma rozcierającego ramię kolosa. — We-

wnątrz znajduje się własna karta pułkownika Gethryna i specjalna karta od komisarza!... A teraz do roboty. — Skinął na olbrzymia. — Proszę szybko sprowadzić tej kobiecie lekarza! A pan czym jest? Portierem? — zagadnął mężczyznę w koszuli i spodniach. — Tak... Proszę wyjść na korytarz i poczekać. I nie oddalać się. — Później kolejno wydał polecenia gapiowatemu motocykliście i sierżantowi. Jasne, zwięzłe rozkazy nieprzerwanie płynęły z jego ust.

Garrett wyszedł z sypialni i przepchnąwszy się koło zapatrzonego sierżanta, potykając się ruszył na prawo korytarzem.

Za nim ukazał się Anthony. Popatrzył na Pike'a.

— Jest pan niezawodny — powiedział.

A to działo się o dwunastej czterdzieści pięć.

## XIX

### 1

Do kwadrans po pierwszej siedzący w jadalni Avis Bellingham Pike zebrał moc informacji. Zestawiwszy je ze sobą stwierdził jednak, że nic istotnego nie wie. Nikt nie widział pani Bellingham od siódmej trzydzieści wieczorem, kiedy to wróciła do domu. Nikt nie widział ani nie słyszał, by ktokolwiek składał wizytę w jej mieszkaniu. Portier, w rozmowie telefonicznej z sierżantem Stubbssem, pełniącym dzienną służbę, zeznał, że widziano Rose Parfitt, jak opuszczała Lords' Mansions o wpół do piątej po południu, ale na tym koniec, ona zaś leżała nadal nieprzytomna, chociaż już pod opieką lekarza. I nikt spośród z górą tuzina przyjaciół pani Bellingham, do których dzwonił Garrett, nie widział ani nie słyszał o niej od rana.

Pike, ze zmarszczką na czole, zlecał podwładnym dalsze poszukiwania, ani na moment jednak nie wierzył, by odniosły skutek. W służbówce doktor Harold Porteous pochylał się nad nieprzytomną Rose Parfitt, podczas gdy za jego plecami, w kącie obok otwartego kufra Ady Brent, Anthony Gethryn na klęczkach badał jego dawną i obecną zawartość.

W salonie Sheldon Garrett, poblady automat, siedział ze spisem telefonów i systematycznie wykręcał numer po numerze...

## 2

Dokładnie dwadzieścia minut po pierwszej Avis Bellingham wjechała do garażu w Lords' Mansions, wprowadziła samochód na miejsce, wysiadła i weszła do budynku przez drzwi w suterenie. Rzeczywiście położyła się do łóżka przed ósmą. O ósmej trzydzieści jednak zrozumiała, że nie sprzyja to rozmyślaniom, wstała więc o ósmej trzydzieści pięć i jak najniewinniej wybrała się do kina, a potem, ze znajomym spotkanym we foyer po seansie, wstąpiła na drinka do hotelu „Berkeley”.

Dwadzieścia dwie minuty po pierwszej przystanęła na wprost frontowych drzwi swego mieszkania i zauważyła koło zamka wybitą szybę. Palce szukające w torebce klucza cofnęły się, bo zatrask nie był spuszczonej. Z wielkimi oczyma, rozszerzonymi zdziwieniem, pchnęła lekko drzwi na próbę. Ustąpiły. Od strony jadalnego dolatywał szmer męskich głosów. Zmarszczyła brwi. Wyprostowała wszystkie szczupłe plecy okryte miękkim, szarym futrem wkroczyła do przedpokoju. Głosy na lewo zabrzmiały wyraźniej. Chwilę łowiła uchem dobrze znajomy ton, ale zanim zdołała skojarzyć go z czymś nazwiskiem, przez na wpół otwarte drzwi salonu dosłyszała wykręcanie numeru, a potem głos Sheldona Garretta, który mówił:

— Pani Marshall? Bardzo przepraszam, że niepokoję panią o takiej porze, ale koniecznie muszę się dowiedzieć, czy Avis Bellingham...

Avis Bellingham stała zapatrzona w drzwi. Głos brzęczał dalej. Nie chwyciła wszystkich słów, lecz bezbarwny, celowo obojętny ton przekonał ją, że Tom obawia się, czy nie spotkał jej jakiś wypadek...

Szybko weszła do środka. Garrett siedział odwrócony do niej plecami, przy telefonie. Mówił:

— Jest pani pewna? Rozumie pani...

Avis położyła mu dłoń na ramieniu.

— Tom! — powiedziała.

Garrett obejrzał się i wstał. Lekkie krzesło, na którym siedział, upadło na dywan z niegłośnym trzaskiem. Słuchawka zagdakała przejęta. Jego podkrążone oczy w społiałej twarzy spoglądały niedowierzająco. Krew napłynęła mu nagle do głowy, barwiąc policzki, i równie prędko znów odpłynęła.

— Tom — powtórzyła Avis Bellingham i postąpiła krok bliżej.

Garrett doznał jakiegoś dziwnego uczucia w pulsującej, tak niedawno rozbitej czaszce; uszy wypełnił mu ryk i wszystko w zasięgu wyteżonych oczu zaczęło wirować.

Ruszył ku zjawie, która wymówiła jego imię. Telefon dawno już przestał gdakać, a teraz słuchawka wysliznęła mu się z ręki. Uderzyła z łoskotem o nogę stolika. Zrobił jeszcze jeden krok, zanim zrozumiał, że pada...

### 3

Na czole wyczuwał coś chłodnego i wilgotnego, na języku coś wilgotnego i palącego. Uniósł powieki, ale światło ostrzem bólu przeszło mu gałki oczne i głowę, przymknął je więc na powrót. Pomieszane głosy dudniły dookoła. Leżał spokojnie, walcząc z myślami, aż opanował



się na tyle, że wyraźniej mógł słyszeć. Najpierw dobiegł go nieznamy męski głos: gruby, powolny, bardzo precyzyjnie wymawiający słowa.

— ...nie należy się dziwić. Jeśli wstrząs, jak pani mówi, był poważny, całe to podniecenie i ruch powinny by pozostać...

I głos Avis:

— Ale, panie doktorze, nie odniósł przecież żadnego prawdziwego obrażenia, prawda? Chodzi mi o to, czy nie... — Głos jej się załamał.

A potem znów gruby głos:

— Nie stało się nic takiego, na co by nie mógł pomóc ten najlepszy ze wszystkich środków — dzień spędzony w łóżku, proszę pani.

Znów mówiła Avis, tym razem z leciutko zmienioną intonacją, jakby odwróciła głowę:

— Anthony! Dlaczego mu pozwoliłeś?...

I jeszcze jeden znajomy głos:

— Co miałem robić? Wyrzucić go z samochodu? Gdybym go nie zabrał, to albo by zwariował czekając, albo...

Garrett odezwał się, z wciąż zamkniętymi oczyma:

— Albo by zrobił coś równie idiotycznego. Już... już mi lepiej.

Ostrożnie uniósł powieki i spojrzał spod rzęs, by pod wpływem światła nie powrócił przeszywający ból głowy. Patrzył w twarz Avis, bladą jak jego własna, i w niebieskie oczy pełne współczucia, a może i czegoś więcej.

Zamknął oczy, a miękkie dłonie spoczęły na jego czole.

## 4

Za dwadzieścia pięć druga lekarz uznał, że Rose Parfitt może odpowiadać na pytania, „tylko nieliczne, rozumiecie chyba, panowie”.

Rose Parfitt wylegiwała się w łóżku swej pani, ale była roztrzęsiona, zdenerwowana i litowała się nad sobą samą. Pike i Anthony przyglądali się jej przyjaźnie.

— A teraz, Rose — zaczął Anthony — czy zechce nam pani pomóc?

— T-tak, proszę pana. — Brązowe oczy śledziły go spod śnieżnego bandaża.

— Nie chcielibyśmy pani męczyć — w tonie Anthony'ego współczucie pogodziło się jakoś ze stanowczością — ale musimy wiedzieć, czy widziała pani człowieka, który panią uderzył.

— Och, sir! — Głos jej zadrżał i lekko poruszyła obolałą głową. — O-och, sir! — Wykrzyknik ten przeszedł w jęk.

Anthony usiadł na brzegu łóżka i pogładził kluskowatą, szorstką od pracy rękę. Wykonał prawie niedostrzegalny gest i Pike stopniowo wycofał się z pola widzenia panny Parfitt.

— No, no — mówił Anthony — rozumiemy, co pani czuje, Rose, ale musi pani być dzielną dziewczyną i przyjść nam z pomocą.

We wzroku jej malowało się szczere oddanie.

— T-tak, sir. Ja... ja go widziałam. Przez jedno mgnienie oka. Ja... ja weszłam niczego nie podejrzewając i idę do mojego pokoju, i otwieram drzwi, i, i o-och!

Znowu zaczęła pojękiwać. Anthony pogładził tłustą rękę.

— Dobra dziewczyna. Dzielna Rose. A teraz pani nam to bez pośpiechu opowie i my sobie pójdziemy, i doktor da pani coś na sen.

— T-tak, sir. No więc otwieram drzwi i myślę, jakim cudem pali się tu światło. I wtedy słyszę ruch i spoza drzwi wychodzi mężczyzna, i ma coś w rękę, i podnosi to coś, i wali mnie w głowę. — Głos przycichł; potem znów przybrał na sile. — I to wszystko, sir.

— Dziękuję ci, Rose — powiedział Anthony. Bardzo ci dziękuję. Już zaraz stąd pójdziemy. Powiedz nam tylko, jak wyglądał ten mężczyzna. Cokolwiek pamiętasz, choćby bardzo niewiele. Cokolwiek.

Głowa przesunęła się na poduszce.

— Nic... nic nie pamiętam, sir. I to był ledwie ułamek sekundy, zanim...

— Wiem, wiem. Powiem ci coś, Rose. Teraz ja będę pytał. Nie będziesz musiała tak dużo mówić. Dobry pomysł, prawda?... A więc czy był wysoki?

— Nie, sir.

— Czy był niski?

— Nie, sir.

— Rozumiem. Średniego wzrostu. Czy był potężnej budowy.

— N-nie, sir. Jakby... jakby średni, sir.

— Rozumiem. Czy miał jasne, czy ciemne ubranie?

— Ciemne, sir. Och, i pamiętam, że miał także płaszcz.

— I kapelusz, Rose?

Przymknęła oczy w zadumie.

— N-nie, sir. Nie miał.

— Dobra dziewczyna. Jakiego koloru miał włosy?

— Żadnego specjalnie, sir. Jakby... średnie.

— Rozumiem. Już niedługo skończę., Rose, więc zastanów się chwilę, nim odpowiesz. Czy pamiętasz jakiś szczegół jego twarzy? Cokolwiek, Rose.

W jej oczach malowała się żalność; przymknęła je, dramatycznie skupiając myśli.

— Nie, sir. W ogóle nic, sir.

— Czy miał okulary?

— Nie, sir. Jego twarz była... była jakby średnia, sir. Bardzo mi przykro, sir, ale chyba nie było w nim nic do zapamiętania, sir. Ja... ja nawet nie wiem, czy bym go poznała, sir. Ja...

— Nic nie szkodzi, Rose, nic nie szkodzi.

Anthony ostatni raz pogładził jej rękę i wstał. Skinął głową doktorowi, powiedział Rose dobranoc i wyszedł w towarzystwie Pike'a. W korytarzu popatrzyli sobie w oczy.

— Nic z tego — stwierdził wykrzywiwszy usta Pike.

— Średni! — powtórzył Anthony. — No, to wracajmy do bagażu. — W służbówce raz jeszcze stanął nad otwartym

kufrem Ady Brent, ogarniając wzrokiem także rozrzucone koło kuferka rzeczy.

— Wszystko to bardzo ładnie, sir, ale nigdzie nas nie prowadzi. — Pike wskazał bagaż zamordowanej. — Już go pan przetrząsał.

— Szukałem bardzo pobieżnie — odparł Anthony i ukląkł. — Jeśli coś nie uda się od razu, Pike, trzeba węszyć, węszyć i węszyć! — Z głową i ramionami zanurzył się w kufrze, tak że głos jego dobiegał głuchy i dudniący.

— Nie wydaje mi się, byśmy w ten sposób do czegoś doszli, sir — powiedział Pike. — Wiemy, że ten człowiek — ten Evans — czegoś tu szukał. Ale nie wiemy czego, bo albo to znalazł i zabrał ze sobą, albo tego nie znalazł.

W obu wypadkach nie jesteśmy jednak ani odrobinę mądrzejsi.

— Chwileczkę! — Anthony wstał trzymając w prawej ręce mały plik papierów szepionych w rogu spinaczem.

— Taffy był Walijszczykiem, Evans jest złodziejem. Evans zjawił się tutaj i skradł... Zobaczmy, czy nie uda się nam wykryć, co skradł!

Długimi palcami kartkował papiery; rachunek od taniej krawcowej na czternaście szylingów i jedenaście pensów; kwit z Agencji KJB na dziewięć szylingów; wydrukowane upomnienie z oddziału Biblioteki Carneige'a w Hammersmith, zawierające prośbę o zwrot książki *Szaleństwo lady Wickmansworth*; czystą widokówkę, przedstawiającą wyjątkowo ponury fragment Torquay, i reklamę kostiumów kąpielowych wydartą z niedzielnej gazety.

Pike zmarszczył brwi. Gdyby miał do czynienia z kim innym, a nie z Anthony'm Gethrynem, byłby prychnął, teraz jednak nadal się przyglądał. Anthony nie kartkował już papierów i odsłonił coś uprzednio zakrytego — małą, wystrzępioną po brzegach kartkę zatkniętą za spinacz.

— Ach! — Pike machnął ręką.

— Tak.

Anthony odsunął spinacz i delikatnie wyjął kartkę. Papier był szorstki, lichi; taki, który przyjmuje tylko farbę

drukarską albo ołówek. U góry skrawek mierzył około cala, pół cala w najszerszym miejscu i zwał się raptownie ku dołowi. Na prawej krawędzi pozostał ślad druku — prawdopodobnie paleczka dużej litery.

— Oto coś — powiedział Anthony. — I to coś bardzo ładnego! — Zwrócił się do Pike'a. — Co to, u diabła, jest? Powiniennem wiedzieć. Jasne, że wiem. Ale niech mnie kule biją, jeśli wiem naprawdę.

Pike ujął kartkę w dwa palce i obejrzał ze wszystkich stron, a wreszcie podniósł pod światło.

— Tak się spieszył, że aż ją podarł — rzekł w końcu.

— To chyba pierwsze jego poważne potknięcie, sir.

— I tylko potknięcie, jeśli prędko nie stwierdzimy, co to takiego.

— Jakieś tanie ogłoszenie. Rano zasadzimy do tego Summersa, sir. On nam powie.

Anthony jęknął.

— To za późno. — Nagły błysk załśnił w jego zielonych oczach. Powiedział łagodnie: — Wie pan, że my nie myślimy. Popędzamy wprawdzie Evansa, ale nie możemy pozwolić, by on nas popędzał. Zastanów się, policjancie, zastanów!

— Myślenie tu się nie przyda, sir — odrzekł z uśmiechem Pike. — Nie w tej krytycznej chwili, można by powiedzieć. Bo kiedy już Summers stwierdzi, z czego to jest — pomachał świstkiem — będzie czas na myślenie. Do tej pory... no, może doniosą nam ze Szkocji, co się dzieje z tą Bellows.

Anthony niby nie słuchał. Zmarszczka ściągnęła mu czoło. Odezwał się jak człowiek, który mówi sam do siebie:

— Lichy papier przyjmujący tylko ołówek lub farbę drukarską... Jakby pewnego rodzaju...

Pike śledził go z napięciem; znał ten głos, więc milczał.

— Jako taki bez żadnej przypuszczalnie wartości — mówił Anthony. — Ale ten człowiek popełnił jedno morderstwo i pobił drugą osobę, aby to zdobyć. Jest to

niesłychanie dla niego ważne, ale nie może być ważne samo przez się. *Ergo* to oznacza coś ważnego. Brązowe oczka Pike'a lśniły teraz jak oczy ptasie.

— Rany! Kwit z depozytu, niech mnie kule biją!

Uczniackie przekleństwa, do których sięgał w chwilach emocji, rozbrzmiewały z całym bezwstydnym ferworem przekleństw prawdziwych. Znow podniósł kartkę pod światło. Anthony wyjął mu ją z palców.

— Chyba tak. Ale lichy gatunek papieru świadczy o czymś więcej...

— Na pierniki! — zawołał Pike. — Kwit z przechowalni! Przepraszam, sir.

Minął Anthony'ego, dwoma krokami dopadł do drzwi i zniknął.

Anthony ruszył za nim powoli. Kiedy stanął w progu salonu, Pike już rozmawiał ze Scotland Yardem. Na kanapie wsparty o poduszki leżał Garrett. Na wprost niego przysiadła na poręczy Avis Bellingham. Garrett miał żywsze rumieńce i cieleny wyraz twarzy człowieka, który okazał się na tyle zniewieściały, by zemdleć.

Pike mówił:

— ...tak. I niech natychmiast się do tego biorą! Zrozumiano? Natychmiast! W ciągu godziny chcę mieć wzory kwitów bagażowych wszystkich towarzystw kolei ze stacjami w Londynie.

— Kwit z przechowalni? — zwrócił się Garrett do Anthony'ego.

— Kwit bagażowy — odpowiedział Anthony. — To chyba wziął Evans z kuferka Brent.

— Wiem, że są zamknięte — mówił Pike w słuchawkę. — Ale muszę mieć wzory kwitów w przeciągu godziny. Będę już w biurze. — Ton jego, bez żadnej wątpliwości, zdradzał inspektora.

Anthony uśmiechnął się.

— I lepiej dla nich, jeśli je zdobędą! — rzucił pod niczym właściwie adresem.

## 5

Kilka minut po trzeciej Anthony, powróciwszy do domu, podniósł słuchawkę natarczywie dzwoniącego telefonu.

— Zrobione, sir! — zameldował Pike z tłumionym u-niesieniem.

— Gratuluję — rzekł Anthony. — Co to jest?

— Naróżnik kwitu bagażowego kolei London and Great Eastern.

— A więc?...

Głos w telefonie rozvodził się dłuższą chwilę.

— Tak — powiedział Anthony. — Tak. Dobrze pomysła-ne. Naprawdę bardzo dobrze... Ale musi pan mieć stu-procentową pewność, że żaden z ludzi nie zechce aresz-tować okaziciela kwitu. Tylko iść za nim, a potem...

Przerwał mu głos w telefonie:

— Już się co do tego upewniłem, sir. Jeden człowiek wewnątrz, jeden na zewnątrz. Będą śledzić osobę, która okaże kwit. Nie przedsięwzją żadnych dalszych kroków bez porozumienia z nami.

— Dobrze! — powiedział Anthony.

## XX

### 1

Nawet kunszt krawiecki jego matki nie zdołał dostatecznie zmniejszyć ojcowskich spodni, czym tłumaczy się fakt, że kwadrans po dziewiątej w czwartek rano,

trzynastego października James Widgery ciężko upadł na chodnik na rogu ulicy w Lambeth.

Ranek był zimny, niebo szare i wiał przenikliwy wschodni wiatr. A chodnik był twardy. James Widgery, mimo swoich trzynastu lat, zaczął płakać.

Z bliżej nieokreślonej strony wyciągnęła się ręka i postawiła Jamesa na nogi. Mażąc się nadal James zobaczył stojącego nad nim mężczyznę i usłyszał głos:

— Potłukłeś się, synku?

James, który już przestawał beczeć, rozryczał się od nowa. Zwęszył pociechę w postaci miedziaka.

— Trochę! — wychlipał przez łzy.

Dłoń jego wybawcy, obciążnięta rękawiczką, zanurzyła się w kieszeni płaszcza i pojawiła dzierżąc srebrną, lśniącą monetę. James, zacerpnawszy tchu, wydał rozdzierające łkanie.

— Mógłbyś to zarobić — powiedział mężczyzna. — I drugie tyle. Zaraz poczułbyś się lepiej.

— Muszę iść do szkoły — odparł James Widgery, lecz bez przekonania.

## 2

James Widgery nie poszedł do szkoły, zjawił się natomiast — o dziewiątej trzydzieści pięć tego zimnego, pochmurnego ranka — przed wejściem na stację East Dulwich kolei London and Great Eastern. Jedną ręką pilnie przytrzymał spodnie Alberta Widgery'ego, drugą mocno zaciskał na małym skrawku papieru ukrytym w prawej kieszeni tychże spodni.

Zerknął na okopconą fasadę dworca i środkowymi drzwiami wkroczył do brudnej hali, przesyconej gryzącym zapachem. Na prawo widniał rząd kas biletowych. Na lewo, za kabinami telefonicznymi i różnymi automatami,



znajdowała się oświetlona wnęka, a nad nią wielki żółty napis: Przechowalnia.

W tę stronę zmierzał James, na tyle po męsku, na ile pozwalało mu utrudniające chód odzienie. Przystanął, z brodą zaledwie o parę cali nad kontuarem, i gwizdnął przez zęby, aby zwrócić na siebie uwagę mizernego mężczyzny po drugiej jego stronie. Z prawej kieszeni spodni wyciągnął gorącą i brudną rękę i rzucił to, co w niej ścisnął, na poplamione, wypolerowane drewno.

Bagażowy obserwował Jamesa krytycznie. Marszcząc nos rozwinął zmiętą kartkę. Przez długą chwilę przyglądał jej się ze zdumiewającą w danej sytuacji obojętnością.

— Momencik — powiedział cierpko i zniknął za półkami zastawionymi bagażem.

### 3

Dokładnie za dwadzieścia dziesiąta James Widgery, w dalszym ciągu przytrzymując spodnie lewą ręką, ale w prawej niosąc teraz płaską skórzaną teczkę, dyskretnie elegancką, zmierzał przez plac dworcowy ku przystankowi autobusów. Idąc pogwizdywał. Choć wiedział, że za wagary oberwie dziś lanie, przepełniała go radość, bo czyż w kieszeni jego nie spoczywała cała półkoronówka? I czy nie znajdzie się tam druga, kiedy doręczy teczkę temu dżentelmenowi?

Aż pięć szylingów? James odetchnął głęboko, przestał gwizdać i zajął miejsce na przystanku.

Tymczasem, z wszelkimi oznakami powolności, hałę dworcową opuścił młody, krzepki mężczyzna i powędrował śladem Jamesa, całkowicie zatopiony w „Specjalnym Dodatku z Toru Wyścigowego”.

Nadjechał autobus. James wdrapał się do środka i ponieważ było prawie pusto, usadowił się na samym froncie. Gratulował sobie, że pozostałe z domowych zakupów

matczyne dwa pensy pozwolą mu nie rozmieniać półkoronówki. Wychylony do przodu, z tęczką na kościstych kolanach, wyglądał przez okno z bystrą ciekawością ulicznika. Nie wiedział — i wcale by się tym nie przejął — że mężczyzna, który właśnie usiadł przy drzwiach, pochłonięty wiadomościami z toru wyścigowego, jest, jakby to określił jego ojciec, „szpiclem”.

Autobus ruszył — i w tym momencie jeszcze jeden pasażer wskoczył na stopień: wysoki, barczysty mężczyzna w granatowej serży. James Widgery nie wiedział — i wcale by się tym nie przejął — że ten również jest „szpiclem”.

## 4

Ścisłe biorąc, przejazd z dworca East Dulwich do Piccadilly Circus kosztuje pięć pensów. Świadomy jednak konduktorskich obyczajów, James odbył tę podróż za mniej niż połowę owej sumy. Wysiadł koło Swana i Edgara i rozprawiwszy się z krnąbrnymi spodniami, jak królik dał nura w czeluść bardziej na południe leżących schodów, które wiodły do stacji metra. Tuż za nim, niby niezainteresowani jego osobą, podążali dwaj mężczyźni z autobusu.

Chociaż nie minęło jeszcze wpół do jedenastej rano, jak zwykle na tej wielkiej podziemnej giełdzie ludzkości spieszono w rozmaitych kierunkach, w górę i w dół, i dookoła — z całą tą zaafierowaną, mrówczą szybkością i pozorowanym brakiem celu. U stóp schodów James Widgery skręcił w prawo i wymachując niedopasowaną do reszty stroju tęczką, zaczął przechadzać się żwawym krokiem. Za jego plecami detektywi Frawley i King wyciągnęli nogi. Chociaż teraz już nie usiłowali ukrywać, że się znają, nie rozmawiali, zajęci obserwowaniem małej rudej głowy tropionego chłopca.

James prześlizgiwał się między rzadkimi grupkami ludzi ze zwinnością i precyzją piskorza, a kiedy uskokzył za kiosk z gazetami, aby uniknąć zderzenia z nadciągającą falą uczennic w mundurkach, King i Frawley na chwilę stracili go z oczu.

— Gdzież, u diabła?... — powiedział King wydymając policzki.

— Tam! Za kioskiem — odparł Frawley, który właśnie zauważył chłopca.

King przystanął wpół kroku. Zmarszczka zdumienia, będąca zapowiedzią niepokoju, przeorała jego sielską twarz.

— Chodźmy! — ponaglił towarzysza.

James Widgery tkwił nieruchomo, rozglądając się i szybko wysuwając na boki rudą głowę — dziwnie podobny do płaza. Wydawał się przerażony. Usta miał półotwarte, a oczy mu płonęły, miotając w krąg błyski.

James Widgery ręce miał puste.

## XXI

### 1

James Widgery stał na puszystym szarym dywanie w pokoju sir Egberta Lucasa w Scotland Yardzie. Czuł się przestraszony, ważny i brudny. Miał wrażenie, że odpowiada na pytania od wielu już godzin, a tu zegar na gzymsie wskazywał zaledwie jedenastą trzydzieści.

W pokoju znajdowało się kilku mężczyzn, z których każdy, wcześniej czy później, mówił coś do Jamesa. W przerwach usiłowali mu wperswadować, by usiadł, ale że się sprzeciwiał, dalej pytali go na stojąco. Chociaż wydobywali z niego informacje na różne sposoby i uzupełniali mnóstwem pytań pomocniczych, sprowadzały się

one w rzeczywistości do dwóch: Jak wyglądał człowiek, który zlecił Jamesowi odebranie teczki i dał mu półkoronówkę? I jak wyglądała osoba, która wyrwała mu teczkę na stacji Piccadilly Circus?

James powtarzał wielokrotnie i z takimi wariacjami, na jakie pozwalał mu posiadany zasób słów, że mężczyzna, który dał mu półkoronówkę, nie był ani wysoki, ani niski; nie był ani elegancki, ani obdarty; nie był ani ciemny, ani jasny; nie był ani chudy, ani gruby — krótko mówiąc, był średni.

James wyraźnie usiłował — aż pot zraszał mu młode czoło — odpowiadać szczerze, i to zarówno na pierwsze, jak i na drugie pytanie. Zapewniał, że gdyby spadł z księżycy, miałby takie samo pojęcie, kto taki — czy co takiego — wyrwało mu teczkę w umówionym miejscu spotkania z pierwszą mężczyzną. W jednej minucie miał teczkę w rękę; w drugiej już nie miał, bo wyciągnięto mu ją jak gdyby od tyłu. Kiedy się obrócił, było tam moc ludzi i nikt chyba nie trzymał teczki...

Za dziesięć dwunasta wypuścili go, a wysoki mężczyzna, który najwięcej zadawał pytań, odprowadził go do drzwi i wcisnął w garść dwa szylingi.

James Widgery z tupotem zbiegł po kamiennych schodach i wymazał się z kart tej historii, Anthony Gethryn zaś wrócił do pokoju Lucasa.

## 2

Trzy piętra niżej dwaj wysocy i oglupiali młodzi ludzie z udaną obojętnością wysłuchiwali złorzeczeń nadinspektora Horlera.

— W przypadku Frawleya — mówił Horler ocierając czoło — można jeszcze szukać wytłumaczenia! Pracuje w tym zawodzie dopiero pół roku... Ale co się pana tyczy, King — gwałtownie obrócił głowę i spojrzął na obiekt

swego gniewu — mogę tylko powiedzieć, mogę tylko i wyłącznie powiedzieć, że jeśli coś podobnego się powtórzy, pana już tu nie będzie!

Detektyw King miętosił w dłoni kapelusz. Detektyw Frawley powiedział bardzo cicho:

— Proszę mi wybaczyć, sir...

— A co więcej — ciągnął Horler — jeśli coś takiego się powtórzy, będę musiał posłać was wprost do szefa.

King odchrząknął.

— Bardzo przepraszam, sir!

Frawley powiedział jeszcze ciszej:

— Proszę mi wybaczyć, sir, ale ja...

— Nie było to chyba trudne zadanie! — W głosie Horlera zadźwięczała żalność. — Mieć oko na dzieciaka!

— Z należytych poszanowaniem, sir — tłumaczył się King — to się mogło przytrafić każdemu. Chłopak dał nura za kiosk i straciliśmy go z oczu nie więcej niż na dwadzieścia sekund, ale w tym czasie ktoś podszedł i wyrwał mu teczkę. Nie widzieliśmy chłopca, więc naturalnie nie widzieliśmy i tego, kto mu wyrwał teczkę...

— Dość! — przerwał Horler. — Nie ma tu wymówek!

Frawley zakaszłał. Powiedział przymilnym szeptem:

— Proszę mi wybaczyć, sir, ale...

— Wystarczy! — rzucił Horler. — Tłumaczenie się pogarsza sprawę. A teraz jazda już stąd! I na wszystkie świętości, nie zbłaźnijcie się tak więcej.

— Tak jest, sir — odrzekł służbiście King i zawrócił ku drzwiom.

Frawley jednak dotrzymywał placu.

— Proszę mi wybaczyć, sir, ale... — zaczął.

Horler, który właśnie otwierał niebieską teczkę leżącą na biurku, zagniewany uniósł głowę.

— Proszę stąd wyjść! — powiedział.

Młoda, angielska twarz detektywa Jamesa Davenporta Frawleya straciła niemal swój czerstwy koloryt. Odezwwał się szybko, ulegle:

— Tak jest, sir. Dziękuję, sir.

I spełnił rozkaz.

### 3

Poprzez wypełniające gabinet Lucasa kłęby tytoniowego dymu widać było jego samego, Anthony'ego, Pike'a i wybladłego Garretta. Rozlegał się tu jedynie głos Lucasa, który w bardziej wyszukanych zdaniach beszał Pike'a tak, jak Horler przed chwilą beszał Kinga i Frawleya.

Lucas zamilkł, odetchnął głęboko i wygodniej usiadł w fotelu.

— Tak, sir — mówił Pike. — Wiem, sir. O ile się nie mylę, Horler rozprawia się właśnie z nimi.

— A to — zauważył gorzko Garrett — daje nam cholerną satysfakcję!

W głębi największego w tym pokoju fotela Anthony wyprostował się i przeciągnął.

— Dzieci! Dzieci! — powiedział.

— Dość! — wybuchnął Garrett. — Mam wyżej uszu wszystkich tych uprzejmości! Mogę myśleć tylko o jednym, a mianowicie, że przed godziną mieliśmy już prawie w rękach poszukiwanego człowieka i że teraz dzieli nas od niego większa niż kiedykolwiek odległość! I wyłącznie dlatego, że ktoś powierza zadanie dwóm całkowicie niekompetentnym partaczom, zadanie, które wykonać powinni najlepsi wasi ludzie! Jestem nieuprzejmy, wiem o tym, ale nie będę was przeproszał!

Siedział bardzo wyprostowany. Jego gniewne oczy ciszały wyzwaniem otaczającym go Anglikom.

Lucas popatrzył na niego niezbyt życzliwie, lecz milczał. Pike nie spuszczał wzroku z podłogi albo, być może, z czubków swych mocno wyglansowanych butów.

— Oczywiście to wielka szkoda — mruknął Anthony. — I możemy już liczyć jedynie na Bellows.

Telefon na biurku zadzwieczał rozkazująco. Lucas podniósł słuchawkę.

— Mówi Lucas... Tak... Co?... Tak, proszę przeczytać.  
— Wziął notes, ołówek i zaczął gryzmolić, a telefon brzęczał mu w ucho. Na koniec rzekł spokojnie: — Dziękuję... Tak, powiem mu. — Z przesadną troską odłożył słuchawkę na widelki. Przyciągnął do siebie notes i spojrzął na towarzyszy. Po twarzy przemknął mu niewesoły uśmiech. Powiedział wolno: — Dzwonili z pańskiego biura, Pike. Dostali depezę od MacFarlanda z Midlothian.

Przeczytam ją panom.

Nawiązując do waszej AC-42 i do mojej odpowiedzi stop Ciało odpowiadające ry-sopisowi pani Bellows znaleziono na bagnach w pobliżu Kinmarnock stop Śmierć przez uduszenie, według opinii lekarza trzy dni temu post-mortem dzisiaj stop Dalsze informacje nadeślemy MacFarland.

Zapadło długie milczenie.

— Otóż to! — przerwał je Anthony. — Musicie przyznać, że są dokładni.

Sheldon Garrett wstał. Był bardzo blady i wyglądał na zmęczonego. Podeszedł do stolika przy drzwiach i wziął swój kapelusz. Z ręką na klamce powiedział:

— To koniec, prawda? Gdyby należycie śledzili chłopaka, schwytaliby mężczyznę czy kogoś, kto mógłby naprowadzić na jego ślad. Ale nie śledzili. A teraz i ta biedna stara kobieta poniosła śmierć... Musimy sobie powiedzieć, że wygrał. — Popatrzył na Lucasa i podjął z wahaniem: — Jeśli byłem nazbyt oficjalny i niegrzeczny, proszę o wybaczenie.

Wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Po chwili Pike westchnęła i powędrował do okna. Nie odwracając głowy rzekł:

— Muszę współczuć panu Garrettowi, jeśli panowie rozumieją, co mam na myśli.

## 4

Na dole, w małej poczekalni cywilnych detektywów z ich okręgu, Frawley i King zatopieni byli w rozmowie, z tym że pierwszy gadał, a drugi patrzył z otwartymi ustami.

— ...więc kiedy powiedział: „Proszę stąd wyjść” — mówił Frawley — wyszedłem.

Należy żałować, że odpowiedź Kinga okazała się niecenzuralna. Spowodowała jednak natychmiastowy powrót Frawleya do pokoju Horlera.

## 5

Na górze, w swym gabinecie Lucas bez słowa wysłuchał Pike'a i Anthony'ego. Teraz odezwał się niespodzianie:

— Nie wiem, co takiego was opętało. Ponieważ na razie daliśmy zbiec nieznanemu mordercy, uważacie, że nie już nie poradzimy. Ale w rzeczywistości to była tylko przeszkoda. Parę dni temu nie wiedzieliśmy nic o poszukiwanym człowieku i opieraliśmy się na domysłach. Dziś sytuacja uległa radykalnej zmianie: mamy dwa punkty wyjścia, na których można się oprzeć — morderstwa popełnione na tej młodej dziewczynie Brent i starej Bellow-s. Scotland Yardowi, jak wiecie, udawało się chwytać morderców! — Oparł się wygodnie i spojrzał na Anthony'ego.

Anthony potrząsnął głową.

— To na nic. Pozornie masz słuszność, ale nic z tego nie wynika. — Mówił tonem bezbarwnym i ponurym.

Lucas obruszył się.

— Chcesz powiedzieć, że ten gość jest za sprytny?



Anthony szeroko otworzył oczy.

— Nie, chcę po prostu powiedzieć, że panicz Evans znacznie nas wyprzedził. Jak wiesz, mieliśmy w tym cel. Chcieliśmy zapobiec zbrodni — prawdopodobnie prowadzącej się do porwania dziecka — w którą wmieszana była kobieta nazwiskiem Murch, działająca z ramienia mężczyzny nazwiskiem Evans. Chcieliśmy choć raz zamknąć drzwi stajni, zanim koń zostanie skradziony. Dzisiaj rano, dzięki kwitowi bagażowemu, mieliśmy po temu okazję. Tę szansę jednak, w dosłownym sensie, nam wydarto. Pewno złapiecie i powiesicie pana Evansa! Ale jeśli nie nastąpi coś podejrzanego zbliżonego do cudu, zrobicie to dopiero wówczas, gdy on popełni czyn, do którego usiłowaliśmy nie dopuścić... Zapytaj Pike'a o zdanie.

Pike, z wyrazem żałoby na długiej, chudej twarzy, zwrócił się do Lucasa.

— Obawiam się, że pułkownik Gethryn ma rację.

— Pułkownik Gethryn — odparł Lucas z goryczą — zawsze ma rację. Według pana.

Anthony powoli rozprostował się, wstał i przeciągnął się.

— No, a cóż powiedzielibyście na lunch? — zapytał. — Proponuję, byśmy we włosiennicy, posypując głowy popiołem wstąpili gdzieś do baru i zjedli letnią baraninę z wodnistymi, rozgotowanymi kartoflami. A potem możemy kawą i letnią wodą wznieść toast dla przypieczętowania małego pochlebnego finału tej epopei zatytułowanej *Tajemnica morderstwa do góry nogami*.

— Bardzo to dziwaczne! — zauważył Lucas. — A co, u diabła, znaczy „do góry nogami?”

— Po pierwsze, chodzi o twoje błędne założenie, że policja ma karać za popełnione zbrodnie, a nie zapobiegać zbrodniom planowanym. Po drugie, i tak dalej, chodzi o samą tę „sprawę”, bo zamiast wykryć popełnioną zbrodnię i stwierdzić, kto ją popełnił, dowiedzieliśmy się, że zbrodnia zostanie popełniona, i usiłujemy wykryć nie tylko jej przyszłego sprawcę, ale i rodzaj przestępstwa!

— No, niech mnie kule biją! — wybuchnął Lucas.

— Mój ty proroku! — uśmiechnął się Anthony. — Oczywiście ja tylko teoretyzuję. A teoria jest o wiele trudniejsza od praktyki — truizm obszernie tu zilustrowany. W zwyczajnej „sprawie” występuje tylko jedna zasadnicza niewiadoma: kto to zrobił? A tutaj mamy dwie zasadnicze niewiadome: a) co zostanie zrobione i b) przez kogo?... W pierwszym przypadku — normalnej pracy policji — pięćdziesiąt osób byłoby już bardzo małą liczbą podejrzanych; ale my, najskromniej licząc, mamy tylu podejrzanych, ilu mieszkańców liczy sobie Wielki Londyn, co równa się chyba jakimś ośmiu milionom...

Wszystko to dowodzi wielkiego rozumu, jaki okazujesz trzymając się starej i mocno zakorzenionej zasady, że nie jesteście tu po to, by zamykać drzwi stajni.

Anthony odetchnął głęboko, przeszedł przez pokój i wziął z krzesła kapelusz. Lucas przemówił do jego pleców:

— Ogromnie zabawne! O ile jednak chodzi o konkretną wartość tej wypowiedzi, nie porwę się na komentarz.

Anthony zawrócił.

— Nie przejmuj się. Usłyszysz mnie znów na antenie w przyszły piątek o czternastej trzydzieści, prawdopodobnie z Daventree.

— Poprawnie wymawia się to Daintry... — wtrącił złośliwie Lucas. — Dokąd idziesz?

Anthony przystanął z ręką na klamce.

— Szukać Garretta. Naprawdę nie powinien był sam wychodzić. Powinien leżeć w łóżku.

Jeszcze raz głos jego zabrzmiał bezbarwnie i ponuro, po czym zniknął za drzwiami.

Lucas i Pike milcząc wymienili spojrzenia. Za oknem ołowiane niebo wisiało nad rzeką i miastem. W pokoju panowało napięcie. Wreszcie odezwał się Pike:

— No cóż, sir... wezmę się lepiej do roboty.

— Tak. Trzymając się zwykłych wytycznych — powiedział Lucas pochmurnie. — Komu zlecił pan śledztwo w sprawie Brent?

— Murchisonowi, sir. Czy mam je przejąć?

— Tak — odrzekł z namysłem Lucas. — Może byłoby lepiej.

Pike zawahał się przy wyjściu.

— Bardzo źle wypadło z tymi dwoma, sir.

Lucas wzruszył ramionami.

— Szkoda płakać nad rozlanym mlekiem. Pike potarł swą długą brodę.

— Tak się jakoś czuję, jakbym sprawił zawód pułkownikowi Gethrynowi... jeśli mnie pan rozumie, sir.

— Jeszcze jak rozumiem — odrzekł Lucas gorzko — ale w dalszym ciągu powtarzam: „rozlane mleko”... A teraz proszę zwiewać na lunch.

— Tak, sir. — Pike pośpiesznie skierował się ku drzwiom.

— Chwileczkę, Pike! — powstrzymał go Lucas tonem, który niewątpliwie miał zabrzmieć pocieszająco.

— Słucham, sir.

— Nigdy nie wiadomo; może jeszcze i do nas uśmiechnie się szczęście!

Pike zdobył się na uśmiech.

— Dziękuję, sir. Bardzo jest nam potrzebne.

Nim doszedł do drzwi, otworzyły się raptownie, o mało nie trzasnąwszy go w twarz. W progu stał Anthony:

— Idąc od was wpadłem na Horlera. Zaraz tu będzie. Mówi, że ma coś nowego.

Zza jego pleców wynurzyły się sylwetki Horlera i detektywa Frawleya. Anthony odstąpił na bok, Lucas zaś powiedział z irytacją w głosie:

— Wejdźcie! Wejdźcie!

Horler wkroczył do pokoju z Frawleyem, swym wielkim, młodzieńczym cieniem o purpurowych policzkach.

— Kto to? — warknął Lucas obrzucając wzrokiem Frawleya.

Anthony zamknął drzwi i oparł się o nie. Horler odchrząknął.

— Pomyślałem, że lepiej przyjść od razu, sir. To detektyw Frawley, który był w przechowalni na dworcu Dulwich dziś rano.

— Och! — Lucas znów spojrział na zlanego potem Frawleya.

— Tak, sir — potwierdził Horler. — Ale kiedy przed chwilą wezwałem jego i tego drugiego do siebie, żeby im powiedzieć... żeby udzielić im nagany, sir, Frawley nie wspomniał o czymś, o czym zawiadomił mnie dopiero teraz, i w tych okolicznościach, sir...

— Na litość boską — wybuchnął Lucas. — Niech pan to wreszcie wykrztusi!

— A więc, sir, tu obecny Frawley nie zastosował się do polecenia wydanego wszystkim ludziom we wszystkich przechowalniach bagażu — polecenia, aby iść za każdym, kto przedłoży kwit bagażowy z oddartym lewym rogiem.

Lucas rzucił się na fotel i syknął przez zaciśnięte zęby:

— Czy powie mi pan, co takiego zrobił?

Słyszając ten ton Frawley najwyraźniej oklapł, lecz Horler, który dobrze znał Lucasa, spokojnie ciągnął dalej:

— Tak, sir. Kiedy bagażowy przyniósł kwit do biura na tyłach przechowalni, gdzie siedział Frawley, Frawleyowi przyszło do głowy, że mógłby przekroczyć swoje kompetencje, otworzyć tę małą teczkę, jeśli nie jest zamknięta na kluczyk, i sporządzić spis jej zawartości.

— Duże brawa dla Frawleya — powiedział zbliżając się Anthony. — Gdzie lista?

Lucas zignorował tę jak najbardziej nieoficjalną przeszkodę i przeniósł stalowy wzrok z Fioriera na Frawleya, który zadrzał.

— No i co, Frawley? — zapytał.

James Davenport Frawley spróbował się odezwać, nie wydobył jednak głosu z krtani. Zakaszłał, spróbował po raz drugi i zamiast starannie wymodulowanego tonu, którym zamierzał się popisać, wydał jakiś ni to ryk, ni to piśnienie. Prerażony tym dziwnym dźwiękiem przełknął ślinę. W końcu przemówił ochryplym, choć na szczęście dosłyszalnym szeptem.

— Proszę, to ta lista, sir.

Wyjął z kieszeni kartkę lekko przybrudzonego papieru.

— A więc popatrzmy — rzekł Lucas zdecydowanie mniej ostro.

W przypiływie odwagi, mimo to nadal obficie się po-  
cąc, Frawley podszedł do biurka takim krokiem, jakby  
dywan był skorupką jaja. Położył papierek na bibule  
przed Lucasem, po czym cofnął rękę jak przed rozżarzo-  
nym do czerwoności żelazem.

Lucas rozprostował zatłuszczoną kartkę. Niemal rów-  
nocześnie za jego plecami stanęli Anthony i Pike. Odczy-  
tali nagryzmołone okrągłym, dziecinnym charakterem  
pisma następujące słowa:

*Jedna msk czapka. Ciemny brąz  
(Wycięta nazwa firmy)  
Jedna msk czapka. Czarno-biała kratka  
(Wycięta nazwa firmy)  
Podróżne szachy  
Sześć msk chusteczek  
Jedna p. okularów w szylkr. oprawie  
(Ze zwykłymi szklami)  
Jedna p. msk skórzanych rękawiczek  
Trzy paczki funtowych banknotów  
(Okolo 100 funtów w każdej).  
W papierowej banderoli. Banknoty  
nienowe. Na banderoli jednej z  
paczek notatka ołówkiem —  
„O 10—5 P 10—11”*

— W porządku, Frawley — powiedział wreszcie Lucas  
podnosząc głowę. — Dziękuję. Dobra robota.

Frawley wydał kilka dźwięków mających wyrażać usa-  
tysfakcjonowanie.

Lucas zwrócił się do Horlera:

— W porządku, dziękuję.

Horler ruszył ku drzwiom, poganiając przed sobą  
Frawleya.

— Aha, Frawley! — przypomniał sobie coś Lucas, kie-  
dy już wychodzili.

— Tak, sir?

— A na drugi raz proszę lepiej pilnować śledzonego!  
Horler wypchnął Frawleya na korytarz.

Lucas popatrzył na Pike'a i Anthony'ego. Pierwszy oglądał czubki swych butów, drugi wziął kartkę i uważnie przebiegł ją wzrokiem.

— No cóż, obawiam się, że niewiele nam to pomoże — odezwał się Lucas.

Anthony nie podniósł oczu znad skrawka papieru.

— Oświecająca zawartość torby! — rzekł. — Nic lepszego, jak zmienić nakrycie głowy, gdy się jest śledzonym. Nic lepszego jak okulary w rogowej oprawie, gdy się chce zmienić wyraz twarzy. Nic bardziej wskazanego, jak grać w szachy dla odprężenia umysłu zajętego poważniejszymi sprawami. — Mamrotał właściwie sam do siebie. — Nic bezpieczniejszego, jak mieć parę funcików w kieszeni.

— Zastanawiam się, po co zapisał numery banknotów, jeśli były stare — powiedział Pike.

Dopiero teraz Anthony podniósł głowę i potrząsnął nią przecząco.

— To wcale nie numery banknotów. I dlatego są takie interesujące.

Pike ożył.

— Domyśla się pan czegoś?

Anthony wzruszył ramionami.

— Bóg raczy wiedzieć. A, jak chętnie powtarzam, On nie podzielił się wiadomościami. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby znać sens tych cyfr. To wszystko.

— Popatrzmy! — rzekł Lucas i wzięwszy kartkę z rąk Anthony'ego, jeszcze raz zaczął ją studiować. Przeczytał na głos. — „O dziesięć dywiz pięć, P dziesięć dywiz jedenaście...” Nie, to nie są numery banknotów. To może być dosłownie wszystko. Chcecie to posłać do ekspertyzy?

Anthony wykonał gest przeczenia.

— Nie przypuszczam, żeby to była cyfra. Już, już coś zdaje się znaczyć, a potem znów nic nie znaczy... Niech to diabli!

## XXII

### 1

Za kwadrans pierwsza Garrett zadzwonił do frontowych drzwi domu Gethrynów. Wyszedł ze Scotland Yardu czterdzieści minut wcześniej, ale oddalająca się teraz z klekotem taksówka wiozła go nie wprost z Westminsteru, tylko okrężną drogą przez St. John's Wood w ogóle, a Lord's Mansions w szczególności.

Kiedy White wpuścił go do środka, Garrett pomyślał, że gdyby miał choć odrobinę rozsądku w obolałej głowie, zadzwoniłby najpierw do Avis, zamiast szukać jej po próżnicy. W ten sposób zaoszczędziłby sobie i czasu, i tych okropnych mdłości, które chwyciły w kleszcze jego umęczone ciało.

White zabrał od niego kapelusz i pomógł mu zdjąć płaszcz.

— Czy nie było tu dzisiaj pani Bellingham? — zapytał Garrett tonem przesyconym obojętnością.

— Była, sir — odparł White z odcieniem troski. Lekki rumieniec zabarwił policzki Garretta.

— Zaledwie kilka minut, sir — uzupełnił White.

— Och! — Garrett nadal udawał obojętność. Znów ogarnęło go zmęczenie, w głowie zawirowało.

— Pani Bellingham wyszła z panią Gethryn, sir. Jakieś pół godziny temu. Wspominała o zakupach.

— Och! — powtórzył Garrett. A potem dodał ze zdecydowanym uśmiechem: — Coś panu powiem: miałbym ochotę na whisky z wodą sodową. I kawałkiem lodu.

— A powinien pan wypić kieliszek sherry i filiżankę zupy.

— Może i racja. — Garrett zdobył się na uśmiech.

Odwrócił się i wolno przeszedł przez hall do biblioteki.

Biblioteka świeciła pustkami, ale ogień palił się na kominku i wielka skórzana kanapa zachęcała miękkością. Zanurzył się w niej i przymknął oczy.

White wniósł na tacy karafkę, kieliszek, parującą czarkę i kilka grzanek. Garrett na chwilę uchylił powieki i wymamrotał „dziękuję”.

White przysunął do kanapy stolik, a na nim ustawił tacę.

— Pańska zupa, sir. I sherry.

Jakaś nuta w jego głosie dowodziła zalet, które nigdy uczyniły zeń — jak to często podkreślał Anthony Gethryn — najlepszego sierżanta zjednoczonych armii.

Garrett wypił zupę, zjadł dwie grzanki i zadumał się nad kieliszkiem sherry.

White wyszedł, Garrett zaś pozwolił swej głowie opaść na miękką skórę. Z wolna i płynnie osunął się w głęboką, czarną otchłań. Była miękka, ciepła, i wabiąca całkowitym spokojem. To śmierć, niejasno podpowiadał mu umysł; powitał ją radośnie, i czuł, w tym absolutnym odprężeniu, lekki skurcz triumfu, że śmierć jest właśnie taka, jak ją sobie za życia wyobrażał.

Trwał w boskim oszołomieniu, na pół świadomy. Nie żył i wiedział o tym, i był szczęśliwy. A potem, w nagłym i przeszywającym błysku, powróciła świadomość. Siedział, przywiązany do czegoś, co służyło mu za krzesło. W dodatku przypominało metal, ale choć się nie ruszało, odnosił obezwładniające wrażenie, że to coś żyje. Myślał: Chciałbym, żeby nie było tak ciemno — i dzięki temu pojął, jak straszliwa to ciemność, i spróbował krzyknąć. Mimo wysiłku żaden dźwięk nie wydobył się z nabrzmiewającej krtani. Szarpał więzy, one jednak coraz bardziej się zacieśniały. Doznał wewnętrznego skurczu pod wpływem przerażającej pewności, że to coś żywego — choć pod nieznaną postacią — więzi go w uścisku. Fala strachu przyprawiła go niemal o mdłości. Zapomniał jednak o nim, kiedy z całkiem bliska posłyszał głos, głos dziecka, przenikliwy i rozedrgany lękiem. Głos ten wymówił jedno słowo.



— Nie!

Garrett zdobył się na ogromny wysiłek. Musi odzyskać swobodę ruchów i pomóc dziecku. Ale ohydne pęta jeszcze bardziej się zacieśniły — i coś niby wielka ręka potrząsało jego ramieniem łagodnie, lecz z mocą samego Boga...

## 2

Dłoń ta okazała się nagle szczęśliwym trafem jak najzupełniej realną, szczupłą dłonią Anthony'ego Gethryna.

Garrett przetarł oczy i usiadł, rozkoszując się materialnością tego pokoju i pokrzepiającym faktem istnienia innych mężczyzn ulepionych z tej samej co i on gliny.

Anthony i Pike spostrzegli, jak pozieleniał, a czoło zrosiły mu wielkie krople potu.

— Co za głupota! Powinien pan leżeć w łóżku! — odezwał się Anthony.

Pike mu przytaknął.

— Okay, za chwilę — odparł Garrett ocierając czoło. — Miałem paskudny sen!

Anthony uśmiechnął się.

— O strachach i niezaradnej policji, i Sheldonie Garrettcie bezskutecznie usiłującym zapobiec jakiemuś nieszczęściu. Coś w tym rodzaju?

— Coś takiego — odparł Garrett i zmrugał powieki.

— No, dość już snów! — powiedział Anthony. — Proszę posłuchać. Kiedy opuścił pan Scotland Yard, dopisało nam trochę szczęścia. Zdobyliśmy spis zawartości teczeki.

— No i co dalej? — Garrett dźwignął się z kanapy. — Co dalej?

— Niech pan siada — poprosił Anthony. — Na skrawku papieru w teczce zrobiono ołówkiem notatkę — jakieś

litery i cyfry. Z początku nie mogliśmy ich rozszyfrować, później jednak pojąłem, co oznaczają. Pike nadal nie jest przekonany, więc...

Wyjął z kieszeni notesik i ołówek i nagryzmoliwszy jakieś cyfry podsunął je Garrettowi.

— Sąd będzie zobowiązany, jeśli pan powie od razu, z czym się te cyfry kojarzą. Proszę się nie namyślać!

Garrett odrzekł stropiony:

— Piąty października. Anthony zwrócił się do Pike'a.

— I na tym, sir, ja polegam!

Pike potarł brodę. Powiedział z uśmiechem:

— To z całą pewnością odrobina szczęścia!

— Jeśli któryś z panów — przerwał im Garrett — nie powie mi, co to wszystko ma znaczyć, nie ręcę za siebie.

— Przepraszam. — Anthony ze skrucłą wetknął w dłoń Garrettowi wyjętą z kieszeni kartkę. — Oto zagadka.

Garrett odczytał: „O 10—5 P 10—11”.

— Od samego początku wiedziałem, że te cyfry oznaczają coś bardzo oczywistego — mówił Anthony — ale nie przychodziło mi do głowy, co mianowicie. Myślałem o datach, to jednak nie miałyby sensu. Już ulegałem zniechęceniu, gdy wtem coś się zmieniło i pojąłem, że to są daty, lecz zapisane sposobem amerykańskim, począwszy od miesiąca.

— A więc nasz ptaszek to Jankes! — mruknął pod nosem Pike.

Anthony potrząsnął głową.

— Niekoniecznie. Na przykład...

— A cóż to, u licha, ma za znaczenie, czy on jest Amerykaninem, Irlandczykiem czy Eskimosem? — przerwał im Garrett.

— Żadne. Tylko moim zdaniem Pike, wiedząc, że usiłujemy zapobiec czemuś, co w jakimś stopniu wiąże się z porwaniem dziecka, woli mieć pewność, iż patentu nie naruszył Anglik.

Pike uśmiechnął się dość kwaśno.

— Założmy więc, że to są daty. I co z tego? — zapytał Garrett nie odrywając oczu od kartki.

— Och, mój drogi — odparł Anthony. — Po pierwsze, przypuśćmy, że te cyfry oznaczają piąty i jedenasty październik, czyli bieżącego miesiąca; po drugie pamiętajmy, że chociaż nawet sam Evans może nie być Amerykaninem, to te daty są zapisane po amerykańsku. Wrzucmy to do garnka, dobrze zamieszajmy i zobaczmy, co musi znaczyć O i P!

— Odjazd i przyjazd! — wykrzyknął Garrett.

Pike poderwał głowę.

— Właśnie — uśmiechnął się Anthony. — Łatwo na to wpaść. Porywanie dzieci to coś amerykańskiego; amerykańskie daty rozdzielone okresem sześciu dni równają się czasowi podróży przez Atlantyk.

Garrett, zapominając o bólu głowy, zerwał się na nogi.

— Mój Boże! — Oczy płonęły mu podnieceniem. — Ale co my zrobimy!

A potem, równie nagle jak się zapaliło, światło na jego twarzy przygasło. Zmarszczka ściągnęła mu brwi i jeszcze raz osunął się na kanapę.

— I do czego, u licha, tak się zapaliłem? Nic właściwie nie mamy; dosłownie nic!

Anthony milczał, zaprzeczył natomiast Pike:

— Tu się pan myli. Tu się pan bardzo myli!

Anthony nacisnął dzwonek przy kominku i kopniakiem rozrzucił migocące główne, aż buchnęły płomieniem.

— No, ja tego nie dostrzegam — zwrócił się Garrett do Pike'a.

Anthony stanął przy kanapie i już miał mu odpowiedzieć, gdy drzwi się otwarły.

— Dzwonił pan, sir? — zapytał White.

— Tak. Poproszę o whisky. I syfon ze szklankami. Aha, i lód. A gdyby przyszedł ktoś z linii Green Star, proszę od razu wprowadzić go tutaj.

— Tak, sir.

White zniknął.

— No i o co chodzi? — W głosie Garretta brzmiało znużone wyzwanie. — Może i jestem tępy... na pewno wpadłem w nawyk zachowywania się jak głupiec — ale nie potrafię zrozumieć, dlaczego mielibyśmy wiwatować, bo w torbie ściganego znaleziono notatkę, która może się odnosić do statku płynącego z Nowego Jorku do Southampton albo *vice versa*! Nie musi to koniecznie oznaczać czegoś ważnego!

Anthony uśmiechnął się.

— Brak panu rozmachu. Nie tak to trzeba przedstawiać! Niech pan spróbuje w ten sposób: Eliminując wszystko, co nieistotne, uzyskujemy: 1) hipotezę, że Janet Murch pod kierunkiem X (dla krótkości Evans) będzie maczała palce w jednej czy kilku zbrodniach, na które w całości lub części składa się przypuszczalnie porwanie dziecka 2) od niedawna pewność, że X-Evans jest niebezpiecznym zbrodniarzem 3) pewność że X-Evans albo jego wspólnik zanotował cyfry, które mogą odnosić się do żeglugi przez Atlantyk. — Urwał i spokojnie wpa-trywał się w Garretta. — Mam rację? — zapytał.

Garrett, wsparty o poręcz kanapy, skinął głową w milczeniu.

— Iw ten sposób — podsumował powoli Anthony — zdobywamy 4) pewność, że mamy już na czym się oprzeć, jeśli piątego bieżącego miesiąca rzeczywiście wypłynął z Nowego Jorku statek i przybył tu jedenastego, a na pokładzie wiózł dziecko bogatych rodziców, którego opiekunka z wyglądu odpowiada opisowi Janet Murch.

Garrett wstał.

— I możemy zapobiec otwarciu drzwi stajni, sir.

Pike z chichotem zatarł ręce, po czym szeroki uśmiech przedzielił jego podłużną twarz. Anthony skłonił się dwornie.

— Dziękuję, panie inspektorze!

— To dość sensowne! — stwierdził Garrett. — Na Boga, bardzo sensowne. Wszystko mi się poplątało. — Nieświadomie przyłożył dłoń do pulsującej skroni. — Dziś

jest trzynasty — mówił dalej szybko. — Statek przyszedł zatem dwa dni temu!

— Wolnego! — rzekł uspokajająco Anthony. — Przez ostatnie dwa dni Evans nie próżnował.

— Tak, tak, i owszem. Ale teraz... musimy się spieszyć!

Przypomniał sobie sen z przerażającą wyrazistością. Pot wystąpił mu na czoło. Pike obserwował go zaciekawiony.

— Nie tak pochopnie! — powiedział Anthony ujmując Garretta pod ramię i lekko popychając go na kanapę. — Wszystko, mówiąc słowami pani Eddy, dobrze się skończy!

Drzwi się otwarły i weszła pokojówka z ciężką, porbrzękującą tacą.

— Ale musimy dowiedzieć się o statek. I dostać listy podróźnych, i sprawdzić...

Garrett urwał, bo White wprowadził właśnie małego, schludnego człowieka ze skórzaną teczką.

— Pan Perry! — zaanonsował White i wyszedł wraz z dziewczyną.

— Ziściły się modlitwy dramaturga — rzekł Anthony i podążył gościowi naprzeciw. — Pan Perry? — zapytał. — Bardzo uprzejmie z pańskiej strony, że przybył pan tak szybko. — Skinął ręką. — Pan Sheldon Garrett. Pan Pike... Pan Perry z linii Green Star. Napije się pan czegoś, panie Perry?

Odblask kominka migotał na pince-nez pana Perry'ego.

— Owszem — powiedział pan Perry zdumiewająco ochoczo. — Napiję się.

### 3

— Widzi więc pan, pułkowniku — mówił uczynny pan Perry — że musi to być „Gigantic”. Racja, że i „Cunarder” zawinął do portu jedenastego, ale odplynął... — pan Perry odchrząknął z dumą — o dzień wcześniej niż nasz statek.

— Tak — powiedział Anthony. — Ma pan listę pasażerów?

— Ależ oczywiście.

Zwinne rączki pana Perry'ego odstawiły szklanekę i wyciągnęły z teczki dokumenty.

— Doskonale! — Anthony łagodnie uwolnił swe ramię od przytłaczającego ciężaru Garretta. — Mógłby pan może poinformować nas, czy na pokładzie znajdowały się dzieci? W pierwszej klasie, rzecz prosta.

Pan Perry odkaszlnął zdecydowanie, choć bez zbędnego hałasu.

— Muszę się zorientować... to do pewnego stopnia możliwe.

Poprawił pince-nez na nosie i przerzucał kartki porządnego skoroszytu. Garrett już chciał się wtrącić, lecz Anthony wymierzył mu w bok kuksańca, więc zamilkł.

— Abel, pani — mówił pan Perry jakby do siebie. — Aaronson, panna... Arden, państwo... Axel, Herr.

Białe palce zwinnie wędrowały po kartkach skoroszytu, szelest zaś akompaniował pospiesznemu szmerowi głosu. Co jakiś czas zarówno szelest, jak szept cichły, a pan Perry sprawnie i prędko odfajkowywał pewne nazwiska. Poza tymi odgłosami w pokoju panowała cisza.

— Witherspoon, sir Guy — mówił pan Perry. — ...Wessex, państwo i panna... — Znów przerwał, by błyskawicznie zrobić znak na bloczku. — Walters, pan... Wyatt, wielmożna pani Jeffry... Yoland, państwo... Yeomans, panna... Yule, panna... i — pan Perry zamknął skoroszyt z cichutkim trzaskiem — księżę Zeffatini.

Wziął bloczek, na którym w przerwach coś notował, i przyjrzał mu się uważnie.

— Od razu dostrzeże pan główną trudność, pułkowniku — rzekł. — Mogę powiedzieć na pewno, że był jeden pasażer pierwszej klasy w bardzo młodym wieku, a mianowicie panicz Kenneth B. Lester, podróżujący z państwem Lester, prawdopodobnie swymi rodzicami. Musiał być jedynym chłopcem w pierwszej klasie. Ale jeśli idzie o dziewczynki, to już inna para butów.

— I owszem — przyznał Anthony.

Wzrok pana Perry'ego zdradzał pewne oznaki srogości, gdy kończył.

— Ponieważ w przypadku dziewcząt nie możemy powiedzieć, czy słowo „panna” oznacza osobę dojrzałą, czy też wręcz przeciwnie.

— I owszem — przytaknął Anthony.

Pan Perry wydał wargi i podnosząc do połowy opróżnioną szklankę, precyzyjnie przyłożył ją do ust i wypił.

— Zastanówmy się... — wybuchnął Garrett i znów zamilkł powstrzymany łokciem Anthony'ego.

Zapadła chwila ciszy, podczas gdy pan Perry kończył swą whisky. Postawiwszy szklankę na tacy rzekł:

— Szybko stwierdzić, ile młodych dziewcząt przebywało na pokładzie pierwszej klasy, możemy tylko wówczas, panie pułkowniku, jeśli skontaktujemy się z członkiem załogi zdolnym nas oświecić.

— I owszem — powiedział Anthony. — Napije się pan jeszcze?

— Dziękuję — odrzekł stanowczo pan Perry. — Tak.

## 4

Kiedy pan Perry nazgrywał się już do woli z telefonem Anthony'ego i opuścił wreszcie Stukeley Gardens, było kwadrans po szóstej. Zostawił po sobie pustą karafkę, bezgranicznie zirytowanego Amerykanina, wspomnienie stuprocentowej kompetencji i nazwisko oraz adres głównego stewarda statku „Gigantic”, który spędzał właśnie urlop w Londynie.

Za dziesięć siódma voisin Anthony'ego zajechał przed numer 27 przy Elmview Crescent w Brixton. Gęsta, biała mgła, poznaczona tu i ówdzie pomarańczowymi kręgami latarni ulicznych, rozpościerała się dokoła. Anthony wysiadł z samochodu, zadrżał i podniósłszy kołnierz płaszcza,

ze straszliwym zgrzytem otworzył żelazną furtkę. Wąską ścieżką, wysadzaną nędznymi krzakami, które niekształtnie majaczyły w półmroku, doszedł do drzwi i pociągnął za uchwyt dzwonka. Z głębi domu dobiegło widmowe brzęczenie, niemal natychmiast rozległy się kroki i nad drzwiami zabłysło okienko.

Otwarto drzwi. Jakby rozproszona podmuchem Merlina, niesamowita atmosfera rozkładu opuściła Elmview Crescent. Przed Anthonyem, z głową podaną nieco do przodu, by lepiej widzieć w tym niepewnym świetle, stała wysoka, pulchna kobieta, sądząc z twarzy i figury niewiele po trzydziestce.

Anthony uchylił kapelusza.

— Czy zastałem pana Lawesa? — zapytał. — Pana Petera Lawesa?

Gładko uczesana głowa wykonała przeczący gest i Anthony dostrzegł ze zdumieniem, że jest siwa, a nie złota.

— Niestety. Wyszedł — odpowiedział miękki, uspokajający głos.

— Straszny to dla mnie zawód — mówił Anthony. — Mam do niego pilny interes. Przysłali mnie tutaj z biura Green Star.

— Ja jestem matką Petera. Czy to bardzo ważne?

— Bardzo! — Anthony nadał temu słowu pełną wartość.

Pani Lawes przyjrzała się gościowi uważnie i mimo życzliwości wzrokiem mocno przenikliwym.

— No cóż, Peter nie będzie zadowolony, ale powiem panu, gdzie można go znaleźć — rzekła wreszcie i podała mu nazwę największego kina na południowym brzegu rzeki. — Poszedł z dziewczyną. Trudno wprost uwierzyć, jak on szaleje za kinem!

— Dziękuję pani — powiedział Anthony. — Bardzo jest pani uprzejma.

Zostawił bilet wizytowy z wiadomością na odwrocie, na wypadek, gdyby nie odszukał Petera. Gdzieś w domu zegar zaczął wybijać siódmą. Drzwi frontowe zamknęły



się, światło w okienku zgasło i jeszcze raz otoczyła go wilgoć Elmviev Crescent.

Pośpieszył ścieżką między krzewami, wydostał się za furtkę i wszedł do wozu.

## 5

Horda beduińskich jeźdźców zalewała stok wzgórza. Kapitan Dick Gordon, z zębami obnażonymi w desperackim uśmiechu, wyciągnął z olstrów rewolwer, zawrócił do wylotu pieczary i rzuciwszy się na kolana spojrzął w dół na złotą głowę wyczerpanej dziewczyny.

A potem ochryple, zwierzęce krzyki nadciągających Arabów zostały zagłuszone przez wysokie, słodkie tony wygrywanego na trąbce „Sygnału do boju”.

— Regiment! — szepnął Dick Gordon i łagodnie postawił Alice na nogach. Pod nimi, na pochyłości wzgórza, atakujący lansjerzy — dzielni chłopcy z trzydziestego piątego — zaszli Arabów z flanki i zmusili do beładnego odwrotu.

Ramiona dziewczyny ukradkiem otoczyły szyję Dicka Gordona i usta ich się spotkały — właśnie w chwili, kiedy gdzieś blisko zabrzmiały wysokie, słodkie tony wygrywanego na trąbce „Sygnału do zbiórki”.

Przy nagłym, orgiastycznym wybuchu, inspirowanej widać przez nadprzyrodzone siły muzyki, *Gwiazda Pustyni* rozbłysła ostatnim obrazem, natychmiast zastąpionym przez niestarannie wypisaną notatkę tej treści:

*Jeżeli pan Peter Lawes znajduje się na sali, jest najuprzejmiej proszony o skomunikowanie się z kierownikiem kina.*

Działo się to za kwadrans ósma i nie przyniosło żadnego rezultatu! Ogłoszenie powtórzono po trzech filmach krótkometrażowych, które wraz z *Gwiazdą Pustyni* skła-

dały się na program. I wciąż bez rezultatu. Można je było wyświetlić ponownie dopiero po upływie półtorej godziny, więc Anthony, zostawiwszy bilet wizytowy kierownikowi — miłemu, usłużnemu i grzecznemu osobnikowi nazwiskiem Aaronson — wyruszył do domu.

Kiedy odjeżdżał sprzed oświetlonego wejścia do kina „Colossal”, zegar na jego desce rozdzielczej wskazywał ósmą czterdzieści.

## 6

Lucy, postanowiwszy nie czekać na Anthony'ego, zjadła obiad w ponurym triumwiracie z Avis i Garrettem i pod byle jakim pretekstem zostawiła ich samych w bibliotece.

Ale na nic się to nie zdało. Gdy po pięciu minutach wyszła z pokoju syna, który zwykła teraz odwiedzać wieczorami niewiarygodnie często, zastała w salonie tylko jedno z nich.

Avis Bellingham zwinęła się w kłębek na fotelu u kominka, piękna i pozornie zadowolona. Otwarta książka leżała na jej kolanach, Avis zaś zdawała się być nią pochłonięta.

— Halo! — Lucy wprost osłupiała.

Pani Bellingham z pewnym wysiłkiem oderwała się od lektury.

— Och, halo — odpowiedziała niezdecydowanie i spuściła oczy.

Lucy przysiadła na poręczy drugiego fotela i za zapalonym papierosem obserwowowała zaczytaną Avis.

— Spróbuj w ten sposób — powiedziała nachylając się do przodu. — To nie takie trudne!

Obróciła książkę do góry nogami i zwróciła ją przyjaciółce.

— Och! — westchnęła pani Bellingham.  
— I owszem — odrzekła Lucy w stylu swego męża. —  
O co znów chodzi?  
Avis zatrzasnęła książkę i wybuchnęła:  
— Zła ze mnie chrześcijanka. Nienawidzę głupców!  
Lucy stłumiał śmiech.  
— A kto jest głupcem?  
— Pan Thomas Sheldon Garretti — mówiła Avis przez zaciśnięte zęby. — Przeklęty głupiec!... Gdyby pilnował własnego nosa, a nie mieszał się w cudze sprawy i przy tym mało nie postradał życia, potem zaś nadal nie był taki wścibski, być może wystarczyłoby mu inteligencji, by zrozumieć rzecz oczywistą i dać spokój z tą... tą cholerną szlachetnością!  
Pani Gethryn gwizdnęła i wybuchnęła śmiechem — temu nie da się zaprzeczyć.  
— Każdy potrafi się śmiać! — zauważyła pani Bellingham z goryczą. — Ale powiem ci...  
Nie powiedziała jednak nic, bo właśnie wszedł spóźniony Anthony...

## 7

Garretta zapakowano do łóżka, Anthony zaś, zasypany gradem pytań, pośpiesznie zjadł obiad.  
— I to wszystko. — Odstawił szklanke. — Lawes musi dostać ode mnie wiadomość.  
— Czy nic już nie możemy zrobić?  
W głosie pani Bellingham brzmiała troska, a nawet podniecenie.  
— Wścibska! — powiedziała Lucy z uśmiechem.  
Do pokoju wszedł White i zwrócił się do Anthony'ego.  
— Chciałby się z panem widzieć pan Lawes, sir. Pan Peter Lawes. Nie ma biletu wizytowego.

Pan Peter Lawes był niewyrobionym towarzysko młodzieńcem. Silnie rozwinięty zmysł humoru pozwalał mu jednak bawić się własnym dość naiwnym brakiem ogłady, miał też na szczęście bystre oko, dobrą pamięć i żywą inteligencję.

Siedział na brzeżku jednego z bardziej prostych foteli w bibliotece, piastując szklanekę whisky z wodą sodową, i szybko, jasno odpowiadał na pytania. Rumienił się często, a potem śmiał się ze swego zakłopotania.

— A więc całkiem na pewno twierdzi pan, że w pierwszej klasie było tylko dwoje dzieci? — pytał Anthony z uśmiechem.

— Tak jest, sir. Dziewczynka państwa Van Renselerów i chłopiec pani Lester.

Siedząca na kanapce Avis drgnęła, jakby chcąc coś powiedzieć, lecz palce Lucy wpiły się jej w kolano.

— Dobrze — ciągnął Anthony. — A teraz, panie Lawes, co pan może powiedzieć o tych dwóch rodzinach? Niech pan mówi, jak panu będzie wygodniej. Ale wszystko.

Peter Lawes ośmielił się pociągnąć łyk ze szklanki. Przełknął i odkaszlnął, po czym jeszcze bardziej zsunął się na brzeg fotela.

— Ja miałem więcej do czynienia z Van Renselerami, sir, więc od nich zacznę. Może to nazwisko jest panu znane, sir. Pan Van Renseler to jeden z najbogatszych ludzi w Nowym Jorku. A pani Van Renseler musi mieć chyba drugie tyle pieniędzy, bo jest córką starego Cresswella Grahama. Ale to bardzo mili państwo. Naprawdę bardzo mili! Tacy niby spokojni, a jednak żywi i zawsze mający w zanadrzu dobre słowo. I pani Van Renseler jest bardzo piękna. Dziewczynka — słodki dzieciak jak rzadko — ma z dziewięć lat. Podobna do matki. Wzorowo szczęśliwa rodzina. Trzymali się z boku w czasie podróży, ale mimo to byli lubiani. Zna pan ten typ ludzi.

— Doskonale — odparł Anthony.

— To już byłoby wszystko o Van Renselerach — mówił powoli pan Lawes. — Chyba że zechciałby pan o coś zapytać. Wyciągnąć coś od świadka.

Pan Lawes zarumienił się i uśmiechnął. Anthony odwzajemnił uśmiech.

— Nie mieli opiekunki do dziecka? — zapytał z podziwu godną obojętnością.

Avis Bellingham usiadła jak poderwana sprężyną.

— Mieli, sir. Miłą i spokojną dziewczynę. Chyba Angielkę.

— Och! — wyrwało się Avis. — Ja... — Nie dokończyła, bo palce Lucy ponowiły uścisk.

— Nie pamięta pan przypadkiem jej nazwiska? — ciągnął Anthony.

Pan Lawes podrapał się w głowę.

— Powinienem... mam je na końcu języka... Już jest! Nazywała się Barnes. Mabel Barnes.

Avis opadła na skórzane obicie kanapy.

— Na pewno? — spytał Anthony.

— Całkiem na pewno. Tylko na chwilę wyleciało mi z głowy.

— Mówił pan, że to Angielka. Jaka ona była, ta dziewczyna?

Pan Lawes zadumał się.

— Zupełnie zwyczajna — rzekł w końcu. — O przyjemnej twarzy; niebrzydka, ale i nie za ładna. Mogła mieć od dziewiętnastu do dwudziestu czterech lat. Bardzo sympatycznie i spokojnie odnosiła się do dziewczynki. Jak to dobra opiekunka, wie pan.

— Czy była wysoka? — pytał Anthony. — I dość szczupła, zgrabna?

Pan Lawes roześmiał się i zarumienił na dźwięk własnego głosu.

— Och nie, sir!

— Rozumiem. W porządku. A teraz, co może pan powiedzieć o tej parze z chłopcem! Nazywali się Lester, prawda?

— I tak, i nie. Chłopiec nazywał się inaczej. Niestety nie wiem jak. Miał około dziesięciu lat i był miły. Jego matka wyszła za tego pana Lestera ze dwa lata temu. A przynajmniej tak wyglądało. Nie stanowili tak sympatycznej rodziny jak Van Renselerowie. Pan Lester ogromnie łatwo wybuchał gniewem. Pani Lester nic się nie da zarzucić, ale robiła wrażenie przygnębionej. Ona i chłopiec chyba naprawdę się kochali, ale... no cóż, oboje bali się pana Lestera. Nic nadzwyczajnego, rozumie pan, sir; po prostu człowiek o przykrym usposobieniu i, jak to mówią, o silnej osobowości.

Pan Lawes pociągnął jeszcze jeden łyk ze szklanki; odkaslnął; stwierdził, że nie może usiąść już bardziej na brzegu, więc zagłębił się w fotelu.

— Stara historia z ojczymem? — zapytał Anthony.

Pan Lawes potaknął.

— Jeszcze dwa pytania. Czy są bogaci? I, jeśli tak, do kogo należą pieniądze?

Pan Lawes wyjął wargi.

— Są bogaci, i owszem. A przynajmniej tak się nosili i jestem pewien, że nie udawali. Ale wolałbym nie mówić, do kogo należały te pieniądze.

— Czy mieli opiekunkę?

— O tak. Miłą dziewczynę. Wysoce kwalifikowaną! — W głosie pana Lawesa brzmiało osobiste zaangażowanie!

— I ona też była Angielką.

— Jak się nazywała?

— Matthews, sir. Jane Matthews. — Pan Lawes nawet się nie zawahał.

— Rozumiem — rzekł wolno Anthony. Nie patrzył w stronę kanapy. — Czy nie wie pan przypadkiem, od jak dawna obie dziewczyny — Barnes i Matthews — pracują u tych państwa?

Pan Lawes splonął.

— Nie wiem tego o dziewczynie od Van Renselerów, sir — odrzekł szarmancko — ale Jane... panna Matthews pracowała u Lesterów bardzo krótko. Wspominała coś, że odbyła dwie podróże przez Atlantyk w ciągu może dwu miesięcy.

— Rozumiem — powtórzył Anthony.

Zapanowała chwila ciszy. Polano na kominku osunęło się, wysyłając w górę snop iskier. Avis Bellingham, pod wpływem jakiejś niepokojącej myśli, oddychała szybko i przenosiła wzrok z Anthony'ego na Lucy i z powrotem. Pan Lawes niezręcznie zmienił pozycję i dopił whisky. Piastował pustą szklankę jak chłopiec, który bawi się czapką.

— A jak wygląda panna Matthews? — zagadnął wreszcie Anthony.

Pan Lawes zawahał się. Purpurowy na twarzy, wpatrywał się w Anthony'ego bardzo niebieskimi oczyma.

— Jest przystojna, sir! Dość ciemna, ma duże piwne oczy, prawie czarne, i chyba najładniejszą cerę pod słońcem!

— Wysoka? — pytał Anthony. — Czy niska?

— Dość wysoka, sir. I raczej szczupła. — W głosie pana Lawesa zabrzmiała nutka wspomnień. — Naprawdę ładnie wyglądała w swym stroju. Bardzo ładnie!

Anthony wstał i, nie zważając na mamrotane półgłosem protesty, ponownie napełnił szklankę pana Lawesa.

— Dziękuję, sir — rzekł pan Lawes i powodowany chęcią zrobienia tego, co wypada, zwrócił się ze wzniesioną szklanką w stronę kanapy. — Zdrowie pań — powiedział.

Silnie zarumieniony, przytknął szklankę do ust.

— Jeszcze jedno pytanie i nie będę więcej zawracał panu głowy — odezwał się Anthony.

— Bardzo proszę — odparł gość.

— Chcę tylko wiedzieć, czy orientuje się pan, dokąd pojechały te dwie rodziny po opuszczeniu statku.

## 9

Stojąca lampa rzucała jasny krąg światła na biurko inspektora Arnolda Pike'a i na otwartą teczkę, tuż poza jej zasięgiem natomiast i nieco powyżej majaczyła długa, mizerna twarz samego Pike'a. Spozierał na kartki

maszynopisu niewidzącymi oczyma. Myślał nie o tej krwawej historii — tak sucho potraktowanej w urzędowym piśmie — w wyniku której ciało niższego święceniami duchownego znaleziono w cysternie w jego własnym domu, ale o dziwnej, zagmatwanej sprawie, w którą amerykański przyjaciel pułkownika Anthony'ego Gethryna tak bez reszty go wciągnął.

Wszystko to roztrząsał w bystrym umyśle. Herbaciar-  
nia... lista sprawunków... KJB... samobójstwo lady Bállis-  
ter... zniknięcie Janet Murch... wytropienie szantażysty...  
paskudna śmierć Ady Brent... uczucie, że Evans jest nie-  
mał osiągalny... teczka na stacji Dulwich... panicz James  
Widgery... zawartość teczki... lista pasażerów statku „Gi-  
gantic” i związane z tym możliwości... niebezpieczeństwa  
grożące Sheldonowi Garrettowi, z których ratował się w  
ostatniej prawie chwili... zaduszenie nieosiągalnej pani  
Bellows...

Mnóstwo! Cholerne mnóstwo! A jednak, dla ich celów,  
nic w ogóle!

Pike'owi, może pięćdziesiąty raz tego wieczora, przy-  
pomniało się przysłowie o koniu i drzwiach stajni. Uś-  
miechnął się dość krzywo; miał jeszcze w pamięci nie-  
dawne spotkanie z sir Egbertem Lucasem...

Przenikliwy dzwonek jednego z telefonów wyrwał go  
gwałtownie z głębokiej zadumy. Podniósłszy słuchawkę  
usłyszał głos Anthony'ego Gethryna.

— Główny steward statku „Gigantic” właśnie ode mnie  
wyszedł. To coś daje. Jest pan gotów?

— Tak. — Pike sięgnął po blok i ołówek.

— Było tylko dwoje dzieci. Dziewczynka — Van Rense-  
ler — z obojgiem rodziców; bogaci; z Nowego Jorku;  
przypuszczalnie wprost z Southampton przyjechali do  
Londynu... Zanotowane?

— Tak — powiedział Pike.

— Drugi dzieciak to chłopiec. Nazwisko chwilowo nie-  
znane, podróżuje z matką i ojczymem; nazwisko Lester;  
Amerykanie; bogaci. Przypuszczalnie tak jak Van Rense-  
lerowie wprost ze statku ruszyli do Londynu.



Pike notował szybko.

— Coś jeszcze, sir?

— Nie za wiele; ale może być dużo! I jedni, i drudzy zatrudniali angielskie dziewczyny. Ta od Van Renselerów nazywała się Mabel Barnes; wygląd nieokreślony. Ale dziewczyna Lesterów — Lesterów, Pike — a więc dziewczyna Lesterów nazywała się Jane Matthews. Co pan powie na inicjały?

— Janet Murch — rzekł Pike nieświadomie.

— Otóż to! I była wysoka, szczupła i — zdaniem wrażliwego na wdzięki pana Lawesa — dość atrakcyjna. Rodzina Lesterów — przynajmniej w porównaniu z Van Renselerami — nie wyglądała na tak szczęśliwą. Nieprzyjemny ojczym... Jak prędko może coś z tego wyniknąć?

Pike uśmiechnął się i odparł zarażony nastrojem Anthony'ego.

— To kwestia szczęścia, sir. Biorę się do roboty. Chodzi panu pewnie o obecne miejsce pobytu obu rodzin, z tym, że większą uwagę należy zwrócić na Lesterów.

— Racja!

— Do której wolno do pana dzwonić, sir?

— Bez względu na godzinę! O każdej porze dnia i nocy. A jeśli się pan obudzi, proszę zadzwonić do mnie wcześniej, jak najwcześniej, drogi inspektorze!

Stuknęła odkładana słuchawka. Pike sięgnął do drugiego telefonu i natychmiast pochłonęła go praca.

## XXIII

### 1

Natarczywe brzęczenie znajdującego się przy łóżku prywatnego telefonu Anthony'ego — którego numer nigdzie nie figurował — raptownie przerwało mu sen.

Anthony usiadł przytomny, w natychmiastowym przy-  
pływie świadomości, co tylokrotnie już oddało mu usługi.  
Chwycił słuchawkę.

— Mówi Pike, sir — rozległ się głos ochryply ze zmę-  
czenia. — Van Renselerowie zatrzymali się w apartamen-  
cie 306 hotelu „Alsace”. Jest z nimi opiekunka i dziew-  
czynka. To dość proste. Z Lesterami za to całkiem inna  
sprawa, sir.

— Czy w ogóle pan do nich nie dotarł? — zapytał ostro  
Anthony.

— Tylko w pewnym sensie — odrzekł znużony głos. —  
Przyjechali tu wprost ze statku i zatrzymali się w hotelu  
„Milan”. Ale wyjechali wczoraj rano.

— Dokąd? — Ton Anthony’ego nabrał jeszcze większej  
ostrości.

— W tym rzecz. Nie wiemy... na razie. W hotelu podali  
nam jedynie adres banku Lesterów i poinformowali, ja-  
koby pan Lester powtarzał kilku osobom, że z żoną i  
chłopcem — na marginesie: chłopiec nazywa się Barris,  
Kenneth Barris — wybiera się na wycieczkę samochodo-  
wą.

— Wycieczkę samochodową! O tej porze roku! — prze-  
rwał mu Anthony.

— Tak, sir. To naprawdę brzmi podejrzenie. Ale mam  
numer samochodu. I powiadomiłem wszystkie po-  
sterunki. Powiniennem dowiedzieć się czegoś w ciągu go-  
dziny... — Po chwili wahania dodał: — Przepraszam, sir.

Anthony odpowiedział ze sztuczną pogodą:

— Niechże pan nie będzie osłem! Kładł się pan dzisiaj?

— Nie — odrzekł Pike zmęczony.

— A ja się kładłem. Powinien pan tu przyjechać i wy-  
mierzyć mi kopniaka. Ale niech pan tego nie robi. Niech  
pan za to zje teraz śniadanie. Przez ten czas sprawdzę so-  
bie, jak to jest z tymi Van Renselerami. Nie możemy ni-  
czego przeoczyć.

## 2

Dwadzieścia dwie minuty po ósmej Pike, świeżo ogolony, syty i nienoszący już na twarzy śladów czuwania, ponownie wszedł do swego biura.

Przysiadłszy na rogu stołu, sięgnął po słuchawkę i zaczął coś mówić.

— Nie, sir, jak dotąd nic — usłyszał w odpowiedzi. A potem: — Jedną chwileczkę, sir, właśnie telefonują z York... Proszę się nie rozłączać... Już wiemy, sir...

## 3

O ósmej trzydzieści White odebrał telefon.

— Czy mogę mówić z pułkownikiem Gethrynem? — zapytał znajomy głos.

— Pułkownika Gethryna nie ma w domu, panie Pike — odparł White. — Mówił, że gdyby pan dzwonił, mam zanotować wiadomość i powiedzieć panu, że wróci o wpół do dziesiątej.

— Hm! — Odgłosy towarzyszące głębokiemu namysłowi przeniesione zostały po drucie. — Niech mu pan powie tylko to jedno, dobrze? Samochód Lesterów widziano w hrabstwie York. Koło Stagby. Jechał na północ i... no, niech pan po prostu powtórzy, że na razie wszystko jest w porządku.

## 4

Za dwadzieścia dziewiąta panna Patrycja Van Rensselaer wyszła z łazienki apartamentu 306 w hotelu „Alsace”. Za oknem korytarzyka blade zimowe słońce świeciło z

niemal srebrzystą jasnością. Panna Van Renseler wspięła się na palce i wyrzała na rzekę. Płynęła po niej barka z czerwono-brązowym żaglem, woda połyskiwała, a khorty mew zmieniały szyki na tle ostrego błękitu nieba.

Okrzyk radości wyrwał się z ust panny Van Renseler — i natychmiast przeszedł w okrzyk zdumienia, bo za plecami usłyszała jakiś szmer. Odwróciła się, by stwierdzić, że nie jest sama. Wysoki mężczyzna w kombinezonie leżał na podłodze koło zewnętrznych drzwi. Dłubał coś przy puszcze telefonu.

Panna Van Renseler, z rękami w kieszeniach niebieskiego jak jej oczy szlafrocza, podeszła bliżej. Uśmiechnęła się do niej chuda, ciemna twarz, z lekka umazana.

Pannie Van Renseler przypadł do serca ten uśmiech. Odwzajemniła go mówiąc: — Kim pan jest? — z uroczym zamorskim akcentem.

— Reperuję telefony, panienko — odparł mężczyzna gwarą londyńską i znów się uśmiechnął.

Panna Van Renseler zachichotała.

— Mówi pan jak Miś w kinie. Ale jest pan miły. — Przekrzywiła głowę. — Dlaczego ma pan zielone oczy?

Człowiek leżący na podłodze otworzył czarną puszkę.

— Żebym umiał śledzić chochliki!

Zajrzał do puszkę w sposób, który przyprowadził pannę Van Renseler o wybuch śmiechu.

Skrzypnęły drzwi, zaszeleścił nakrochmalony fartuch i kobiecy głos, wysoki, ale łagodny i miły powiedział:

— Mama cię woła, Pat... — Zdanie pozostało niedokończone. — Och, popsuł się telefon?

Mechanik dłubał śrubokrętem. Podniósł wzrok na przysadzistą kobietę w stroju opiekunki do dziecka z lepszego domu.

— Naprawię go w kilka sekund, panienko — odparł.

Spzoza drzwi dobiegł jeszcze inny głos. Kobiety.

— Pat! — zawołał. — Pat, kochanie!

— Ty z nim porozmawiaj, tłuscioszku — powiedziała panna Van Renseler do swej opiekunki. — Jest miły! — I odkrzyknęła: — Idę!

Mężczyzna usłyszał tupot biegnących stóp; otwieranie drzwi; powitania wypowiedane niskim głosem kobiecym i roześmianym męskim; hałas, kiedy małe ciało wskoczyło do łóżka; radosne piski panny Van Renseler przepłatające się z innymi dźwiękami.

Opiekunka zamknęła drzwi. Mechanik wstał, zabrał torbę z narzędziami i popatrzył w dół na przyjemną, ładną twarz dziewczyny.

— Miła smarkata — zauważył. — I ładna!

— Och, tak! Czy telefon już naprawiony?

— Tak, panienko. Wszystko jest w porządku!

Opuściwszy apartament, zbiegł na Embankment, skąd taksówką pojechał do Stukeley Gardens, by się wykąpać i zjeść śniadanie.

## 5

O wpół do dziesiątej panicz Kenneth Barris wyszedł z ubikacji na parterze zajazdu pod „Bykiem i niedźwiedziem” w Cloughton i skierował się do jadalni.

Było zimno w tej sali, na swój sposób przypominającej tor do jazdy na wrotkach, który minął się z właściwym przeznaczeniem. W drugim jej końcu świeżo rozpalony ogień na kominku walczył z brakiem wyciągu powietrza i co pewien czas buchał na środek izby kłębami szarawo-czarnego czadu.

Nie opodal, krztusząc się od dymu, siedzieli matka i ojczym Kennetha nad pierwszym daniem tego, co pod „Bykiem i niedźwiedziem” uchodziło za śniadanie.

Matka — chuda kobieta w nieokreślonym wieku, ze śladami minionej piękności na sympatycznej twarzy —

ukradkiem przesłała Kennethowi uśmiech. Kenneth rzucał wyzywające a jednocześnie zaleźnione spojrzenie na gazetę, która skrywała ojczyzna, i odwzajemnił powitanie bez słów. Możliwie najciszej usiadł za stołem.

Gazeta jednak zaszeleściła i spoza niej wyjrzała grubo ciosana twarz Johna Lestera. Cienka, lecz jadowita smużka dymu wystrzeliła z paleniska jak gdyby prosto w jego płuca. Zagrzechotał gwałtownym kaszlem, popatrzył wściekle na pasierba i odezwał się ze złością. Nie mógł już widać ścierpieć wiecznego spóźniania się pasierba na posiłki. Powiedział, co o nim myśli i co — jeśli pasierb nie będzie się wystrzegał — gotów mu zrobić. Żona nieśmiało zaprotestowała, co wywołało nowy potok słów przerwanych pojawieniem się niechlujnej kelnerki.

John Lester ogarnął ją wzrokiem. Powinna była nieść tacę wyładowaną nędznymi przysmakami osiągalnymi pod „Bykiem i niedźwiedziem”, ręce miała jednak puste. John Lester śledził ją z niedowierzaniem. Kelnerka prychnęła.

— Ktoś do pana — oznajmiła jak najtypowszym północnym akcentem, dla Johna Lestera całkowicie niezrozumiałym. Odparł przez zaciśnięte zęby:

— Gdzie nasze śniadanie? Czekamy prawie godzinę.

Wymawiał słowa wyraźnie, jak turysta, który chce, aby go mimo cudzoziemskiego akcentu dobrze zrozumiano.

— Ktoś do pana — powtórzyła kelnerka prychnając.

Kenneth Barris śmiało podniósł na ojczyzna wzrok. Powiedział krótko:

— Ona mówi, że ktoś się chce z tobą zobaczyć.

Pani Lester prawie niedostrzegalnie dała synkowi znak głową.

John Lester nie zdążył odezwać się do pasierba, bo odgłos ciężkich, odmierzonych kroków kazał mu zwrócić oczy ku drzwiom.

Przez salę szedł mężczyzna, krzepki, masywny, w ubraniu z biało-czarnego tweedu. Jego buty poskrzypywały cicho, a w ręce, kształtem i rozmiarami zbliżonej do

baraniego udźca, dzierzył kapelusz, który Kenneth określiłby mianem derby.

— Oto on — prychnęła oddalając się kelnerka.

Gość pochylił się nad stołem. John Lester obserwował go i to samo, z różnym wyrazem twarzy, robili kobieta i chłopczyk. Ich obecności jednak przybysz zdawał się nie spostrzegać.

— Czy pan Lester? Pan John Lester? — zapytał. Lester potaknął i odrzekł z grubym sarkazmem:

— Z kim mam przyjemność, sir?

— Nazywam się Bull — powiedział nowo przybyły, patrząc przed siebie nieruchomym wzrokiem wołu. — Inspektor Bull z miejscowej policji.

## 6

Za dwadzieścia jedenasta Anthony Gethryn, jak zwykle elegancko ubrany, siedział na brzegu łóżka w największym gościnnym pokoju swego domu i przyglądał się leżącemu w nim człowiekowi.

Sheldon Garrett wyspał się, i to wyspał zdrowo. Na twarz powrócił mu lekki rumieniec, zniknęło z niej wczorajsze wymizerowanie. Obfite śniadanie zjadł z apetytem, i wcale tego nie ukrywał. Papieros miał znów smak tytoniu. Zaczął dziękować, lecz nie pozwolono mu dokończyć.

— Van Renselerom — mówił Anthony — nic nie grozi. Osobiście poszedłem do „Alsace”. Jako specjalista od telefonów. Miłe dziecko, najwidoczniej przyjemni rodzice. Wspaniała atmosfera. Nic zatrwającego.

— Opiekunka? — zapytał Garrett.

— Niegroźna. Nie odpowiada pańskiemu opisowi. Dzieciak jest z nią bardzo żyty.

Garrett zdusił papierosa na spodku.

— A więc muszą to być ci drudzy... jakże się nazywają! Ci Lesterowie.

Anthony potaknął.

— Niewątpliwie. Ale niestety nie znamy miejsca ich pobytu. Odbywają wycieczkę samochodem.

Garrett usiadł wyprostowany.

— W dziwnej porze roku.

— Właśnie — odparł Anthony i zapadła cisza. Przerwało ją pukanie do drzwi i głos pokojówki:

— Pan Pike do pana, sir. Jest w bibliotece.

— Już schodzę. — Anthony spojrzał na Garretta. — Nie, może pani poprosi, żeby tu przyszedł.

Po chwili wszedł uśmiechnięty Pike.

— No, i jesteśmy na tropie Lesterów! — rzekł witając się i kierując wzrok na Garretta. — Jedli śniadanie w zajeździe w Cloughton. Inspektor Bull z tamtejszej policji rozmawiał z mężczyzną i opiekunką.

Garrett wychylił się do przodu.

— I jakż jest układ?

— Przepraszam, sir... Och, rozumiem... No cóż, to chyba oni. Rozmawiałem z Bullem przez telefon i dowiedziałem się szczegółów wprost od niego. To dobry pracownik. Bardzo trzeźwy. Uważa, krótko mówiąc, że jest coś dziwnego, można by powiedzieć, w całym tym... no... — Zawahał się, szukając właściwego słowa.

— Tym układzie — podpowiedział Garrett.

Anthony roześmiał się.

— Niech pan użyje tego słowa, Pike, i nie będzie taki wyspiarski!

Pike poweselał, lecz natychmiast znów spowaźniał.

— Tak to jest, sir. Bull nie wiedział, czego ma się dopatrywać, bo celowo nie udzieliłem nikomu szczegółowych instrukcji; wiedział po prostu, tak jak inni oficerowie w kraju, że pod jakimś pretekstem musi porozmawiać z Lesterami, jeśli zatrzymają się w jego okręgu. Po zebraniu wszelkich możliwych informacji dotyczących trasy ich wycieczki *et cetera* i wytworzeniu sobie ogólnego obrazu, można powiedzieć, rodziny i służby, miał nawiązać kontakt ze mną.

— I Bullovi nie spodobał się ten układ. Dlaczego? — zapytał Anthony.



Pike, świadomy, że trzymają go w cuglach, stłumił przelotny uśmiech.

— Do tego zmierzam, sir. Bullowi, a proszę pamiętać, że on o niczym nie wie, nie przypadła do serca właśnie opiekunka!

Garrett odrzucił pościel i spuścił nogi na podłogę.

— A paszport? — pytał Anthony.

— Pozornie wszystko się zgadza, sir. Jest na nazwisko Jane Matthews. Bull zdobył dane i już sprawdzamy.

— Jeszcze trochę, a okaże się, że to Murch! — powiedział Anthony.

— Rozumie pan jednak, sir, że takie sprawdzenie zajmie trochę czasu. Sporo czasu — odparł Pike ze służbiстым uśmiechem.

— Wspomniał pan, że temu inspektorowi nie podobała się dziewczyna... — zaczął Garrett.

Pike potaknął.

— Skończywszy z Lesterem, Bull znalazł sposobność porozmawiania z dziewczyną i... no cóż, nie nabrał do niej sympatii. Nic określonego, rozumie pan, ale zachowywała się dziwnie. Jego zdaniem zdradzała zbyt wyraźną niechęć do policyjnych wywiadów.

— Jak przeprowadzono ten wywiad? — spytał Garrett.

— Bardzo taktownie, może pan być pewien.

Pike zdawał się dotknięty.

Garrett wkładał szlafrok.

— A po co taktownie?

— No cóż, sir — odparł Pike lekko zdziwiony. — Musimy być ostrożni. W rzeczywistości Bull musiał zmyślić jakieś pytanie dotyczące rejestracji cudzoziemców, żeby w ogóle móc z nimi rozmawiać. Bo tym ludziom jak do tąd nic nie można zarzucić.

— Niech pan to wytrząśnie z rękawa, Pike — powiedział Anthony.

Pike roześmiał się jak mały chłopiec, dumny z przenikliwości swojego wuja.

— No więc, sir, jest taka śmieszna rzecz... Bullovi Lester nie spodobał się bardziej niż opiekunka. A właściwie jeszcze mniej. Powiedział do mnie tak: „Jeżeli jest tam coś podejrzanego, to w tych dwojgu — samym Lesterze i opiekunce.

Garrett zapalił papierosa i zwrócił się twarzą do Pike'a.

— Więc co? — zapytał ostro.

— Nie rozumiem pana, niestety, sir.

— Pan Garrett — wyjaśnił Anthony — jest ciekaw, jakie kroki przedsięwzięła policja. Chciałby, żeby zatrzymano tych ludzi...

— Tak! — wybuchnął Garrett. — Zatrzymajcie ich i dajcie im szkołę!

Opadł na fotel. Pike zaczerpnął tchu z potępiającym sykiem.

— Nie możemy zrobić nic podobnego, sir.

Garrett zerwał się, wydając stłumiony jęk rozgoryczenia.

— Zrobiliśmy tyle — mówił Pike — że w myśl ogólnych instrukcji samochód Lesterów ma być obserwowany, a nam będą donosić, gdzie się w danej chwili znajduje. Będziemy od razu informowani o każdej przerwie w ich podróży i otoczmy ich stałą, chociaż nierzucającą się w oczy opieką, aby nie dopuścić do niczego złego. Kiedy zatrzymają się na noc... — urwał i spojrzał na Anthony'ego, który stanął przy oknie — to nawet jeśli nie przedsięwzmiemy oficjalnych kroków, pułkownik Gethryn i pan znajdą się chyba na miejscu przed ranem.

— Wszystko to ładnie! — rzekł Garrett z wściekłością — wszystko to bardzo ładnie, chyba że coś stanie się gdzieś przy jakiejś drodze, z dala od policjantów. A to nie wydaje się aż tak nieprawdopodobne!

Gniewny błysk zalśnił w oczach Pike'a, usta jego zacisnęły się w wąską kreskę. Powiedział urzędowym tonem:

— To nie Stany Zjednoczone, proszę pana! Słusznie czy niesłusznie, szcycimy się czymś, co można by nazwać żelaznym systemem prawnym...

— Wiem o tym! — mówił Garrett ochryple. — Ale czy nie zdajecie sobie sprawy, że jeśli ktoś czegoś nie zrobi...

— Dość! — odezwał się Anthony. Stał już z dala od okna i przenosił wzrok z jednej zagniewanej twarzy na drugą. — Pan Garrett ma podstawy się niepokoić, Pike, a pana znów boli to, że pan wie o tym i jest bezsilny. Panu z kolei nic nie pomoże, jeśli będzie pan warczeć na Pike'a. Zrobił wszystko, co w jego mocy, a nawet więcej! Ja będę działał nieoficjalnie, lecz nie powinniśmy na ślepo uganiać się po północnej Anglii, kiedy ci, których szukamy, mogli już zawrócić w przeciwnym kierunku, o ile nam wiadomo. Należy zatem czekać, aż zatrzymają się na noc. I Scotland Yardowi można ostatecznie zaufać... A teraz bądźcie grzeczni i pogódźcie się prędko!

Błysk gniewu zniknął z oczu Garretta.

— Przepraszam — powiedział z uśmiechem.

Kreska na twarzy Pike'a znów zamieniła się w usta.

— I ja także, sir.

— Niech wam Bóg błogosławi, drogie dziatki! — rzekł Anthony przyglądając im się dobrotliwie.

## 7

Ranek upływał powoli i nadeszło południe — a słońce wciąż, jakby zdecydowane wystrychnąć na dudków ministerstwo lotnictwa, świeciło na niesłychanie błękitnym niebie.

Świeciło, zdaniem Avis Bellingham, z uroczą stronniczością przez francuskie okna salonu Lucy Gethryn, tak że człowiek musiał się tu czuć szczęśliwy — nawet jeśli jak jej obecny towarzysz cierpiał na *idée fixe* i miał rozbitą głowę.

Niestety, była pewna, że on sam wcale tak nie myśli; wiedziała o tym, chociaż od dziesięciu minut nie zamieni li

ani słowa, a ona, siedząc przy pianinie Lucy, nie mogła nawet go widzieć.

Spod jej palców — długich, szczupłych palców, których wygląd wcale nie znamionował siły i opanowania, z jakim uderzała w klawisze — płynęły ostatnie, falujące, słodkie, choć nieharmonijne tony *Fontanny Ravela*.

Znieruchomiała na chwilę, a potem odetchnęła głęboko, kiedy dłonie mężczyzny spoczęły na jej ramionach.

— Tom! — powiedziała uwalniając się od nich, gdy się zaś odwróciła, objęły ją ramiona niespodziewanie i ku jej radości mocno.

Wstała, wciąż w uścisku tych ramion. Jakiś głos wymówił jej imię i usta dotknęły jej ust, a świat przestał istnieć.

Potem usta się oddaliły, świat powrócił i zogniskował się w oczach Garretta. Wsparła mu ręce na ramionach i usłyszała swój śmiech — cichy, rozedrgany. Własny głos wydał się jej daleki, gdy powiedziała:

— Panie Garretti To takie nieoczekiwane! — I natchmiasz ze zgrozą pomyślała, że zamierzony żart zabrzmiał tak banalnie.

Przesłał jej dawny uśmiech, ten, który poznała w dniu, gdy pierwszy raz się spotkali; uśmiech, w którym prawie zniknęły mu oczy; uśmiech, w którym się zakochała — jak dawno już temu? — i który musiała najdokładniej wymazywać z pamięci, dopóki nie zastała tego człowieka tak niedorzecznie uśpionego w jej londyńskim mieszkaniu.

— Czas, żebym z tobą pomówił. Siadaj!

Garrett położył jej dłonie na ramionach i znów usiadła na stołku przed pianinem.

— Nie byłem sobą — mówił. — Byłem, no wiesz, jaki byłem. Powinienem cię przeprosić i przepraszam! Ja...

— Oczywiście rozumiem! — przerwała mu z uśmiechem Avis, gładząc go po rękę. — Jakże mogłabym nie rozumieć! — Wstała. — Widzisz, muszę ci coś powiedzieć, coś, co powinnam powiedzieć już parę tygodni temu. — Przesunęła dłoń nieco wyżej. Stali bardzo blisko siebie.

— Tylko się na mnie nie gniewaj. Ja... — urwała raptownie. Oczy jej spochmurniały, ich błękit powlokła stalowa szarość. Zobaczyła, że męczyzna przestaje o niej myśleć i jasny błysk szczęścia przygasa w jego wzroku. — Ale ty nie słuchasz! — powiedziała. — Ty nawet nie myślisz o... o nas! Ty...

Na twarzy Garretta malowała się troska i zaskoczenie. Zwalczył nieskrystalizowaną, mglistą myśl i powrócił do tego pokoju i kobiety, którą kochał.

— Wybacz, kochanie! Ja... Ja nagle miałem... — Z trudem szukał słów. — Posłuchaj, ja wiem, że coś się pokręciło w tej sprawie! Jest jakiś błąd! Ja... ja to czuję! Coś jest nie tak, coś się pokręciło. Coś gdzieś się teraz dzieje i my powinniśmy temu zapobiec! Ja...

Zamilkł. Patrzył na oddalające się plecy.

— Avis! — zawołał, postąpił krok do przodu i stwierdził, że jest sam, a trzask zamykanych drzwi rozbrzmiewa mu w uszach...

Zegar w kącie przy francuskich oknach ożył. Zabręczał i wybił godzinę. Było piętnaście minut po dwunastej .

## 8

O wpół do pierwszej do salonu na siódmym piętrze hotelu „Alsace” weszła kobieta. Śmiała się z czegoś, co usłyszała przed chwilą w pokoju sypialnym. Nie była niska ani wysoka, ale bardzo zgrabna; wiek jej mógł się wahać w granicach między dwudziestym ósmym a trzydziestym pierwszym rokiem życia. Stała przy oknie, spoglądając na zieleń ogrodów i szarzyznę Embankment, na lśnienie rzeki w słońcu. Zbłąkane jego promyki rozpały błyski złota na jej ciemnych włosach, oblewając jasnym blaskiem twarz, która nie musiała się tego lękać.

Do salonu wszedł mężczyzna i otoczył ją ramieniem. Był wysoki, dobrze zbudowany i poruszał się z pewnością i swobodą świadczącą o wysportowaniu. Z ubioru wyglądał na Anglika, lecz w gładko ogolonej twarzy miał coś przyjemnie i z gruntu zamorskiego. Mocno tulił kobietę i w milczeniu przypatrywali się rzece i dachom poza nią.

— To nie jest Londyn — odezwała się wreszcie kobieta. — A gdzie mgła? Albo przynajmniej deszcz? To raczej dzień nowojorski.

Mężczyzna mocniej przygarnął ją do siebie.

— O której wraca brzdąc? — zapytał i z pewnością oczekiwałby się odpowiedzi, gdyby nie zabrzączał dzwonek telefonu.

Kobieta podniosła słuchawkę.

— Halo, kto mówi?

Doleciał ją głos mężczyzny, ale pytanie pozostało bez odpowiedzi. Był to bezbarwny, monotony głos, pozbawiony jakiegoś szczególnego akcentu. Głos mówił:

— Pani Van Renseler?

— Tak — odparła kobieta. — Bezbarwny głos był natarczywy, czaiła się w nim nieprzyjemna ostrość.

— Tak. Kto mówi?

— Czy jest pani w salonie swego apartamentu, czy w sypialni?

Helen Van Renseler podniosła wzrok na męża, który teraz podszedł do niej. Twarz jej ściągnęła się w rozmyślnie komicznym i ogromnie pociągającym wyrazie komedianckiego oszołomienia.

— Jeśli pan nie powie, kto mówi, odłożę słuchawkę — powiedziała lodowato, jednocześnie mrugając na męża.

— Nie radzę pani — odrzekł bezbarwny głos. — Ze względu na panią!

Mówił dość długo, a Van Renseler obserwował minę żony, najpierw ubawiony, potem zdziwiony, a w końcu już zły.

— Daj mi to! — powiedział wyciągnąwszy dłoń po słuchawkę.

Ale mężczyzna o bezbarwnym głosie już się rozłączył i Van Renseler przemówił do martwego aparatu. Jego żona zmarszczyła brwi.

— Co za niesłychane... — zaczęła i umilkła.

— O co w ogóle chodzi? — zapytał z gniewem Van Renseler, a potem się roześmiał.

— Musiał być pomyłony! — odparła jego żona, ale zmarszczka nadal żłobiła jej czoło.

Van Renseler chwycił ją za ramiona.

— Wytrząsnę to z ciebie! O-co-tu-w-ogóle-chodzi?

Uśmiechał się; ale kobieta zachowała powagę.

— To był męski głos. Jakiś taki... podły! I mówił, że w rozkładzie jazdy leży list. — Wskazała na małą półeczkę w kacie. — Jak to oni nazywają?... Kolejowy rozkład jazdy.

Wyśliznęła się z rąk męża i przeszła przez pokój.

— Jakaś sztuczka reklamowa. — Van Renseler stanął obok żony, która pochyłona wyciągała ciężki rozkład jazdy w sztywnej skórzanej oprawie.

— Strona dwa tysiące dwadzieścia trzy — powiedziała jakby do siebie, nie całkiem pewnymi palcami przerzucając kartki.

— Mówię ci, że to jakiś chwyt reklamowy! — odezwał się Van Renseler.

Helen Van Renseler odwróciła kartkę — i skrawek zapisanego na maszynie papieru z trzepotem sfrunął na podłogę.

Złapała go, zanim jej mąż zdołał się poruszyć. Czytała prostując plecy — a w miarę czytania krew odpływała jej z policzków.

— Boże drogi! — zawołał Van Renseler, który pilnie ją obserwował. Objął żonę i poczuł, jak wiotczeje w jego uścisku. Przez jej ramię przeczytał:

*Do państwa Van Renseler:*

*Dzisiaj o dwunastej piętnaście w południe zajęliśmy się waszą córką Patrycją. Jeśli chcecie, by powróciła do was cała i zdrowa, musicie w całej rozciągłości zastosować się do następujących instrukcji:*

1. Pod żadnym pozorem nie zawiadamiać policji ani nikogo innego o zaistniałej sytuacji. (Możecie być pewni, że jeśli nie wypełnicie tego warunku, nigdy więcej nie zobaczycie swej córki.)

2. Uzyskać piętnaście tysięcy funtów (£ 15 000) w banknotach jednofuntowych.

3. Te pieniądze (które mają być nieznaczone) oraz szmaragdowy naszyjnik, kolczyki i wisiorek pani Van Renseler włożyć do zwykłej walizki.

4. Pan Van Renseler przyniesie tę walizkę na stację metra Cromwell Road o dziewiątej trzydzieści dziś wieczór.

5. Kupi bilet i zejdzie schodami na peron dla pociągów odjeżdżających w kierunku zachodnim.

6. Ktoś podejdzie do niego w kilka minut po jego przybyciu. Ta osoba powie: „Czy ma pan szwedzką zapalkę?“, co będzie dla pana Van Renselera znakiem do oddania walizki.

7. Osoba, która weźmie walizkę, opuści następnie peron. Pan Van Renseler odczeka na miejscu pięć minut.

Jeśli warunki te zostaną w pełni i osobiście dopełnione, a zawartość walizki będzie odpowiadać instrukcji, Patrycja Van Renseler wróci do was jutro przed wieczorem.

## XXIV

### 1

Na odległość rzutu kamieniem od stacji metra Victoria znajduje się podziemny cocktail-bar. Jest to może najprzyjemniejszy tego typu bar w Londynie, znany tylko nielicznej garstce bywalców. Otwarty w normalnych godzinach, nigdy nie bywa pusty i wymarły, nigdy też zatłoczony i niewygodny. Zawsze panuje tu spokój i kojąca atmosfera. Można tu dostać najlepsze trunki, a obsługa jest fachowa.



O siódmej wieczorem ośmiu, dziewięciu stałych gości siedziało przy stolikach — a Sheldon Garrett stał przy barze.

Robił to, czego wzgląd na rozbitą czaszkę robić mu zabraniał — pił trzecie już martini. Choć dobre, Garrettowi smakowało ono jak woda zabarwiona atramentowym ołówkiem.

Barman obserwował go zatroskany.

— A to jak smakuje, sir?

Garrett pociągnął łyk i wymusił uśmiech zadowolenia. Mówił, co należało, z niewielkim skutkiem próbując nadać głosowi normalne brzmienie, a wzrok jego wędrował w stronę wejścia.

Tu, w bliższej z dwu kabin telefonicznych, Anthony Gethryn mówił natarczywie do słuchawki umocowanej nieruchomo o trzy cale dla niego za nisko.

— No, to na razie wszystko. Ale wkrótce będą musieli gdzieś się zatrzymać!

— Tak, sir — odpowiedział Pike. — A gdzie mam dzwonić, jak to zrobić?

— Jeśli nie będzie mnie tutaj — Victoria 84328 — proszę dzwonić do teatru „Buckingham”. Może zaciągnę tam Garretta. Byle mu wybić tego ćwieka, którego sam sobie zabił.

— Głos ma pan zmartwiony, sir.

— Bo się martwię. Garrett nie jest głupcem, a ćwieki nie zawsze zasługują na wzgardę. Mówi, że coś jest nie tak — i ja też zaczynam mieć to uczucie. — Anthony zamilkł.

— Takie czekanie jest bardzo wyczerpujące, sir — mówił Pike tonem pocieszenia. — A zwłaszcza wtedy, kiedy można powiedzieć, że ma się ręce związane.

— Tak, ciociu; tak, oczywiście! — Głos Anthony'ego nie przypominał wcale kojącej oliwy. — Dżet jest czarny, a chmury nad górskimi szczytami śnieżnobiałe... Innymi słowy, Pike, proszę zadzwonić do mnie albo tutaj, albo do teatru, jak tylko się pan dowie o miejscu postoju Lestérów.

- Tak, sir.  
Anthony powrócił do baru i nie dopitego trunku.  
— Rozmawiałem z Pike'em. Po raz ostatni zauważono Lesterów, jak jedli podwieczorek w Burtonbury. Potem odjechali. Już niedługo będą musieli poszukać noclegu. A wtedy my pofruniemy...  
Garrett napił się jeszcze trochę wody z rysikiem.  
— Boże, żeby tylko się pośpieszyli!  
— Tak. — Anthony ukrył zirytowanie chowając się za szklanką.  
— Oby można było coś zrobić!... — odezwał się Garrett.  
— Czy Pike zadzwoni tutaj?  
Anthony odstawił szklankę — tak mocno, że złąkł się, by nie pękła.  
— Nie. Do teatru.  
— Gdzie?  
— Do teatru „Buckingham”. Nazywa się to „Pałacem Rozmaitości”. W waszym języku — lokalem wodewilowym.  
— Och! — zaprotestował Sheldon Garrett — ale ja...  
— Żadne ale — odparł Anthony. — Jedziemy!

## 2

Patrycja Van Renseler przebudziła się. Głowa bolała ją bardzo, gorzej niż kiedykolwiek w ciągu dziesięciu lat jej życia. I coś się stało z prześcieradłami, bo czuła drapanie koca pod brodą. Była tak obolała jak wtedy w czasie szkarlatyny. Dokuczał jej niesmak w ustach, a pragnienie nakazywało myśleć tylko o wodzie.

Otworzyła oczy w ciemności i szybko zamknęła je w powrotem, bo kiedy uniosła powieki, przeszył ją dziwny, piekący ból.

Rozchyliła spieczone wargi. Spróbowała krzyknąć: „Tuścioszek!”, ale wydała dźwięk zbliżony do krakania.

Tego się zlekła i mimo bólu ponownie otworzywszy oczy, spróbowała usiąść.

Ale nie mogła. Coś ją opasywało, coś przez koce przyciskało ją do posłania. I teraz coś niecoś już widziała — lecz nie poznała widzianego pokoju!

Zapomniała o swych cierpieniach i dziwnym bólu na dnie oczu, i o pragnieniu, i o szorstkości koca — pochłonięta przez wielką, niedorzeczną, wezbraną falę strachu.

— Mamo! — wrzasnęła.

Okrzyk, choć z trudem wydobyty z zaschłego gardziółka, brzmiał głośno, ostro i przenikliwie.

Otwarły się drzwi i od prostokąta żółtego światła ruszyła ku niej wysoka, smukła postać kobieca.

Patrycja wrzasnęła raz jeszcze. Ale ten półkrzyk stłumiło coś miękkiego, co spadło jej na nos i usta, a później przyduszone zostało przez rękę, która nie robiła ustępstw na rzecz młodości miazdzonej twarzy.

— Cisza! — odezwał się głos, który Sheldon Garrett byłby rozpoznał wśród tysiąca. — Cisza!

Był to gruby, schrypnięty głos, o zdecydowanie męskim brzmieniu, tak niepasujący do ultrakobiecego wdzięku, z jakim siadała na brzegu łóżka i przyciskała nadal sukno i to, co się pod nim kryło.

— Cisza! — powtórzyła. — Rozumiesz?

Patrycja rozpaczliwie skinęła główką. Pragnęła wyłącznie powietrza: była to potrzeba bardziej nawet żywotna niż przed chwilą potrzeba picia.

Ucisk zelżał, ściągnięto sukno. Patrycja, dygocąc, nabrała w płuca powietrze. Drżała na całym ciele, lecz poza oddechem nie wydawała żadnego dźwięku.

— A teraz — powiedziała kobieta jeszcze chyba grubszym głosem — lepiej znów zaśnij.

Jedną ręką ujęła dziecko za przegub prawej dłoni i wyciągnęła mu ramię spod koców.

Ze spieczonych, popękanych ust Patrycji wydobył się szept; roztrzęsiony szept będący niepełnym wyrazem przerażenia, jakie ją ogarnęło.

— Proszę! — brzmiał szept. — Proszę, ja...

— Cisza! — odpowiedział gruby głos z dziką oschłością, a jednocześnie wolna ręka kobiety oderwała się od jej boku, dzierżąc jakiś połyskliwy przedmiot.

— Och! — jęknęła Patrycja na wysoką nutę bólu. Coś ukuło ją w ramię powyżej łokcia. Bolało.

Próbowała się wyrwać, ale dłoń kobiety ścisnęła jej przegub stalową obręczą...

— A-ach! — westchnęła Patrycja na niską, senną nutę. I dodała: —Theo... Helen... Ja...

Głos zamarł, rozległ się natomiast ciężki, z trudem wydobywany oddech.

Patrycja Van Renseler znów spała...

### 3

Wieczorne przedstawienie w teatrze „Buckingham” szło pełną parą.

Występowało dwu akrobatów i dziewczyna w trykocie, ich asystentka. Foka oklaskiwała siebie samą i zadowolonego z życia tresera. Zespół odtańczył *Trąbę powietrzną*; komediant z hrabstwa Lancaster mocno zalatywał kapustą, tłuszczem z pieczenia, ratkami i chucią; była rodzina na szczudłach, zwana Braćmi Stargays, a pewna wybitna osobistość mocowała się i walczyła z kukłą.

I był tam również Eustace Vox — którego nazwisko pozwalało domyślić się, że jest brzuchomówcą, i do tego, jak się okazało, wcale dobrym. W numerze *Człowiek i jego troje przyjaciół* zajmował pierwsze miejsce przy stole nakrytym do obiadu na trzy osoby; gośćmi były dwie naturalnej wielkości kukły.

Publiczność, prawie od dwu minut zmuszona do milczenia przez jedyne go człowieka na scenie, zaczęła chichotać, a potem wybuchnęła rykiem śmiechu. Bo dialog, zdaniem wielu, dzieło samego pana Voxa, był znakomity.

Wreszcie pojawiła się trzecia tytułowa postać, czyli kolejna naturalnych rozmiarów kukła, poruszana sprytnym mechanizmem. Nosiła schludny strój pokojówki.

Gdy się odezwała, gdzieś w trzecim rzędzie na parterze wstał mężczyzna, postukał się w czoło i zgoła pewnym głosem odwołał się do tradycyjnych władz umysłowych.

Ten wysoki mężczyzna, sądząc z akcentu, ubrania i powierzchowności, powinien znać formy towarzyskie. Ale miał zatuszować swą pierwszą niewytłumaczalną gafę, chwycił ramię sąsiada i wyciągnął go — nie zważając na buty, kolana i wygodę innych — z jego fotela i w ogóle z widowni.

## 4

Garrett mrugał oślepiiony nagłym blaskiem korytarza. Oddychał głęboko, bolała go głowa. Za jego plecami przycichał śmiech, kiedy zatrzasnęły się drzwi zatłoczonej sali, przez które wyprowadził go Anthony.

— I cóż to za genialny pomysł? — spytał z irytacją, ale powstrzymał się od dalszych uwag na widok twarzy towarzysza.

— Kobiety w herbaciarni: jedna była niska, krępa, typ raczej męski? — zapytał Anthony.

Garrett potaknął.

— I wysoka, smukła, kobieca?

Garrett skinął głową.

— I ta niska miała gruby, ochryply, męski głos, kiedy straszyla wysoką, smukłą, o cienkim, łagodnym głosie kobiecym?

Garrett znów potaknął.

— Skąd pan wie — mówił Anthony wolno — który głos należał do której kobiety?

Garrett osłupiał.

— Niech to diabli! Byłem tam i... — głos mu się załamał. Popatrzył na Anthony'ego z otwartymi ustami i wyszeptał: — Mój Boże! Nie wiem! Ja tylko przypuszczałem.  
— Chodźmy — powiedział Anthony i zniknął.

## XXV

### 1

W salonie apartamentu 306 w hotelu „Alsace” Helen Van Renseler siedziała na krześle nieruchoma i sztywna. Twarz miała pozbawioną wyrazu, a na policzkach smugi różu dziwacznie kontrastujące z bladością. Co chwila źrenice jej zwężały się do rozmiarów lebka od szpilki, a potem stopniowo się rozszerzały, aż prawie przesłaniały tęczę.

Na próżno usiłowała nie patrzeć w stronę zegara na gzymsie kominka. Wskazywał pięć po dziewiątej i myślała, że stanął. Pragnęła z całych sił, aby ruszył, a jednocześnie zanosila błagalne modlitwy o coś wręcz odwrotnego.

Wskazówki przesunęły się na szóstą minutę, potem siódmą.

Ktoś zastukał cicho do zewnętrznych drzwi apartamentu. W gardle Helen Van Renseler wezbrał okrzyk, ale go stłumiła — i zerwała się na nogi.

Pukanie powtórzyło się; trochę głośniejsze — i stanęła przy zewnętrznych drzwiach, z palcami na klamce...

Palce nacisnęły klamkę, a ręka pociągnęła drzwi.

W progu stał wysoki mężczyzna. Objęła go wzrokiem, ale wygląd jego nic jej nie mówił.

— Pani Van Renseler? — zapytał.

Skinęła głową. Mężczyzna przeszedł przez próg, zdjął jej dłoń z klamki i zamknął drzwi.

Przez szarą mgłę spowijającą jej umysł dostrzegła jego oczy. Były to oczy zielone, zdecydowane.

— Czy pani córka jest tutaj? — zapytał.

Szara mgła pękła. Pani Van Renseler powiedziała dziwnym, przejmującym głosem:

— Kim pan jest? Ja...

— Pani Van Renseler — przerwał jej przybysz — czy pani córka jest tutaj z panią? Teraz?

— Naturalnie — odparła. — Śpi już od paru godzin. Kim pan jest?

Mężczyzna obserwował ją przez chwilę; potem szybko ruszył do pierwszych wewnętrznych drzwi i dalej.

Stała oszołomiona — zdumienie i trwoga odurzyły wyczerpany umysł. Załamała ręce i wykręciła je tak, że pod wpływem bólu fizycznego musiała odetchnąć.

Co robić? Co robić? — myślała.

Mężczyzna wrócił. Helen tkwiła w miejscu, bo nawet gdyby chciała, nie potrafiłaby się ruszyć. Otworzył zewnętrzne drzwi, wytknął głowę na korytarz i mówił coś do kogoś niewidzialnego.

— Niech pan idzie do Scotland Yardu. I powie Pike'owi, żeby dał spokój Lesterom i czekał w gotowości.

Zamknął drzwi i raz jeszcze zwrócił się do Helen.

— Moje nazwisko Gethryn... Anthony Gethryn. Może mnie pani uważać za policjanta. — Podszedł bliżej. — Kiedy przekonała się pani o porwaniu córki? I czy miała pani wiadomość od kogoś, kto ją porwał?

— Nie wiem, o czym pan mówi. — Głos brzmiał ochryple. — Muszę prosić, aby pan opuścił ten pokój.

Anthony chwycił ją za ramię. Pod dotknięciem nagie ciało było zimne, a mięśnie pod delikatną skórą napięte.

— Mogę pomóc. Niech pani tu wejdzie — powiedział prowadząc ją do salonu.

Helen Van Renseler zachwiała się. Mgła znów zasnęła jej umysł... wirowała...

Ocknęła się w fotelu. Anthony stał nad nią ze szklanką w ręce. W taki sposób przytknął ją do warg Helen, że musiała wypić. Koniak piekł w język i gardło, zakasłała,

odepchnęła szklanę i usiadła wyprostowana. Powiedziała krztusząc się:

— Niech pan da spokój! Proszę! Nic mi nie jest! — Wzrokiem wybiegła ku zegarowi, który wskazywał dwa naście po dziewiątej.

Anthony obserwował ją.

— A więc jest granica czasu! — usiadł naprzeciw niej, odstawiając szklanę na pobliski stolik. Obserwował ją niewzruszony. Po długiej chwili przemówił:

— Niedawno temu musiała pani zaangażować opiekunkę do dziecka, która przyjechała do pani z Anglii. Pewno dzisiaj, o którejś tam godzinie, ta kobieta wzięła pani córkę na spacer i nie wróciła. Później otrzymała pani jakąś wiadomość od tych, co porwali dziecko. Ponieważ jest pani sama, przypuszczam, że mąż pani wyszedł skontaktować się z tymi ludźmi w wyniku otrzymanej wiadomości. Czy mam rację?

Wbiła w niego oczy tak szeroko otwarte, że ze wszystkich stron tęczywek widać było białka. Ściągną szyi jej drgały, wargi poruszały się bezdźwięcznie.

— A pani na pewno nie chce tego wszystkiego potwierdzić, bo nastraszone panią, że wszelka interwencja skończy się utratą córki na zawsze... Ale, pani Van Rensselaer, pani powinna wszystko mi powiedzieć.

Zerwała się na nogi z trzaskiem przewracając krzesło.

— Nie powiem! — odparła bezbarwnym, łamiącym się głosem. — Nic mnie nie obchodzi, kim pan jest! — Słowa płynęły z jej ust coraz szybciej. — W tym kraju nie wiecie nic o... o takich rzeczach. My, Amerykanie, o nich wiemy! — Załkała. — Mój Boże, i jak jeszcze wiemy! Kiedy już odzyskam Patrycję, powiem panu — wszystko! Poświęcę panu każdą minutę mego życia, dopóki ci złoczyńcy nie zostaną schwytani! Ale nie powiem ani słowa, dopóki nie wróci! Gdybym powiedziała, mógłby pan wszystko popsuć, a wtedy... a wtedy...

Umilkła. Zniknęło gdzieś otępienie; straciła panowanie nad sobą. Była oszalałą kobietą, której porwano dziecko. Twarz jej się wykrzywiła, a oddech dobywał się



w ciężkich, nieregularnych westchnieniach. Ale oczy raz jeszcze pomknęły w stronę zegara.

Obojętna twarz Anthony'ego zdradzała wytężoną pracę mózgu. Musi powiedzieć; trzeba ją do tego zmusić. Tylko w jaki sposób, skoro instynkt jej podszeptuje, że dziecko może przypłacić to życiem?

Nagły błysk załśnił w jego oczach. Przez myśl przemknęło zdanie z protokołu inspektora Andrews'a spisane podczas pierwszej wizyty Garretta w Scotland Yardzie, „...jakiś zbrodnicze przedsięwzięcie, związane przypuszczalnie z uprowadzeniem dziecka i wyrządzeniem krzywdy drugiej osobie...”

Wystarczył mu jeden długi krok, by znaleźć się przy niej. Chwyił ją za ramiona, bynajmniej nie delikatnie.

— Proszę mi powiedzieć. Jeżeli nie chce pani stracić także i męża!

Spoglądała na niego bardzo spokojnie.

— O Boże! Tego już nie zniosę! Ja...

Anthony zacieśnił uścisk.

— Od początku tej sprawy, na ile my ją znamy, sugerowano, że porwane zostanie dziecko, a ktoś inny — mężczyzna — poniesie śmierć.

Próbowała wyśliznąć się z jego ramion. Pięściami na próżno waliła go w piersi.

— Proszę mnie puścić! Proszę mnie puścić! — dyszała.

— Najpierw powie mi pani, dokąd poszedł mąż!

Walczyła z desperacką siłą. Palce Anthony'ego wpijały jej się w plecy.

— To podstęp! — krzyknęła. — Tak to rozumiem! Proszę mnie puścić!

— Niech pani słucha — mówił Anthony. — Ci ludzie chcą wyrządzić krzywdę pani mężowi — może nawet go zabić. Prawdopodobnie wziął ze sobą pieniądze na okup; czy pani nie rozumie, że jeśli to zabrają, a jego usuną z drogi, mogą trzymać pani córkę i żądać więcej pieniędzy? Niechże się pani zastanowi, kobieto!

Załamała się. Osłabła i zaczęła chwiać się na nogach.

Podtrzymał ją i doprowadził do kanapy, a sam stanął nad nią. Łzy trysnęły jej z oczu — bezradne, beznadziejne, niepowstrzymywane. I wstrząsnął nią szloch.

Anthony przykleknął na jedno kolano. Nie dotykał jej ani się nie odzywał...

Łkania przycichły.

— Proszę mi powiedzieć! — rozkazał Anthony, ona zaś wstała nagle pewnym, sprężystym ruchem.

Anthony też się podniósł. I teraz to ona go dotknęła. Chwyliła go za ramiona. Wzrok utkwiała w jego oczach. Jej zmartwiałą twarz ożywił nowy ogień — jasny i spokojny.

— Powiem panu. Jeśli na złe się to obróci, odbiorę sobie życie. Mąż poszedł na spotkanie z tymi ludźmi. Wziął pieniądze i moje szmaragdy. Ma czekać na peronie dla pociągów odchodzących w kierunku zachodnim ze stacji metra Cromwell Road. O dziewiątej trzydzieści.

Spojrzała na zegar. Była dziewiąta dwadzieścia jeden.

— Nie starczy czasu! Nie starczy czasu! — wyszeptała głucho.

Zachwiała się i upadła. Ale Anthony nie podtrzymał jej, bo już stał przy telefonie.

## XXVI

### 1

Wzdłuż szarej, niekończącej się Cromwell Road pędziła taksówka. Z tyłu, skulony, siedział Theodore Van Renseler. Twarz jego była pozbawioną wyrazu maską, lecz opadające powieki przysłaśniały pełne życia oczy. Na kolanach trzymał dużą teczkę z ciemnej skóry — a siła, z jaką ścisnął ją w dłoniach, dziwnie kontrastowała z ogólnym jego bezwładem.

Po prawej stronie jezdni duże, brzydkie domy pośpęnie i wrogo ustąpiły miejsca rzędowi jasnych sklepików, skupionych wokół szklanej kopuły i ceglanej fasady stacji metra.

Taksówka przyhamowała i Van Renseler wysiadł z niej prawie w biegu. Wcisnął dziesięcioszylingowy banknot w dłoń kierowcy, wymamrotał coś i zniknął.

W dworcowym westybulu zegar nad windami wskazywał dziewiątą dwadzieścia pięć. Bileter przechadzał się ziewając; poza nim i van Renselerem nie było tu żywej duszy. O tej porze zawsze ruch zamiera; pracujący są w domach, a poszukiwacze rozrywek już u celu.

Van Renseler stąpał ciężko, sztywno i z namysłem.

Przy otwartej kasie kupił bilet do Piccadilly Circus — jedynej stacji zapamiętanej przez zboląły umysł. Kasjer popatrzył ciekawie na białą, martwą twarz pasażera i ociągał się z wydaniem reszty.

Van Renseler zmusił się, by zaczekać: musi, musi zachowywać się jak najzwyczajniej.

Wziął resztę i spojrzął na zegar. Dziewiąta dwadzieścia siedem... Trzy minuty... A potem, po zapłaceniu okupu, straszliwe, wyczerpujące czekanie. „Patrycja Van Renseler — głosił list — zostanie zwrócona jutro przed wieczorem.” Oczekiwanie — koszmar, okropna przerwa może zatem trwać dwadzieścia godzin.

Powstrzymywał jęk cisnący się na usta. Windziarz odsunął kratę i odstąpił na bok.

Van Renseler potrząsnął głową.

— Nie — powiedział przez zaciśnięte zęby. — Nie znośszę jazdy windą. Gdzie są schody?

— Tam, sir. Za kioskiem.

— Dziękuję. — Van Renseler odszedł bardzo wyprostowany, bardzo ostrożnym krokiem, z czarną teczką w prawej dłoni.

Windziarz obserwował go, a błysk zdumienia i ciekawości rozjaśnił na chwilę znudzoną młodą twarz. Dziwny jakiś — pomyślał i znów ziewnął, czekając na koniec swej zmiany.

Schody były żelazne, spiralnie kręcone. Pionowy, rurowaty szyb, jednostajnie szarobiałły, jasno oświetlały nieosłonięte żarówki. Śliskie żelazo wydawało głuchy dźwięk pod stopami.

Van Renseler zstępował w dół... w koło i w dół... w koło i w dół. Szyb jakby nie miał końca. Podniósł wzrok i nie dostrzegł w górze nic poza otaczającą go w krąg ścianą i straszliwą regularnością skrzyconego żelaza. W dole zobaczył to samo.

Targnęła nim paralizująca trwoga. Strzępy myśli przełykały przez głowę. Załóżmy, że „oni” nie przyjdą na umówione spotkanie!... Załóżmy, że żelazne schody i ściana dokoła są bez końca... Załóżmy...

Ruszył biegiem, tupocząc bardzo głośno. Oddychał z trudem. Kropelki lodowatego potu wystąpiły mu na pobladłą twarz...

Schody się skończyły. Wyszedł przed drzwi i głęboko zaciągnął się powietrzem. Jego zegarek wskazywał dwa-dziesiąt dziewięć i pół minuty po dziewiątej.

Znajdował się w poprzecznym korytarzu wyłożonym niebieskimi i białymi kafłami. Od dudnienia przelatującego pociągu zadygotała ziemia. Kierując się tym hałasem trafił na pusty, oblepiony barwnymi plakatami peron. Przerażony uświadomił sobie, że nie wie, czy... Ach, widział przecież świetlny napis i między innymi te słowa: „Kierunek wschodni”.

A zatem to drugi peron. Zawrócił na pięcie i w poprzecznym korytarzu minął bagażowego w uniformie.

Stanął na peronie dla pociągów odchodzących w kierunku zachodnim. Nie było widać pociągu ani żadnego pasażera. I nikogo z obsługi.

Znów spojrzął na zegarek. Już pół minuty po terminie. Przechadzał się powolnym, ciężkim krokiem. Musi czekać; musi czekać; czekać; czekać...

Kiedy dotarł do najdalszego końca długiego, rozbrzmiewającego echem peronu, z ostatniego z poprzecznych korytarzy, tuż za nim, dobiegło pośpieszne stąpanie.

Obrócił się. Serce waliło mu młotem. Zobaczył podchodzącego ku niemu mężczyznę.

## 2

Czarny voisin Anthony'ego z wyciem przelatywał po Embankment, na sygnale prawie bez ustanku włączonym. Prześlizgiwał się między innymi pojazdami jak wąż przez poszycie lasu. Osiągał, nawet na tej tłocznej, zapchanej arterii, niewiarygodną średnią prędkość. Bez szwanku dotarł do narożnika przy Westminster Bridge, skręcił w prawo i torując sobie krętą drogę między samochodami, platformami, taksówkami i autobusami osiągnął St. James's Park.

Na zakręcie koło Birdcage Walk zmotoryzowany policjant wychylił się z przyczepy i chwycił ramię kolegi. Voisin, wygrywając natarczywą, ochryplą fanfarę, mknął w straszliwym tempie...

Policjant na siodełku potrząsnął głową. Dostrzegł dyskretny znak (o którym nie wspominamy ani tu, ani nigdzie indziej) mówiący strażnikom prawa, że to nie pirat drogowy, ale kolega pędzi w pilnej sprawie.

Zegar na desce rozdzielczej voisina wskazywał dwięćdziesiąt trzy.

## 3

Dwie granatowe limuzyny o statecznym wyglądzie zmierzały w tempie bynajmniej nie licującym ze statecznością wzdłuż zdumionej Knightsbridge. Ich klaksony, podobnie jak sygnał voisina, rozlegały się bez przerwy. I każdy policjant rozpoznawał je na pierwszy rzut oka, żaden cywil zaś by ich nie rozpoznał.

W pierwszej jechali Pike, Garrett i dwaj jeszcze — cisi, krzepy mężczyźni, którzy milczeli uparcie.

Garrett obrócił się.

— Ciekawe, czy Gethryn jedzie za nami — powiedział.  
Pike z bladym uśmiechem potrząsnął głową.  
— Nie za nami, sir!  
— Czy myśli pan, że wasi ludzie już telefonowali? —  
pytał Garrett.  
Pike leciutko wzruszył szerokimi barkami.  
— Jeśli nie zrobili tego dotychczas, zaraz zrobią.  
Zegar na desce rozdzielczej wskazywał dziewiątą trzy-  
dzieści trzy.

## 4

Pociąg bezpośredni — osiem na dziesięć pociągów przejeżdża przez Cromwell Road pomiędzy ósmą trzydzieści a jedenastą wieczór bez zatrzymywania — wypadł z rykiem ze sklepionego tunelu, niczym rakieta przemknął wzdłuż peronu i ponownie zniknął w czarnej czełusci.

Van Renseler usiłował nie patrzeć na mężczyznę, który już chciał otworzyć usta, gdy wtem kolejarz w mundurze wyszedł na peron i po przenośnej drabince wspiąwszy się do tablicy informacyjnej zaczął przy niej majstrować.

Choć Van Renselerowi czas nieopisanie się dłużył, w rzeczywistości trwało to trzy minuty, bo zegar wskazywał dziewiątą trzydzieści cztery.

Kolejarz zszedł z drabinki, złożył ją i oddalił się środkowym korytarzem, wywołując przenikliwe, metaliczne echo w tej pustej, stworzonej przez człowieka królikarni.

Van Renselerowi tak łomotało serce, że bez świadomego wysiłku nie byłby zdolny oddychać, kiedy obserwował tamtego mężczyznę.

Co najważniejsze — był to zwyczajny mężczyzna. Średniego wzrostu i normalnej budowy; w nieokreślonym ubraniu, zwawy w ruchach, lecz nie nadmiernie.

Odgłos kroków kolejarza ścichł stopniowo. Van Renseler, znieruchomiały, wbił tępy wzrok w plecy przechadzającego się człowieka.

Echo kroków zamarło.

Mężczyzna odwrócił się — nie gwałtownie, bez pośpiechu, jak zwykły podróżny na peronie.

Ale teraz szedł wprost ku Van Renselerowi, dalej i dalej. Van Renseler wstrzymał dech. Tamten się zbliżył. Przystanął w odległości niespełna kroku.

Twarz miał na pierwszy rzut oka tak przeciętną jak całą powierzchowność. Ani okrągłą, ani owalną, ani czerwoną, ani bladą, twarz, na jaką można patrzeć codziennie, a nigdy nie wryje się w pamięć. Van Renseler patrzył jednak dłużej niż chwilę. Co więcej — twarz tego człowieka miała dla niego doniosłe znaczenie. Toteż między policzkami nieokreślonego kształtu i brwiami nieokreślonego koloru zauważył oczy niepodobne do żadnych w życiu widzianych.

Oczy te bowiem były bezbarwne, ich tęczówka i źrenica stapiały się ze sobą, przechodząc przez nieokreślone odcienie szarzysty, białka zaś nie były białe, tylko jaśniejsze, szare, w tym całkiem nieokreślonym odcieniu źrenic.

— Czy ma pan szwedzką zapalną? — odezwał się mężczyzna.

Van Renseler daremnie próbował odpowiedzieć. Poadał czarną teczkę.

Mężczyzna wziął ją i lekko się przesunął, stając plecami do ściany, a twarzą do szyn. Van Renseler czekał tuż u wylotu tunelu, więc gdy teraz zmienił pozycję, żeby być na wprost tamtego, za plecami miał krawędź peronu, jej styk z półokrągłą ścianą tunelu. Od torów dzieliły go trzy stopy.

Człowiek z trzaskiem otworzył teczkę, którą trzymał lewą ręką. Popatrzył na Van Renselera bezbarwnymi oczyma. Powiedział głosem ni to niskim, ni wysokim, ani miękim, ani ostrym:

— Mam dla pana wiadomość.

Prawą ręką sięgnął do wewnętrznej kieszeni niepozornego płaszcza. Van Renseler na próżno usiłował zwilżyć spieczone wargi. Mężczyzna grzebał w kieszeni, po czym objawszy wzrokiem pustkę peronu dodał:

— A oto ona!

Błyskawicznie wyciągnął rękę, a w niej coś matowo-czarnego, niby długą kizkę z pantomimy...

Van Renseler zrobił unik, ale ciężki cios spadł mu na skroń i długi przedmiot ześliznął się na ramię. Oślepiający błysk przeleciał przez głowę Van Renselera... Padał...

Kiedy zaczął przeginać się w pół, napastnik uderzył go w pierś woreczkiem piasku.

W pchnięciu tym kryła się dobrze obliczona moc; dostateczna, by chwiejne nogi Van Renselera musiały zrobić trzy kroki do tyłu.

Czwarty krok przeniósł jego bezwładne ciało poza krawędź peronu. Upadł jak pusty worek w mroczny wylot tunelu, prosto na obojętną, śmiercionośną, lśniąca wstążeczkę szyny pod napięciem...

Zanim ciało przebyło te cztery stopy dzielące je od pewnego unicestwienia przez tysięcwołtowy prąd, człowiek z woreczkiem zawrócił i szedł — żwawym, niespiesznym, normalnym krokiem — ku pierwszemu z poprzecznych korytarzy...

A zegar nad tablicą informacyjną wskazywał parę sekund przed godziną dziewiątą trzydzieści pięć.

## 5

— Tak, sir! — powiedział inspektor dowodzący postępowaniem policji na Drayton Street. — Tak, sir, rozumiem, sir. Z miejsca, sir... najwyżej pięć minut.

Odłożył słuchawkę i zaczął wydawać krótkie, zwięzłe rozkazy. Zegar ścienny nad jego głową wskazywał dziewiątą trzydzieści pięć.



— Zrozumiane, sierżancie? — zapytał w końcu.

Sierżant prężył się na baczność. Z jego ust padały ostre, metaliczne dźwięki.

— Tak, sir. Dziesięciu ludzi. Okrążyć stację Cromwell Road i zabezpieczyć wszystkie wyjścia. Nikogo nie wpuszczać ani nie wypuszczać ze stacji do przyjazdu oficerów ze Scotland Yardu. Potem przejść pod ich rozkazy.

Inspektor skinął głową.

— Wykonać. Szybko!

## 6

— Tak, zrobię to — powiedział drobny zawiadowca stacji Cromwell Road. — Tak, natychmiast!

Oczy jego rozbłysły podnieceniem: a to dopiero coś się dzieje!

Wstał i będąc systematycznym człowiekiem zamknął biurko. W drodze do drzwi spojrzął na zegarek. Była dziewiąta trzydzieści sześć.

Dwie sekundy wcześniej, zanim opuścił biuro, mężczyzna z czarną teczką przeszedł przez westybul od strony schodów. Zwyczajnie wyglądający mężczyzna, poruszający się z energią, lecz bez pośpiechu. Z Cromwell Road skręcił w lewo.

## 7

Stacja metra stoi frontem do Cromwell Road, od wschodu natomiast przytyka do ponurego kensingtonskiego zaułka zwanego Illingham Street. O dziewiątej trzydzieści siedem czarny voisin przeszył jego mroki jak gniewny pocisk...

Dokładnie w tej samej chwili mały zawiadowca stacji, w towarzystwie dwu umundurowanych podwładnych, pospieszył na peron dla odchodzących w kierunku zachodnim pociągów.

Zawiadowca popatrzył wzdłuż peronu.

— Nikogo tu nie ma — powiedział. — Ja...

Jeden z kolejarzy odetchnął z głośnym świstem, zaga-piony na błyszczące kreski u wylotu tunelu. Krzyknął coś niezrozumiale i ruszył biegiem.

— Co do... — zawiadowca nie skończył, spojrzął i też pobiegł.

Tymczasem wysoko na powierzchni ziemi dwie granatowe limuzyny zahamowały na wprost stacji. Wysiedli z nich spokojni ludzie i wkroczyli do westybulu między rozjarzonymi wystawami sklepów. Byli tam również Pike i Garrett. Na ich spotkanie, ukosem od bocznego wejścia, zmierzała wysoka sylwetka Anthony'ego Gethryna.

Przez szeroką, prostą Cromwell Road zdążyło ku stacji jedenastu policjantów w mundurach.

Na ich widok Pike spojrzął na zegarek.

— Nieźle — rzekł obracając się, by powitać spotniałego sierżanta.

Anthony zaledwie skinął Garrettowi i teraz ruszył ku windom, odsłaniając mu widok na ulicę. Garrett zobaczył oddalającą się postać, która wyraźnie wynurzyła się z jakiegoś sklepu po tej samej stronie jezdni co stacja, o dwadzieścia może jardów od wejścia.

Był to mężczyzna średniego wzrostu, niepozornie ubrany. Szedł rażnym, choć niespiesznym krokiem. A w prawej ręce niósł czarną teczkę.

Pod żadnym względem nie wykraczał poza przeciętność. Ruchów nie miał ukradkowych, nie opuścił stacji bezpośrednio; gestami, postawą, krokiem i ubiorem przypominał zapewne dziesięć tysięcy londyńczyków.

A mimo to Garrett nie mógł oderwać od niego wzroku. Może dlatego, że tamten niósł teczkę, a może dla jakichś o wiele bardziej skomplikowanych przyczyn w ułamku sekundy postanowił dowiedzieć się czegoś więcej o

człowieku, który odchodził tak spokojnie. W nagłym przypiływie zapierającej dech słabości zwrócił się do Pike'a. Ale Pike'a ani innych policjantów nie było w pobliżu. Wszyscy udali się w stronę wind i kas biletowych...

## 8

Stojąc na samym skraju peronu, zawiadowca stacji spoglądał w dół i potrząsał głową. Twarzyczkę miał ściągniętą i białą w żółtym blasku lamp.

— Kiepski interes! — stwierdził mlaskając językiem. — Kiepski interes! Musiał umrzeć natychmiast!

Starszy z dwu jego pomocników drapał się w głowę i patrzył oszołomiony na rozciągnięte w poprzek lśniących szyn ciało. Nie był taki poruszony jak zawiadowca ani pełen tępej ciekawości jak jego towarzysz — był tylko mocno zdumiony.

Zawiadowca rozwinął na pozór ożywioną działalność.

— Chodźcie! — krzyknął zaaferowany. — Trzeba go ściągnąć przed nadejściem następnego pociągu.

— Ach! — powiedział tępy podwładny.

Ale drugi wciąż patrzył.

— On nie umarł! — rzekł wskazując ciało brudnym palcem. — Kiedy ich popali, są całkiem powykręcani. I śmierdzą. I... popatrzcie! Widać, jak oddycha!

— Ale... ale prąd — wyjąkał mały zawiadowca.

Tępy pomocnik ożył.

— Oddycha! — stwierdził stanowczo. — Chodźmy!

## 9

Granatowa taksówka, nowusienka, bardzo dyskretna i niesłychanie połyskliwa, pędziła na zachód po Cromwell Road. Była to najwyższej klasy taksówka. Jechała gładko,

świetnie resorowana i doskonale prowadzona. Miała — rzecz u londyńskiej taksówki niezwykła — błyszczące zderzaki z przodu i tyłu, jak również bagażnik nad tylnym zderzakiem.

W środku siedział jeden pasażer: opanowany, normalnie wyglądający mężczyzna z czarną teczką na kolanach.

Taksówka zwolniła. Następnie skręciła z Cromwell Road na prawo. Za zakrętem już nabierała rozpędu, gdy wtem drogę zagroził jej mały rowerzysta. Każdy obserwator założyłby się, że chłopiec zginie — a jednak wyszedł bez szwanku. Kierowca, jak już powiedziano, był dobry. Przyhamował, skręcił, wpadł w poślizg, dodał gazu — i o mały włos nie strząsnął Garretta z jego niepewnej, spadzistej grzędy między zderzakiem a bagażnikiem.

Garrett poczuł, że spada. Nogi rozjechały mu się na boki i jedna ze stóp zaszurała po nawierzchni jezdni. Nadludzkim wysiłkiem zacieśnił uchwyt na prętach. Mięśnie pleców i ramion coś jakby rozdzierało. A potem taksówka wyszła z poślizgu i Garrettowi przestał grozić upadek...

Wtulił głowę w ramiona i otarł pot spływający z czoła. Modlił się, żeby go ktoś zobaczył — tak jak się modlił od tej fantastycznej chwili, gdy zobaczywszy taksówkę uwożącą niepewny łup, na ślepo popędził za nią i wskoczył na tę grzędę niczym wyrośnięty ulicznik. Niewątpliwie, niewątpliwie, muszą zaraz — w tym mieście znanym z najlepszej policji na świecie — minąć konstabla, który go dostrzeże i zatrzyma taksówkę. A jeśli uparczywie unikać będą oczu prawa, zauważy go jakiś inny kierowca w sнопie swych reflektorów, dogoni taksówkę i powie kierowcy. Niewątpliwie, przystanąwszy na skrzyżowaniu ulic, jakiś ciekawy przechodzień krzyknie do kierowcy, że ma dodatkowego pasażera. Coś przecież musi się stać przed końcem tej podróży. Nawet wypadek, pomyślał, byłby lepszy niż nic. Gdyby zostali zatrzymani przez jakiś zewnętrzny czynnik, mógłby przynajmniej, choć sam w charakterze podejrzanego — dostatecznie opóźnić bieg spraw...

Ale taksówka mknęła bez przeszkód przez te ciemne, ponure i zawsze opuszczone ulice Kensingtonu. Ani jeden policjant nie napotkał wzroku Garretta... ani jeden bystry i wścibski przechodzień... ani jeden mijający samochód...

## 10

Krata windy otwarła się z łoskotem i brzękiem. Zawiadowca stacji klęczał koło Van Renselera. Zapatrzony w spokojną twarz potrząsał głową.

— Nie było prądu — mruzczał pod nosem. — Nie mogę tego zrozumieć.

Energiczni mężczyźni podeszli, pokleпали go po ramieniu i odsunęli na bok. Policjant w mundurze podniósł nieprzytomnego człowieka. W głębi dwaj kolejarze, puchnąc w rozkosznym uczuciu ważności, zaczęli równocześnie mówić do krzepkiego osobnika w cywilu.

Zawiadowca, mrużąc powieki, wyszedł z windy. Teraz bezwładne ciało ofiary, która powinna była nie żyć, złożono na noszach trzymanyh przez policjantów. Pochylił się nad nim wysoki mężczyzna ubrany ze swobodną elegancją.

Zawiadowcę nieodparcie ciągnęło do noszy.

— Czy on... nie rozumiem, jak... leżał dosłownie w poprzek szyny pod napięciem. On... — mówił nieśmiało.

Wysoki mężczyzna wyprostował się i odwrócił.

— Nic mu nie jest — stwierdził szorstko. — Rozbita głowa. A dopływ prądu odcięto od Lot's Road.

Oczy zawiadowcy rozszerzyło zdumienie.

— Ależ ja nie... — cienki bek zamarł mu w gardle, kiedy stało się jasne, że nikt nie zwraca na niego uwagi.

Wysoki mężczyzna zagadnął towarzysza:

— A gdzie pan Garrett?

## 11

Granatowa taksówka zmierzała krętą drogą przez posępne ulice, zaskakująco do siebie podobne, aż znalazła się na jednej z nich, równie słabo oświetlonej, lecz szerszej, dłuższej i zabudowanej bardziej ponurymi domami.

W wielu oknach wysokich ceglanych kamienic paliły się światła, ale były to światła żółte, zamglone, i w żadnym razie nie rozpraszały wilgotnej atmosfery opuszczenia i rozkładu. Wydawały się sprzymierzeńcami brudnych, rzadko rozmieszczonych ulicznych latarni.

Taksówka przystanąła.

Garrett, niezdecydowany, co robić, kiedy to nastąpi, teraz powziął decyzję. Leżał bez ruchu. W ten sposób nie widział nic poza jezdnią. Ale usłyszał odgłos otwieranych drzwiczek... szuranie stóp dotykających bruku... krótki szmer głosów... brzęk podawanych z ręki do ręki monet... a potem spieszne kroki na chodniku i skrzywienie zarzewiałej żelaznej furtki.

Nie słyszał natomiast — bo ten mężczyzna miał buty na gumowych podszewkach — że i kierowca wysiada. To też kiedy ostrożnie rozstał się z niezycliwym żelazem i stanął, z trudem rozluźniając obolałe mięśnie, ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że jest przedmiotem obserwacji krzepkiego mężczyzny ze skrzyżowanymi w groźnej postawie ramionami...

## 12

Dwie ciemne limuzyny Scotland Yardu pędziły na zachód wzdłuż Cromwell Road. Anthony siedział w pierwszej z nich przy kierowcy i przez ramię rozmawiał z Pike'em.

— Pięć minut przewagi — zauważył — to dużo.

— Być może, sir — odparł Pike i niepewnie dodał: — A skąd wiemy, że pan Garrett jest na właściwym tropie?

— Niech to diabli, człowieku! — wybuchnął Anthony.  
— Czy nie dość, że w ogóle jest na jakimś tropie? My nic nie mamy — poza Van Renselerem z rozbitą głową i złamanym obojczykiem!

— Wszystko to bardzo ładnie, sir — upierał się Pike. — Ale ja się obawiam, że to wyprawa z motyką na słońce, można by powiedzieć. Proszę nie zapominać, że sam pan Garrett ma rozbitą głowę. Bo gdyby był — hm, normalny — to dłaczego by uciekał i jechał z tyłu na jakiejś taksówce, nie mówiąc nikomu ani słowa! Gdyby ten młody konstabl przypadkiem go nie zobaczył...

— Tak, tak! — przerwał mu Anthony. — Owszem, i nie wiem, co tam jeszcze!... Ale nie zapominajmy, że miał słuszne przeczucie, a myśmy się mylili. Prawdopodobnie zobaczył coś, czego myśmy nie widzieli... i nie zdążył zrobić nic innego poza tym, co zrobił. — Dalej mówił już jakby do siebie: — Mam nadzieję, że widziała go dostateczna liczba osób.

Niemal w tej sekundzie kierowca podjechał pod krawężnik i zatrzymał wóz raptownie, ze zgrzytem hamulców. Na chodniku stał wysoki, postawny policjant w hełmie.

Pike wyskoczył niemal w biegu. Okrążył maskę samochodu i zamienił kilka słów z policjantem. Pognał na swoje miejsce i warknął do kierowcy:

— Pierwsza na prawo. Cranbrook Street. Mieć oczy otwarte i wypatrywać konstablów. — A do Anthony'ego powiedział: — Ten go widział. Mówi, że nie wierzył własnym oczom. Jedyna nadzieja, sir, że potrafimy utrzymać się na tropie.

Wozy policyjne — bo drugi zahamował koło pierwszego — ruszyły i skręciły w prawo na następnym skrzyżowaniu. Londyn — nawet w bok od Cromwell Road — nie jest miastem, w którym rządziłoby aż takie bezprawie, jak wydawało się Garrettowi uczonejmu bagażnika taksówki.

— Ależ mówię panu — powtarzał Garrett przez zaciśnięte zęby — że to sprawa policji! Scotland Yard...

Kierowca nie dał mu dokończyć. Uniósł ręce i zacisnął je w pięści.

— Sprawa policji, powiadasz? Powiem ci coś, przyjacielu, to pierwsze cholerne prawdziwe słowa, jakie ci przeszły przez cholerne usta.

Zbliżył się nieco.

— Och, do diabła z tym wszystkim! — wybuchnął Garrett, który należał kiedyś do najlepszych zawodników wagi półciężkiej na swoim uniwersytecie.

Cofnął prawą nogę; wysunął do przodu lewą. Prawa pięść, cofnięta o niecałe dziewięć cali, natrafiła na brodeę kierowcy z chrzęstem i plaśnięciem.

Kolana ugięły się pod kierowcą i runął na twarz — nieomylny znak całkowitej utraty przytomności.

Garrett odskoczył od padającego ciała. A potem, nie obróciwszy się nawet, wszedł na chodnik. Rozejrzał się bystro wzdłuż ponurej ulicy. Ale nie dostrzegł nikogo i nie słyszał niczych kroków. Następnie obrzucił wzrokiem dom, w którym musiał zniknąć mężczyzna z teczką. Świeciło się tam tylko w małym okienku na piętrze. Wokół panowała cisza. Na palcach podszedł do zardzewiałych sztachet przypominających włócznie, które opasywały skrawek pokrytego rosą ogródka. Usiłował dostrzec, czy oświetlone okno jest otwarte, ale daremnie. Opanowała go trwoga, że ścigany usłyszał sprzeczkę z kierowcą.

Serce waliło mu szybko, nieregularnie. Bolała go głowa, ale tego sobie nie uświadamiał. Usta miał spieczone, narastała w nim jednak wewnętrzna pewność. Wciąż na palcach dotarł do furtki, której skrzyp słyszał uprzednio. Już miał ją otworzyć, ale się rozmyślił.



Jeśli wejść, zadzwonię i opowiem jakąś bajeczkę — rozważał — i tak nic mi to nie da. Albo się ze mną rozprawią, albo niczego nie stwierdzą. Może powinienem wypłoszyć skądś policjantów. Ale jeśli się stąd oddalę, on może wyjść pod moją nieobecność, a wtedy gdzie się znajdziemy?

Raz jeszcze popatrzył wzdłuż ulicy. W jedną stronę — na wschód — ciągnęła się w nieskończoność, ale o sto jardów w przeciwnym kierunku, na rogu przecznicy, stała latarnia.

Pobiegł tam cicho, długimi susami. Po drodze liczył domy, aby zaszedłszy od tyłu wiedzieć, który stanowi jego cel.

## 14

Dwa wozy policyjne cicho przepląnęły przez ciemną, prostą Derby Street.

Pierwszy dotarł do przecznicy i przystanął. Na prawo biegła Paignton Street; na lewo ginęło w mroku coś zwanego Biddlecombe Avenue.

Znów Pike wyskoczył z samochodu i pobiegł do tyłu.

— Jedźcie na lewo — powiedział. — My skręcimy w prawo. Pytajcie wszystkich konstablów.

## 15

W smętnym, nieumeblowanym, zaplamionym pokoju na drugim piętrze domu numer siedemnaście przy Paignton Street rozmawiali mężczyzna i kobieta. Kobieta klęczała. Mężczyzna siedział na gołych deskach podłogi, plecami oparty o ścianę, i grzebał w czarnej teczce tryzmane na kolanach.

Kobieta, zajrzawszy do teczki, odetchnęła z ostrym, zmysłowym sykiem.

— A więc zrobione! — odezwała się po chwili.

Mężczyzna potaknął, zatrzasnął teczkę, i obrócił się do kobiety. Na ustach jego błąkał się uśmiech.

— Tak. I to dopiero początek. — Wstał z teczką w lewej ręce. — Ale nie będziemy ryzykować. Wynosimy się stąd!

— Do Chelsea?

Mężczyzna skinął głową. Kobieta położyła rękę na jego ramieniu i gestem wskazując pokój za swymi plecami spytała:

— Jak to bierzemy? Na wierzchu czy w walizce?

## 16

— Tu zwolnić! — Anthony dał znak kierowcy.

Reflektory wozu policyjnego przesunęły się trochę w prawo i w białym ich snopie załśnił tył granatowej taksówki. Zobaczyli też coś jeszcze — skuloną postać mężczyzny leżącego za taksówką.

Pod wpływem światła jakby się ocknął. Drgnął. Otworzył oczy. Jęcząc, z wyraźnym trudem usiadł i przyłożył dłoń do czoła. Jak senne, rozkapryszone dziecko odwrócił się od białego blasku reflektorów. Mamrocząc pod nosem, wsparty ręką o krawędź zderzaka, spróbował się dźwignąć. Pojmował, że jadący samochód przystaje i wysiadają z niego jacyś mężczyźni. Spróbował stać bez podparcia, ale nogi się pod nim ugięły.

Byłby upadł, gdyby nie podtrzymały go sprawne ręce inspektora Arnolda Pike'a. Zabrzmiął głos, który zdawał się dochodzić do jego uszu z bardzo daleka:

— Niech się pan nie spieszy i wszystko nam opowie.

Siły wracały mu z każdą chwilą, więc zaczął mówić...

## 17

Pobieżnie i zręcznie kobieta obciągnęła sukienkę, w jaką przyodziła nieruchome ciało dziecka. Teraz zaczęła wkładać pończochy na małe, wyprostowane nóżki. Uporawszy się z tym poszukała wzrokiem butów — i dostrzegła tylko jeden. Ze zmarszczką na czole zawołała przez ramię swym grubym, ochryłym głosem:

— Przynieś ten drugi but, dobrze?

Odpowiedź uzyskała natychmiast, ale nie taką, jakiej oczekiwała. Mężczyzna, do którego mówiła, wszedł szybko z drugiego pokoju. Ruchy miał sprężyste, żwawe i bezgłośnie. Było w nich coś takiego, że kobieta spojrzawszy mu w twarz nagle pobladła. Chciała o coś zapytać, ale uciszył ją przelotnym gestem. Jego dziwne oczy, zwykle bezbarwne, płonęły wewnętrznym, czerwonym blaskiem.

— Prędko! Tylnymi drzwiami — powiedział. — Przed domem stoi samochód. Wygląda mi na gliny.

Dłoń kobiety pomknęła do ust.

— Ale jak... — zaczęła ochryple.

Mężczyzna nie zwracał na nią uwagi. Ze swobodą świadczącą o sile, jakiej budowa jego nie pozwalałaby się domyślać, podniósł zwiotczale, rzęzące dziecko i przerzucił sobie niby worek przez ramię.

## 18

Uliczka równoległa do Paignton Street — od południa — nazywa się Beckford Place. Jest podobna do Paignton Street, ale — choć trudno w to uwierzyć — jeszcze bardziej ponura.

Dom na tyłach numeru siedemnastego przy Paignton Street okazał się, zrzędzeniem Opatrzności, nie zamieszka-  
kany. Na skrawku zachwaszczonego ogródka stał Garrett  
pod dwumetrowym ceglany murem, ostatnią przeszkodą,  
jaka teraz dzieliła go od celu.

Kiedys, być może w niecnym zamiarach, zrobiono w  
tym murze przejście. Garrett zauważył je o parę stóp na  
prawo i popróbowwał klamki, ale daremnie. Przykucnął  
więc i nagle wyskoczył w górę — chwytając się zakrzy-  
wionymi palcami krawędzi muru. Gdyby ostatnio nie le-  
żał w łóżku chory, z jeszcze większą łatwością podcią-  
gnąłby się i usiadł okraciem na chropawych ceglach.

Było bardzo ciemno. Czarnej czeluści nieba nie roz-  
świetlał księżyc; a jeśli w ogóle błyskały gwiazdy, to tylko  
przez gruby, staloszary całun, którym Londyn tak czę-  
sto się otacza. Powykrzywiane sylwetki brązowych drzew  
zdawały się wznosić jak paskudne dłonie. W oknach do-  
mów na prawo i lewo migąły czasem mętne światelka, ale  
ten dom pozostawał czarny.

Przerzucił prawą nogę przez szczyt muru, tak że obie  
jego stopy zwisały już nad terenem należącym do numeru  
siedemnastego przy Paignton Street. Miał właśnie ze-  
śliznąć się w dół, gdy wtem znieruchomiał.

Cicho otwarły się drzwi, a może okno. Garrett odniósł  
wrażenie, że dźwięk ten dobiegł od strony jednolicie czar-  
nego domu. Dosłyszał też jakby inne odgłosy, dochodzące  
z przeciwnej strony domu, z Paignton Street.

Leżał teraz brzuchem na szczycie muru. Skurczył się. I  
nasłuchując wstrzymywał oddech.

Znów skrzyknęły drzwi; na pewno drzwi. Oczyma wy-  
obraźni, które przetwarzają dźwięk w obraz, dojrzał, jak  
drzwi otwierają się szerzej. Coś wydostało się na zew-  
nątrz. Lekko zaszurały nogi i coś zaszleściło, a potem  
ciężko stuknęło we framugę.

Nagle, budząc grzmiące i nieoczekiwane echo, zało-  
motąła energicznie poruszona kołatka. Walila w drzwi na  
Paignton Street, jak mu się zdawało, drzwi numeru sie-  
demnastego.

Hałas ten ustał i Garrett posłyszał inne, bliższe i cichsze odgłosy — kroków biegnących bezszelestnie po splątanej, zakurzonej roślinności zaniedbanego ogródka: biegnących w stronę muru, na którym leżał.

Ich śladem zmierzały też inne kroki. Były lżejsze, a jednak mniej kocie; krótkie kroki, zdecydowanie kobiece. Wbił wzrok w ciemność i zobaczył zbliżające się niewyraźne sylwetki, jedną o piętnaście stóp dalej niż drugą.

Ponownie zadudniła kołatka. Tym razem iście olimpijskim grzmieniem. Garrett, sprężony niczym czający się zwierz, zdążył przelotnie się zdumieć. Czy to możliwe, by Gethryn?... Niemożliwe, nieprawdopodobne; ten hałas to czysty przypadek; jest sam — i sam musi tę rzecz zakończyć.

Pierwsza biegnąca postać dopadła muru i pochyliła się koło drzwi. Mimo mroków Garrett rozpoznał sylwetkę mężczyzny i przerzucone przez jego lewe ramię bezwładne, o wiele mniejsze ciało...

Nieustanny łoskot kołatki stłumił drugie kroki, ale w polu widzenia Garretta za pierwszą pojawiła się wysoka, smukła postać kobieca.

Mężczyzna grzebał przy zamku czymś, co wyjął z kieszeni.

Jednym ruchem Garrett dźwignął się na kolana i zeskoczył. Wylądował zgodnie ze swymi zamiarami, na prawym ramieniu mężczyzny.

Potoczyli się po ziemi. A małe bezwładne ciało upadło i leżało z dala od skłębionych ciał, nieruchome jak darń...

Odgłos kołatki, który umilkł na chwilę, odżył jękliwie — ale nad ten dźwięk wybił się ostry, w mgnieniu oka stłumiony krzyk kobiecy.

W ciemności, na cuchnącej, martwej i oślisłej ziemi Garrett i jego przeciwnik walczyli w milczeniu, z rozwagą.

Garrett odkrył we wrogu zgoła nieoczekiwane siły. Ale sam był cięższy i chociaż oddychał z trudem, chrapliwie, a głowę jego przeszywał ból, usiadł wreszcie na tamtym

okrakiem i złapał go za gardło lewą ręką, podczas gdy prawą zadawał krótkie, mocne ciosy niewyraźnie młócącej głowie.

Zagrzewało go dzikie uniesienie zwycięzcy, gdy wtem czyjeś ramiona, od tyłu, zacisnęły się na jego szyi. Były wprawdzie miękkie, ale ich miękkość kryła w sobie stalową siłę. Garrett dławił się, musiał więc zwolnić uchwyt. Kiedy wyrzucił ręce w górę i sięgnął do tyłu, by złapać nowego napastnika, coś pod nim zafalowało gwałtownie, tytanicznie, i podniesione kolano z przeraźliwą mocą trafiło go w dół brzucha. Odleciał w bok i przewracając się w męce próbował odetchnąć... Dwie postacie stały nad nim, a mały, spiczasty czubek damskiego pantofla wbijał mu się w policzek.

Mężczyzna szperał po kieszeniach.

— Weź dzieciaka i uciekaj. Szybko! Dogonię cię! — powiedział ochryple.

Jak gwardzista, kobieta wypełniła rozkaz. Jednym krokiem znalazła się obok małego, nieruchomego tobołka i zgarnęła go w ramiona.

Garrett opanował chwilowy paraliż płuc i ze świstem zaczerpnął powietrza, wykonując taki ruch, jakby chciał wstać.

Z dzieckiem na rękach kobieta dopadła drzwi i pochyliwszy się nad zamkiem, otworzyła je szeroko.

Coś zaśniło matowym blaskiem w dłoni człowieka stojącego nad Garrettem. Podniósł ramię.

Kobieta zniknęła ze swym ciężarem.

Garrett, w przewidywaniu fatalnego ciosu, podniósł bezsilne ramię — spoza muru zaś dobiegł wysoki, przeciągły wrzask. W wilgotnej ciemności brzmiał zwierzęco, wściekły, pełen strachu i rozczarowania.

Wzniesiona broń nie spadła, bo przeciwnik Garretta wbrew woli obrócił się, by popatrzeć w stronę, skąd doleciał krzyk. Garrett już stał i resztkami sił zwałił go na kolana. Raz jeszcze potoczyli się po zapuszczonej murawie...

Z sąsiedniego ogródka niosły się nowe dźwięki... Męskie głosy... tupot biegnących stóp... A potem białe jak

ostrza noży światła elektrycznych latarek, gdy mężczyźni przebiegli przez drzwi i rzucili się na walczącą parę, by oderwać od Garretta człowieka, który warczał na nich, miotał się i szarpał — aż wreszcie legł, pokonany.

Garrett poczuł na ramionach mocne dłonie i spojrzał w twarz Anthony'ego Gethryna. Zachichotał niepewnie.

— Porządny z pana facet! — powiedział i znów zachichotał. — To pan pukał?

— Spokojnie — mówił Anthony. — Spokojnie... Tak, pukaj od frontu, a wypłuszysz ich na tyły... To prawo natury... No, i dokąd pan idzie?

Garrett bowiem wywinął się z uścisku i na lekko niepewnych nogach biegł ku grupce ludzi klęczących nad czymś, co leżało na ziemi.

On także rzucił się na kolana, tuż obok Pike'a. Usiłował coś powiedzieć, ale z gardła wydobył tylko nieporadny, cichy grzechot.

— Wszystko w porządku, sir — powiedział Pike. — Narkotyki, nic więcej.

Garrett odepchnął go i wciąż na klęczkach przysunął się do dziecka, a uniósłszy główkę spojrzał w białą, drobną twarz Patrycji Van Renseler.

Otworzyła oczy, bardzo powoli. Nawet mimo ciemności Garrett dostrzegł w nich nagły błysk przerażenia, a przytulone do niego ciało sprężyło się gwałtownie. Przyciskał je mocno i wreszcie zaczął mówić.

Strach zniknął z oczu, mięśnie się rozluźniły. Powieki znów zaczęły opadać, a główka wsparła się na jego ramieniu.

— Och — powiedziała Patrycja Van Renseler — pan jest miły.

# EPILOG

## 1

Paignton Street w świetle dziennym jest nie mniej ponura niż nocą. A właściwie jeszcze bardziej ponura, co dostrzegał Anthony, gdy tak stał w pustym pokoju na parterze pod numerem siedemnastym i patrzył przez okno na ulicę skąpaną w bezlitosnym słońcu. Widział zakurzone chodniki; nędzne ogródki, których bujna, przyprószona sadzą roślinność sprawiała bardziej nie-naturalne wrażenie niż jakakolwiek cegła; poodpryskiwaną farbę i łuszczące się stiuki; okna z zasmarowanymi szybami...

Wstrząsnął nim dreszcz, zwrócił się więc do Pike'a ślęczącego przy stole pośrodku pokoju nad schludnymi stosikami tak różnorodnych przedmiotów, jak stare koperty, konserwy, tanie, brudne i nieznaczone chustki do nosa, absurdalna — i pusta — dwukwartowa butelka perder jouet 29, sterta gazet.

— Niewiele się tu znajdzie, sir. — W tonie Pike'a dźwięczało przygnębienie, kąciki ust miał opuszczone.

Anthony przyglądał się tej zbieraninie. Po chwili rzekł:

— A czego się pan spodziewał? Znał się na swojej robocie, ten Evans. On nie z tych, co zostawiają bilety wizytowe.

Ciężkie kroki zadudniły nad ich głowami, a jeszcze inne na schodach. Wysoki mężczyzna w pełnym cywilu wszedł i położył na stole koc oraz strzępy workowego płótna.

— To wszystko? — zapytał Pike.

— Z sypialni, sir? Tak.

Pike chrząknął.

— W porządku. Róbcie swoje.

Anthony popchnął flaszkę i usiadł na brzegu stolika.



— Nic nowego od wczoraj?

Pike potrząsał głową.

— Nic a nic, sir. Nie wstyd mi się przyznać, że jestem, można powiedzieć, speszony. Z górą dwadzieścia lat w tej służbie i nie natrafiłem dotąd na coś podobnego — mówił żalobnym tonem.

— Spryciarz z tego pana Evansa — powiedział Anthony z uśmiechem. — Średni, wie pan. Ale proszę się rozpogodzić. Mamy dostateczne podstawy, żeby go powiesić. Nawet dwukrotnie.

— Gdybyśmy nie mieli, sir, ja... ja bym złożył rezygnację! Ale nie tym się trapię, tylko, można powiedzieć, zawodowym aspektem sprawy. Oto schwytaliśmy najgorszego za mojej pamięci zbrodniarza, a jednak zanosi się na to, że powiesimy go nie znając nawet jego prawdziwego nazwiska. Cofamy się coraz dalej i dalej, po wszystkich tropach, i gdzież kończymy? Nigdzie! Przecież i ci z KJB nie wiedzą o nim naprawdę więcej niż my. Osobiście przesłuchiwałem Hinesa i wiem, że w tym wypadku nie kłamie. Szantażem musieli zajmować się od lat. Evans zaś jakoś się do nich wkręcił.

— Biedny Pike! — powiedział Anthony. — Ale, ale, a jak się nazywa ta jego kobieta? Nie mówił mi pan jeszcze.

Pike przesunął dłonią po czole.

— Może mi pan wierzyć albo nie wierzyć, ale i dla niej wymyślił to samo. Tutejsi gospodarze znali ją jako panią Evans. Innego nazwiska nie mamy!

Anthony zapalił papierosa.

— Wie pan, co powiedziała by pan Garrett? Dajcie im obróbkę! Czasami, Pike, widzi się potrzebę wymuszanie zeznań.

W brązowych oczach Pike'a zabłysło światełko. I urzędowo zostało zgaszone.

— Z tym to nie wiadomo, sir. Ale wiem jedno — niech raz dostanę w swoje ręce tę Janet Murch, wtedy, być może, czegoś się dogrzebię.

— W charakterze świadka? — zapytał Anthony.

— Tak, sir — odparł Pike już pogodnie. — Uzyskałem dziś rano zezwolenie komisarza.

Anthony obserwował go pełen współczucia.

— A więc rzeczywiście, mój biedaku, wrócił pan do punktu wyjścia: gdzie jest Murch? Gdzie jest Janet, kim ona jest, że my, biedne bałwany, nie możemy jej znaleźć?

Pike wysunął dolną szczękę.

— Ja ją znajdę — zapewnił. — Wyszła z dzieckiem z hotelu „Alsace”. Musiały ją widzieć setki ludzi! A ja mam setki domysłów.

Cztery pary ciężko obutych stóp zadudniły na schodach, a mężczyzna, który przyniósł koc i płótno workowe, ukazał się w drzwiach.

— Skończyliśmy górę, sir — zameldował Pike'owi. — Pozostała jeszcze piwnica i Bruce z Piggottem właśnie tam schodzą.

Pike wstał.

— No i tak to jest! — Spojrzał na Anthony'ego. — Idzie pan, sir?

Przeszli razem do pustego hallu. W drugim jego końcu dwu mężczyzn w cywilu dłubało przy kłamce drzwi pod schodami. Jeden z nich zwrócił się do Pike'a.

— Zamknięte na klucz, sir. A klucza nie ma. Wyłamać?

Pike, a w ślad za nim Anthony, zbliżyli się do niego.

— Tak, i to prędko — powiedział Pike.

Ten, który pytał, odepchnął towarzysza i kopnął drzwi tuż poniżej zamka, z potworną siłą.

Rozległ się trzask drewna... Powtórny kopniak... Niemal bezwładnie drzwi ustąpiły, odsłaniając ciemną jaskinię schodków.

Mężczyzna, który kopał, wyciągnął elektryczną latarkę z kieszeni i przestąpił przez próg. Zszedł parę stopni w dół, a potem nagle przystanął.

Dobiegł ich stłumiony okrzyk i zobaczyli wracającego.

— Niech pan spojrzy na to, sir! — powiedział do Pike'a.

Wypuścił snop światła wzdłuż pokrytych pajęczyną ścian. Pike i Anthony dostrzegli od drzwi, w żółtym kręgu latarki, postać skuloną na wąskich schodach.

Była to postać kobieca. Stopami zwrócona ku nim, głową dotykała najniższego stopnia, w sposób oczywisty i straszliwy martwa. Niska, tęga i przysadkowata, na głowie miała kapelusz wykwalifikowanej opiekunki do dziecka.

— A oto panna Murch! — wyszeptał Anthony, po czym zwrócił się do Pike'a: — Oznacza to dla pana Evansa przewagę w gemie i secie! Ale mecz myśmy wygrali!

## 2

Patrycja Van Renseler radośnie opuściła pokój. Zza drzwi docierał śmiech dziecka, pomieszany z rozkazującymi wezwaniami matki. Anthony popatrzył na gospodarza.

— Tak, nic jej nie jest — powiedział.

Van Renseler roześmiał się.

— Nic jej nie jest! — powtórzył. Temblak, który podtrzymywał złamany obojczyk, zdawał się go uwierać, więc poprawił bandaż niecierpliwym gestem. — Tak bardzo nic jej nie jest, że trudno wprost uwierzyć, by cokolwiek się jej kiedy przytrafiło! — Nagle spoważniał. — A panu należy zawdzięczać, że ona...

— Dajmy już spokój! — przerwał mu Anthony. — Ostrzegalem pana.

— Nigdy przedtem nie wyobrażałem sobie, by człowiek mógł cierpieć z nadmiaru wdzięczności — mówił Van Renseler. Uśmiechnął się lekko, ale oczy miał wciąż poważne. — Bardzo przepraszam, że pana drażnię, lecz muszę...

— Wolnego! — przerwał mu ponownie Anthony. — Jeśli już musi się pan wyładować, niech pan mnie da spokój. Bo jest mnóstwo innych.

— Oczywiście Tom Garretti i Pike. Ale ich tu nie ma, więc pan tego wysłucha.

Anthony potrząsnął głową.

— Nie. Jeszcze cała masa innych. Bardzo ważnych, chociaż niektórzy nie wiedzą nawet, że coś z tym mieli wspólnego.

— Nie rozumiem pana — powiedział Van Renseler.

Anthony uśmiechnął się.

— Zaraz to wyjaśnię. Po pierwsze, panna Letty Lamb. Gdyby nie ona, nie znalazłbyśmy nawet nazwiska Murch.

— Lamb? — powtórzył Van Renseler. — Lamb? Och, tak. Dziewczyna z listy sprawunków.

Anthony potaknął.

— Podaję panu nazwiska według hierarchii ważności.

Potem nieszczęsna żona Ballistera. Gdyby nie ona, nigdy nie natrafilibyśmy na Agencję KJB, która była pierwszą nitką prowadzącą do Evansa. Nie może jej pan podziękować, biedaczce; ale może zechciałby się pan zastanowić nad dodatkowym kamieniem nagrobnym albo kwiatami czy czymś w tym rodzaju. Później oczywiście wykończyliśmy KJB i jeszcze bardziej zbliżyliśmy się do Evansa dzięki Avis Bellingham...

Z kolei przerwał Van Renseler:

— Już z nią rozmawiałem. I Helen także.

— Z każdym krokiem napotykając coraz ważniejszych — mówił Anthony — docieram do młodszego pracownika urzędu śledczego, niejakiego detektywa Frawleya.

Van Renseler pochylił się do przodu.

— Kto to jest?

— Chłopak po rocznej służbie. Ale gdyby nie kierował się rozumem i nie przekroczył swych uprawnień otwierając teczkę Evansa, kiedy ten dzieciak przyszedł ją odebrać na stacji Dulwich — no, nie siedziałbym tu teraz, Evans nie przebywałby w więzieniu... a resztę może pan sam sobie dopowiedzieć.

— Frawley — mruzczał pod nosem Van Renseler. — Frawley. Frawley. Nie zapomnę o tym... Ale to wszystko

nie pomniejsza w niczym pańskiej roli. Gdyby nie fakt, że pan się tym zajął...

— Chwileczkę! Dalej dochodzimy do jeszcze ważniejszej postaci — pana Voxa, brzuchomówcy.

Van Renseler szeroko otworzył oczy.

— Mówię poważnie — uśmiechnął się Anthony. — On nie ma z tym wszystkim nic wspólnego... i bardzo wiele. Niesłuchanie wiele! Gdyby nie on, Garrett i ja nadal ścigalibyśmy w północnej Anglii nieprzyjemnego faceta nazwiskiem Lester.

Van Renseler bawił się nerwowo węzłem na temblaku.

— Mam nadzieję, że wreszcie mi to pan wyjaśni.

— Podejrzewaliśmy tego Lestera. Garrett miał przecucie, że się mylimy. Dla rozrywki zabrałem go do music-hallu. Ten Vox miał trzy kukły — a jedna z nich była w fartuszkach i czepku. Brzuchomówstwo i ten strój przypomniały mi raptem głosy, które Garrett słyszał w herbarciarni, oraz to, że jeden z głosów należał do opiekunki — Janet Murch. Nagle pojąłem, że Garrett mógł mylnie przypisać głosy osobom. I tak się rzecz miała. A w dziesięć minut później rozmawiałem już z pańską żoną.

— Boże! — zawołał Van Renseler i zamilkł. Twarz mu spochmurniała, a rumieńce przybladły na to wspomnienie.

— Dalej Harold Mattock — podjął szybko Anthony. — Główny inżynier kolei podziemnej. Gdyby nie był tym, co wy nazywacie chyba „równym facetem”, nigdy nie uwierzyłyby mi na słowo — mówiłem przez telefon i proszę pamiętać: dosłownie na dwie minuty przed wypadkiem! — że może stać się odpowiedzialny za śmierć, jeśli nie wyłączy prądu. — Gospodarz odzyskiwał kolory. — Przypadkowo sam Evans podsunął mi zbawienny dla pana pomysł. Wie pan, próbował już tego zrzucania na szynę pod napięciem na Garrettcie.

— No i proszę! Znów pan.

— I ostatni, ale nie mniej ważny — kończył Anthony — jest pan Hohn Bodie. To na jego taksówce Garrett dostał się na Paighton Street. Gdyby Bodie nie wysiadał zwykle

przy pobieraniu należności za przejazd, nigdy nie zobaczyłby Garretta. A wtedy Garrett nie byłby go uderzył, my zaś z Pike'em nie znaleźlibyśmy go i w konsekwencji nie wiedzielibyśmy, do jakiego domu — ani nawet na jaką ulicę — dotarł Garrett śladem Evansa.

Van Renseler już chciał coś powiedzieć, gdy jego żona z córką weszły do pokoju. Śmiali się i mówili o innych rzeczach, i nalewali Anthony'emu do szklanki.

— A na marginesie — zapytała Helen Van Renseler — gdzie jest pan Garrett?

— Na wsi — odparł Anthony z uśmiechem.

### 3

Avis Bellingham pokochała okolice Greyne od pierwszego wejrzenia, a wioska Ford-under-Stapleton zawsze oznaczała dla niej ciszę, głęboki spokój i oderwanie od trosk oraz zamętu świata zewnętrznego. Dlatego też od dwu dni przebywała sama w gospodzie pod „Hiszpańskim gwardzistą”.

Pierwszego dnia nic tylko rozmyślała. Rozmyślała przez pierwszą noc. I tak było aż do chwili obecnej, kiedy zasiadła przy biurku w jedynym salonie „Hiszpańskiego gwardzisty” i wzięła się do pisania listu.

Po dwu źle rozpoczętych listach i wypalonym papierosie nabrała wreszcie rozpędu. Pióro skrzypiało pilnie i zapisawszy cztery kartki dotarła do końca tego czegoś, co miało być tak krótkie, a zarazem tak pełne treści.

Odchylona do tyłu wzięła się do czytania, niebawem jednak w korytarzu zadudniły kroki, skrzypnęły otwierane drzwi — i usłyszała głos Sheldona Garretta. Nie zrozumiała, co mówi. Zerwała się na nogi, przewracając krzesło.

— Czy to przypadek, czy zdrada? — zapytała wreszcie i podała mu obie dłonie.

Ujął je i nie puszczał.

— Dowiedziałem się od Lucy Gethryn. Nie powiedziała mi właściwie, że tu jesteś, ale widziałem kopertę. — Chociaż sobie tego nie uświadamiał, głos miał niepewny.

— Pisałam list — rzekła Avis unikając jego wzroku. — Do wielmożnego T.S. Garretta. — Lekkim ruchem głowy wskazała biurko.

— Do diabła z listami! — zawołał Garrett i otoczył ją ramieniem. — Muszę coś powiedzieć i powiem to, zanim cię puszczę. A potem możesz wyrzucić mnie za drzwi.

Była bardzo spokojna w jego objęciach.

— Jestem prostak i głupiec. Ale cię kocham. Potrafię chyba żyć bez ciebie, wolę jednak nie próbować!

Podniosła głowę, ale jeszcze nie patrzyła mu w oczy.

— To ja byłam głupia. Miałeś coś wielkiego do zrobienia, a ja chciałam usłyszeć, że mnie kochasz...

Przerwał jej niezdecydowanie:

— Chcesz powiedzieć, że ty... że ja... że mnie stąd nie wyrzucisz?

Teraz na niego spojrziała.

— Spróbuj tylko odejść!...

Nie dał jej dokończyć i odsunął ją na długość ramienia, a jego oczy poszukały jej oczu. Uśmiechnęła się, on zaś odetchnął głęboko. Nagle spoważniała; bardzo spoważniała.

— O co chodzi? — zapytał. — Co się stało? Unikając jego wzroku powiedziała z pewnym trudem:

— Tom... a co zrobimy z... z George'em?

Garrett przytulił ją tak mocno, że z trudem chwyciła powietrze.

— Do diabła z George'em — powiedział przez zaciśnięte zęby i osłupiał na dźwięk jej srebrzystego śmiechu.

Puścił ją i odstąpiwszy do tyłu wpatrywał się w jej twarz. Wciąż się śmiała. Wyciągnęła ku niemu ręce.

— Powinieneś czytać kronikę towarzyską, mój miły. I wiedzieć, że kobiety pragną być kochane dla siebie samych!

Chwycił ją za ramiona, że aż zabolalo.

— O czym ty mówisz? Powiedz!

Oczy miała wciąż roześmiane.

— O rozwodzie — odparła. — Rozeszłam się z George'em dwa lata temu.

— Mój Boże! — powiedział Sheldon Garrett.